

Wu Cz'eng-en MAŁPI BUNT

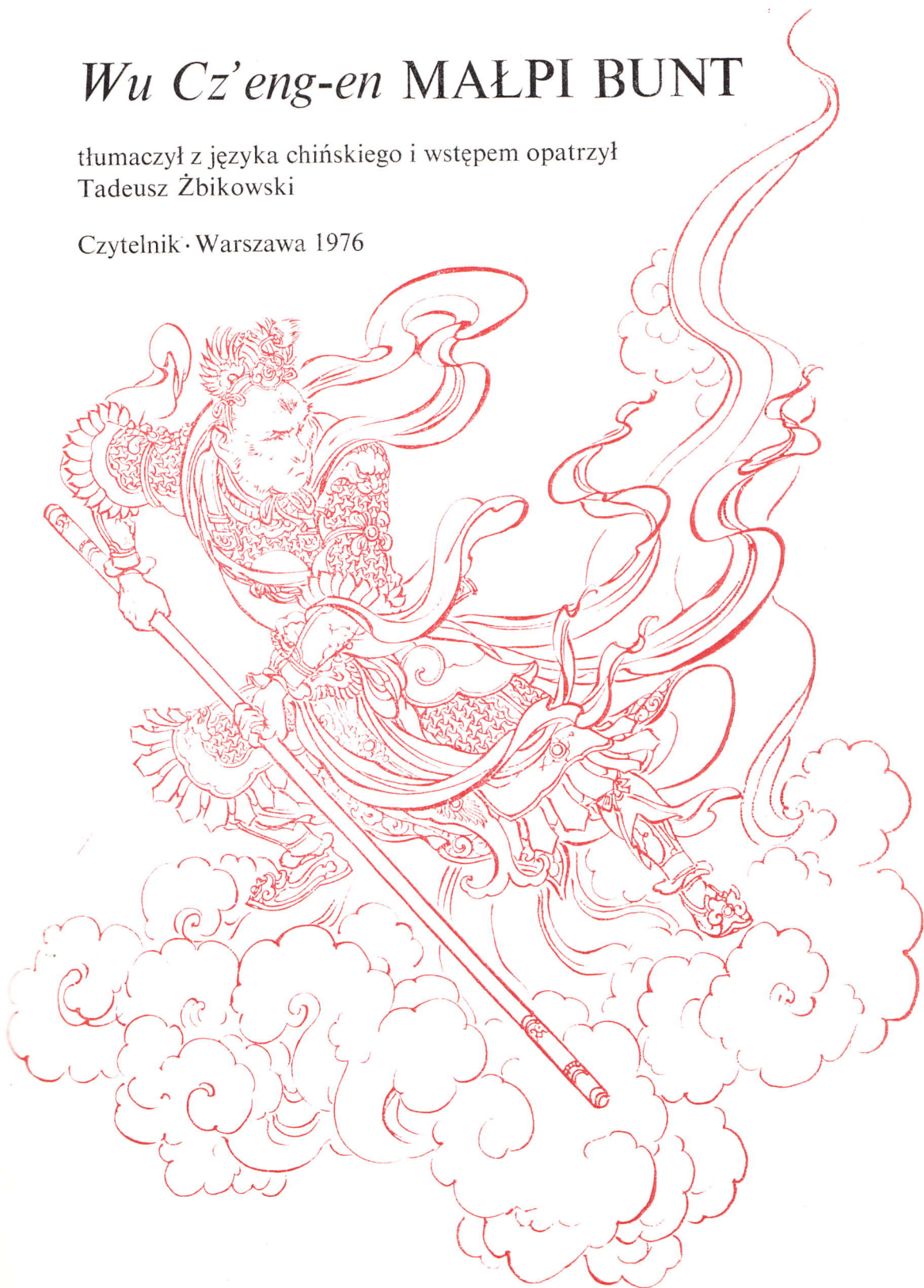


闻天宫

Wu Cz'eng-en MAŁPI BUNT

tłumaczył z języka chińskiego i wstępem opatrzył
Tadeusz Żbikowski

Czytelnik · Warszawa 1976



Tytuł oryginału
SI-JU-KI

Opracowanie graficzne
WŁADYSŁAW BRYKCYŃSKI

Ilustracje z wydania chińskiego

WSTĘP

Odmienne od kręgu kultury europejskiej, małpa w krajach Dalekiego Wschodu nie była zwierzęciem pogardzanym czy wręcz utożsamianym z siłami nieczystymi. W wielu kulturach wschodnich, zwłaszcza w Indiach, na wyspach Archipelagu Malajskiego, a także w niektórych rejonach Chin, otaczano ją nimbem świętości, małpokształtnym bogom budowano świątynie, składano ofiary, zanoszono do nich modły. Nierzadko bywała małpa bohaterką utworów literackich. Na próżno jednak szukalibyśmy tytułu „Małpi bunt” w wykazach bibliograficznych niezwykle bogatej beletrystyki chińskiej, bo nie jest to tytuł oryginalny. Nadaliśmy go pierwszej części wyboru ze słynnej średniowiecznej powieści chińskiej „Wędrownka na zachód”, pióra cenionego poety i prozaika z epoki Ming, Wu Cz'eng-ena. Głównym bohaterem jego powieści, a zwłaszcza pierwszej części, jest cieszący się szczególną popularnością wśród ludu „król małp”, Sun Wu-k'ung, obrońca maluczkich, szlachetny buntownik przeciwko niesprawiedliwym, ciemniącym swych poddanych władcom, ukazany w powieści pod postaciami bóstw pant eonu taoistycznego i buddyjskiego.

O wielkiej popularności Sun Wu-k'unga w społeczeństwie chińskim świadczyć może częste pojawianie się tej postaci w sztukach z klasycznego repertuaru opery pekińskiej. Opera „Sun Wu-k'ung sieje zamęt w pałacu władcy niebios”, dzięki występom chińskich zespołów operowych znana jest również poza granicami Chin. W Polsce wystawiana była przed dwudziestu laty w ramach V Światowego Festiwalu Młodzieży.

„Małpi bunt”, jak już wspomniałem, jest wyborem z jednego z bardziej cenionych arcydzieł klasycznej beletrystyki chińskiej, powieści Wu Cz'eng-ena pt. „Wędrownka na zachód”. Gatunek powieściowy pojawił się w literaturze chińskiej stosunkowo późno, dopiero w XIII w., kiedy zaczęto łączyć ludowe opowiadania należące do jednego cyklu tematycznego. Początkowo były to utwory recytowane przez ludowych gawędziarzy ulicznych, którzy w ciągu jednego seansu przekazywali zebranym słuchaczom tylko jeden fragment powieści, odpowiadający jednemu rozdziałowi. Na podobieństwo nowożytnych powieści w odcinkach, każdy fragment urywał się w kulminacyjnym punkcie rozwoju akcji, by słuchacze, zaciekawieni dalszymi losami bohaterów, przyszli na następny występ gawędziarza, ponownie uiszczając przy tym odpowiednią opłatę. Zachęta do przyjsia i wysłuchania kolejnych fragmentów opowieści rozbrzmiewa również w krótkich wezwaniach kończących poszczególne rozdziały „Małpiego buntu”: „Jeśli zaś chcecie się dowiedzieć, w jaki sposób duszom małżonków udało się powrócić do ziemskiego świata, posłuchajcie następnego rozdziału” (rozdział 9); „Jeśli się chcecie dowiedzieć, dokąd tak Sun Wu-k'ung gonił potwora i który z nich zwyciężył, posłuchajcie następnego rozdziału” (rozdział 12).

Chińska literatura powieściowa jest niezwykle bogata i zróżnicowana tematycznie. Pod tym względem tradycyjnie wydziela się sześć podstawowych grup, z których każdą reprezentuje najlepszy utwór o danej tematyce. W minionych latach ukazały się w wyborze przekłady najbardziej reprezentatywnej i popularnej w Chinach powieści awanturniczej (Szy Nai-an „Opowieści znad brzegów rzek”, 1952) oraz powieści historycznej (Lo Kuan-czung „Dzieje Trzech Królestw”, 1973). Pozostałe typy te-

matyczne to: powieść erotyczno-obyczajowa, reprezentowana przez „Kin-P'ing-Mei” (tytuł stanowią imiona trzech bohaterek powieści), przypisywaną Wang Szy-czenowi; powieść społeczno-psychologiczna, z których najwybitniejszą jest „Hung-lou-meng” (Sen w czerwonym pawilonie), pióra XVIII-wiecznego pisarza, Ts'ao Süe-k'ina; nurt krytyczno-satyryczny w beletrystyce chińskiej reprezentuje powieść Wu King-tsy „Žu-lin wai-szy” (Nieoficjalna historia konfucjanistów). Wreszcie szósty typ powieści chińskiej obejmuje wątki fantastyczno-mitologiczne i podróźnicze, a najwybitniejszym utworem zaliczanym do tej właśnie grupy jest prezentowana powieść Wu Cz'eng-ena „Si-ju-ki” czyli „Wędrowka na zachód”. Jest to trzecia powieść, która, wprawdzie jeszcze w wyborze, ale już w przekładzie bezpośrednio z języka chińskiego, udostępniana jest czytelnikowi polskiemu.

Wu Cz'eng-en żył w południowych Chinach w XVI wieku. Miał opinię człowieka nader inteligentnego i dowcipnego. Mimo dużych zdolności nie zrobił jednak kariery jako urzędnik państwowy. Zajmował jedynie podrzędne stanowiska na prowincji. Czas wolny od obowiązków poświęcał twórczości poetyckiej oraz zbieraniu ludowych legend i opowieści. „Wędrowkę na zachód” napisał dopiero u schyłku swego długiego i dość smutnego żywota, około 1580 r. Umarł w nędzy, a jako że nie miał syna, który by zaopiekował się jego sprawami, cała jego puszczna literacka w krótkim czasie uległa rozproszeniu i zapomnieniu. Zachowała się jedynie wspomniana powieść, przy czym przez długi czas nawet nie wiadano, kto był jej rzeczywistym autorem.

Wu Cz'eng-en, będąc zamiłowanym kolekcjonerem ludowych legend i opowieści, na nich oparł wątek swojej olbrzymiej powieści w stu rozdziałach. Czytelnik może sobie wyobrazić ogrom dzieła tego pisarza, skoro zaledwie czternaście rozdziałów, z drobnymi skrótami, zdołało wypełnić ten tom. Przekład całości „Wędrowki na zachód” musiałby ukazać się w co najmniej siedmiotomowej edycji.

Osnowę powieści Wu Cz'eng-ena stanowi historycznie zaświadczone wędrowka buddyjskiego mnicha Hüan-tsanga (w wersji indyjskiej imię jego brzmiało Tripitaka) do Indii, celem uzyskania i sprowadzenia do Chin ksiąg kanonu buddyjskiego. Hüan-tsang żył w latach 596–664, a jego wyprawa do Indii, rozpoczęta w 629 roku, za panowania dynastii T'ang, stała się źródłem licznych ludowych opowieści, przepłatających rzeczywistość z fantastyką. Mnich ten poświęciwszy swoje życie umocnieniu i rozpowszechnieniu buddyzmu w Chinach, postanowił udać się do Indii, kolebki buddyzmu, by tam zdobyć odpowiednią wiedzę i święte księgi. Jednak nie cesarz wysłał go w tę wędrowkę, jak to pokazano w powieści, a wręcz przeciwnie, mnich udał się tam potajemnie, wbrew woli cesarza. Podjął taką decyzję właśnie w chwili, gdy cesarz kategorycznie odmówił prośbie jego i jeszcze kilku innych mnichów, starających się o zezwolenie na tak daleką wyprawę. Hüan-tsang opuścił kraj na siedemnaście lat i podczas podróży odwiedził ponad pięćdziesiąt państw i państweczek.

Ze swojej wyprawy do Indii Hüan-tsang przywiózł ponad sześćset świętych ksiąg buddyjskich, a następnie ukazał swój niezwykły talent, tłumacząc wiele z nich na język chiński. Ponadto zostawił potomnym dziennik swojej podróży: „Notatki z wędrowki na zachód dokonanej za panowania wielkiej dynastii T'ang”, w którym dość szczegółowo opisał kraje, miasta, osady, jakie napotykał na swej drodze, oraz obyczaje i warunki życia ich mieszkańców. Dzieło to zachowało się do naszych czasów. Z pewnością korzystał z niego również Wu Cz'eng-en przy pisaniu swojej powieści, chociaż o jej popularności i walorach artystyczno-literackich stanowiły przede wszystkim te elementy, które czerpał z folkloru, z własnych przemyśleń i wizji świata.

Toteż pielgrzymka po święte księgi do Indii jest w powieści Wu Cz'eng-ena jedynie pretekstem dla ukazania całego korowodu postaci i sytuacji zupełnie nowych, w sposób alegoryczny rysujących czasy pisarzowi współczesne. Zresztą sam Hüan-tsang nie jest bynajmniej głównym bohaterem powieści i pojawia się dopiero w dalszych jej rozdziałach. Natomiast najważniejszą postacią dzieła Wu Cz'eng-ena jest niewątpliwie Wspaniała Król Małp, Sun Wu-k'ung. Postać to wprawdzie bajeczna, fikcyjna, ale obdarzona przez pisarza cechami na wskroś ludzkimi. Poznajemy ją już w pierwszym rozdziale powieści, a w dalszych staje się siłą napędową akcji, bądź to powodując powstawanie dramatycznych sytuacji konfliktowych, bądź walnie przyczyniając się do ich rozwiązania. Fakt ten między innymi skłonił nas do odejścia od oryginalnego tytułu, „Wędrowka na zachód”, na rzecz tego bardziej odpowiadającego zamysłowi pisarza i podkreślającego rolę małpiego bohatera.

Ponieważ obecnie w wyborze prezentowana jest siódma część słynnej powieści, nie od rzeczy

chyba będzie ukazać w znacznym skrócie schemat treści rozmieszczonej w stu rozdziałach tego arcydzieła chińskiej beletrystyki.

Pierwsze siedem rozdziałów poświęca Wu Cz'eng-en wyłącznie postaci króla małp, jego edukacji, buntowi przeciwko władcy nieba i pojmaniu przez niebiańskie duchy. W rozdziale ósmym przenosimy się do pałacu Buddy w Zachodnim Raju i dowiadujemy się o jego pragnieniu uszczęśliwienia krainy wschodu (Chin) przez ofiarowanie świętych ksiąg. Rozdział dziewiąty relacjonuje historię rodziców Hüan-tsanga, zamordowanych przez zbójców i cudownie przywróconych do życia. Rozdziały od dziesiątego do dwunastego opisują wydarzenia na dworze cesarza T'ai-tsunga z dynastii T'ang oraz okoliczności podjęcia przez niego decyzji o wysłaniu Hüan-tsanga do Indii po święte księgi. Jest oczywiste, że do napisania tych dwunastu rozdziałów Wu Cz'eng-en nie korzystał z dziennika podróży prawdziwego Hüan-tsanga. W rozdziałach od trzynastego do dziewięćdziesiątego dziewiątego znajdujemy barwny opis pielgrzymki buddyjskiego mnicha wraz z trzema towarzyszącymi mu druhami, Sun Wu-k'ungiem, Czu Pa-tsie, Piaskowym Mnichem Sza-sengiem oraz ze smokiem przemienionym w wierzchowca, do Zachodniego Raju po święte księgi. Po drodze czyhają na nich liczne niebezpieczeństwa, straszliwe potwory, krwiożercze demony. Dzięki jednakże przemyślności i odwadze towarzyszących mnichowi opiekunów, a zwłaszcza króla małp Sun Wu-k'unga, udaje im się dotrzeć do celu wyprawy. Ponieważ liczba dziewięć jako ostatnia miała charakter magiczny, tym większą siłę magiczną posiadał kwadrat tej liczby, a więc bohaterowie powieści musieli pokonać osiemdziesiąt jeden niebezpieczeństw, zanim w ostatnim rozdziale danym im było uzyskać święte księgi i w cudowny sposób w ciągu kilku godzin powrócić do stolicy państwa T'angów.

Tytuł książki brzmi „Małpi bunt”, ponieważ dzieje króla małp, jego bunt przeciwko władcy niebios Nefrytowemu Cesarzowi, stanowią główny temat prezentowanego wyboru. Włączony też został chociaż z pewnymi skrótami rozdział ósmy, natomiast pominięto całkowicie cudowną przygodę rodziców Hüan-tsanga, jako marginesową względem głównego wątku powieści. Niemal w całości uwzględnione zostały rozdziały przedstawiające wydarzenia w stolicy państwa T'angów, poprzedzające wymarsz mnicha w daleką wędrówkę. W wyborze zmieściły się ponadto fragmenty początkowych etapów pielgrzymki, a mianowicie te, w których do Hüan-tsanga przyłączają się jego główni pomocnicy i opiekunowie. Będą mu oni towarzyszyć aż do Zachodniego Raju.

Jak wspomniałem. Wu Cz'eng-en był również bardzo cenionym poetą. Jego poetyckie skłonności znalazły wyraz w „Wędrówce na zachód”, która jest hojnie zdobiona wstawkami poetyckimi. W większości wypadków nie wnoszą one nowych elementów do toku akcji, podkreślają jedynie barwność otaczającej bohaterów przyrody, uwypuklają przeżywane przez nich uczucia. Czasami nawet dla spotęgowania wrażenia autor powtarza wierszem rzeczy uprzednio podane prozą. Tego rodzaju poetyckie wstawki z reguły w przekładzie zostały pominięte. Wyjątek pod tym względem stanowią fragmenty poezji, które kontynuują rozwój akcji. Najczęściej tłumaczyłem je prozą, a tylko w kilku nieodzownych miejscach sens ich wierszem oddać się starałem.

Tłumaczenie zostało dokonane na podstawie wydania krytycznego powieści, które ukazało się w 1954 r. nakładem wyd. „Literat” w Pekinie. Tekst oparty został na najwcześniejszej zachowanej edycji z 1592 roku, tj. około dziesięć lat po śmierci pisarza, i w wypadkach oczywistych pomyłek drukarskich poprawiony na podstawie sześciu różnych edycji z okresu dynastii mandżurskiej (1644–1911).

Tadeusz Żbikowski

ROZDZIAŁ PIERWSZY

o tym, jak z cudownego zalążka powstała tajemna istota, która dzięki wytrwałości w doskonaleniu swej natury poznała Wielką Naukę.

Pośrodku olbrzymiego morza obmywającego brzegi krainy Aolai wznosiła się ku niebu Góra Kwiatów i Owoców. Z niej to niegdyś zrodziło się dziesięć kontynentów, a trzy święte wyspy podwodnymi smoczymi żyłami czerpały z niej dobroczynne fluidy. Powstała ona w zamierzchłych czasach, gdy nastąpił kres pierwotnego chaosu, a lekkie i ciężkie cząsteczki materii rozdzieliły się tworząc niebo i ziemię. Jakaż wspinała to była góra!

Na samym jej szczycie leżał cudowny głaz. Wysoki był na trzy sążnie, sześć piędzi i pięć cali, a w obwodzie miał dwa sążnie i cztery piędzi. Wysokość jego odpowiadała trzystu sześćdziesięciu pięciu przesunięciom nieba w ciągu jego całorocznej wędrówki, a obwód zgodny był z dwudziestu czterema okresami roku zaznaczanymi w cesarskim kalendarzu. Na powierzchni głazu można było dostrzec dziewięć zagłębień i osiem otworów, które odpowiadały dziewięciu podstawowym kolorom i ośmiu magicznym trigramom.

Nigdzie w pobliżu nie rosło drzewo, które użyłoby mu ożywczego cienia, za to wszędzie, jak okiem sięgnąć, widniały piękne irysy i storczyki długowieczności, napełniające powietrze niezapomnianymi wonnościami. Od powstania świata minęło już bardzo dużo lat i przez ten czas głaz znajdował się pod ciągłym wpływem oddziaływania dobroczynnej energii nieba i ziemi; spowity promieniami słońca, skąpany w poświacie księżyca, wypełniał się substancją duchową, aż w końcu w jakiś cudowny sposób zrodziło się w nim życie.

Pewnego dnia głaz rozpadł się odsłaniając w swym wnętrzu kamienne jajo w kształcie olbrzymiej piłki. Pod działaniem wiatru jajo z czasem przemieniło się w kamienną małą. Miała ona wszystko, co potrzeba, i organy pięciu zmysłów, i cztery kończyny.

Gdy tylko nauczyła się wspinać po drzewach i biegać, złożyła pokłon w cztery

strony świata, a dwa złociste promienie z jej oczu strzelały daleko w przestrzeń docierając aż do Pałacu Gwiazdy Polarnej. Blask tych promieni tak przeraził świętego władcę nieba, Wielce Miłosiernego, Najświętszego, Panującego w Najwyższym Niebie Nefrytowego Cesarza, zasiadającego właśnie w sali tronowej Złotobramego Pawilonu Cudownej Rosy w otoczeniu swych niebiańskich dostojników, że natychmiast rozkazał swym sługom, Wszystkowidzącemu Oku i Wszystkosłyszącemu Uchu, otworzyć południową bramę nieba i zbadać przyczynę tego niezwykłego zjawiska. Dwaj generalowie, spełniając rozkaz swego władcy, wyszli za bramę nieba, uważnie przyjrzeni się wszystkiemu i dokładnie się wsłuchali, a następnie wrócili przed oblicze cesarza i oświadczyli:

— Spełniając rozkaz waszej wysokości, naszym wzrokiem i słuchem zbadaliśmy źródło złocistego blasku. Wydostaje się on z okolic krainy Aolai, położonej we wschodniej części świata. Na wschód od Aolai na pełnym morzu wznosi się Góra Kwiatów i Owoców. Na jej szczycie leżał kiedyś cudowny gład, który zrodził kamienne jajo, zaś ono pod wpływem podmuchów wiatru zmieniło się w kamienną małpę. Oddając pokłony czterem stronom świata małpa zwróciła swe oczy ku niebu, a emanujący z nich złocisty blask dotarł aż do Pałacu Gwiazdy Polarnej. W tej chwili małpa zajęta jest jedzeniem i piciem, toteż przygasł blask jej oczu.

Nefrytowy Cesarz z ulgą opuścił głowę i głosem pełnym politowania orzekł:

— Istoty żyjące tam w dole powstały ze współdziałania życiodajnych energii nieba i ziemi, toteż nie powinny budzić w nas zdziwienia, a tym bardziej obaw.

Tymczasem kamienna małpa dalej żyła w górach, nauczyła się chodzić, biegać, skakać. Żywiła się roślinami, pragnienie gasiła wodą źródlaną, zbierała w górach kwiaty, wyszukiwała na drzewach owoce. Utrzymywała przyjaźń z wilkami, towarzyszyły jej tygrysy i lamparty, sarny i jelenie były jej przyjaciółmi, a inne małpy krewnymi. Nocą sypiała pod kamiennym urwiskiem, za dnia zaś ganiała pośród górskich szczytów i jaskiń. Można było o niej śmiało powiedzieć, że „w górach nie liczyla dni ani miesiący, a gdy nastał koniec zimy, nie wiedziała, który rok nadchodzi”.

Pewnego poranku, kiedy z powietrza lał się żar, schroniwszy się razem z innymi małpami przed spiekotą w cieniu sosen, oddawała się różnym harcom i zabawom. Popatrzcie tylko, co one wyprawiały:

wskakiwały na drzewa
zrywały kwiaty
rzucały kulami
biegały po piaszczystych norach
uganiały się za ważkami

składały modły do nieba
wrywały kłaczka roślin
iskały się gryzły
wyglądały na siebie sierść
szturchały się

wspinały się po gałęziach
wyszukiwały owoce
grały w klipę
wznosiły pagody z kamieni
odgrywały ceremonie dziękczynne za
dobry urodzaj
biły pokłony Buddzie
tkwały trawiaste zasłony
szarpały
obgryzały paznokcie
pocierały

popychały
szarpały

gniotły
ciągnęły

A po takich swawolach w sosnowym gaju
biegły się wypluskać w seledynowym strumyku.

I rzeczywiście, stado małp pobawiło się chwilę, po czym pobiegło się wykąpać do strumyka. Woda przewalała się po skałach z nieustannym łośkotem niczym stos toczących się dyń. Z dawien dawna znane jest porzekadło: „Ptaki mają ptasi język, a zwierzęta mówią po swojemu”. Małpy też rozmawiały między sobą swoim małpim językiem:

— Ciekawe, skąd ta woda płynie? Nie mamy dzisiaj nic specjalnego do roboty, mogłybyśmy więc pójść w górę strumienia i odszukać jego źródło.

— To będzie świetna zabawa! — wykrzyknęły niektóre.

I ciągnąc za sobą całe stado, bez różnicy płci, nawołując starszych i młodszych braci, wdrapując się na szczyty, pobiegły wzdłuż brzegu strumienia aż do miejsca, skąd wypływały jego wody. Był to wspaniały wodospad, a zasłoną wodnych strug przesłaniał wszystko, co było w środku.

— Co za wspaniała woda! Jaka cudna! — wołały małpy, z zachwytem klaszcząc w dłonie. — A więc tu, u podnóża tej góry, nasz strumień rozpoczyna swój bieg, by po przebyciu długiej drogi połączyć się z falami wielkiego oceanu.

— Gdyby któraś z nas potrafiła przedostać się przez tę wodną zasłonę do prawdziwego źródła naszego strumienia — mówiły małpy między sobą — i wróciłaby do nas cała i zdrowa, to obwołałybyśmy ją naszym królem.

Wydawszy trzykrotnie okrzyk bojowy wyskoczyła z zarośli na polanę kamienna małpa.

— Ja tam pójde! Ja się tam dostanę! — zawołała na cały głos.

Fantastyczna małpa! Popatrzcie tylko, jak ona tego dokonała. Zmrużyła oczy przykucnęła, nagle wyprostowała się jak struna i jednym susem wskoczyła w sam środek wodnej zasłony wodospadu. Gdy w końcu otworzyła oczy i zadzierając głowę rozejrzała się dokoła, nie zobaczyła już ani wody, ani fal, lecz wspaniały, olbrzymi most spowity cudownym blaskiem.

Zatrzymała się przez chwilę w bezruchu, opanowała początkowe zdenerwowanie i jeszcze raz uważnie rozejrzała się dokoła. Przed nią wznosił się wielki most z żelaza. Pod mostem płynęła woda. Wydobywała się ze szczelin między głazami i spadając w dół tworzyła coś w rodzaju zasłony skrywającej wejście na cudowny most. Pochyliwszy się nieco małpa weszła na most i gdy jeszcze raz uważnie się rozejrzała, oczom jej ukazało się po drugiej stronie mostu jakieś domostwo, najwyraźniej przez kogoś zamieszkałe.

Napatrzywszy się do woli małpa skoczyła na sam środek mostu i z tego miejsca dojrzała już kamienną płytę, na której wielkimi, wyraźnymi znakami wryty był napis: „Kraina Szczęścia na Górze Kwiatów i Owoców — Jaskinia Wodnej Zasłony – Siedziba Nieśmiertelnych”.

Gdy sens napisu dotarł do jej świadomości, kamienna małpa nie posiadała się

z radości. Odwróciła się i szybko pobiegła na skraj wodospadu, znów zmrużyła oczy, przykucnęła i jednym skokiem znalazła się po drugiej stronie wodnej zasłony.

— Udało mi się! Co za sukces! — wołała chichocząc.

Pozostałe małpy otoczyły ją ze wszystkich stron.

— No, jak tam jest w środku? Woda bardzo głęboka? — dopytywały się jedna przez drugą.

— Nie ma wody! Jest zupełnie sucho! — odpowiadała kamienna małpa. — Jest tylko żelazny most, a za nim wznosi się wspaniałe, zbudowane przez niebo i ziemię domostwo.

— Po czym poznałaś, że tam ktoś mieszka? — dopytywały się małpy.

— Po czym poznałam? Otóż wyobraźcie sobie, ten strumień wypływa ze szczelin między kamieniami nad mostem i spadając w dół wszystko przesłania. Wokół mostu rośnie mnóstwo kwiatów, drzew, a po drugiej stronie stoi dom z kamienia. I wszystko w nim też jest wyciosane z kamienia: kotły, piec, czarki, talerze, łóżka, ławy. Widziałam tam też kamienną tablicę z wyrytym napisem: „Kraina Szczęścia na Górze Kwiatów i Owoców — Jaskinia Wodnej Zasłony — Siedziba Nieśmiertelnych”. Wyborne miejsce do zamieszkania. Dom jest bardzo przestronny. Wszyscy się tam mieszczą, starzy i młodzi. Chodźcie tam ze mną wszystkie. Zobaczycie, jak nam się będzie tam cudownie żyło. Świetne schronisko przed kaprysami pogody.

Wysłuchawszy tego małpy bardzo się ucieszyły.

— No dobrze — wołały — ale ty pierwsza skacz! My za tobą! My za tobą!

Kamienna małpa znów zmrużyła oczy, przysiadła na moment i wskoczyła do środka wodospadu wołając:

— Wszystkie za mną! Za mną!

Co bardziej odważne natychmiast wskoczyły za kamienną małpą w huczącą ścianę wodospadu. Inne, bardziej płochliwe, to wyciągały głowy, to się kuliły, to się drapały za uchem, to pocierały z wrażenia policzki, podnosząc wielki wrzask na całą okolicę. Po chwili jednak, zebrawszy się na odwagę, wskakiwały do nowej siedziby za wodospadem. Jedna za drugą zaczęły się wdrapywać na most, skakać z niego, wyrwać sobie talerze i czarki, kłóciły się o kąty dla siebie na piecu, o łóżka, przenosiły rzeczy z miejsca na miejsce. Jednym słowem, robiły taki rwetes, jaki tylko małpy potrafią. Przesuwały wszystko, co popadło, wydzierały sobie z rąk i trudno je było uciszyć bodaj na chwilę, dopóki całkowicie nie opadły z sił. Wtedy dopiero kamienna małpa usadowiła się na jakimś podwyższeniu i oświadczyła:

— Moje drogie, jak powiadają „słowo raz dane, ma być wiernie dotrzymane”. Mówiliście przecież, że obwołacie swoim królem tę, która potrafi się przedostać do źródła strumienia i wróci do was cała i zdrowa. Ja tego dokonałam, nawet kilka razy przechodziłam przez wodną zasłonę, a w dodatku jeszcze znalazłam tę jaskinię, w której możecie spokojnie zażywać snu i odpoczynku, cieszyć się rodzinnym szczęściem. Czyż nie zasłużyłam na to, byście mnie obwołali swoim królem?

Małpy uważnie wysłuchiwały tych słów, a potem posłusznie złożyły dłonie i pochyliły głowy, wyrażając w ten sposób swoją uległość. Ustawiły się w szeregu według star-

szeństwa i jedna za drugą podchodziły do podwyższenia, na którym siedziała kamienna małpa, składały pokłon i wznosiły okrzyk: „Niech żyje nasz wielki król!”.

Od tej pory kamienna małpa zawsze zasiadała na tym podwyższeniu, które służyło jej za tron, zabroniła nazywać się kamienną małpą i przybrała tytuł Wspaniałego Króla Małp.

Stanąwszy na czele małpiego rodu Wspaniały Król Małp podzielił swoich poddanych na grupy i rozdał im stanowiska oraz godności. Za dnia małpy buszowały po Górze Kwiatów i Owoców, a na noc udawały się na spoczynek do Jaskini Wodnej Zasłony. Małpy żyły w zgodzie i przyjaźni ze wszystkimi, nie zaglądały w gestwinę krzewów zamieszkałych przez ptactwo, nie zapuszczały się w leśne ostępy zajmowane przez inne zwierzęta. Król małp promieniał z radości. Był przecież suwerennym władcą.

Chyba już kilkaset lat cieszył się Wspaniały Król Małp beztróskim panowaniem w swoim państwie, aż pewnego dnia, w czasie wesołej uczty uświetniającej rocznicę odkrycia jaskini, popadł nagle w zadumę, zasmucił się, a z oczu pociekły mu łzy. Współbiednicy bardzo się tym przerazili i skłoniwszy się przed nim z należną czcią zapytali:

— Cóż tak zasmuciło twoje serce, nasz wielki królu?

— Nawet teraz, mimo że tak wesoło uczujemy, nie mogę oderwać myśli od tego, co nas czeka w przyszłości. I to właśnie jest przyczyną mego smutku — wyjaśnił król małp.

— Nasz wielki król nigdy nie jest zadowolony z tego, co ma — śmiejąc się powiedziały małpy. — Przecież prawie codziennie uczujemy i weselimy się w górach przeznaczonych nieśmiertelnym, na ziemi przynoszącej szczęście, w prastarych jaskiniach na świętych wyspach. Nie podlegamy świętemu jednorożcowi ani nie jesteśmy poddanymi boskiego feniksa, a tym bardziej nie musimy kornie chylić czoła przed nikim z ludzi, chociażby zasiadał na królewskim tronie. Jesteśmy wolne, czynimy to, co zgodne jest z naszą naturą. Na tym polega nasze bezgraniczne szczęście. Po cóż więc się smuć i zaprzętać głowę myślami o przyszłości?

— Chociaż teraz nie podlegamy prawom ustanowionym przez ludzkich królów — wyjaśnił król małp — chociaż nie musimy się teraz obawiać krwiożerczych ptaków i drapieżnych zwierząt, to jednak w przyszłości, gdy się zestarzeję i do cna zniedołężnieję, nadejdzie w końcu dzień, w którym władca podziemi, Jen-wang, zatroszczy się o mnie i umrę. Czyż nie będę wtedy żałował, że daremnie strawiłem życie na tym świecie, zamiast próbować się wdrzeć do Niebiańskiej Krainy Nieśmiertelnych?

Gdy małpy usłyszały te słowa, zakryły twarze dłońmi i gorzko zapłakały na myśl o swym nieuniknionym losie.

Nagle jedna z nich wyskoczyła do przodu i na cały głos zawołała:

— Skoro ty, nasz wielki królu, w ten sposób myślisz o przyszłości, może to jedynie oznaczać, że zrodziło się w tobie pragnienie poznania wielkiej nauki o Tao. Spośród pięciu rodzajów istot żyjących na ziemi tylko trzy nie ulegają potędze władcy śmierci, Jen-wanga.

— Czy możesz mi powiedzieć, jakie to istoty? — zapytał król małp.

— Są to Budda, nieśmiertelni oraz święci mędrcy — wyjaśniła jedna z małp. — Tylko oni unikają kołowrotu reinkarnacji, nie rodzą się, nie giną, na równi z niebem, ziemią, górami i rzekami cieszą się wiecznym życiem.

— A gdzie się znajdują siedziby tych trzech rodzajów niezwykłych istot? — zapytał król małp.

— Żyją w świecie ludzi, zwanym Dżambudwipa, w starych jaskiniach na górze nieśmiertelnych — rzekła jedna z małp.

Serce króla małp wypełniło się po brzegi radością, gdy otrzymał tę wiadomość.

— Jutro pożegnam was, moi drodzy — powiedział — zejść z naszej góry i pójść za obłokami bodaj na koniec świata, a muszę odnaleźć kogoś z tych trzech nieśmiertelnych. Nauczę się od niego, co należy robić, by się nie zestarzeć i żyć wiecznie, w jaki sposób ująć władzy Jen-wanga, władcy Królestwa Podziemi.

No i co wy na to? Wszystkie te jego zamierzenia się spełniły. Nie tylko zresztą udało mu się uwolnić z kołowrotu wcieleń, ale jeszcze został Wielkim Mędrcelem Równym Niebu.

Małpy z ogromną radością i uznaniem klaskały w dłonie i wołały:

— Świetnie! Cudownie! Jutro obejdziemy szczyty i przełęczę, nazbieramy owoców i urządzimy dla naszego wielkiego króla pożegnalną ucztę.

Nazajutrz małpy rzeczywiście wyruszyły w góry po brzoskwinię nieśmiertelności i inne cudowne owoce. Nakopały górskiej rzepy, nazbierały ziół leczniczych, nazrywały wonnych irysów i storczyków, nefrytowych nenufarów i wiele innych cudownych kwiatów. Ułożyły je równiutko na kamiennych ławach i stołach, a potem ustawiły na nich wspaniałe jadło i wysmienite napoje. Słowem, niczego tam nie brakowało.

Małpy uhonorowały Wspaniałego Króla Małp zapraszając go, by zajął miejsce na podwyższeniu, a później ustawiły się według wieku w jednym szeregu i kolejno, jedna za drugą, podchodziły do niego, składając w darze wino, kwiaty, owoce. To żalosne pożegnanie trwało przez cały dzień, a nazajutrz rano Wspaniała Król Małp wstał skoro świt i zwrócił się do swych poddanych z wezwaniem:

— Moi mali, zetnijcie kilka zeschniętych sosen i zbudujcie mi z nich tratwę. Poszukajcie jakiejś bambusowej żerdzi na wiosło. Nazbierajcie też trochę różnych owoców, żebym miał co jeść po drodze.

W końcu król małp wszedł na zbudowaną dla niego tratwę, ze wszystkich sił odepchnął się wiosłem od brzegu i popłynął unoszony falami i wiatrem, kierując się na pełne morze. Dzięki sprzyjającym wiatrom wkrótce dotarł do Świata Południowego, zwanego u buddystów Dżambudwipa.

Los mu sprzyjał. Gdy tylko wszedł na tratwę, całymi dniami dął silny południowo-wschodni wiatr, który go wkrótce doprowadził do północno-zachodnich wybrzeży Dżambudwipy. Król małp zbadał wiosłem głębokość wody i akurat szczęśliwie trafił na płycznę. Zostawił tratwę na wodzie i jednym skokiem znalazł się na brzegu. Dokoła, jak okiem sięgnąć, było pełno ludzi. Jedni łowili w morzu ryby, drudzy polowali na dzikie kaczkę, inni wydobywali z dna morskiego muszle i ostrygi, a jeszcze inni warzyli sól.

Król małp zbliżył się do nich i zaczął wyprawiać różne sztuki. Gdy jednak zaczął

udawać potwora, ludzie z przerażenia porzucili kosze i sieci i rozbiegli się na wszystkie strony. Na miejscu pozostał tylko jeden człowiek, który ze strachu nie mógł zrobić ani kroku. Król małp pochwyił go, zerwał z niego odzienie i ubrał się tak samo jak ludzie, po czym, kołysząc się radośnie na boki, wędrował po wsiach i miasteczkach. Zatrzymywał się na placach miejskich i rynkach, tam obserwował ludzi i szybko nauczył się ich manier i mowy. Czy to spożywając poranny posiłek, czy też udając się na nocny spoczynek, głowę miał nabitą myślami o spotkaniu z nieśmiertelnymi mędrkami i zdobyciu od nich tajemnicy wiecznej młodości. Przyglądając się ludziom stwierdził, że wszyscy uganiają się za sławą i bogactwem, a nikt się nie zastanawia nad przemijalnością życia.

Wszelkie próby odnalezienia nieśmiertelnych mędrców, podejmowane przez króla małp, kończyły się niepowodzeniem. Szukał ich wszędzie, przeszedł wzdłuż i wszerz cały kraj Dżambudwipa, przeszukał wszystkie miasta i miasteczka, siola i wioski. I tak niepostrzeżenie minęło osiem czy dziewięć lat, gdy pewnego razu dotarł w swych wędrowkach do Zachodniego Oceanu. Sądził, że za tym morzem na pewno odnajdzie nieśmiertelnych, a więc zbudował tratwę podobną do poprzedniej i wypłynął na niej, kierując się prosto ku Zachodniemu Światu, zwanemu Kurudwipa. Kiedy wyszedł na brzeg, długo rozglądał się na wszystkie strony, aż w końcu wzrok jego padł na wysoką, wspaniałą górę, porośniętą gęstym, zielonym borem. Król małp nie obawiał się ani wilków, ani tygrysów i lampartów, śmiało zaczął się wspinać na sam szczyt, aby móc się z niego lepiej rozejrzeć po okolicy. Góra istotnie była prześlizna.

Nagle, gdy się tak rozglądał, usłyszał z głębi lasu jak gdyby ludzką mowę. Przyspieszył kroku, wszedł w las i nastawił uszu. Okazało się, że ktoś śpiewa niezwykłą pieśń:

Gdy śledził za ich grą w szachy,
Rękojeść siekiery zbutwiała,
A ja rąbię drzewo w lesie
Od stu lat bez mała.

Wędruję po dolinach w ślad za obłokami,
By kupić wino drwa sprzedaje,
I śmieję się, i jest mi wesoło,
Od śmiechu sił mi ledwo staje.

Patrzę, jak w górze po jesiennym niebie
Księżyc wędruje ochoczo, radośnie,
Korzenie sosen są mi za poduszkę,
Widzę to samo na jawie i we śnie.

O świcie rzecki się budzę,
Przed oczyma znów mam bór znany,
Wspinam się na szczyty, bujam nad przepaścią
I tnę siekierą dawno zeschnię liany.

Rąbię drwa od rana aż po zmierzch szary,
A gdy ich zbiorę dwa kosze,
By na trzy miary ryżu wymienić,
Ze śpiewem do miasta je noszę.

O cenę nigdy się nie targuję,
Wezmę za drzewo, ile mi dasz,
Nie wiem, co chwala, co hańba znaczy,
W spokoju przeżywam wyznaczony czas.

Odwiedzam w pustelniach nieśmiertelnych,
Mędrców biegłych w nauce o Tao,
Wspólnie rozmyślamy o Żółtym Pałacu,
Siedzimy bez ruchu i mówimy mało.

Usłyszawszy słowa tej pieśni Wspaniały Król Małp bardzo się ucieszył i pomyślał: „A więc z tego wynika, że nieśmiertelne istoty tu właśnie przebywają”. Następnie przeskakując z kamienia na kamień szybko pomknął przed siebie, ale przez cały czas uważnie rozglądał się na wszystkie strony, aż w końcu dojrzał rozśpiewanego drwala, rąbiącego drzewo na opał.

Król małp zbliżył się do niego i rzekł:

— Czcigodny mistrzu nieśmiertelności, przyjmijcie pełen szacunku pokłon od waszego ucznia.

Drwal natychmiast odłożył na bok siekiere i odpowiedział na powitanie:

— Wzięliście mnie za kogoś innego! Nie jestem tym, za kogo mnie uważacie! Jestem zwykłym drwalem, który z pracy nawet się wyżywić nie jest w stanie. Jakże mógłbym być mistrzem nieśmiertelności?!

— Jeśli nie jesteś nieśmiertelnym — rzekł król małp — to dlaczego śpiewałeś tak, jakbyś nim był?

— A cóż ja takiego śpiewałem? — zapytał zdziwiony drwal.

— Gdy zbliżałem się do tego lasu — odparł król małp — wyraźnie słyszałem, jak śpiewałeś „Odwiedzam w pustelniach nieśmiertelnych, mędrców biegłych w nauce o Tao, wspólnie rozmyślamy o Żółtym Pałacu, siedzimy bez ruchu i mówimy mało”. Czyż Księga Żółtego Pałacu nie zawiera najgłębszej prawdy o Tao, prawach rządzących wszechświatem? Jakże mógłbyś o tym śpiewać nie będąc istotą nieśmiertelną?

— No cóż, widzę, że nie dasz się oszukać — roześmiał się drwal. — Ta pieśń nosi tytuł „Pałac pełen wonności”, a nauczył mnie jej pewien nieśmiertelny, który mieszka niedaleko mojej chaty. Widząc, ile goryczy niesie mi życie, jak ciężko mi zapracować na miskę ryżu, poradził, bym w chwilach szczególnie ciężkich recytował na głos słowa tej piosenki. Ma mnie ona pocieszyć w strapieniu i uwolnić od wszelkich kłopotów. Śpiewałem ją, gdyż właśnie naszyły mnie jakieś ponure myśli. Wcale się nie spodziewałem, że mnie usłyszysz.

— Skoro mieszkasz tak blisko nieśmiertelnego, dlaczego nie zostałeś jego uczniem? — pytał dalej król małp. — Czyż nie dobrze by ci było, gdybyś nauczył się od niego sposobów na zachowanie wiecznej młodości?

— Los zrządził, że muszę harować od rana do nocy — odparł drwal. — Do dziesiątego roku żyłem pod opieką rodziców, ale kiedy zmarł ojciec i matka została wdową, poznałem, jak naprawdę ciężkie jest życie. Nie mam braci ni siostr, jestem

samiutki jak palec i od rana do nocy muszę zabiegać, byśmy mieli co z matką włożyć do ust. Stara już jest, a ja przecież nie mogę jej opuścić. Miałem kiedyś ładny ogród i pole, ale zarosły zielskiem i nie mogą już nas wyżywić i odziać. A więc muszę drwa rąbać i nosić je do miasta na sprzedaż. Za kilka miedziaków, które dostanę, kupuję parę miarek ryżu. Sam krzątam się koło pieca, przygotowuję jedzenie i herbatę, aby nakarmić moją starą matkę. Właśnie dlatego nie mogłem zostać uczniem nieśmiertelnego i doskonalić się w wielkiej cnotce.

— Sądząc z tego, co mówisz — rzekł król małp — jesteś człowiekiem kultywującym cnotę powinności synowskiej. W przyszłości na pewno zostaniesz za to wynagrodzony. Mam nadzieję, że wskażesz mi drogę do miejsca, gdzie przebywa mistrz nieśmiertelności, abym mógł mu się pokłonić.

— To bardzo blisko stąd — skwapliwie wyjaśnił drwał. — Ta oto góra nosi nazwę Cudownego Kwadratowego Tarasu Serca. Na tej górze znajduje się Grota Sierpu Księżycy i Trzech Gwiazd. Właśnie w tej grocie przebywa nieśmiertelny. Zwą go mistrzem Sü-p'u-t'i. Wyszkolił już bardzo wielu uczniów, nawet trudno by ich zliczyć. Teraz też doskonali się pod jego kierunkiem kilkudziesięciu ludzi. Idź tą ścieżką na południe, a po przejściu siedmiu, ośmiu wiorst, znajdziesz się przed jego siedzibą.

— Starszy bracie — rzekł wzruszony król małp chwytając drwala za ramię — chodź tam razem ze mną. Przyrzekam ci, że jeśli mi się w przyszłości poszczęści, nigdy nie zapomnę przysługi, jaką mi wyświadczyłeś.

— Trudno ci cokolwiek wytłumaczyć — odpowiedział mu drwał. — Przecież mówiłem ci przed chwilą, a ty nadal nic nie pojmujesz. Gdybym poszedł z tobą, musiałbym zaniedbać swoje obowiązki i pracę. Któż by wtedy zaopiekował się moją starą matką? Ja muszę dalej drwa rąbać, a ty idź sam. Idź już!

Po takich słowach królowi małp nie pozostało nic innego do zrobienia, jak pożegnać się z drwalem i podążyć we wskazanym kierunku. Wyszedł z lasu, odnalazł właściwą ścieżkę, idąc nią pokonał jedno wzgórze i nagle, po przejściu ośmiu czy dziewięciu wiorst, ujrzał w dali ogromną grootę. Wyciągnął szyję i wpatrywał się oniemiały z zachwytem. Cóż za przepyszny widok rozciągał się przed jego oczyma!

Wierzeje groty zamknięte były na glucho, dokoła panowała niczym nie zmacona cisza i nic nie wskazywało na to, aby w tej okolicy żył jakiś człowiek. Nagle odwrócił się i u stóp przepaścistej ściany zauważył wielką kamienną tablicę, wysoką na trzy sążnie i szeroką na osiem stóp. Na tablicy w jednym rzędzie widniało dziesięć wielkich znaków: „Góra Cudownego Kwadratowego Tarasu Serca — Grota Sierpu Księżycy i Trzech Gwiazd”.

Wspaniały Król Małp czuł się nad wyraz szczęśliwy. Ludzie tutejsi są prości i uczciwi — pomyślał. — To jest ta właśnie góra, ta grota!

Obejrzał już wszystko, co było do obejrzenia, nie miał jednak odwagi zapukać do bramy. Wdrapał się więc na najwyższą gałąź rosnącej obok sosny, zrywał szyszki i bawił się nimi, pożywiając się wydfubywanymi z nich nasionami.

Po krótkiej chwili uszu jego dobiegło lekkie skrzypnięcie. Brama groty uchyliła się, po czym ukazał się niebiański sługa, młodzieniec niezwyklej urody. Cała jego

postać promieniowała dostojnością i jakąś niezwykłą subtelnością, w niczym nie przypominał innych młodych ludzi.

Młodzieniec stanął na skraju grotu i na cały głos zawołał:

— Któż to się ośmiela mącić tu spokój i ciszę?

Król małp z łoskotem zeskoczył z drzewa i skłoniwszy się przed sługą nieśmiertelnego rzekł:

— Niebiański młodzieńcze, przybyłem do twego pana, by zostać jego uczniem i poznać drogę do osiągnięcia nieśmiertelności. Jakżebym się ośmielił naruszać tu jego spokój?

— A więc przybyłeś tutaj, by poznać wielką naukę o Tao? — zapytał z uśmiechem niebiański młodzieniec.

— Tak! — potwierdził krótko król małp.

— Mój mistrz właśnie przed chwilą zakończył odpoczynek i udał się na salę, by nauczyć swych uczniów wielkich zasad Tao — wyjaśnił młodzieniec. — Zanim jednak przystąpił do zasadniczego wykładu, polecił mi otworzyć bramę. Powiedział przy tym: „Na zewnątrz czeka ktoś, kto przybył tu, by doskonalić swoją naturę i poznać wielką prawdę. Idź go powitać!”. Na pewno mówiąc to, miał na myśli ciebie.

— Tak, mnie! Oczywiście że mnie! — zawołał śmiejąc się z radości król małp.

— Wobec tego, proszę cię, wejdź ze mną do środka — zaprosił młodzieniec.

Król małp poprawił na sobie ubranie i w ślad za młodzieńcem wszedł do grotu. Im dalej się zapuszczali, tym przestronniejsze i wykwintniej zdobione sale mijali, komnaty wyłożone perłami, połyskujące wykładzinami z macicy perłowej. Wszędzie panowała nieopisana cisza i spokój. W końcu dotarli do podwyższenia z zielonego jaspisu, na którym siedział sam mistrz Sü-p'u-t'i. Z obu stron podwyższenia stało trzydziestu uczniów, uważnie przysłuchujących się jego słowom.

Znalazszy się przed mistrzem, Wspaniały Król Małp padł plackiem na ziemię, a potem zaczął bić przed nim niezliczone pokłony i powtarzać bez ustanku: — O mistrzu, mistrzu, ja, twój uczeń, przybyłem tu, by złożyć ci wyrazy mojego najwyższego szacunku i uwielbienia.

— Z jakich stron pochodzisz, mój mały? — zapytał mistrz. — Najpierw ujawnij przed nami, gdzie są twoje rodzinne strony, powiedz nam swe nazwisko i imię, a później możesz sobie bić tyle pokłonów, ile zechcesz.

— Ja, twój uczeń, o panie — odpowiedział król małp — pochodzę z Jaskini Wodnej Zasłony na Górze Kwiatów i Owoców w pobliżu krainy Aolai, znajdującej się w świecie Purwawideha.

— Wygońcie go precz! — krzyknął na te słowa mistrz. — To zwyczajny kłamca i oszust. Jakże może jeszcze mówić o doskonaleniu się w poznaniu własnej natury?

Król małp z przerażenia bił pokłony ze zdwojoną szybkością i powtarzał:

— Ja, wasz uczeń, mówię szczerą prawdę, czystą prawdę. Nie było w tym, co powiedziałem, ani krzty kłamstwa.

— Skoro twierdzisz, że mówisz prawdę — rzekł mistrz — to dlaczego wspomniałeś o świecie Purwawideha? Tamten świat oddzielają od naszego dwa wielkie oceany i południowy świat Dżambudwipa. Jakże więc mogłeś się tu dostać?

— Wasz pokorny uczeń przepłynął morza i oceany — wyjaśniał ciągle bijąc pokłony król małp — przemierzył łodem tysiące wiorst i dopiero po dziesięciu latach wędrówki zdołał tu przybyć.

— A więc to tak — orzekł na poły przekonany mistrz — skoro, jak powiadasz, nie przybyłeś tu prosto ze świata Purwawideha, może to, co mówisz, nie jest kłamstwem. A jakie nosisz nazwisko?

— Nigdy nie ukazuję mojej prawdziwej natury* — odpowiedział król małp. — Gdy mi wymyślają, nie zwracam na to uwagi, gdy mnie biją, też się nie złościę. Nawet kłaniam się takiemu. Taki już jestem od urodzenia.

— Tak, dobrze, ale nie chodzi mi o twoją naturę — wyjaśnił mistrz — lecz o nazwisko. Jak się nazywali twoi rodzice?

— Nie miałem rodziców — odparł król małp.

— Jak to nie miałeś rodziców? Czyżbyś na drzewie wyrósł? — zapytał drwiąco mistrz.

— Wprawdzie nie na drzewie — odpowiedział król małp — ale za to urodziłem się z kamienia. Pamiętam tylko, jak na Górze Kwiatów i Owoców znajdował się cudowny głaz. Pewnego roku głaz rozpadł się na drobne kawałki i właśnie wtedy ja przyszedłem na świat.

Mistrz uśmiechnął się ukradkiem i rzekł:

— W takim razie zostałeś zrodzony przez niebo i ziemię. Wstań i podejdź do mnie. Niech ci się lepiej przyjrzę.

Król małp zerwał się na równe nogi i kołysząc się przeszedł kilka razy przed mistrzem.

— Figurę masz nienadzwyczajną — ocenił śmiejąc się mistrz. — Podobny jesteś do małpy Hu-sun, żywiącej się cedrowymi orzechami. A więc damy ci nazwisko Hu. Znak „hu”, po odrzuceniu elementu oznaczającego „zwierzę”, składa się z dwóch części, znaczących „starożytny” i „księżyc”. „Starożytny” znaczy tyle co „stary”, a „księżyc” związany jest z biernym pierwiastkiem w przyrodzie. Albo nie! Przecież zarówno starość, jak i bierność nie mogą podlegać dalszemu doskonaleniu. Takie nazwisko nie sprzyjałoby twojemu rozwojowi. Chyba nazwisko Sun będzie odpowiedniejsze. Po odrzuceniu elementu oznaczającego „zwierzę”, pozostałe dwie części tego znaku to „syn” i „latorośl”. Doskonale będą odpowiadać zadaniu doskonalenia twojej natury. Dlatego ostatecznie nadaję ci nazwisko Sun.

Król małp nie posiadał się z radości usłyszawszy te słowa. Bijąc przed mistrzem pokłony z bezgranicznej wdzięczności, zawołał:

— Fantastycznie! Cudownie! Nareszcie mam swoje własne nazwisko. Nigdy nie zapomnę, mistrzu, tej wielkiej dobroci, jaką mi okazałeś. A teraz, skoro mam już nazwisko, błagam najpokorniej o wybranie dla mnie odpowiedniego imienia.

— Dla uczniów naszej szkoły wybieramy imiona spośród dwunastu kategorii znaków, a ty akurat należysz do dziesiątej kategorii.

— Jakie to są kategorie? — z niecierpliwością zapytał król małp.

* Gra słów, polegająca na jednakowej wymowie w języku chińskim słów „nazwisko” i „natura”.

— Są to znaki Kuang, Ta, Czy, Huei, Czen, Żu, Siang, Hai, In, Wu, Jüan i Süe, oznaczające szerokość, wielkość, mądrość, talent, prawdę, podobieństwo, naturę, ocean, rozum, poznanie, doskonałość i oświecenie — wyjaśnił mistrz. — Dla ciebie przypada akurat znak Wu, oznaczający „poznanie”. Dołożymy ci jeszcze buddyjskie imię zakonne i będziesz się nazywał Sun Wu-k’ung, czyli Sun, który poznał niebyt. Czy to ci odpowiada?

— Wspaniale! Cudownie! — wykrzyknął uradowany król małop. — Odtąd wszyscy będą mnie nazywać Sun Wu-k’ung.

I rzeczywiście, na samym początku, gdy tylko świat powstał z powszechnego chaosu, żadnych nazwisk nie było. Lecz teraz, gdy Niebyt przestał istnieć, musi być ktoś, kto Poznał Niebyt.

Jeśli nie wiecie, a chcecie się dowiedzieć, do jakich rezultatów Sun Wu-k’ung doszedł w doskonaleniu swojej natury, posłuchajcie, co wam powiemy w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ DRUGI

o tym, jak Sun Wu-k'ung przeniknął tajniki cudownej nauki mistrza nieśmiertelności, pokonał potężnego Demona i przywrócił spokój w małpim królestwie.

Mówiliśmy o tym, jak Wspaniały Król Małp otrzymał nazwisko i imię oraz jak z tego powodu poczuł się tak szczęśliwy, że padł przed mistrzem Sü-p'u-t'i na kolana i z wdzięczności wybijał przed nim pokłony. Mistrz polecił swoim bardziej zaawansowanym uczniom zaprowadzić Sun Wu-k'unga na dziedziniec za drugą bramą i nauczyć go zamiatania na mokro podłogi, zachowywania odpowiednich form w kontaktach z ludźmi, prawidłowego witania ich i żegnania oraz całego szeregu przydatnych gestów i czynności. Wysłuchawszy polecenia mistrza, uczniowie gromadnie opuścili salę. Gdy tylko znaleźli się za drzwiami, Sun Wu-k'ung kolejno się pokłonił wszystkim swoim starszym kolegom i zaczął przygotowywać dla siebie w korytarzu miejsce do spania.

Następnego dnia rano, wspólnie z innymi uczniami, zaczął ćwiczyć się w prowadzeniu rozmowy, zachowywaniu właściwych manier. Czytał też święte księgi, dyskutował o najgłębszej prawdzie Tao, ćwiczył się w pisaniu znaków i paleniu kadzidła. Tak mijał mu dzień za dniem. W chwilach wolnych od doskonalenia się w wielkiej nauce zamiatał salę i dziedzińce, kopał motyką w ogródku, hodował kwiaty, opiekował się drzewami, zbierał chrust, rozpałał ogień w piecach, nosił wodę ze źródła — jednym słowem, całe gospodarstwo było na jego głowie. Nawet nie spostrzegł, jak szybko upłynęło sześć czy więcej lat.

Pewnego dnia mistrz zajął swoje miejsce na podwyższeniu i zaczął zgromadzonym uczniom objaśniać zasady działania odwiecznego prawa Tao. Sun Wu-k'ung przysłuchiwał się z boku słowom mistrza i tak był przejęty doniosłością jego słów, że z wrażenia szczyptał się w uszy, pocierał policzki, a oczy jego żarzyły się dziwnym blaskiem. Ani na chwilę nie przestawał wymachiwać rękoma, szurać nogami po podłodze. W końcu mistrz zauważył to dziwne zachowanie i rzekł do niego:

— Sun Wu-k'ung, przecież jesteś w klasie na zajęciach. Jakże ci nie wstyd tak szaleć i podskakiwać, zamiast z uwagą słuchać tego, co mówię?

— Słowo daję, że bardzo uważnie słuchałem twego wykładu, mistrzu. Ale w chwilach, gdy słowa twoje zabrzmiały szczególnie pięknie, jakoś nie mogłem się opanować i z zachwytu ręce i nogi zaczęły mi bezwiednie drżeć i podskakiwać. Błagam cię, mistrzu, o przebaczenie. Będę uważał na siebie, żeby się to więcej nie powtórzyło.

— A więc, skoro się tak zachwycasz moimi wykładami, zobaczymy, ile z nich zrozumiałeś — rzekł mistrz. — Może powiesz mi, od jak dawna jesteś tu w naszej grocie?

— Akurat na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć, nie wiem, jak długo tutaj jestem — odparł Sun Wu-k'ung. — Pamiętam tylko, że gdy tu przybyłem, w piecu jeszcze się nie paliło. Od tamtego czasu często chodziłem w góry po chrust. Na jednej z gór natknąłem się na wspaniały brzoskwiniowy sad. Myślę, że od czasu, gdy tu przybyłem, sześć albo siedem razy napełniałem swój brzuch tymi wonnymi owocami.

— Ta góra, o której mówisz, zwie się Górą Dojrzałych Brzoskwiń — wyjaśnił mistrz. — Skoro siedem razy jadłeś już owoce z rosnących na niej drzew brzoskwiniowych, to znaczy, że jesteś u nas siedem lat. A teraz powiedz, czego byś się chciał ode mnie nauczyć?

— W tej sprawie całkowicie polegam na twoim zdaniu, mój mistrzu — odpowiedział pokornie Sun Wu-k'ung. — Gotowy jestem uczyć się wszystkiego, co dotyczy wielkiej zasady Tao.

— Do osiągnięcia najwyższej nauki o Tao prowadzi trzysta sześćdziesiąt nauk pośrednich — oświadczył mistrz. — Każda z nich wiedzie do tego samego celu. Którą z tych nauk chciałbyś ode mnie poznać?

— Również i w tej sprawie całkowicie się zdaję na twój wybór, mistrzu — powtórzył Sun Wu-k'ung. — Z całą gorliwością zajmę się tą nauką, którą mi wskażesz.

— W takim razie nauczę cię zasad nauki zwanej „magią” — rzekł mistrz. — Cóż ty na to?

— Na czym polega ta nauka? — zaciekał się Sun Wu-k'ung.

— Dzięki tej nauce będziesz mógł za pomocą zaklęć przebywać z nieśmiertelnymi, dosiadać żurawi, wróżyć z łądźek krwawnika, będziesz wiedział, jak osiągać pomysłność i unikać nieszczęść — wyjaśnił nieśmiertelny.

— A czy doskonaląc się w tej nauce będę mógł w końcu osiągnąć nieśmiertelność? — zapytał król małp.

— Nie, to niemożliwe — odpowiedział mistrz.

— W takim razie nie będę się zajmował tą nauką — krótko orzekł Sun Wu-k'ung.

— Może wobec tego zechcesz poświęcić się nauce o „wcieleniach”? — wypytywał go dalej mistrz.

— A jaki sens ma nauka o „wcieleniach”? — wypytywał Sun Wu-k'ung.

— Nauka o „wcieleniach” jest podsumowaniem wiedzy stworzonej przez konfucjanistów, taoistów, buddystów, uczonych ze szkoły in-jang, moistów oraz wybitnych medyków starożytności. Polega ona na studiowaniu ksiąg kanonu konfucjańskiego,

recytowaniu buddyjskich sutr, rozmowach z ludźmi świętymi, którzy osiągnęli najwyższą cnotę — objaśnił mistrz.

— A czy doskonaląc się w tej nauce będę mógł osiągnąć nieśmiertelność? — zapytał znów Sun Wu-k'ung.

— Jeśli pragniesz osiągnąć nieśmiertelność, to ten sposób byłby dla ciebie czymś w rodzaju „słupa w ścianie” — wyjaśnił obrazowo mistrz.

— Mistrzu — zwrócił się Sun Wu-k'ung do swego nauczyciela — jestem prostakiem i nie rozumiem tego waszego miejskiego języka. Co znaczy „słup w ścianie”?

— Gdy ludzie budują dom — tłumaczył mistrz — i chcą, żeby był mocny i trwały, wtedy w ściany, dla ich wzmocnienia, wstawiają słupy. Mimo to, nadchodzi w końcu dzień, kiedy dom się zawala, i okazuje się, że nawet owe słupy zbutwiały.

— Jak mogę wnioskować z waszych słów, ten sposób też nie może mi zapewnić nieśmiertelności — rzekł zawiedziony Sun Wu-k'ung. — Wobec tego i tą nauką nie chcę się zajmować. Za nic w świecie.

— No cóż, a więc może zainteresuje cię metoda „kontemplacji”? — zapytał mistrz. — Co o tym sądzisz?

— A co można osiągnąć metodą „kontemplacji”? — wypytywał Sun Wu-k'ung.

— Konieczny jest tu umiar w jedzeniu, pełna bezczynność, rozmyślanie, zatopienie w myślach i spokój, powstrzymanie się od niektórych czynów i całkowity post. Zwolennicy tej metody osiągnęli znaczne sukcesy zarówno we śnie, jak i na jawie. Jedni siedząc jakby zamierali, pogrążeni w kontemplacji, inni zamykali się w maciupkich celach, zrywając wszelkie więzy ze światem — objaśnił mistrz.

— A czy tą metodą da się osiągnąć nieśmiertelność? — wypytywał niezadowolony Sun Wu-k'ung.

— Nie, w tym względzie rezultaty osiągnęte metodą kontemplacji podobne są do „surowej cegły przed wypaleniem w garncarskim piecu” — odpowiedział mistrz.

— Mistrzu — śmiejąc się zaprotestował Sun Wu-k'ung — znów przemawiasz jakimś dziwnym językiem. Przecież przed chwilą mówiłem, że nie potrafię zrozumieć tego miejskiego gadania. Co to w ogóle znaczy ta „surowa cegła przed wypaleniem w garncarskim piecu”?

— Otóż widzisz — cierpliwie wyjaśniał mistrz — czy to cegła, czy dachówka zrobione są z gliny i nadana im jest określona forma. Gdyby jednak się ich nie zahartowało w ogniu i wodzie, to przy łada ulewie zamieniłyby się w błoto.

— Widzę, że i ta metoda nie wróży osiągnięcia nieśmiertelności — rzekł Sun Wu-k'ung. — Nie zamierzam się nią zajmować, nie chcę!

— No, a gdybym ci zaproponował metodę „aktywizacji”, co byś na to powiedział?

— Na czym polega istota tej metody? — pytał wytrwale Sun Wu-k'ung.

— Metoda „aktywizacji” polega na działaniu i wykorzystywaniu energii — objaśniał mistrz. — Będziesz przejmował siłę życiową z ciemnego elementu żeńskiego dla uzupełnienia nim jasnego elementu męskiego, będziesz naciągając łuk i strzelając z kuszy, przeprowadzać masaże okolicy pępka dla zapewnienia prawidłowości oddechu, przygotowywać cudowne leki i środki wybuchowe, spalać perz i uderzać w magiczne trójnogi, warzyć lekarstwa z moczu mężczyzn i miesięcznych krwawień

niewiast, pić będziesz mleko z piersi kobiet i dokonywać wielu innych czynów dla wzmocnienia twojej energii życiowej.

— A czy tą drogą można osiągnąć nieśmiertelność? — pytał nie speszony poprzednimi odpowiedziami Sun Wu-k'ung.

— Pragnienie osiągnięcia nieśmiertelności tą metodą byłoby równoznaczne z próbą „złowienia księżycy w wodzie” — wyjaśnił mistrz.

— Mistrz znów posłużył się jakimś dziwnym wyrażeniem — zauważył Sun Wu-k'ung. — Jak mam zrozumieć „złowienie księżycy w wodzie”?

— Księżyc znajduje się na niebie, w wodzie jest tylko jego odbicie — tłumaczył drobiazgowo mistrz. — Chociaż je widać, w żaden sposób nie da się wydobyć z wody. Po prostu, przez cały czas jest tylko na niebie.

— W takim razie nie mam zamiaru poznawać również i tej nauki — kategorycznie stwierdził Sun Wu-k'ung.

Gdy tylko słowa te dobiegły uszu mistrza, wrzasnął przeraźliwie na swego ucznia, zeskoczył z podwyższenia, z którego zawsze wykladał, i wskazując linijką na Sun Wu-k'unga wymyślał mu podniesionym głosem:

— Ach, ty nędzna małpo! I tego nie chcesz się uczyć, i na tamto nie masz ochoty. Może powiesz mi w końcu, czego ode mnie oczekujesz? — to rzekłszy podszedł do Sun Wu-k'unga, uderzył go linijką trzykrotnie po głowie i następnie założywszy ręce za sobą, oddalił się do wewnętrznych pomieszczeń przez środkowe drzwi, zamykając je za sobą i pozostawiając swych uczniów samych sobie.

Przerażeni nagłym odejściem mistrza uczniowie rzucili się na Sun Wu-k'unga z wymówkami:

— Ach, ty wstrętna małpo! Cóż to za prostactwo i całkowity brak wychowania! Mistrz przekazywał ci wielką naukę o Tao, a ty co? Zamiast się uczyć, zachciało ci się z naszym mistrzem sprzeczać? No i co teraz będzie? Tak go obraziłeś, że nie wiadomo, kiedy zechce znów do nas wyjść!

Uczniowie oburzeni zachowaniem Sun Wu-k'unga usiłovali wszelkimi sposobami okazać mu swoją pogardę. Można by powiedzieć, że go znenawidzili. Król małp jednak wcale się tym nie przejął i tylko się uśmiechał od ucha do ucha. Stać go było na takie opanowanie, bo zdołał już poznać umowny język gestów mistrza. Dlatego nie kłócił się z uczniami mistrza i cierpliwie znosił ich wymówki. Zapamiętał dobrze, że mistrz trzy razy uderzył go linijką. Oznaczało to, że ma się u niego zjawić o trzeciej zmianie straży, niedługo po północy. To, że z założonymi za plecy rękoma wszedł do swoich pokoi środkowymi drzwiami, które za sobą dokładnie zamknął, mogło tylko oznaczać, żeby Sun Wu-k'ung przyszedł do niego przez tylne wejście, by mistrz mógł mu w tajemnicy przekazać wielką naukę.

Resztę dnia spędził Sun Wu-k'ung przed wejściem do grotty bawiąc się wesoło z innymi uczniami. Coraz to spoglądał na niebo i z niecierpliwością wyczekiwał nadejścia wieczoru. Gdy zapadł zmierzch, razem z innymi ułożył się do snu i zamknąwszy powieki, oddychając miarowo i spokojnie, udawał, że śpi. W górach, oczywiście, nie było komu pełnić straży i nie było też żadnych przyrządów do mierzenia czasu. Sun Wu-k'ung miał tylko jeden sposób, aby utrafić na trzecią zmianę:

cierpliwie odliczać w myśli wdechy i wydechy. Gdy według jego obliczeń zbliżała się pora trzeciej straży, po cichutku wstał z łóżka, odział się i pozostawiając swych kolegów pogrążonych w błogim śnie, wysliznął się przez główną bramę na dwór. Uniósł głowę, przed oczyma rozpościerało się rozgwieżdżone niebo, a krągła twarz księżycy uśmiechała się do niego tajemniczym blaskiem. Po świetle gwiazd poznał, że nadeszła pora złożenia wizyty mistrzowi.

Popatrzcie tylko, jak on to zrobił. Dobrze sobie znaną ścieżką dostał się do tylnego wejścia. Drzwi były do połowy uchylone. A więc mistrz naprawdę chce mi przekazać tajemną naukę o Tao — pomyślał z radością w sercu Sun Wu-k'ung — i dlatego umyślnie pozostawił te drzwi otwarte. — Przyśpieszył kroku, bokiem prześliznął się przez uchylone drzwi i skierował się prosto do łóżka mistrza. Mistrz z podwinętymi nogami spał odwrócony twarzą do ściany. Sun Wu-k'ung nie śmiał go budzić i uklęknął w cierpliwym wyczekiwaniu u stóp jego łóżka.

Nie minęło wiele czasu, jak mistrz się ocknął, wyprostował nogi i zaczął coś mruzczyć pod nosem.

— Mistrzu — przemówił Sun Wu-k'ung zauważywszy, że jego nauczyciel już nie śpi — twój uczeń klęczy tu przy twoim łóżku już dość długo i czeka.

Mistrz posłyszawszy głos Sun Wu-k'unga zerwał się z łóżka, narzucił na siebie płaszcz, usiadł na pościeli i krzyknął:

— Ach, ty małpizsonie! Czemuż nie jesteś u siebie w łóżku i nie śpisz? Po co przyszedłeś tu do mojego pokoju w tyle grotu?

— To ty sam, mistrzu, wczoraj z katedry, w obecności wszystkich uczniów dałeś mi przyzwolenie, bym, gdy nadejdzie pora trzeciej zmiany straży, przyszedł do ciebie tylnymi drzwiami, i obiecałeś odkryć przede mną wielką tajemnicę nauki o Tao. Tylko dlatego ośmieliłem się zjawić u twego łóżka.

Mistrz bardzo się ucieszył, gdy usłyszał te słowa i w duchu pomyślał: „Ten chłopak rzeczywiście został zrodzony przez niebo i ziemię, bowiem w przeciwnym razie jakże mógłby rozwiązać zagadkę moich tajemnych znaków i gestów?”

— Nie ma tu sześciu uszu — rzekł Sun Wu-k'ung — tylko twoje, mistrzu, i moje. Dlatego błagam cię, okaż mi swoje zmiłowanie i przekaż tajemnicę nieśmiertelności. Łaskawość twoją zapamiętam na wieki.

— No cóż, widać jest ci to przez los przeznaczone, skoro nawet rozpoznałeś moje tajemne znaki. Bardzo się cieszę i z przyjemnością wyjawię ci tę tajemnicę. Zbliź się i słuchaj uważnie, bo odkryję przed tobą najbardziej tajemną metodę osiągnięcia nieśmiertelności.

Sun Wu-k'ung wyraził wdzięczność składając mistrzowi głęboki pokłon, po czym znów uklęknął przy jego łóżku i cały zamienił się w słuch.

Mistrz rzekł:

— Metoda to najdoskonalsza, najpełniejsza i najsekretniejsza spośród wszystkich, jakie istnieją. Nie ma innej nauki dla zgłębienia tajemnicy nieśmiertelności. Wszystko zależy od trzech elementów: nasienia, oddechu i ducha. Sens moich słów ukryj głęboko w sercu i nie waż się odkryć tej tajemnicy nikomu. Pamiętaj, nikomu jej nie ujawniaj, dobrze ją skryj w sercu i czyni wszystko dla doskonalenia swej natury

na drodze ku nieśmiertelności. Nauka, którą ci przekażę, przyniesie ci wiele korzyści, dobrze ją zapamiętaj. Twoje myśli winny się skupić wyłącznie na tym jednym celu, zapomnij o wszystkich innych sprawach. Dopiero wtedy będziesz mógł się cieszyć barwami nieba, upajać blaskiem księżyca. Na księżycu skrył się nefrytowy zajac, a na słońcu złocisty kruk. Żmija i żółw połączyły się w namiętym uścisku. Przez to połączenie życie twoje stanie się tak mocne, że będziesz mógł w ogniu sadzić złote lotosy. Przyroda, złożona z pięciu praelementów, będzie ci w pełni uległa, a dzięki swym czynom staniesz się równy Buddzie i nieśmiertelnym.

Sun Wu-k'ung poznał w końcu najgłębszą tajemnicę nieśmiertelności. Serce jego wypełniło się bezgranicznym szczęściem. Dokładnie zapamiętał wszystkie zaklęcia, które przed chwilą poznał. Z całego serca podziękował mistrzowi za okazaną łaskę i w końcu wyszedł z jego komnaty na dwór. Rozejrzał się dokoła. Niebo we wschodniej stronie zaczynało lekko blednąć, na zachodzie zaś nadal jarzyło się złocistym blaskiem niezliczonych gwiazd. Sun Wu-k'ung znaną sobie ścieżką wrócił przed główną bramę, delikatnie uchylił ją i wśliznął się do środka. Gdy znalazł się przy swoim łóżku, zaczął je umyślnie głośno zaścielać.

— Świta już. Słońce zaraz wzejdzie. Wstawajcie! — wołał.

Uczniowie przez całą noc twardo spali i nawet przez myśl im nie przeszło, jaki sukces Sun Wu-k'ung tej nocy osiągnął. Przez cały dzień król małp był oszołomiony szczęściem, jakie go spotkało. Ze wszystkich sił starał się panować nad sobą, żeby nie wydać swej tajemnicy. Cały ranek i popołudnie siedział gdzieś na uboczu i starał się uregulować swój oddech.

Niepostrzeżenie minęły jeszcze trzy lata. Pewnego dnia mistrz jak zwykle wszedł na podwyższenie i zaczął nauczać swych uczniów. Tym razem przedmiotem jego rozważań były zasady życia, ilustrowane zresztą za pomocą niezwykle ciekawych przypowieści, oraz zewnętrzne przejawy i formy tych zasad. Nagle mistrz urwał wykład w połowie zdania i spytał:

— A gdzie jest Sun Wu-k'ung?

— Tu jestem — odezwał się Sun Wu-k'ung, po czym wystąpił do przodu i uklęknął przed mistrzem.

— Czego się do tej pory nauczyłeś?

— W ostatnim czasie opanowałem w znacznym stopniu istotę praw Buddy i odnośną wrażenie, że siły moje stopniowo rosną — odpowiedział król małp.

— A więc skoro już opanowałeś naukę Buddy, przyswoiłeś sobie jej podstawowe zasady i przenikają one całą twoją duchową naturę — wyjaśniał cierpliwie mistrz — musimy się teraz zastanowić nad tym, jak masz się zabezpieczyć przed „trzema klęskami żywiołowymi”.

Sun Wu-k'ung, posłyszawszy te słowa, na długo się zamyślił, aż w końcu rzekł:

— Według mnie, mistrzu, chyba się mylisz. Wielokrotnie słyszałem z twoich ust, że ten, kto posiadał wielką prawdę o Tao, staje się nieśmiertelny na równi z niebem. Żywioły ognia i wody zachowują w nim pełną harmonię, żadne choroby się go nie imają. Skądże więc nagle mają mi zagrażać jakieś trzy klęski żywiołowe?

— Nie są one związane ze zwykłym Tao, z normalnymi prawami natury — zaczął

swoje wyjaśnienie mistrz. — Jest to całkowicie odrębne prawo, któremu podlegają wszelkie istoty stworzone przez niebo i ziemię i które prawo to może zniszczyć. Jest to potężna magiczna siła, zdolna nawet pochłonąć słońce i księżyc. Gdy posiadasz kamień filozoficzny, nie zdołają cię pokonać ni złe, ni dobre duchy i żyć będziesz wiecznie i w młodości. Jednak gdy upłynie pięćset lat, niebo ześle na ziemię piorun, który w ciebie uderzy. Aby uniknąć nieszczęścia, powinieneś być niezwykle przezorny. Jeśli zdołasz się uratować, długowiecznością dorównasz niebu, jeśli zaś nie unikniesz nieszczęścia, nic twego życia się zerwie. Jednak gdy przejdzie następne pięćset lat, niebo ześle ogień, który cię spali. Nie będzie to jednak ani niebiański, ani ziemski ogień, lecz tak zwany „ukryty ogień”. Wybuchnie w tobie samym, dotrze do mózgu, a następnie rozprzestrzeni się w dół po całym twoim ciele, spalając je, a także i twoje wnętrzności. Pięć głównych organów zmieni się w popiół, cztery kończyny zbutwieją i rezultat tysiąca lat trudów i znoju nad doskonaleniem swej natury pójdzie na marne, stanie się pustym wspomnieniem. Przemienie następne pięćset lat i znów niebo ześle straszliwy wichur, który cię powali. Nie będzie to żaden ze znanych ci wiatrów, ze wschodu, z południa, z zachodu czy z północy, nie będzie to wiatr odpowiedni dla wytapiania złota ani wietrzyk kołyszący swymi podmuchami kielichy kwiatów, gałązki wierzb, sosen czy bambusów. Będzie to straszliwy wichur, który zrodzi się w tobie, wedrze się do sześciu wewnętrznych organów, przeleci przez przeponę i wydostanie się przez dziewięć otworów twego ciała, roztopiając po drodze kości i mięśnie, przemieniając twoje ciało w pył. Właśnie tych trzech kosmicznych klęsk żywiołowych musisz się starać uniknąć.

Sun Wu-k'ung tak się przeraził, gdy sens wyjaśnień mistrza dotarł do jego świadomości, że sierść się na nim zjeżyła i wyglądał tak, jakby był pokryty sosnowymi szpilkami. Natychmiast rzucił się przed nim na kolana i bijąc pokłony zaczął go błagać:

— O panie, mój mistrzu, zlituj się nade mną, naucz mnie sposobów, dzięki którym mógłbym ująć cało przed tymi trzema klęskami żywiołowymi. Takiej łaskawości nigdy nie zapomnę.

— Uchronić się przed nimi wcale nie jest trudno — odezwał się w końcu mistrz. — Kłopot polega tylko na tym, że nie jesteś podobny do zwykłych ludzi i dlatego nie mogę ujawnić ci tego sposobu.

— Przecież ja też mam okrągłą głowę, tak jak każdy człowiek, i mogę ją zadzierać ku niebu, mam też nogi, którymi stąпам po ziemi, i dziewięć otworów, i cztery kończyny, a nawet wnętrzności takie same. Czymże ja się różnię od zwykłych ludzi?

— Chociaż jesteś podobny do ludzi, ale masz mniejsze od nich policzki — oświadczył mistrz.

Małpa rzeczywiście miała zapadnięte policzki i wydłużoną, zaostrzoną mordkę. Sun Wu-k'ung pomacał się ręką po twarzy i wybuchnął śmiechem:

— Ależ mistrzu, to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia — rzekł. — Wprawdzie policzki mam rzeczywiście mniej pełne niż u ludzi, ale za to mam drugi żołądek, którego oni nie mają. To się powinno liczyć na moją korzyść.

— No, już dobrze, dobrze — zgodził się wreszcie mistrz. — Uniknąć tych nieszczęść można dwoma sposobami: jeden z nich, zwany metodą Gwiazdozbioru

Dyszla Wielkiego Wozu, zawiera trzydzieści sześć rodzajów przemian, natomiast drugi, sposób Gwiazdy Krańca Ziemi, obejmuje siedemdziesiąt dwa przekształcenia. Którego z tych dwóch sposobów pragniesz się nauczyć?

— Chciałbym poznać ten bardziej złożony — odpowiedział bez chwili wahania Sun Wu-k'ung. — Naucz mnie, mistrzu, sposobu Gwiazdy Krańca Ziemi.

— Skoro tak postanowiłeś, to zbliż się do mnie — nakazał mistrz — a nauczę cię odpowiednich zaklęć. — I następnie pochylił mu się nad uchem i coś szeptał, prawdopodobnie jakieś magiczne formuły. Król małp zamienił się cały w słuch, żeby nie uronić ani jednego słowa. Jedno ucho jak gdyby służyło mu za sto. Od razu też zaczął ćwiczyć się w wypowiadaniu zaklęć i stosowaniu siedemdziesięciu dwóch przekształceń, tak że w krótkim czasie całkowicie je opanował.

Pewnego dnia, przed wieczorem, odpoczywając ze swymi uczniami przed wejściem do Groty Trzech Gwiazd, mistrz zwrócił się do króla małp w te słowa:

— Sun Wu-k'ung, jak tam z twoimi postępami?

— Wszystko, co umiem, zawdzięczam twojej wielkiej łaskawości, mój mistrzu — odparł skromnie Sun Wu-k'ung. — Wszystkie twoje nauki zdołałem już opanować, tak że potrafię nawet dosiadać chmur i szybować w powietrzu.

— Naprawdę? — zapytał mistrz. — No to wzbij się w powietrze, niech zobaczą, jak lataasz.

Sun Wu-k'ung zastosował wszystkie swoje umiejętności, naprężył się i wykonał skok, odrywając się od ziemi na wysokość kilku sążni. Dosiadł jakiejś chmury i jeździł na niej przez czas wystarczający na zjedzenie jednego posiłku. Krążąc nad zebranymi w dole przebył łącznie około trzech wiorst. Po wylądowaniu zbliżył się ze złożonymi rękoma do mistrza i rzekł:

— Mistrzu, byłeś właśnie świadkiem, jak szybowałem pośród chmur.

Mistrz roześmiał się na to i powiedział:

— Czyż można to nazwać szybowaniem pośród chmur? To raczej było pełzanie po chmurach. Z dawien dawna znane jest powiedzenie: „Duchy i nieśmiertelni z rana wyruszają na spacer z Północnego Oceanu, by pod wieczór zjawić się w Ts'ang-wu”. Ty zaś potrzebowałeś aż tyle czasu, żeby przelecieć zaledwie trzy wiorsty. Toż tego nawet pełzaniem po chmurach nie można nazwać.

— A w jaki sposób można by w ciągu dnia przelecieć z Północnego Oceanu do Ts'ang-wu? — zapytał mistrza Sun Wu-k'ung, zaskoczony mierną oceną swoich lotów.

— Ci, o których mówimy, że szybują pośród chmur — wyjaśnił mistrz — rano wyruszają z Północnego Oceanu, przelatują nad Wschodnim Oceanem, nad Zachodnim Oceanem, nad Południowym Oceanem i potem wracają do Ts'ang-wu. Ts'ang-wu to nazwa szczytu góry znajdującej się na Oceanie Północnym. Tak więc, jeśli ktoś w ciągu jednego dnia przeleci nad wszystkimi czterema oceanami, okalającymi świat, dopiero można o nim powiedzieć, że szybował pośród chmur.

— To musi być strasznie trudne. Okropnie! — powiedział w zadumie Sun Wu-k'ung.

— Nie ma na świecie rzeczy trudnych — zaprzeczył mistrz — trzeba tylko chcieć je opanować.

Sun Wu-k'ung, usłyszawszy te słowa, rzucił się znów przed mistrzem na kolana i bijąc przed nim pokłony błagał:

— Mistrzu, powiadają przecież: „Jeśli już się jest człowiekiem, to trzeba nim być do końca”. Błagam cię, wyświadcź mi jeszcze tę jedną łaskę i naucz mnie szybkować pośród chmur. Nigdy, jak długo żyć będę, nie zapomnę ci tej dobroci.

— Gdy nieśmiertelni wybierają się w podróż powietrzną — zaczął swoje wyjaśnienia mistrz, uległszy błaganiom króla małp — najpierw uderzają stopą o ziemię. A ty tego nie zrobiłeś. Obserwowałem cię, jak wlatywałeś. Z początku przekoziółkowałeś w powietrzu i dopiero potem wykonałeś skok. Nauczę cię teraz właściwej techniki wykonania „skoku do obłoku”.

Sun Wu-k'ung pokłonił się nisko mistrzowi, wyrażając gotowość przyjęcia jego pouczeń. Mistrz pochylił się nad nim i przekazał mu tajemne zaklęcie.

— Spójrz na tę chmurę, prawidłowo wypowiedz zaklęcie, zacisnij pięści, napręż całe ciało i skacz. W ten sposób jednym susem pokonasz osiemnaście tysięcy wiorst.

Uczniowie mistrza Sü-p'u-t'i, dowiedziawszy się o wielkich osiągnięciach Sun Wu-k'unga, śmiali się i tak komentowali je między sobą:

— Ależ Sun Wu-k'ung ma szczęście! Jeśli zdoła opanować ten sposób poruszania się, będzie mógł zostać nieocenionym posłańcem, roznosić listy, rozkazy, cesarskie rozporządzenia i zawsze zdoła zarobić na życie.

Mistrz i jego uczniowie wraz z zapadającym zmierzchem udali się na spoczynek do swych pokoi w grocie. Tylko Sun Wu-k'ung przez całą noc ćwiczył się w wypowiedaniu zaklęcia i technice skoku, które zdradził mu mistrz. W końcu całkowicie opanował sztukę skoku do obłoku. W ciągu następnych dni, zupełnie wolny od wszelkich trosk i ograniczeń, upajał się świadomością zdobycia nieśmiertelności.

Pewnego dnia, a było to na początku lata, uczniowie zebrali się w cieniu sosen i dyskutowali o sprawach, które mistrz omawiał na ostatnim wykładzie. Nagle jeden z nich odezwał się:

— Sun Wu-k'ung, w którym to wcieleniu zasłużyłeś sobie na tak szczęśliwy los? Widzieliśmy przecież, jak mistrz szeptał ci na ucho, jakich sposobów trzeba użyć, by ująć trzech kłesk żywiołowych. Chyba już się ich wyuczyłeś?

Sun Wu-k'ung uśmiechnął się i rzekł:

— Nie będę was oszukiwał, moi starsi bracia. Rzeczywiście, mistrz wyjawiał mi swoją tajemnicę, a ja dniami i nocami pilnie ćwiczyłem się w jego naukach. Teraz mogę już śmiało powiedzieć, że opanowałem wszystkie te sposoby.

— Świetna okazja się dzisiaj nadarza — rzekł któryś z uczniów. — Pokaż choć cokolwiek z tego, czegoś się nauczył, abyśmy mogli to ujrzeć na własne oczy.

Sun Wu-k'ung natychmiast zapałał chęcią pokazania swoim kolegom kilku sztuczek.

— No, starsi bracia, wymieńcie w takim razie jakąś rzecz, w którą chcielibyście, żebym się przemienił.

— Dobrze, zmień się więc w sosnę! — zawołało kilku uczniów.

Sun Wu-k'ung wykonał magiczny ruch rękoma, wyszeptał zaklęcie, wstrząsnął całym ciałem i w mgnieniu oka zmienił się w okazałą sosnę.

Ujrawszy jego wyczyn uczniowie zaklaskali w dłonie, a ich radosny śmiech podziwu rozlegał się echem po całej okolicy. — Co za wspaniała małpa! Co za cud! — Wrzawa rozentuzjasmowanych adeptów z każdą chwilą wzrastała, aż w końcu wyrwała mistrza ze snu. Wyszedł szybko z groty wspierając się na długim kiju i zapytał:

— Kto tu takie hałas urządza?

Usłyszawszy jego głos, uczniowie nagle przycichli i poprawiając na sobie odzież, zbliżyli się do niego. Sun Wu-k'ung wrócił już do swej pierwotnej postaci i wmieszawszy się w grupę uczniów, rzekł:

— Pozwól, że ja ci wyjaśnię, drogi mistrzu. Zajmowaliśmy się nauką i nikogo obcego tutaj nie było, kto by mógł robić hałas.

— A więc to wy tu taki harmider podnieśliście?! — krzyknął gniewnie mistrz. — Czy to przystoi moim uczniom, ćwiczącym się we wszelakich cnotach?! Gdy człowiek doskonalący się w enocie usta otwiera, uchodzi z niego całe uduchowanie, a gdy miele językiem bez przerwy, i fałsz, i prawdę wygadać może. Czemuż taka wesołość was ogarnęła?

— Nie odważylibyśmy się zataić przed tobą prawdy, mistrzu — rzekł jeden z uczniów. — Właśnie przed chwilą poprosiliśmy Sun Wu-k'unga, żeby nam zademonstrował swoją sztukę przeistaczania się. Poprosiliśmy go, by się przemienił w sosnę, i gdy rzeczywiście tego dokonał, wszyscyśmy wybuchnęli okrzykami podziwu i uznania dla jego umiejętności. Stąd powstał ten hałas, który wyrwał cię ze snu, nasz czcigodny mistrzu. Mamy głęboką nadzieję, że nam wybaczysz to wykroczenie.

— Odejdźcie stąd wszyscy — rozkazał mistrz. — A ty, Sun Wu-k'ung, zbliż się do mnie! Bardzo chciałbym się dowiedzieć, po co te zabawy z siłą duchową, po co to zmienianie się w sosnę? Wszystko to chyba jedynie po to, żeby popisać się przed innymi? Wyobraź sobie, że zobaczyłbyś kogoś, kto takie sztuki wyczynia, a ty nie potrafisz ich dokonać. Czy nie zacząłbyś go wypytywać, jak on to robi? Tak samo, jeśli ty będziesz się popisywał swoją sztuką przed innymi, to z pewnością prędzej czy później znajdą się tacy, którzy zaczną się wypytywać o twoją tajemnicę. Jeśli ulęknieś się ich gróźb, zdradzisz im swoją tajemnicę, a jeśli jej nie ujawnisz, to na pewno nie uchronisz się od nieszczęść, jakie wtedy na ciebie spadną. I tak czy owak, życia twego nie da się ocalić.

— Moja to wina, mistrzu — zawołał Sun Wu-k'ung padłszy na kolana i bijąc pokłony — ale błagam cię na wszystko, zechciej mi jeszcze ten jeden raz przebaczyć!

— Nie ukarzę cię za to — odparł mistrz — ale musisz stąd odejść na zawsze. Nie ma innego wyjścia.

Usłyszawszy te słowa Sun Wu-k'ung zalał się łzami.

— Mistrzu mój! — błagał. — Poucz mnie, dokąd mam się udać, gdy stąd odejdę?

— Najlepiej będzie, jak pójdziesz tam, skądś przybył — doradził mistrz.

— Przybyłem tu przecież z Jaskini Wodnej Zasłony na Górze Kwiatów i Owoców, w pobliżu krainy Aolai w świetle Purwawideha. — Sun Wu-k'ung nagle uświadomił sobie, kim był w przeszłości.

— Wracaj tam szybko, jeśli chcesz zachować życie — rzekł mistrz. — W żadnym wypadku nie możesz tu dłużej pozostawać.

Sun Wu-k'ung pokornie przyjął karę i dodał:

— Najczcigodniejszy mistrzu, nie byłem w swoim kraju już ponad dwadzieścia lat i chociaż niecierpliwe myśli mkną ku moim małym poddanym, z którymi niegdyś wesoło igrałem na łąkach w mej ojczyźnie, nie ośmielę się opuścić cię, zanim w jakiś sposób nie odwdzięczę ci się za wszystkie łaskowości, jakimi mnie obdarzyłeś.

— O jakich tam łaskowościach pleciesz — odburknął mistrz. — A jeśli już koniecznie chcesz znać moje życzenie, to wiedz, że jedynym moim pragnieniem jest, byś nie napytał sobie jakiejś biedy i mnie w nią nie wciągnął.

Sun Wu-k'ung widząc, że nic tu już po nim, skłonił się do samej ziemi mistrzowi i pożegnał z jego uczniami. Gdy już miał odchodzić, mistrz rzekł do niego:

— Jestem przekonany, że gdy nas opuścisz, coś złego zaraz napsocisz. Jednak zapamiętaj sobie jedno. Jakąkolwiek byś zbrodnię popełnił, jakiegokolwiek przestępstwa byłbyś sprawcą, pod żadnym pozorem nie wolno ci wyjawić, żeś był moim uczniem. Jeśli piśniesz bodaj pół słowa, dowiem się wnet, a wtedy pasy będę darł z twojej małej skóry, a twoje kości zmiażdżę na proszek, duszę twą spuszczę do najgłębszego, najciemniejszego z dziewięciu kręgów piekielnych, tak że nigdy, póki świat będzie istniał, nie zdołasz się stamtąd wydostać.

— Nigdy nie ośmielę się chociażby jednym słowem wspomnieć o tobie, mój mistrzu — obiecał Sun Wu-k'ung. — Zawsze będę mówił, że się sam tego wszystkiego nauczyłem.

Sun Wu-k'ung jeszcze raz podziękował za wszystko mistrzowi, a potem nagle skulił się, wypowiedział magiczne zaklęcie, błyskawicznie wyciągnąwszy się jak struna wskoczył na przepływający po niebie obłok i pożegłował na nim na wschód ku krainie Purwawideha. Podróżował tak niecałe dwie godziny, gdy ujrzał w dole Jaskinię Wodnej Zasłony na Górze Kwiatów i Owoców. Serce Wspaniałego Króla Małp zabiło mocno z bezbrzeżnej radości i szczęścia.

Sun Wu-k'ung wylądował na swym obłoku pośrodku Góry Kwiatów i Owoców, odnalazł znajomą ścieżkę i pomknął w kierunku jaskini. Nagle uszu jego dobiegło łkanie żurawi i żalosne zawodzenie małp. Rzewny płacz żurawi przenikał Drogę Mleczną na niebie, a gorzki szloch małp ścisnął boleśnie serce króla.

— Dzieci moje, wróciłem do was! — zawołał Sun Wu-k'ung.

Ze skalistych rozpadlin, z gąszczu traw i krzewów, zza drzew wyskoczyły tysiące małp, wielkich i małych, starych i młodych. Otoczyły ze wszystkich stron Wspaniałego Króla Małp i biły przed nim pokłony wołając: — O, nasz wielki królu! Zupełnie o nas zapomniałeś. Dlaczego opuściłeś nas na tak długo? Porzuciłeś nas tu, a my cię wypatrywałyśmy tak, jak zgłodniały wypatruje jedzenia, a spragniony napoju. Ostatnio grasuje tu jakiś straszliwy demon. Chciał nam siłą zabrać nasz wspaniały pałac w Jaskini Wodnej Zasłony. Toczyłyśmy z nim walkę na śmierć i życie. W tym czasie ten potwór zrabował nasz dobytek, porwał wielu naszych synów i braci, doprowadził nas do tego, że w dzień i w nocy, nie zmrużywszy oka, pilnujemy naszych domów i dobytku. Jak to dobrze, że nasz wielki władca nareszcie wrócił! Gdybyś, królu, jeszcze na jeden rok odwlokł swój powrót, nasza jaskinia i my wszystkie znalazłybyśmy się w obcych rękach.

Gniew wezbrał w sercu Sun Wu-k'unga, gdy usłyszał te słowa.

— Cóż to za demon, który się ośmielił was niepokoić? Opowiedzcie mi wszystko dokładnie, a ja już mu za ten rozbój odpłacę!

— Pragniemy ci donieść, nasz wielki monarcho — rzekło kilka małp, bijąc poklony — że lotr ten zwie się Demonem Krainy Chaosu, a siedziba jego znajduje się gdzieś na północ od naszej wyspy.

— Jaką drogę trzeba przebyć, żeby się tam dostać? — Sun Wu-k'ung dalej wypytywał swoich poddanych.

— Przybywał tu jako chmura — odpowiedziano mu — znikał pod postacią mgły, wiatru lub deszczu albo jako grom czy błyskawica. Nie wiemy więc, ile drogi trzeba przebyć, by się dostać do jego siedziby.

— Skoro tak, niczego się nie bójcie — zapewnił swych poddanych Sun Wu-k'ung. — Bawcie się dalej w spokoju, a ja pójdę go odszukać.

Wspaniały Król Małp naprężył się, podskoczył i jednym susem znalazł się nad północną częścią świata. Gdy spojrział w dół, zobaczył pod sobą wysoką górę. Wyglądała niezwykle groźnie i pełna była stromych grani i urwistych przepaści.

Sun Wu-k'ung w ciszy podziwiał otaczający go krajobraz, gdy do uszu jego doleciały jakieś odgłosy rozmowy. Ruszył ścieżką wiodącą w dół i wkrótce znalazł się przed wielką czeluścią w ścianie góry, zwaną Grotą Serca Wody. Przed grotą tańczyło i podskakiwało kilka diabełków, jednak na widok Sun Wu-k'unga wszyscy rzucili się do ucieczki.

— Nie uciekajcie — zatrzymał ich Sun Wu-k'ung. — Spróbuję wyłożyć w waszym języku sprawę, z którą tutaj przybyłem. Jestem Panem Jaskini Wodnej Zasłony na Górze Kwiatów i Owoców. Wasz władca, jakiś demon spod ciemnej gwiazdy, ośmielił się kilkakrotnie napaść i wyrządzić krzywdę moim dzieciom i wnukom. Przybyłem tu specjalnie po to, żeby się z nim zmierzyć. Zobaczymy, który z nas okaże się silniejszy.

Małe diabełki, usłyszawszy te słowa, pędem wbiegły do groty i zaczęły wołać: — Nasz wielki królu, nieszczęście! Nieszczęście na nas spadło!

— Cóż to za nieszczęście? — zapytał Demon.

— Przed wejściem do groty stoi jakaś małpa, która się mieni Panem Jaskini Wodnej Zasłony na Górze Kwiatów i Owoców — wyjaśnił jeden z diabełków. — Twierdzi ona, że ty, nasz królu, wielokrotnie napadałeś jego dzieci i wnuki i że przybył tu specjalnie, by z tobą stoczyć walkę.

— Często słyszałem od tych nędznych małpisonów, że mieli kiedyś króla który jednak opuścił swój kraj w poszukiwaniu doskonałości — rzekł śmiejąc się Demon. — Myślę, że to właśnie on tu przybył. No, a teraz, skoro go widzieliście, powiedzcie mi, jak jest ubrany i jaką broń ze sobą przyniósł.

— Nie ma przy sobie żadnej broni — odpowiedział jeden z diabełków. — Przybył tu z gołą głową, odziany w szkarłatną szatę, przepasaną żółtą wstęgą. Na nogach ma jakieś czarne łapcie. Niepodobny jest ani do buddyjskiego mnicha, ani do człowieka świeckiego, nie wygląda również na taoistycznego nieśmiertelnego. Stoi przed grotą z gołymi rękami i wzywa cię do walki.



— No cóż, podajcie mi w takim razie moją broń — rozkazał Demon usłyszawszy wyjaśnienia swych podwładnych. — O, tam wisi, na skale.

Diabełki natychmiast przyniosły mu to, czego żądał. Demon założył ciężką zbroję, chwycił w dłoń olbrzymi miecz i z całą czeredą swoich poddanych wyszedł przed grotę wołając:

— No! Gdzież jest ten Pan Jaskini Wodnej Zasłony?

— Ty nędzna kreaturo! — odkrzyknął Sun Wu-k'ung. — Masz takie wielkie ślepie i nie możesz mnie dostrzec?

Demon spojrział na niego i zarechotał:

— Coś ty zmysły postradał? Masz niecałe cztery łokcie wzrostu, nie masz jeszcze trzydziestu lat, a chcesz się zmierzyć ze mną, i to bez broni, gołymi rękami? Skąd u ciebie taka szaleńcza odwaga?!

— Ach ty, diabelski potworze, ty ślepowronie! — zaczął mu Sun Wu-k'ung wymyślać. — Uważasz, że jestem za mały dla ciebie? Mogę się stać tak wielki, jak tylko zechcę. Myślisz, że jestem bez broni? Popatrz tylko na moje ręce. Mogę nimi objąć księżyc na niebie. No co, nie bój się, chodź, zbliż się, to cię zaraz poczęstuję pięścią tak, że się nie pozbierasz!

Sun Wu-k'ung wyprężył się, podskoczył i chciał uderzyć Demona w głowę, ale ten wyciągnął rękę i odbił cios.

— Ty, taki mały karzelek, i chcesz walczyć z takim olbrzymem jak ja? — wyraził zdumienie. — Gdybyś walczył gołymi pięściami, a ja moim mieczem, śmiano by się później ze mnie, jakbym cię zabił. Poczekaj chwileczkę, niech tylko odłożę miecz, a zaraz ci pokażę, jak się bić na pięści.

— Słusznie powiedziałeś — zawołał Sun Wu-k'ung. — No, a teraz zbliż się, bohaterze!

Demon wysunął rękę, żeby zadać cios, a Sun Wu-k'ung runął na swego przeciwnika jak burza. Rozpoczęła się walka. Obydwaj okładali się pięściami, nogi ich również nie próżnowały. Jedne ciosy uchodziły w powietrze, inne docierały celu. Właśnie długie ręce Demona waliły ciągle w próżnię, a grad krótkich, zapamiętałych ciosów króla małp docierał w szczególności czułe miejsca na ciele potwora. Sun Wu-k'ung puścił serię ciosów pod żebra Demona, pod pachy, po bokach, tak że jego przeciwnik w końcu przewrócił się. Poderwał się jednak szybko, podbiegł i pochwycił w ręce swój olbrzymi żelazny miecz, mając zamiar przeciąć Sun Wu-k'unga na pół. Ten jednak uskoczył na bok i miecz Demona przeszył powietrze. Widząc, że jego przeciwnik wpadł w szal, król małp postanowił zrobić użytek z metody „nieskończonego rozmnożenia”. Wyrwał sobie kłębek sierści, rozgniół w pysku na drobniejsze kawałki, po czym wypluł je w powietrze i zawołał: — Przemieńcie się! — Natychmiast z tych strzępów jego włosów powstało blisko trzysta małp, które otoczyły Demona i hurmem przypuściły na niego atak.

Człowiek, który osiągnął nieśmiertelność, zdolny jest przekształcać swoją siłę życiową w nieskończoną ilość różnych postaci, i nie ma takiej rzeczy, w którą nie mógłby się przemienić. Ciało króla małp, w czasie gdy osiągnął wielkie wtajemniczenie, pokryte było osiemdziesięcioma czterema tysiącami włosów i każdy z nich mógł

na życzenie swego właściciela przemienić się w dowolną istotę. Małe małpiątka, powołane przez niego w ten sposób do życia, okazały się bardzo przemyślnie i dokuczliwe: tak szybko przypadały do Demona i odskakiwały, że nie mógł ich rozrąbać mieczem ani dosięgnąć włócznią. Popatrzcie tylko, co one z tym Demonem wyprawiały: czepiały się go, kopały, drapały po nogach, obskoczyły go ze wszystkich stron, tak że nie mógł nawet kroku zrobić, ciągnęły go, szczypały, biły, tarmosiły, młóciły pięściami, wrywały włosy, wydlubywały oczy, drapały po nosie, podrzucały do góry i ciskały o ziemię, tak że wkrótce leżał zbity i rozgnieciony na placek. Tymczasem Sun Wu-k'ung zakradł się i pochwycił miecz Demona; odgarnął małpki na boki i rozrąbał potwora na dwie części, od stóp do głowy. Potem na czele chmury małp wdarł się do groty i dokładnie rozprawił się z całą resztą mniejszych i większych diabełków. Gdy się w końcu z nimi uporał, rozbiegane małpki z powrotem przemienił w kłębek sierści, którą wetknął tam, skąd ją przedtem wyrwał.

Pozostała jednak jeszcze spora garstka małp, które się nie przemieniły z powrotem w sierść. Były to te małpy, które Demon kiedyś porwał z Jaskini Wodnej Zasłony.

— W jaki sposób dostałyście się tutaj? — zapytał Sun Wu-k'ung.

Było ich kilkadziesiąt. Ze łzami w oczach opowiedziały swoją historię.

— Gdy ty, nasz królu, wyprawiłeś się w daleką wędrowkę dla poznania prawdy, zostaliśmy same. Przez ostatnie dwa lata twojej nieobecności znosiłyśmy napaści Demona. On to nas tutaj porwał, a czyż to wszystko to nie naczynia, które zrabował w naszej jaskini? Kamienne miski, kamienne czarki, ten zbój wszystkie tu ściągnął.

— Skoro ten dobytek jest nasz, wynieście wszystko na zewnątrz przed grotę! — wydał polecenie Sun Wu-k'ung.

Następnie rozniecili w grocie ogień i spalili ją do cna, zamieniając w stertę zgliszcz.

— A teraz za mną! Ruszamy w drogę powrotną! — zawołał Sun Wu-k'ung do gromadki małp.

— Nasz wielki królu — odpowiedziały mu — przybywając tutaj słyszałyśmy tylko świst wiatru, który nas przywiał do tej groty, nie znamy więc drogi, którą tu przybyłyśmy. Jakże my teraz trafimy w nasze rodzinne strony?

— To nie trudnego — odpowiedział Sun Wu-k'ung. — Demon sprowadził was tu za pomocą czarów. Ja teraz wypowiem tylko jedno zaklęcie, a znam ich bardzo dużo. No, zamknijcie oczy i nieczeg się nie bójcie!

Co za wspaniały król! Ledwie wyrzekł słowa zaklęcia, a zerwał się gwałtowny wichur, który uniósł wszystkich w górę, by po kilku chwilach przemienić się w chmurę i spokojnie osiąść z powrotem na ziemi.

— No, dzieciaczki, otwórzcie już oczy! — zawołał Sun Wu-k'ung.

Małpy poczuły pod stopami twardą ziemię, poznały rodzinne strony i z wielką radością i hałasem rzuciły się znajomą ścieżką ku Jaskini Wodnej Zasłony.

Tam, razem z innymi małpami, wypełniły całą jaskinię i ustawivszy się rzędem, według wieku, zbliżyły się do swego króla, składały mu pokłony, ofiarowywały wino i owoce, gratulowały sukcesu i wypytywały, w jaki sposób odniósł zwycięstwo nad Demonem i wyratował ich współbraci. Król małp opowiedział im wszystko z naj-

większą dokładnością, a jego poddani bez przerwy wznosili okrzyki zachwytu i uwielbienia.

— Nigdy by nam nawet przez myśl nie przeszło — mówiły małpy — że nasz król zdobędzie taką tajemną wiedzę i będzie mógł dokonywać takich czarodziejskich czynów.

— Owego roku, gdy się z wami rozstawałem — ciągnął swoje opowiadanie Sun Wu-k'ung — powierzyłem swój los falom i prądom morskim, które mnie zaniósł przez Wschodni Ocean ku krainie Dżambudwipa. Tam poznałem ludzkie zwyczaje, nauczyłem się nosić ubranie i obuwie. Wałęsałem się jeszcze po tamtym świecie przez osiem czy dziewięć lat, ale nigdzie nie mogłem znaleźć prawdy. Później przeprawiłem się przez Zachodni Ocean i przybyłem do krainy Kurudwipa. Tam spędziłem wiele czasu na poszukiwaniach, aż w końcu napotkałem pewnego starego mistrza, który przekazał mi tajemnicę zdobycia długowieczności równej niebu, nauczył mnie, jak osiągnąć nieśmiertelność.

— Jakże rzadko trafia się tak niebywale szczęście! — wykrzykiwały w uniesieniu małpy.

— Posłuchajcie, moje maleństwa — rzekł śmiejąc się Sun Wu-k'ung. — Myślę, że się ucieszycie, jeśli wam powiem, że odtąd wszyscy będziemy mieli nazwisko.

— A jakie nazwisko nosi nasz wielki władca? — wypytywały małpy jedna przez drugą.

— Nazwisko moje brzmi Sun, przyjąłem też zakonne imię Wu-k'ung — odpowiedział im król.

Usłyszawszy to, małpy z zachwytem klaskały w dłonie i mówiły między sobą:

— Nasz wielki król to stary Sun, a my jesteśmy Sun Drugi, Sun Trzeci, Sun Drobny, Sun Mały; stanowimy ród Sun, kraj Sun, wszyscy nosimy jedno nazwisko, Sun.

Oddając cześć założycielowi rodu, staremu Sunowi, małpy kolejno przynosiły wielkie misy, czarki, wino kokosowe i wino gronowe, czarodziejskie kwiaty i cudowne owoce, przygotowując prawdziwy zjazd rodzinny.

Ach, co za radość! Wspólne nazwisko łączy ich wszystkich w jeden ród, oczekujący długowieczności i sławy.

Na pewno nie domyślacie się, jak się to wszystko skończyło. Jeśli zaś chcecie poznać dalsze dzieje króla małp i jego rodu, to posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ TRZECI

o tym, jak cztery morza i tysiąc gór ukorzyły się przed królem małp i w jaki sposób wykreślono imiona z dziesięciu registrów w Krainie Podziemi.

Tak więc, jak mówiliśmy, Wspaniały Król Małp zabił potężnego Demona, zdobył jego miecz i triumfalnie wrócił do swego królestwa. Następne dni poświęcił ćwiczeniu swych małpich poddanych we władaniu bronią. Nauczył ich też robić piki z ociosanych bambusów i drewniane miecze. Pod jego kierunkiem ustawiać bojowe chorągwie, pełnili wartę, ćwiczyli się w nacieraniu na wroga i wycofywaniu się; pokazał im, jak należy rozbijać obóz, budować obronne zasieki i wiele innych wojennych sztuczek. Pewnego razu jednak Sun Wu-k'ung popadł nagle w zadumę:

— Te nasze zabawy — powiedział po chwili — może ktoś wziąć za prawdziwe przygotowania do wojny. Jakiś strachliwy król ludzi, ptaków czy zwierząt może te nasze ćwiczenia uznać za wykroczenie i prowokację. Powiedzą, że się przygotowujemy do ataku na inne państwa. Wtedy na pewno na czele swych wojsk wyruszą przeciwko nam, a wówczas w jaki sposób zdołamy stawić wrogowi czoła za pomocą tych bambusowych pik i drewnianych mieczy? Musimy koniecznie postarać się o ostre miecze i halabardy. Tylko skąd je wziąć?

Usłyszawszy te słowa, małpy przeraziły się nie na żarty.

— Nasz władca ma całkowitą rację — mówiły między sobą — tylko rzeczywiście nie ma skąd wziąć prawdziwej broni.

Wtedy do przodu wystąpiły jakieś cztery stare małpy. Dwie z nich przypominały mandryle swoimi czerwonymi zadami, dwie zaś należały do gatunku o bezwłosych grzbietach.

— Nasz wielki królu — powiedziały — zdobycie dobrej, ostrej broni nie powinno ci nastęrczać większych trudności.

— Dlaczego to? — zapytał Sun Wu-k'ung.

— Jeśli udasz się na wschód od naszej góry — odpowiedziały cztery stare małpy —

trafiz na przestwór wodny ciągnący się przez dwieście mil. Na jego krańcu znajduje się kraina Aolai. Krajem tym włada pewien król, a miasta jego wypełnione są niezliczoną ilością wojska i ludzi. Na pewno wśród nich znajdują się rzemieślnicy wyrabiający różne przedmioty ze złota, srebra, miedzi lub żelaza. Gdybyś ty, nasz władco, tam się udał, kupił albo zamówił trochę broni i nauczył nas nią władać, to wtedy z pewnością byśmy mogli obronić naszą górę przed każdym wrogiem. To byłby najlepszy sposób dla zapewnienia naszego spokoju i pomyślności po wsze czasy.

Sun Wu-k'ung posłyszawszy te słowa uradował się z całego serca i w te słowa zwrócił się do swoich ziomków:

— Pobawcie się tutaj jeszcze trochę, a ja wyruszę na poszukiwanie broni.

Po tych słowach Wspaniały Król Małp podskoczył na jednej nodze, dosiadł przesuwał się nad nim chmury i w mgnieniu oka znalazł się po drugiej stronie dwustumilowych wodnych przestworzy. I rzeczywiście, wkrótce dostrzegł olbrzymie miasto, otoczone murami i fosą, poprzecinane sześcioma głównymi drogami, posiadające trzy rozległe targowiska. Ludzi były tam roje, chodzili, biegali w rozmaitych kierunkach. Wszyscy wyglądali na szczęśliwych pod dobroczynnym oddziaływaniem fluidów nieba i słońca.

Tutaj na pewno znajdę jakąś broń — pomyślał sobie w duchu Sun Wu-k'ung. — Zejdę chyba z tej chmury i kupię kilka sztuk. A może lepiej jednak będzie zdobyć tę broń za pomocą czarów?

Jak pomyślał, tak zrobił. Wyszeptał tajemne zaklęcie i wpatrując się w ziemię z całej siły na nią dmuchnął. W tym momencie nad miastem rozpuściła się straszliwa wichura, piasek i kamienie wirowały w powietrzu wprawiając w przerażenie jego mieszkańców.

Gwałtowny wicher wystraszył cały lud państwa Aolai. Opustoszały ulice i targowiska, wszyscy ukryli się w swych domach, zamykając dokładnie drzwi i okna. Nikt nie odważył się wyjść na ulicę. Wtedy Sun Wu-k'ung opuścił się ze swej chmury na ziemię i dostał prosto na teren pałacu. Tam odnalazł magazyn broni, wyłamał bramę arsenału i wewnątrz ujrzał niezliczone ilości rozmaitej broni. Były tam i miecze, i lance, i pałasze, a także halabardy i bojowe topory, siekiery, kosy, bicze, kopie, widły, batogi, rohatyny, kusze, łuki, strzały i wiele innych rodzajów uzbrojenia. Sun Wu-k'ung na ten widok wpadł w wielki zachwyty.

— Heż ja zdołam sam jeden tej broni przenieść? — zastanawiał się. — Chyba trzeba się będzie znów uciec do magicznej metody „bezgranicznego rozmnożenia”. — To rzekłszy, Wspaniały Król Małp znów wyrwał sobie garść włosów, rozgryzł zębami na drobnutki kawałeczki, a następnie wypluł i wypowiedział magiczne zaklęcie: „Przemieńcie się”. Kawałki włosów w jednej chwili przemieniły się w setki i tysiące małpek, które jedna przez drugą zaczęły dźwigać i wynosić broń z arsenału. Co silniejsze, zabierały na raz po pięć, sześć sztuk, słabsze zaś mogły unieść tylko po dwa lub trzy miecze albo topory. W ten sposób małpy bardzo szybko wyniosły cały zapas broni z arsenału. Ładunek został przeniesiony prosto na oczekującą chmurę, która popycha-

na gwałtownym wichrem, znów wyczarowanym przez Sun Wu-k'unga, bardzo szybko dowiozła małpy i broń na Górę Kwiatów i Owoców.

W tym czasie małpy, oddające się różnorodnym zabawom przed Jaskinią Wodnej Zasłony, usłyszały nagle przeraźliwy świst wichru, a gdy uniosły głowy, ujrzały nad sobą niezliczone rzesze jakichś małpich stworów, wydających okropne świsty i krzyki. Napędziło im to takiego stracha, że rozbiegły się po całej okolicy i pochowały, gdzie która mogła. Po chwili Wspaniały Król Małp wylądował na swojej chmurze, rozproszył ją, wstrząsnął się cały i jego dzielni tragarze znów się zmienili w kępkę włosów na jego ciele. Sun Wu-k'ung stanął u podnóża góry, gdzie zwalono na kupę przywiezioną broń, i zawołał:

— No, gdzie jesteście, moi mali? Chodźcie szybko wybrać sobie broń!

Gdy małpy wyrzwały ze swoich kryjówek i zobaczyły tylko Sun Wu-k'unga, który stał samotnie na oświetlonym promieniami słońca stoku góry, pośpiesznie podbiegały do niego i bijąc pokłony, zaczęły wypytywać o przebieg wyprawy. Sun Wu-k'ung opowiedział im dokładnie o wszystkim, jak wywołał wicher, która przestraszyła mieszkańców miasta, i w jaki sposób sprowadził taką dużą ilość broni. Małpy wyraziły swemu władcy wdzięczność za troskę, jaką ich otacza, a następnie rzuciły się do sterty broni, chwytając miecze, pałasze, wrywając sobie z rąk siekiery wojenne i lance, tocząc kłótnie o kusze i łuki. Wrzawa, jaka temu towarzyszyła, aż do końca dnia nie ucichła ani na chwilę.

Nazajutrz wszystkie małpy jak zwykle ustawiły się w oddziały. Sun Wu-k'ung zebrał tym razem wszystkie małpy, a było ich ponad czterdzieści siedem tysięcy. Poruszeni ostatnimi wydarzeniami, a zamieszkujący okoliczne góry władcy dzikich zwierząt, takich jak wilki, tygrysy, pantery, jelenie, żbiki, borsuki, lisy, susły, goryle, lwy, słonie, szympanse, niedźwiedzie, kozice, dziki, jednorożce, a także królowie różnego rodzaju wampirów, potworów, wilkołaków i strzyg, będących panami siedemdziesięciu dwóch grot, przybyli do Jaskini Wodnej Zasłony, żeby złożyć hołd królowi małp. Raz na rok składali mu daninę, zaś cztery razy w roku zjawiali się do kontroli. Niektórzy z nich w ustalonej kolejności wykonywali różne prace, inni zobowiązani byli do zaopatrywania małpiego państwa w żywność w określonych odstępach czasu. Wszystko odbywało się dokładnie według ustalonego porządku i Góra Kwiatów i Owoców stała się wkrótce warowną twierdzą o murach mocnych jak z żelaza. Królowie różnych dziwnych stworów prześcigali się w składaniu drogo-cennych darów. Jedni przysyłali magiczne bębny ze złota, inni — barwne chorągwie, cudowne zbroje i hełmy. A małpy odtąd codziennie ćwiczyły się we władaniu bronią i przeprowadzały wojenne marsze.

Pewnego razu, radując się swoimi osiągnięciami, Wspaniały Król Małp w te słowa zwrócił się do swoich poddanych:

— No, i jak — powiedział. — Widzę, że już potraficie posługiwać się bronią, umiecie już strzelać z łuku i z kuszy. Tylko ten mój miecz jakoś mi się nie podoba. Jest duży i nieporęczny. Co by tu zrobić?

Wtedy do przodu wystąpiły cztery stare małpy i z należnym władcy szacunkiem oznajmiły:

— Przecież ty, nasz wielki królu, jesteś nieśmiertelnym mędrcem, a więc nie przystoi ci nosić jakiegokolwiek ziemskiej broni. Ciekawe jednak jesteście, czy ty, nasz władco, potrafisz się przedostać w głębiny wodne?

— Od czasu, gdy poznałem wielką naukę, posiadam tajemnicę siedemdziesięciu dwóch ziemskich przeistoczeń — rzekł Sun Wu-k'ung — za największą zaś z mych duchowych osiągnięć uważam zdolność szybowania pośród chmur. Potrafię także stać się niewidzialnym, stosować metodę „bezgranicznego rozmnożenia”. Otworem przede mną stoi droga do nieba i bramy wiodące do Królestwa Podziemi. Mogę, nie rzucając cienia, przechadzać się w świetle słońca i księżyca, potrafię bez żadnych trudności przenikać przez kamień i metal. Woda nie może mnie zatopić ani ogień spalić. Czyż jest takie miejsce we wszechświecie, gdzie bym nie mógł dotrzeć?

— Skoro ty, nasz królu, władasz taką czarodziejską siłą — powiedziały cztery małpy — to dobrze by było, żebyś wiedział, że woda, przepływająca pod naszym żelaznym mostem, wiedzie prosto do pałacu Smoka Wschodniego Oceanu. Gdybyś ty, nasz wielki królu, zechciał zejść do podwodnego świata, odszukać Starego Króla Smoków i poprosić go o jakąś odpowiednią broń, na pewno byś się nie zawiódł.

Sun Wu-k'ungowi bardzo przypadło to do gustu.

— Wobec tego wybiorę się tam! — stwierdził krótko i węzłowato.

Wspaniały Król Małp w kilku skokach wbiegł na most, wypowiedział zaklęcie mające zabezpieczyć go przed szkodliwym działaniem wody i z pluskiem dał nurka w nadbiegającą falę. Torując sobie ramionami drogę pod wodą, wkrótce znalazł się na dnie Wschodniego Oceanu. Gdy wędrował tak przez pewien czas pod wodą w poszukiwaniu pałacu króla smoków, zatrzymał go strzegący podwodnych głębin dobrotliwy duch Jaksza.

— Któż to przemyka przez podwodną krainę? — zapytał. — Kim jesteś, boski mędrcze? Powiedz mi, proszę, a pośpieszę zawiadomić mego władcę, by wyszedł ci na spotkanie.

— Jam jest zrodzony przez niebo święty mędrzec Sun Wu-k'ung z Góry Kwiatów i Owoców — odparł król małp. — Jestem bliskim sąsiadem twojego pana, Starego Króla Smoków. Jakże możesz mnie nie znać?

Usłyszawszy te słowa Jaksza jak mógł najszybciej wrócił do Kryształowego Pałacu i zawiadomił swego władcę:

— Wielki królu, napotkałem w morzu zrodzonego przez niebo świętego mędrca Sun Wu-k'unga z Góry Kwiatów i Owoców. Mówi, że jest twoim najbliższym sąsiadem, królu, i wybiera się do twego pałacu, żeby cię odwiedzić.

Usłyszawszy te słowa Król Smoków Wschodniego Oceanu, Ao Kuang, szybko poderwał się ze swego tronu i w otoczeniu swoich dzieci, wnucząt, krewetek-żołnierzy i krabów-generałów wybiegł przed bramę swego pałacu.

— Prosimy, prosimy do środka, czcigodny nieśmiertelny! — zapraszał przybyłego gościa.

Gdy znaleźli się w pałacu, zgodnie z przyjętym obyczajem, wskazał gościowi honorowe miejsce i poczęstował go herbatą. Po tych wstępnych ceremoniach król smoków zagadnął przybysza:

— Czy mógłbym się dowiedzieć, kiedy czcigodny nieśmiertelny poznał najwyższą prawdę i której z tajemnych nauk się poświęcił?

— Gdy się tylko urodziłem — odpowiedział mu Sun Wu-k'ung — od razu porzuciłem rodzinne strony i oddałem się samodoskonaleniu. Osiągnąłem to, że ciało moje nie podlega już prawom narodzin i śmierci. W ostatnich czasach zacząłem ćwiczyć moich synów i wnuków w rzemiośle wojennym, aby mogli bronić swej góry i jaskini, jeśli zajdzie potrzeba. Ale cóż można zdziałać, gdy się nie ma odpowiedniej broni. Dochodziły mnie słuchy, że czcigodny sąsiad w nefrytowych salach i perłowych komnatach swego pałacu przechowuje niezliczone krocie cudownej broni. Dlatego przybyłem tu specjalnie, by uprosić was o coś dla mnie odpowiedniego.

Królowi smoków nie wypadało odmawiać prośbie swego gościa, a więc polecił dowódcy-okoniowi przynieść olbrzymi miecz i uroczyście mu go wręczyć.

— Nie wiem dlaczego, ale jakoś nie potrafię posługiwać się tym mieczem — rzekł Sun Wu-k'ung. — Czy mógłbym was poprosić o jakąś inną broń?

Król smoków wezwał rotmistrza-kielbiera oraz silacza-węgorza i kazał im przynieść olbrzymie bojowe widły o dziewięciu zębach. Sun Wu-k'ung, zobaczywszy je, chwycił w dłoń, wykonał kilka ćwiczebnych ciosów i pchnięć, po czym odłożył je na bok i zawołał:

— Ależ one są lekkie! Lekkie! Za lekkie! I jakoś mi nie leżą w dłoni! Czy mógłbym was poprosić o jeszcze coś innego?!

Król smoków roześmiał się na to:

— Ależ czcigodny nieśmiertelny mędrze — rzekł. — Czy żeś nie spostrzegł, że te widły ważą trzy tysiące sześćset funtów?

— Wszystko jedno! To nie ma znaczenia! One, jak powiedziałem, nie leżą mi w dłoni.

Na to król smoków tak się zaniepokoił, że kazał generałowi-leszczowi i rotmistrzowi-karpiowi dostarczyć olbrzymią halabardę o ciężarze siedmiu tysięcy dwustu funtów.

Gdy ją tylko Sun Wu-k'ung zobaczył, podbiegł i chwycił w ręce. Machnął nią kilka razy nad głową, zrobił kilka ćwiczeń, a w końcu wbił ją w piasek i powiedział:

— Lekka, zbyt lekka!

Król smoków tym razem już się bardzo przestraszył.

— Prześwietny nieśmiertelny mędrze! — wyjaśnił. — U mnie w pałacu nie znajdziesz już cięższej halabardy. Innej broni też nie posiadam.

— Jeszcze w zamierzchłych czasach ludzie mówili: „Nie ma co wysłuchiwać żalów króla smoków, że nie posiada żadnych skarbów” — powiedział śmiejąc się Sun Wu-k'ung. — Mnie nie oszukasz. No, idź, poszukaj jeszcze. Jeśli coś mi znajdziesz odpowiedniego, na pewno dobrze za to zapłacę.

— Ależ ja naprawdę nic więcej nie mam! — upierał się przy swoim król smoków.

Właśnie gdy to mówił, z dalszych komnat pałacu wyszła żona króla smoków z córką. Zbliżyła się do swego męża i powiedziała:

— Wielki królu, wszystko wskazuje na to, że ten mędrzec nie jest byle kim. Mamy przecież w magazynie na dnie morza cudowne żelazo, którym ubijano kiedyś

Drogę Mleczną na niebie. Przez kilka ostatnich dni żelazo wydzielalo jakiś dziwny blask, jakby tętniący życiodajnym technieniem. Czyż nie było to zapowiedzią pojawienia się tego mistrza?

— Przecież to żelazo jest święte — zaprotestował król smoków. — Sam Wielki Jü, legendarny władca, za pomocą tej żelaznej żerdzi ustalał głębokość rzek i mórz. Jakże ten mędrzec zdoła się tym żelazem posłużyć?

— Nie martw się tym, czy on potrafi się nim posługiwać, tylko mu je oddaj — poradziła żona królowi smoków. — Niech zrobi z nim, co zechce. Najważniejsze, żeby tylko jakoś wynieść je poza obręb pałacu.

Stary Król Smoków poszedł za radą żony i powiedział Sun Wu-k'ungowi o cudownym żelazie.

— Przynieście tę żelazną żerdź, niech ją obejrzę — poprosił król małp.

Król smoków zamachał tylko w górze rękoma na znak niemożliwości spełnienia tej prośby i rzekł:

— Jest taka ciężka, że nie można jej ani przynieść, ani nawet ruszyć z miejsca. Myślę, że nasz czcigodny nieśmiertelny będzie musiał osobiście się pofatygować, żeby ją obejrzeć.

— A gdzie ona jest? Proszę, zaprowadźcie mnie tam natychmiast! — z niecierpliwością w głosie zażądał król małp.

Król smoków prowadził go do pałacowego magazynu na dnie morza, gdy nagle tysiącem promieni uderzył ich w oczy jakiś złocisty blask.

— To tam, skąd wydobywa się to światło — rzekł król smoków wskazując na błyszczący przedmiot.

Sun Wu-k'ung zawiązał polity szaty, zrobił kilka kroków i zbliżywszy się do polyskującego przedmiotu, lekko go poklepał. Był to rzeczywiście jakby potężny słup z żelaza, długości na ponad dwa chłopa i w obwodzie wielkości wiadra. Objął obiema rękoma żelazo i wyczerpując wszystkie siły spróbował je unieść.

— No cóż, trzeba przyznać, że ma niezłą długość i grubość też całkiem, całkiem — rzekł. — Gdyby choć troszeczkę było mniejsze, wtedy akurat by mi się nadało.

Zaledwie Sun Wu-k'ung skończył mówić, gdy cudowny słup nagle stał się krótszy o kilka piędzi i odpowiednio cieńszy. Król małp jeszcze raz sprawdził, ile waży żelazny drąg, po czym rzekł:

— Gdyby tak stał się jeszcze troszeczkę cieńszy, toby było wyśmienicie!

I dacie wiarę? Cudowna żerdź naprawdę stała się jeszcze cieńsza, co wprawiło Sun Wu-k'unga we wspaniałą nastrój. Wyniósł żelazo z podwodnego składu króla smoków i dokładnie je obejrzał. Żerdź zrobiona była z czarnego żelaza i z obu stron zakończona srebrnymi obręczami. Na jednej z nich widniał wygrawerowany rząd znaków: „Spełniająca życzenia żerdź ze złotymi obręczami — ciężar trzystaście tysięcy pięćset funtów”.

Sun Wu-k'ung bardzo się w duchu cieszył: „Chyba ta drogocenna broń spełni wszelkie moje marzenia” — myślał.

Niosąc żerdź na ramieniu i podrzucając ją od czasu do czasu Sun Wu-k'ung rozmyślał: „Jak by to było wspaniale, gdyby ta żerdź jeszcze się trochę skurczyła!”

I rzeczywiście, gdy wyniósł ją na zewnątrz, żerdź miała już tylko dwa sążnie długości, a grubość nie większą niż dno czarki.

Popatrzcie tylko, jakie sztuki zaczął nią Sun Wu-k'ung wycyzniać: to się składał do ciosu, to kręcił młynka, podrzucał w górę, podbijał rękami i nogami, o mało nie rozwalil kryształowego pałacu. Stary Król Smoków cały dygotał ze strachu, jego królewskim synom serca podeszły pod gardła. Generałowie-żółwie skurczyły szyje, kryjąc głowy w swych skorupiastych zbrojach, a ryby, krewetki i kraby rozpiechły się na wszystkie strony, ginąc z oczu w różnych zakamarkach pałacu.

Sun Wu-k'ung, dzierżąc w dłoni nową, cudowną broń, rozsiadł się wygodnie w Kryształowym Pałacu i z uśmiechem na ustach zwrócił się do króla smoków:

— Wielkie dzięki, czcigodny sąsiedzie, za twoją łaskawość.

— Nie ma o czym mówić! To drobiazg! — odpowiedział król smoków.

— To żelazo jest wprost fantastyczne — ciągnął dalej Sun Wu-k'ung — ale miałbym do ciebie jeszcze jedną prośbę.

— O co jeszcze chce mnie prosić czcigodny nieśmiertelny? — zapytał król smoków z niepokojem w głosie.

— Póki nie miałem tego cudownego żelaza, sprawa nie miała takiego znaczenia — wyjaśniał cierpliwie Sun Wu-k'ung — ale teraz do tej wspaniałej broni powinienem mieć odpowiedni strój. Tylko skąd go wziąć? Może tu, u was, królu, znajdzie się jakieś pasujące na mnie odzienie. Błagam cię, byś mi je podarował, a za wszystko razem ci się odwdzięczę.

— Ależ u nas takich rzeczy naprawdę nie ma! — próbował się wymówić król smoków.

— Stare przysłowie głosi: „Przyzwoity gość nie będzie niepokoił dwóch gospodarzy” — odpowiedział mu na to Sun Wu-k'ung. — Skoro twierdzisz, że nic z tych rzeczy nie masz, to ja się stąd nie ruszę, dopóki mi coś odpowiedniego nie znajdziesz.

— Może czcigodny nieśmiertelny by się pofatygował jeszcze do innego oceanu, może tam by się coś znalazło — próbował doradzać król smoków.

— Powiadają, że „lepiej siedzieć w jednym domu, niż biegać po trzech” — wymówił się od dalszych poszukiwań Sun Wu-k'ung. — Jeszcze raz na wszystko cię proszę, byś znalazł dla mnie jakieś stosowne odzienie.

— Ależ naprawdę nie mam! — tłumaczył się król smoków. — Gdybym miał, toby ci przecież dał!

— Mówisz, że naprawdę nie masz?! — krzyknął król małp. — No, to wypróbuję na tobie to moje żelazo.

— Czcigodny mędrce! — zawołał przerażony król smoków. — Nie ruszaj mnie! Daj spokój! Poczekaj trochę, pobiegnę do moich braci. Może u nich coś znajdę i będę mógł ci ofiarować.

— A gdzie mieszkają twoi bracia? — zapytał Sun Wu-k'ung.

— Jeden z nich, Ao Ts'in, jest Królem Smoków Południowego Oceanu, drugi, Ao Szun, króluje nad smokami Północnego Oceanu, a trzeci, Ao Żung, posiada swoje smocze królestwo w Zachodnim Oceanie — wyjaśnił król smoków.

— W każdym bądź razie ja tam do nich nie pójde. Zdecydowałem pozostać

tutaj — oświadczył Sun Wu-k'ung. — Ludzie słusznie powiadają: „Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu”. Mam nadzieję, że tu czy tam sami znajdziecie dla mnie jakiś przyzwoity strój.

— Nie musisz nigdzie chodzić, czcigodny mędrce — pośpieszył z wyjaśnieniem król smoków. — Mamy tu u nas żelazny bęben i dzwon ze złota. Ilekroć zajdzie jakaś nagła potrzeba, bijemy w bęben i uderzamy w dzwon. Dźwięki ich rozbrzmiewają w wodach wszystkich oceanów i bracia moi natychmiast stawiają się na wezwanie.

— Skoro tak, to wydaj szybko polecenie uderzenia w bęben i dzwon — zażądał Sun Wu-k'ung.

I rzeczywiście, na rozkaz swego władcy, generał-krokodyl pobiegł do dzwonu, a komandor-żółw do bębna i zaczęli miarowo w nie uderzać.

Minęło zaledwie parę chwil i wezwani dźwiękami bębna i dzwonu trzej królowie smoków zjawili się przed Kryształowym Pałacem.

— Starszy bracie, jakaż to ważna sprawa kazała ci uderzyć w bęben i dzwon, by nas tu wezwać? — zapytał Ao Ts'in.

— Czcigodni bracia — zaczął swoje wyjaśnienia stary smok. — Trudno nawet to wszystko opowiedzieć! Przybył do mnie jakiś zrodzony przez niebo mędrzec z Góry Kwiatów i Owoców. Najpierw stwierdził, że jestem jego sąsiadem, a później zażądał, żebym mu podarował jakąś broń. Zaproponowałem mu widły bojowe z brązu, ale je uznał za małe. Chciałem mu ofiarować olbrzymią, barwnie zdobioną halabardę, ale i ona wydała mu się niedostatecznie ciężka. Dopadł w końcu w moim składzie cudowne żelazo, którym była niegdyś ubijana Droga Mleczna. Sam je wyciągnął na wierzch, machnął nią kilkakrotnie w powietrzu, a teraz rozsiadł się w moim Kryształowym Pałacu i domaga się jakiejś szaty. U siebie w pałacu nic takiego nie mam, a więc kazałem uderzyć w bęben i dzwon, by zaprosić do siebie czcigodnych braci. Może u was się znajdzie jakieś odpowiednie odzienie, które można by mu sprezentować i wyprawić na dobre poza bramy mego pałacu?

Usłyszawszy, co się stało, król smoków Ao Ts'in aż zakipiał z gniewu.

— Bracia moi! — zawołał. — Sprowadźmy tu nasze wojska i pochwyćmy go.

— Nie ma co myśleć o schwytaniu go. Nie ma co — uspokajał braci stary smok. — Wystarczy, że zahaczy nas tą żelazną żerdzią, a pożegnamy się z życiem, niech tylko nas nią stuknie, a koniec z nami, przebiję nam skórę i jak rogiem podziurawi.

— Niech mój drugi starszy brat lepiej z nim nie zaczyna — odezwał się Ao Żung, Król Smoków Zachodniego Oceanu. — Dajmy mu jakieś szaty i wyprowadźmy go za bramy pałacu. Później złożymy specjalną skargę w niebie. Niech niebo samo go ukarze.

— Słusznie powiadasz — rzekł Król Smoków Północnego Oceanu, Ao Szun. — Mam tu nawet parę pantofli haftowanych lotosowymi nićmi, w których można wspiąć się po chmurach. Mogę mu je podarować.

— Ja przyniosłem ze sobą zbroję ze szczerzego złota zapinaną na mocne zamki — oświadczył Król Smoków Zachodniego Oceanu, Ao Żung. — Dam mu ją w prezencie.

— Ode mnie dostanie ten złoty hełm zdobiony piórami feniksa — rzekł Król Smoków Południowego Oceanu, Ao Ts'in.

Stary Król Smoków, bardzo ucieszony, że zdoła się wreszcie pozbyć niezbyt miłego gościa, powrócił do Kryształowego Pałacu i złożył przed nieśmiertelnym mędrcem dary od braci smoków.

Sun Wu-k'ung nasadził na głowę helm, nałożył zbroję i cudowne pantofle i z żerdzią spełniającą życzenia opuścił w końcu Kryształowy Pałac.

— Z drogi! Niech was nie widzę! — warknął gniewnie przechodząc mimo smoków.

Nie będziemy tu już opisywać wielkiego wzburzenia Królów Smoków Czterech Oceanów, którzy urządzili wielką naradę w sprawie wystąpienia ze skargą na króla małp do władcy nieba.

Popatrzcie lepiej, co się dalej stało z królem małp. Torując sobie drogę przez podwodne królestwo dotarł prosto do żelaznego mostu. Gdy się wynurzył z wody, ujrzał dużą gromadę swych poddanych, którzy pod przewodem czterech starych małp oczekiwali przy moście na jego powrót. Nagle dostrzegli swego króla skaczącego po falach, był zupełnie suchy, na ciele jego nie połyskiwała ani kropla wody. Cały błyszczący od złota wkroczył na żelazny most. Zdumione jego nagłym pojawieniem i zachwycone wspaniałym strojem małpy rzuciły się przed nim na kolana, wołając:

— Nasz wielki królu, jakże wspaniale wyglądasz. Co za majestat od ciebie bije!

Twarz Sun Wu-k'unga promieniała z radości. Wdrapał się na swój tron ozdobiony drogocennymi kamieniami, a obok siebie wbił w ziemię żelazną żerdź. Niektóre małpy, nie wiedząc, co to za dziwo, podchodziły ostrożnie do cudownej broni swego króla, próbując ją unieść. Ale daremne były ich wysiłki, wyglądały jak koniki polne usiłujące podnieść żelazny słup. Ciężka broń ich wodza nawet nie drgnęła.

— Ojcie nasz i władco — mówiły gryząc palce i wywalając języki z podziwu. — Taki ciężar! Jakże zdołałeś go unieść?!

Sun Wu-k'ung wstał, podszedł bliżej i unosił żelazną żerdź jedną ręką.

— Każda rzecz ma swego pana — rzekł z uśmiechem do zebranych małp. — Ten skarb ukryty był w składzie na dnie morza. Nawet nie wiem, ile setek i tysięcy lat tam przeleżał. Nagle w tym roku zaczął rzucać jakiś dziwny blask. Król smoków uważał go za kawałek czarnego żelaza, zwano go także cudownym klejnotem, którym ubijano kiedyś Drogę Mleczną. Nikt tam nie miał dość siły, by go unieść, i dlatego poproszono mnie, żebym go sam sobie zabrał. Wtedy skarb ten był na dwa chłopa długi, a gruby jak dno wiadra. Chwyciłem go w ręce i myślę sobie, że jednak jest dla mnie za duży, a on tymczasem zmniejszył się znacznie. Gdy znów wyraziłem życzenie, zmałał jeszcze bardziej. I tak za każdym razem, gdy wyrażałem życzenie, by żelazna żerdź się zmniejszyła, natychmiast się ono spełniało. Kiedy przyjrzałem się jej uważnie w blasku nieba, dostrzegłem wygrawerowany na niej rząd znaków: „Spełniająca życzenia żerdź ze złotymi obręczami — ciężar trzynaście tysięcy pięćset funtów”. Rozstąpcie się teraz trochę na boki, a pokażę wam, jak się cudownie zmienia.

Sun Wu-k'ung podrzucił swoją drogocenną broń w rękę i mówił: — Mała! Mniejsza! Jeszcze mniejsza! — A żerdź rzeczywiście stopniowo stawała się coraz mniejsza i mniejsza, aż w końcu stała się nie większa od igły do haftowania, tak że można ją było nawet zasadzić za uchem.

Małpy prawie oniemiały z wrażenia.

— Wielki królu — wołały — zrób z nią jeszcze jakąś sztukę!

Król małp wyjął ją zza ucha, położył na dłoni i wołał: — Duża! Większa! Jeszcze większa! — Rzeczywiście igła w oczach grubiała, wydłużała się, potężniała, aż znów wróciła do początkowych rozmiarów. W tym momencie Sun Wu-k'ung tak się rozochocił, że wskoczył na most, wybiegł z cudowną żerdzią przed jaskinię i stosując magię niebiańską i ziemską, pochylił się i zawołał: — Rośnij! — I w tym samym momencie stał się olbrzymem, wysokim na dziesięć tysięcy sążni, głowa jego przypominała świętą górę T'ai, a biodra podobne były grzbietom i łańcuchom górskim. Oczy ciskały błyskawice, a na tle szkarłatnej misy ust połyskiwały zęby ostre jak miecze. Cudowna żerdź, którą trzymał w dłoni, sięgała teraz w górze do trzydziestej trzeciej sfery nieba, a w dole do osiemnastego kręgu piekieł. Zamieszkujące w pobliskich górach tygrysy, pantery, wilki i inne dzikie bestie, wilkołaki, strzygi, potwory, władcy złych duchów z siedemdziesięciu dwóch grot drżąc z przerażenia, na pół żywi, przybiegli bić pokłony królowi małp i okazać mu swą uległość. Sun Wu-k'ung ponownie wypowiedział zaklęcie i w jednej chwili wrócił do pierwotnej wielkości. Również drogocenny skarb, żelazną żerdź, zmniejszył do wielkości hafciarskiej igły, zatknął ją sobie za uchem i powrócił do swego pałacu w jaskini. Liczni wodzowie, królowie demonów z sąsiednich grot, przybyli, by złożyć mu gratulacje z okazji nowego osiągnięcia.

Tymczasem rozwinięto wielkie chorągwie, wydano rozkaz bicia w bębny, gongi i dzwony. Przygotowano wspaniałą ucztę, w czasie której podawano wszelkie rodzaje jadła o stu smakach, sok z palmy kokosowej oraz różne gronowe wina i napoje. Razem ze swymi poddanymi ucztował Sun Wu-k'ung bardzo długo, a później przystąpiono znów do nauki i ćwiczeń wojskowych.

Król małp mianował cztery stare małpy dowódcami. Dwóm mandryłom przyznał tytuły marszałków Ma i Liu, a dwóm innym małpom dał nominacje na generałów P'eng i Pa. Tym czterem małpom powierzył Sun Wu-k'ung budowę obozu i otoczenie go obronną palisadą oraz wszystkie sprawy związane z przydziałem nagród i nakładaniem kar, sam zaś, spokojny o losy swego państwa, dokonywał codziennych spacerów wśród chmur, wędrował po głębinach czterech oceanów, hasał pośród tysiąca gór. Jednocześnie nadal się ćwiczył w rzemiośle wojennym, odwiedzał słynnych rycerzy, doskonalił się w sztuce czarnoksięskiej, nawiązywał liczne więzi przyjaźni pośród nieśmiertelnych. W tym czasie zdążył zawrzeć braterski sojusz z sześcioma złymi demonami: bykiem, rzeczonym smokiem, gryfem, lwem, gorylem i mandrylem. Razem z królem małp tworzyli oni wielką siódemkę. Spotykali się niemal codziennie, rozprawiali o sprawach życia i o sztuce wojennej, pili przy tym wino pucharami i dzbanami, słuchali muzyki i pieśni, przyglądali się tańcom, i tak dzień za dniem od rana do nocy spędzali na rozmaitych zabawach i uciechach. Odległość dziesięciu tysięcy wiorst sprawiała im nie więcej kłopotu niż wyjście za ogrodzenie swego domostwa. Można powiedzieć, że jednym skinięciem głowy przemierzali trzy tysiące wiorst, a schylenie ciała przenosiło ich na odległość ponad ośmiuset dziennych odcinków marszowych.

Pewnego dnia Sun Wu-k'ung polecił swym czterem dowódcom urządzić w Jaskini Wodnej Zaslony wielką ucztę, na którą zaprosił sześciu braci-królów. Na tę okazję przygotowano wielkie ilości wina, zarżnięto kilkanaście wołów i koni. Po złożeniu odpowiednich ofiar niebu i ziemi rozpoczęły się śpiewy i tańce, wszyscy jedli i pili do upadłego.

Odprowadziwszy sześciu królów za granice swego królestwa, Sun Wu-k'ung wynagrodził swoich poddanych za włożony trud w przygotowanie uczt, a następnie sam legł w cieniu sosen przy żelaznym moście i zapadł w sen. Czterej wodzowie na czele grupy małpich strażników rozstawili warty wokół swego króla pilnując, by nikt nie zakłócił mu odpoczynku.

Nagle Wspaniały Król Małp ujrzał przez sen dwóch ludzi z jakimś dokumentem, na którym wyraźnie można było dostrzec trzy znaki „Sun Wu-k'ung”. Zbliżyli się do niego i zanim Sun Wu-k'ung zdążył z siebie słowo wydobyć, wyciągnęli sznury, zwiążali jego duszę i powlekli ją ze sobą ku otoczonemu potężnymi murami grodowi. Wspaniały Król Małp stopniowo dochodził do siebie po oszołomieniu z niedawnego pijaństwa, a gdy nagle uniósł głowę i spojrzął na bramę grodu, gdzie go wleczono, zobaczył na niej żelazną tablicę z trzema znakami „Podziemne Królestwo Ciemności”. Sun Wu-k'ung na ten widok natychmiast wytrzeźwiał.

— Przecież Podziemne Królestwo Ciemności jest siedzibą władcy piekieł, Jen-wanga! — zawołał. — Po co mnie tu przyprowadziliście?

— Lata twego doczesnego życia dobiegły dziś końca — odpowiedzieli mu dwaj wysłańcy. — Sprowadziliśmy cię tu spełniając rozkaz naszego pana.

— Jam jest Sun Wu-k'ung — rzekł Wspaniały Król Małp usłyszawszy ich wyjaśnienie. — Dawno już wyzwoliłem się ze świata ziemskich cierpień. Nie składam się już z pięciu praelementów i nie podlegam śmiertelnym wyrokom waszego władcy. Czyście rozum postradali? Nie macie prawa mnie tu ciągnąć!

Piekielni wysłańcy nie zważając jednak na jego protesty wciągnęli go do środka Podziemnego Królestwa, tak jak to czynili z duszami zmarłych. Wspaniały Król Małp nie mógł już dłużej opanować swojej wściekłości, wyciągnął zza ucha cudowną broń, potrząsnął nią i natychmiast zmieniła się w grubą, długą żerdź. Wystarczyło, że raz nią machnął, a z dwóch śmiertelnych posłańców pozostał pasztet. Sun Wu-k'ung oswobodził się z reszty pęt i wymachując żerdzią na wszystkie strony wkroczył w głąb Podziemnego Królestwa Ciemności. Wystraszeni bykoglówi strażnicy piekielni pochowali się w najciemniejsze zakamarki, a koniopyscy gwardziści gnali przed nim na oślep po ciemnych korytarzach piekła. Gromada innych demonów wbiegła z krzykiem i piskiem do Pałacu Leśnych Sieci.

— Wielki królu! Nieszczęście! Nieszczęście! — wołały. — Jakiś włochaty książę piorunów zbliża się do pałacu rozbijając i niszcząc wszystko po drodze.

Dziesięciu sędziów śmierci struchlało z przerażenia. Poprawiając na sobie szaty, ustawili się w szeregu i ujrawszy przed sobą rozwścieżonego Sun Wu-k'unga, zawołali chórem:

— Czcigodny nieśmiertelny! Racz wymienić swoje imię!

— Skoro nie wiecie, jak się nazywam, to dlaczego wysłaliście strażników po moją duszę? — krzyknął Wspaniały Król Małp.

— Jakżebyśmy śmieli tak postąpić! — zaprzeczyli sędziowie. — Widocznie nasi wysłańcy popełnili jakąś karygodną pomyłkę.

— Jam jest Sun Wu-k'ung, zrodzony przez niebo mędrzec z Jaskini Wodnej Zastony na Górze Kwiatów i Owoców — oświadczył król małp. — A wy, jakie godności piastujecie?

Dziesięciu sędziów śmierci skłoniło się z szacunkiem i odpowiedziało: — Jesteśmy dziesięcioma sędziami śmierci na służbie cesarza Krainy Ciemności.

— Szybko podajcie swoje imiona — zażądał Sun Wu-k'ung — bo będę walił, gdzie popadnie.

— Nazywamy się Ts'in-kuang-wang, Cz'u-kiang-wang, Sung-ti-wang, Wu-kuan-wang, Jen-lo-wang, P'ing-teng-wang, T'ai-szan-wang, Tu-szy-wang, Ka-cz'eng-wang i Czuan-lun-wang — posłusznie przedstawiło się dziesięciu sędziów.

— Skoro rzeczywiście zajmujecie sędziowskie stolki, powinniście posiadać zdolność cudownego widzenia — rzekł Sun Wu-k'ung. — Jak to się więc dzieje, że nie rozróżniacie dobra i zła? Ja przez wiele lat doskonaliłem się w poznawaniu prawdy, osiągnąłem nieśmiertelność równą niebu. Wyzwoliłem się z więzów świata zmysłowego, nie podlegam prawom pięciu żywiołów. Jak więc mogliście wysłać swoich poddanych, żeby mnie tu przywieźli?!

— Uśmierz swój gniew, czcigodny nieśmiertelny — prosili sędziowie. — Na świecie wielu jest ludzi o jednakowych nazwiskach i imionach. Nasi wysłańcy na pewno pochwycili cię zamiast kogoś innego.

— Wszystko to są wierutne bzdury! Puste gadanie! — krzyknął Sun Wu-k'ung. — Znacie chyba stare przysłowie: „Władcy mogą się mylić, urzędnicy mogą się mylić, ale nie mylą się ci, których oni wysyłają”. Przynieście mi tu natychmiast rejestry śmierci. Sam się w nich rozejrzę!

Na te słowa dziesięciu sędziów zaprosiło króla małp, by zechciał wejść do pałacu i obejrzeć żądane rejestry.

Sun Wu-k'ung wkroczył ze spełniającą życzenia żerdzią w rękę do środka Pałacu Leśnych Sieci i zasiadł pośrodku sali, zwrócony twarzą ku stronie południowej, tak jak to czynili wszyscy władcy. Jeden z dziesięciu sędziów wydał polecenie archiwście, by przyniósł rejestry śmierci do sprawdzenia. Archiwista nie ośmielił się ani na minutę ociągać z wykonaniem rozkazu, natychmiast udał się do swojej kancelarii i wyniósł pięć czy sześć teczek z dokumentami i dziesięć ksiąg rejestru. Przeglądał księgi jedną po drugiej, najpierw rejestr owadów, później zwierząt pokrytych sierścią, piórami, pancerzami, łuskami, ale nigdzie imienia króla małp nie znalazł. Trzeba wam jednak wiedzieć, że chociaż małpy podobne są do człowieka, nie są wciągane do rejestrów ludzi. Wprawdzie istnieje u nich pewne podobieństwo do zwierząt, ale nie żyją one w jakimś określonym kraju; podobne są do dzikich bestii, jednak nie podlegają władzy świętego jednorożca K'ilina. Nawet ich podobieństwo do ptaków nie wchodzi w rachubę, ponieważ nie sprawuje nad nimi władzy król ptaków, feniks.

Pozostała jeszcze jedna księga. Sun Wu-k'ung postanowił sam ją przejrzeć. Gdy

doszedł do numeru tysiąc trzysta pięćdziesiąt, znalazł przy nim imię Sun Wu-k'ung. Było to imię kamiennej małpy zrodzonej przez niebo, a wyznaczony jej wiek życia wynosił trzysta czterdzieści dwa lata, które właśnie w tym roku upłynęły.

— Sam nie pamiętam, ile lat już przeżyłem! — wykrzyknął Sun Wu-k'ung. — Trzeba moje imię wymazać z tego rejestru! Podajcie mi pędzel!

Wystraszony archiwista szybko wręczył mu pędzel dobrze umaczany w gęstym tuszu. Wtedy Sun Wu-k'ung wziął do ręki rejestr i wymazał z niego wszystkie imiona małp, które były tam wymienione. W końcu cisnął księgę na ziemię i zawołał:

— Teraz już koniec! Jesteśmy kwita. Odtąd żadna z moich małp nie będzie podlegać waszej mocy.

Wywijając w powietrzu żelazną żerdzią Sun Wu-k'ung zaczął torować sobie drogę do wyjścia z Podziemnego Królestwa Ciemności. Żaden z dziesięciu sędziów nie odważył się do niego zbliżyć. Udali się natomiast do Pałacu Malachitowych Obłoków, by pokłonić się bodhisattwie Ti-tsang-wangowi i naradzić się z nim, czy powinni zwrócić się ze skargą do Nefrytowego Cesarza, najwyższego władcy w niebie. Ale o tych sprawach nie będziemy tu mówić.

Wydostawszy się za bramy podziemnego królestwa, król małp nagle zaplątał się w kępę traw, potknął się i upadł. Wtedy od razu przebudził się i zrozumiał, że wszystko to było snem. Przeciągając się, usłyszał głosy czterech starych dowódców i małpich strażników pilnujących spokoju w czasie jego snu.

— Nasz wielki królu! Wypileś tyle wina, że spałeś jak zabity przez całą noc, i jeszcze nawet teraz nie bardzo możesz się przebudzić — mówily.

— Mniejsza o sen — rzekł im Sun Wu-k'ung — ale gdy spałem, przyszli po mnie jacyś dwaj wysłańcy i zaciągnęli do bram Podziemnego Królestwa Ciemności. Wtedy dopiero na dobre oprzytomniałem i zrobiłem użytek z magicznych zaklęć. Dotarłem też do Pałacu Leśnych Sieci, gdzie urządziłem piekielną awanturę dziesięciu sędziom śmierci. Dali mi w końcu do przejrzenia rejestry życia i śmierci. Były w nich nasze imiona, ale je wszystkie wymazałem, tak że teraz naszemu życiu nic już nie grozi ze strony tych łotrów z krainy cieni.

Małpy rzuciły się na kolana i bijąc pokłony dziękowały swemu władcy. Od tej pory większość górskich małp nie starzała się, ponieważ imiona ich już nie figurowały w rejestrach Królestwa Podziemnego. Gdy Wspaniały Król Małp zakończył swoje opowiadanie, czterej wodzowie powiadomili go o przybyciu z gratulacjami wszystkich potężnych duchów, władców jaskiń i grot. Kilka dni później złożyło wizytę królowi małp sześciu jego zaprzysiężonych braci. Każdy z nich dawał upust wielkiej radości na wieść o wymazaniu małpich imion z rejestrów śmierci. Codziennie odtąd zbierali się u króla małp na ucztach i hulankach, ale o tym nie będziemy tu już opowiadać.

Posłuchajcie teraz lepiej o najmiłościwszym, najmądrzejszym, panującym w najwyższym niebie Cesarzu Nefrytowym. Pewnego dnia, gdy zasiadając w Sali Boskiego Firmamentu w Pałacu Złocistych Obłoków udzielał porannej audiencji, otoczony gronem nieśmiertelnych mędrców oraz cywilnych i wojskowych dostojników, jeden z dworzan, mędrzec Kiu Hung-tsi, skłonił się przed cesarzem i rzekł:

— Wasza wysokość, do pałacu przybył Ao Kuang, Król Smoków Wschodniego



Oceanu. Pragnie na ręce waszej wysokości wnieść skargę i uniżenie prosi o posłuchanie.

Cesarz polecił wprowadzić gościa. Ao Kuang wszedł do Sali Boskiego Firmamentu i złożył cesarzowi przepisane rytuałem pokłony. Wówczas podszedł do niego jeden z cesarskich giermków, odebrał memoriał i wręczył go niebiańskiemu władcy. Cesarz zaczął go czytać na głos od początku:

— „Ja, Ao Kuang, skromny władca wodnej krainy, Smok Wschodniego Oceanu w świecie Purwawideha, składam jedynemu, najwyższemu władcy Niebios najgłębsze wyrazy czci i szacunku i pragnę donieść, że zrodzony na Górze Kwiatów i Owoców pan Jaskini Wodnej Zasłony, nieśmiertelny zły duch Sun Wu-k'ung, skrzywdził mnie, wdarł się do mojego podwodnego domu, zrabował broń, uciekając się do gróźb i nieuczciwości; wyludził cudowne odzienie, przeraził moich podwodnych krewniaków, rozproszył moje żółwie i kraby. Smok Południowego Oceanu trząsł się cały, Smok Zachodniego Oceanu zupełnie oniemiał, a Smok Północnego Oceanu skulił głowę i wrócił przerażony do siebie. Wtedy ja, Ao Kuang, musiałem przed nim bić pokłony, ofiarować mu magiczną żerdź z żelaza, złoty hełm zdobny piórami feniksa, zbroję ze złotymi zamkami i pantofle do wspinania się po chmurach. Odprawiliśmy go z należnym ceremoniałem, lecz on wywijając swoją bronią rzucał magiczne zaklęcia i jeszcze na dodatek wołał do nas: «Z drogi! Niech was nie widzę!» Tak też uszedł bezkarnie, gdyż nie mogliśmy się mu przeciwstawić. Zwracam się więc kornie do Najwyższego Władcy na Niebie, by zechciał rozpatrzyć tę sprawę i wydał w swej mądrości sprawiedliwy wyrok. Błagam o wysłanie wojsk niebiańskich, by pochwytyły to złe licho, ażeby pod powierzchnią mórz i oceanów znów zapanowała cisza i wrócił dawny spokój. Przedkładaam tę skargę w oczekiwaniu na sprawiedliwy wyrok”.

Przeczytawszy memoriał do końca Najświętszy Cesarz ogłosił swoją wolę:

— Niech duch smoka wraca do swego oceanu, a my wyślemy niebiańskie zastępy, by schwytały złoczyńcę i go przykładowie ukarały.

Stary Król Smoków ledwo zdążył, uderzywszy kilka dziękczynnych pokłonów przed cesarzem, oddalił się, gdy niebiański doradca Ho Sien-weng zaanonsował nowego przybysza:

— Wasza wysokość, do pałacu przybył pierwszy sędzia śmierci, Ts'in-kuang-wang. Przywiózł on ze sobą skargę od bodhisattwy Ti-tsang-wanga.

Stojąca u tronu niebianka odebrała od posta pismo i podała je cesarzowi. Nefrytowy Cesarz odczytał na głos jego treść:

— „W tajemnych ciemnościach Podziemnego Królestwa sąd się odbywa nad wszystkim, co żyło. W niebie jest miejsce dla duchów, pod ziemią dla demonów. Siły jasne i ciemne działają na przemian, zwierzęta i ptaki rodzą się i umierają, powstają i zmieniają się, dziewczęta rozkwitają, chłopcy dojrzewają, wszystko się dzieje we właściwym czasie. Takie są prawa natury i nikt ich zmieniać nie może. Ostatnimi czasy zrodzony przez niebo zły duch Sun Wu-k'ung z Jaskini Wodnej Zasłony na Górze Kwiatów i Owoców dokonał rzeczy ohydnych. Nie powstrzymały go nawet zgodne z prawem wezwania. Stosując sztukę czarnoksięską rozbił na miążgę piekielnych wysłańców, swą brutalnością przeraził dziesięciu sędziów śmierci. Wszczął awanturę w Pałacu Leśnych Sieci, wymazał imiona z rejestrów śmierci, przez co ród

małpi spod naszej wyrwał władzy. Odtąd krocie małp żyć będą wiecznie. Siły Królestwa Podziemi nie mogły go ukarać, a więc składam prośbę do cesarza nieba, by użył swej władzy i wysłał niebiańskie wojska dla poskromienia tego złego ducha. Przyczyni się to do uporządkowania sił jasnych i ciemnych oraz zaprowadzenia odwiecznego ładu w podziemnej krainie”.

Przeczytawszy memoriał do końca niebiański władca znów ogłosił swoją decyzję:

— Niech książę ciemności wraca do swego podziemnego królestwa, a my wyślemy niebiańskie hufce, by schwytać złoczyńcę.

Ts'in-kuang-wang, również uderzywszy kilka pokłonów cesarzowi w podzięcie, oddalił się.

Nefrytowy Cesarz zwrócił się wtedy do otaczających go nieśmiertelnych mędrców oraz cywilnych i wojskowych dostojników dworu z pytaniem:

— Kiedy urodziła się ta czarodziejska małpa? W którym wcieleniu dane jej było porzucić dom i doskonalić się w poznaniu Wielkiej Nauki?

Zaledwie zadał te pytania, gdy z szeregu wystąpili Wszystkowiedzące Oko i Wszystkosłyszające Ucho i wyjaśnili:

— Małpa ta jest ową kamienną małpą zrodzoną przez niebo przed ponad trzystu laty. Wtedy nie była taka. Dopiero ostatnio zdołała się gdzieś wydoskonalić i osiągnąć nieśmiertelność. Obecnie jest taka silna, że poskramia smoki i ujarzmia tygrysy, a nawet odważyła się pokreślić rejestry śmierci.

— Kto z was, nieśmiertelni, zechce zstąpić na ziemię, żeby ją ukarać?

Zaledwie skończył cesarz mówić, gdy z szeregu wystąpił Duch Gwiazdy Wieczornej i padłszy przed niebiańskim władcą na kolana powiedział:

— O, najświętszy ze świętych! Wszystkie zamieszkujące ziemię istoty, które mają w ciele dziewięć otworów, mogą przez doskonalenie swej natury osiągnąć nieśmiertelność. Dlatego ta małpa, zrodzona przez niebo i ziemię, ożywiana promieniami słońca i poświatą księżyca, żyjąca pod gołym niebem, pojoana rosą poranną i karmiona wieczornymi mgłami, zdołała osiągnąć tajemnicę nieśmiertelności, zdobyła moc ujarzniania smoków i poskramiania tygrysów. Czymże się ona różni od człowieka? Dlatego zwracam się do waszej wysokości z najpokorniejszą prośbą. Niech wasza wysokość raczy okazać swoje cesarskie zlitowanie i wyda odpowiednie rozkazy, by wezwać tę małpę do naszego niebiańskiego państwa, a następnie proszę o przydzielenie jej mniejszego lub większego stanowiska i włączenie do wykazu sług waszej wysokości. Tutaj będziemy stale ją mieli na oku. Jeśli będzie posłusznie spełniać rozkazy nieba, w przyszłości awansujemy ją i wynagrodzimy. A jeśli okaże się krnąbrna i naruszać będzie niebiańskie prawa, wtedy łatwiej nam będzie ją poskromić tutaj w niebie. W ten sposób z jednej strony unikniemy wysyłania po nią naszych niebiańskich wojsk, a z drugiej strony, przyciągniemy nieśmiertelną istotę w szeregi poddanych waszej wysokości.

Nefrytowemu Cesarzowi bardzo spodobała się ta propozycja.

— Niech się tak stanie, jak zaproponował nasz doradca — zdecydował cesarz i od razu nakazał Duchowi Gwiazdozbioru Oriona sporządzenie odpowiedniego edyktu, z którym Duch Wieczornej Gwiazdy udał się na ziemię.

Duch wyszedł z nieba przez Bramę Południową, wsiadł na różowy obłok i wkrótce znalazł się na Górze Kwiatów i Owoców przed Jaskinią Wodnej Zasłony.

— Jestem posłem zesłanym przez władcę nieba — rzekł do bawiącej się przed jaskinią gromadki małp. — Przybyłem tu ze specjalnym edyktem, mocą którego wasz wielki król zaproszony zostaje do nieba. Biegnijcie szybko powiadomić go o moim przybyciu.

Małpy całą gromadą rzuciły się do jaskini.

— Nasz wielki królu — wołały jedna przez drugą. — Przed wejściem do jaskini stoi jakiś starzec ze zwiniętym w trąbkę dokumentem na plecach. Mówi, że jest posłem wysłanym przez niebo i przywiózł dla ciebie zaproszenie.

Wspaniałego Króla Małp bardzo ucieszyła ta wiadomość.

— Właśnie od kilku dni nosiłem się z zamiarem złożenia wizyty w niebie — rzekł — a tu akurat przysłano posłańca z zaproszeniem. Szybko idźcie i zaproście czcigodnego gościa do środka.

Król małp śpiesznie poprawił na sobie szaty i wyszedł do bramy jaskini, by powitać niebiańskiego przybysza.

Duch Gwiazdy Wieczornej wszedł do środka i stanąwszy twarzą w kierunku południowym, uroczyście oświadczył:

— Jestem Duchem Gwiazdy Wieczornej Zachodniego Nieba i przynoszę pismo od Nefrytowego Cesarza, który cię zaprasza, władco małp, byś zechciał opuścić świat ziemski, udać się do niebiańskiego królestwa i tam objąć stanowisko godne nieśmiertelnego mędrca.

— Bardzo ci dziękuję, duchu gwiazdy, żeś zechciał tu przybyć z zaproszeniem — rzekł uśmiechając się Sun Wu-k'ung. Następnie zwrócił się do swych poddanych:

— Hej, moi mali! Przygotujcie wystawną ucztę, byśmy mogli odpowiednio uczcić przybycie tak szacownego gościa.

— Przywiózłem ze sobą pismo mego władcy, jestem na służbie — odparł duch gwiazdy — i nie mogę się tu dłużej zatrzymywać. Proszę cię, wielki królu, byś zechciał się udać razem ze mną, a później, gdy otrzymasz w niebie nowe godności, na pewno przyjmę twoje zaproszenie.

— W takim razie nie śmiem nastawać — odpowiedział z szacunkiem Sun Wu-k'ung. — Dziękuję jeszcze raz za honor, jaki okazaliście mi swoją wizytą.

Następnie zebrał swoich czterech generałów i rzekł im:

— Pilnie ćwiczcie w rzemiośle wojennym moich synów i wnuki. Jadę teraz do nieba. Rozejrzę się tam, poznam drogę, a później was ściągnę do siebie, żebyśmy mogli mieszkać razem.

Generałowie skłonili głowy przyjmując do wiadomości zalecenia swego władcy i wtedy dopiero król małp z Duchem Wieczornej Gwiazdy wsiedli na chmury i unieśli się ku niebu.

Jeżeli chcecie się dowiedzieć, jaką rangę i stanowisko otrzymał Sun Wu-k'ung w niebie, posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ CZWARTY

o tym, jak nadanie godności niebiańskiego koniucha nie zadowoliło króla małp i jak nawet przyznanie mu tytułu Wielkiego Mędrca Równego Niebu nie zaspokoilo jego ambicji.

Duch Gwiazdy Wieczornej i Wspaniały Król Małp wynurzyli się z jaskini i dosiadłszy przepływających obłoków pomknęli w niebieskie przestworza. Sun Wu-k'ung szybował na swym obłoku znacznie szybciej, niż to czynili inni nieśmiertelni, a więc wkrótce pozostawił Ducha Gwiazdy Wieczornej daleko w tyle i pierwszy zjawił się przed Południową Bramą Nieba. Chciał już odprawić swój obłokowy powóz i wejść do środka, gdy drogę zastąpił mu trzymający straż u bramy niebiański książę Tseng-czang na czele ośmiu wojowników uzbrojonych w miecze, halabardy, włócznie i topory.

— Jak widzę, stary duch gwiazdy okazał się zwykłym oszustem! — zawołał król małp. — Najpierw się mnie zaprasza, a później wysłał się ludzi uzbrojonych po zęby, którzy wzbraniają mi wstępu do nieba.

Gdy się tak awanturował, przed bramę niebios w pośpiechu nadszedł Duch Gwiazdy Wieczornej. Sun Wu-k'ung dojrzał go i wybuchnął jeszcze większym gniewem.

— Co ty wyprawiasz, staruchu?! — wrzasnął. — Chcesz mnie na durnia wystawić? Przecież sam mówiłeś, że Nefrytowy Cesarz wydał edykt, zapraszający mnie do jego pałacu. Czemuż więc tym ludziom kazano stanąć w bramie niebios i wzbraniać mi wejścia?

— Pohamuj swój gniew, wielki królu — rzekł śmiejąc się Duch Gwiazdy Wieczornej. — Przecież nigdy jeszcze nie byłeś w Niebiańskim Pałacu, imię twoje nie zyskało tu jeszcze sławy, a więc jakże strażnicy nieba mogli cię wpuścić do środka, nie wiedząc, kim jesteś? Dzisiaj jeszcze zostaniesz przedstawiony cesarzowi, otrzymasz odpowiednie stanowisko i tytuł, a potem będziesz już mógł swobodnie przechodzić przez bramy niebios i nikt nie odważy się ciebie zatrzymać.

— Skoro tak jest, jak mówisz, to dobrze, wcale nie mam zamiaru wchodzić do tego waszego nieba — rzekł Sun Wu-k'ung i już chciał odejść, gdy Duch Gwiazdy Wieczornej chwycił go za rękę i powiedział:

— Ależ skąd, razem ze mną będziesz mógł tam wejść.

Zbliżył się do bramy nieba i na cały głos zawołał:

— Hej, niebiańscy generałowie, wielcy i mali strażnicy bramy! Zróbcie przejście dla nieśmiertelnego z dolnego świata. Przybył on na zaproszenie Nefrytowego Cesarza, które mu właśnie przekazałem.

W jednej chwili dowódca straży książe Tseng-czang i jego wojownicy odłożyli broń i odeszli. Teraz dopiero król małp uwierzył w słowa Ducha Gwiazdy Wieczornej i już uspokojony, wolnym krokiem wszedł za nim do nieba, rozglądając się na wszystkie strony. Duch powiódł króla małp prosto do Sali Boskiego Firmamentu. Nie czekając na zapowiedź ich przybycia, skierował się ku stopniom tronu i złożył przed cesarzem głęboki pokłon. Sun Wu-k'ung stał wyprostowany obok niego i nawet nie drgnął, by powitać niebiańskiego władcę. Za to nastawił uszu, by nie uronić ani słowa z tego, co mówił duch.

— Wypełniając święte polecenie waszej wysokości — oświadczył pokornie Duch Gwiazdy Wieczornej — przyprowadziłem tu cudownego nieśmiertelnego.

— Który to jest ten cudowny nieśmiertelny? — zapytał Nefrytowy Cesarz, uchylając zasłony ukrywającej go przed wzrokiem poddanych.

— To ja, Sun! — odezwał się król małp i w końcu skłonił się lekko przed cesarzem.

Nieśmiertelni ministrowie i dostojnicy cesarscy aż pobledli z oburzenia.

— Cóż to za dzika, bezbożna małpa! — mówili między sobą. — Jakże to! Zamiast upaść na kolana przed naszym świętym władcą, ośmieliła się przedstawić tak jakby od niechcenia: „To ja, Sun”. Co za obraza majestatu! Zasłużyła na śmierć. Winna zginąć! Zabić ją! Zabić!

— Ten Sun Wu-k'ung jest nieśmiertelnym przybyłym ze sfery ziemskiej — stwierdził Nefrytowy Cesarz — a w dodatku dopiero niedawno przybrał postać człowieka. Nic więc dziwnego, że nie zna zasad dworskiej etykiety. Dlatego tym razem wspomniałomyślnie wybaczymy mu jego niewłaściwe zachowanie.

Dworzanie, usłyszawszy te słowa, chórem zawołałi: „Chwała Miłościwemu!”, a król małp dopiero teraz skłonił się i wypowiedział powitalną formułę. Nefrytowy Cesarz wydał polecenie, by wszyscy wojskowi i cywilni dostojnicy przejrżeli wykazy podległych im urzędów i znaleźli wolne do objęcia przez Sun Wu-k'unga stanowisko. Wówczas wystąpił stojący dotąd na uboczu duch, władca Gwiazdy Wu-ts'ü, i oświadczył:

— Obecnie w żadnym z pałaców niebiańskiej stolicy, w żadnym pawilonie, nie ma wolnego stanowiska do obsadzenia. Zajęte są też wszystkie stanowiska w urzędach i kancelariach niebieskiego państwa. Pozostaje tylko jedno wolne miejsce u nadzorczy cesarskich stajen.

— Wobec tego mianujemy go na stanowisko pimawena, koniucha w naszych stajniach — zdecydował cesarz.

Dostojnicy i dworzanie znów wyrazili wdzięczność za tak wielką łaskawość władcy i królowi małp nie pozostało nic innego, jak też się pokłonić. Duch Gwiazdy Mu-te otrzymał polecenie zaprowadzenie Sun Wu-k'unga do nadzorczy cesarskich stajen, gdzie miał on objąć swoje obowiązki.

Uradowany król małp ochoczo podążył za swym przewodnikiem do urzędu stajen. Duch Gwiazdy Mu-te spełniwszy swoją powinność wrócił do cesarskiego pałacu. W zarządzie cesarskich stajen zebrali się tymczasem nadzorczy, ich pomocnicy, kanceliści, strażnicy, pisarze, stajenni i wszyscy pozostali niżsi i wyżsi urzędnicy cesarskich stajen. Sun Wu-k'ung wstępnie zbadał sytuację i stwierdził, że w stajniach jest tylko tysiąc niebiańskich rumaków. Były wśród nich najslawniejsze konie znane w historii — osiem wspaniałych rumaków króla Mu z dynastii Czou, cudowny koń wodza Kuan Jü i wiele innych. Wszystkie były tak potężne i szybkie, że mogły iść w zawody z błyskawicami; wszystkie potrafiły galopować po kobiercu mgieł i chmur, a siły ich były niewyczerpane.

Sun Wu-k'ung najpierw przejrzał wszystkie stajenne rejestry i wykazy, a następnie sprawdził w nich liczbę koni. W zarządzie stajen kanceliści odpowiadali za właściwe zaopatrzenie w paszę, strażnicy dbali o czyszczenie i mycie koni, siekanie i gotowanie trawy, pojenie rumaków. Nadzorczy i ich pomocnicy zajmowali się prowadzeniem pozostałych spraw. Koniuchowie i pastuchy musieli dniem i nocą chodzić koło koni, nie mogąc nawet na chwilę się zdrzemnąć. W dzień jeszcze można było czasami trochę odzignąć, ale w nocy rumaki nie dawały nikomu ani chwili wytchnienia. To trzeba było podnieść i nakarmić konie, które już zapadły w sen, to znów chwytać i przyprowadzać do żłobu te, które się porozbiegały po niebiańskim stepie.

Gdy rumaki władcy niebios ujrzały po raz pierwszy Sun Wu-k'unga, zaczęły strzyc uszami, bić kopytami o ziemię i pożerać takie ilości paszy, że wspaniałe ich mięśnie nabrały jeszcze większej jędrności i siły.

Niepostrzeżenie minęły tak dwa tygodnie, gdy pewnego poranku, korzystając z krótkiej przerwy w nawale obowiązków, pracownicy zarządu cesarskich stajen urządzili przyjęcie, by po pierwsze, przyjąć nowego koniucha do swego grona, a po drugie, by mu pogratulować nominacji.

W czasie ogólnej wesołości, gdy wino zaczynało już wszystkim po trochu szumieć w głowie, król małp nagle zatrzymał puchar w drodze do ust i zapytał:

— Co to jest za tytuł, ten pimawen?

— Jest to po prostu nazwa twego stanowiska — wyjaśnili mu koledzy.

— No, dobrze, ale do której grupy w hierarchii urzędniczej to stanowisko się zalicza? — pytał dalej król małp.

— Do żadnej — odpowiedziano.

— Do żadnej? — powtórzył zdziwiony Sun Wu-k'ung. — A ja myślałem, że to bardzo wysokie stanowisko.

— Wcale nie wysokie — wyjaśnił któryś z biesiadników — a nawet można powiedzieć, że się nie mieści w systemie stopni urzędniczych.

— Jak to się nie mieści? — dopytywał się król małp. — Co to znaczy?

— Po prostu nie ma takiego stopnia w hierarchii urzędniczej — odpowiedział

jeden ze stajennych nadzorców. — Jest to najniższe stanowisko ze wszystkich możliwych, a i obowiązki nie są zbyt skomplikowane. Pasać konie każdy chyba potrafi. Jeśli po takiej zaszczytnej nominacji będziesz pilnie pracował i dbał, by konie się dobrze najadły, może otrzymasz kiedyś pochwałę, jeśli jednak choć trochę scherlacieją, to na pewno ci się za to dostanie. Gdyby zaś któryś z rumaków się zranił, to wlepią ci taką karę, że się nie pozbierasz.

Gdy król małp usłyszał te słowa, serce jego wypełnił pałący ogień i zgrzytając z wściekłości zębami, wykrzyknął:

— A więc tak mnie poniżono! Mnie, Sun Wu-k'unga, którego na Górze Kwiatów i Owoców czczą jako króla, jako założyciela rodu! Dlaczego mnie tak oszukano i kazano paść konie? Przecież pasaniem koni mogą zajmować się małe chłopaki, pacholki, ludzie, którzy nic innego nie potrafią. Dlaczego właśnie mnie powierzono taką podrzędną robotę?! Dość tego! Nie chcę! Nie zostanę tu dłużej! Natychmiast odchodzę!

To rzekłszy poderwał się z miejsca z przeraźliwym wrzaskiem, wyrzucił stół, zza ucha wyciągnął cudowną żerdź i wymachując nią na prawo i lewo, rozbijał w drobny mak dzbany i czarki, kielichy i puchary. Potem kilka złożeń mu wystarczyło, by rozpędzić na boki nadzorców stajennych i utorować sobie drogę do Południowej Bramy Nieba. Niebiańscy strażnicy wiedzieli już, że jest on na służbie Nefrytowego Cesarza i piastuje stanowisko pimawena, a więc nie odważyli się go zatrzymywać i pozwolili mu wyjść za bramę nieba.

Sun Wu-k'ung wskoczył na przelatującą chmurę i w kilka chwil później wylądował na Górze Kwiatów i Owoców. Przed jaskinią czterech jego generałowie razem z duchami — władcami okolicznych grot — prowadzili ćwiczenia wojskowe. Król małp z radosnym okrzykiem wskoczył między nich i zawołał: — Dzieci moje! Wasz pan, stary Sun, do was wrócił!

Małpy bijąc pokłony otoczyły go ze wszystkich stron i wśród radosnych okrzyków prowadziły do wnętrza jaskini. Tam zaprosiły go do zajęcia miejsca na tronie, a same zakrzętały się wokół przygotowań do uczty z okazji jego powrotu.

— Przyjmij nasze gratulacje, nasz wielki królu! — wołały jedna przez drugą. — Spędziłeś w górnych sferach kilkanaście lat. Jesteśmy przekonane, że spełniły się twoje marzenia i wracasz do nas w pełni sławy i chwały.

— Byłem tam nieco ponad pół miesiąca, a co wy tu wygadujecie o jakichś kilkunastu latach? — zapytał zdziwiony król małp.

— Nasz wspaniały królu, widocznie tam w niebie straciłeś zupełnie poczucie czasu — rzekły małpy. — Jeden dzień w niebie równy jest jednemu rokowi na ziemi. A teraz opowiedz nam, królu, jaki urząd tam piastowałeś.

Sun Wu-k'ung machnął tylko ręką i rzekł:

— Szkoda gadać! Aż wstyd! O mało co ze wstydu się nie spałę! Taka hańba! Ten cały Nefrytowy Cesarz zupełnie się nie zna na ludziach, nie potrafi ich docenić i właściwie wykorzystać. Mnie, Sun Wu-k'unga, potraktował w taki sposób, że nadał mi stanowisko pimawena. Miałem się zajmować pasieniem koni, a tytuł ten nawet się nie mieścił w hierarchii stopni urzędniczych. Z początku, gdy tylko objąłem

stanowisko, nic o tym nie wiedziałem. Dopiero później, w czasie uczty u nadzorca niebiańskich stajen, wszystko wyszło na jaw. To właśnie dzisiaj, gdy zacząłem wypytywać kolegów o moje stanowisko, uświadomiłem sobie, jaka spotkała mnie hańba. Wściekłość zawrzała w mym sercu, przewracałem maty biesiadne, porzuciłem swoje stanowisko i jestem tu z powrotem wśród was.

— Świetnie, że wróciłeś! Wspaniale! — wołały małpy. — Po co tam masz w niebie być pastuchem koni, skoro tu, w naszej jaskini, jesteś władcą tak szczęśliwego kraju jak nasz, otoczony powszechnym szacunkiem.

— A więc, moje dzieci, szybko przynieście tu wina, by wasz władca mógł w nim gorzyc swej hańby utopić!

I oto, gdy uczta trwała w pełni, a biesiadnicy dobrze podchmieleni puścili wodze swej radości, do sali weszła dyżurna małpa i zameldowała:

— Wielki królu, przy bramie czekają dwaj Władcy Jednorogich Demonów. Proszą, żebyś zechciał ich przyjąć.

-- No cóż — bez chwili wahania powziął decyzję król małp. — Przyprawdźcie ich tutaj.

Władcy demonów poprawili na sobie szaty i wbiegłszy do jaskini padli plackiem przed królem małp.

— W jakiej sprawie do mnie przybywacie? — zapytał ich Wspaniały Król Małp.

— Z dawien dawna wieść niesie, że na twoim dworze, o wielki monarcho, gromadzą się mędrcy, którzy posiadli cnoty wszelakie — odpowiedzieli goście. — Żałujemy tylko tego, że dopiero teraz zdołaliśmy tu przybyć, aby ci złożyć wyrazy najgłębszej czci. Słyszeliśmy, potężny królu, że otrzymałeś wysokie godności w niebie i w pełni chwały wróciłeś do swego pałacu, a więc pośpieszyliśmy pokłonić się tobie i w dowód szacunku podarować ci ten oto żółty płaszcz. Jeśli nie poczytasz sobie tego za ujmę i przyjmiesz nas do siebie, do końca dni naszych służyć ci będziemy wiernie jak psy i posłusznie jak konie.

Król małp nie posiadał się z radości wobec zaszczytu, jaki go spotkał. Natychmiast założył podarowany mu płaszcz, a wszystkie małpy, ustawivszy się w dworskim ordynku, oddawały mu cześć. Przybyłym demonom nadał tytuły rotmistrzów i powierzył im dowództwo nad szturmowymi oddziałami swego wojska.

Władcy demonów wyrazili wdzięczność za otrzymaną łaskę i zwrócili się do króla małp z pytaniem:

— Przebywałeś, królu, w niebie bardzo długo. Jakie stanowisko tam otrzymałeś?

— Nefrytowy Cesarz nie potrafi docenić ludzi mądrych i cnotliwych — odpowiedział im Sun Wu-k'ung — i naznaczył mnie jakimś tam pimawenem.

— Czyż się godziło tobie, wspaniały królu, o tak wielkiej sile duchowej, powierzać pasanie koni? — wyrazili zdziwienie. — Czyż nie jesteś wart tego, by ci nadać godność Wielkiego Mędrca Równego Niebu?

Król Małp, gdy to usłyszał, aż podskoczył z radości. — Świetnie! Co za wspaniała myśl! — zawołał. Rozkazał swym czterem generałom przygotować chorągiew z wypisanymi na niej czterema znakami „Wielki Mędrzec Równy Niebu” i zatknął ją u swego tronu.

— Od tej pory — wydał polecenie — nazywać mnie będziecie Wielkim Mędrce. Nakazuję obwieścić to wszystkim duchom, władcom grot. Niechaj wszyscy zostaną o tym jak najszybciej powiadomieni.

Tymczasem, gdy następnego dnia o świcie Nefrytowy Cesarz udzielał audiencji swym dostojnikom, dowódca niebiańskiej straży Czang T'ien-szy doprowadził przed jego tron nadzorcę cesarskich stajen i jego pomocników. Skłonili się przed najwyższym majestatem nieba i jeden z nich przemówił:

— Bądź pozdrowiony, władco niebieski! Nowo mianowany pimawen Sun Wu-k'ung, zawiedziony niskim stanowiskiem, jakie mu powierzono, zbuntował się wczoraj i opuścił niebieskie państwo.

Gdy to mówił, do sali wszedł na czele swych wojowników dowódca straży, ksiązę Tseng-czang, i zameldował:

— Pragnę donieść waszej wysokości, że pimawen z nie znanych mi powodów wyszedł przez bramę i opuścił państwo niebieskie.

Nefrytowy Cesarz, wysłuchawszy doniesień, wydał rozkaz:

— Niechaj wszyscy dostojnicy wracają do swoich zajęć, a my wyślemy niebiańskie wojska, by pochwyciły i ukarały tego niegodziwca.

Wówczas z grupy dostojników dworskich wystąpił ksiązę niebiański Waiśrawana ze swym synem Noczą i skłoniwszy się z czcią przed cesarzem, oświadczył:

— Najpotężniejszy władco niebios! Wprawdzie umiejętności moje nie są wielkie, ale błagam o poruczenie mi sprowadzenia tu tej nieokrzeseanej bestii.

Nefrytowy Cesarz z radością przychylił się do tej prośby. Mianował Waiśrawanę głównym dowódcą, a jego syna, Noczę, zastępcą i rozkazał im natychmiast zebrać wojsko i wyruszyć na ziemię.

Ksiązę Waiśrawana i jego syn Nocza uderzyli czołem przed cesarskim majestatem, wyrażając w ten sposób wdzięczność za zlecenie im tego odpowiedzialnego zadania. Wrócili do swego pałacu, postawili w stan gotowości bojowej swoje trzy armie i wyznaczyli dowódców. Na czele wojsk szturmowych stanął potężny Tsü-ling-szen, generał Jü-tu miał dowodzić tylną strażą, a Jaksza otrzymał dowództwo nad odwodami. Po krótkiej chwili wojska wymaszerowały przez Południową Bramę Niebios i skierowały się prosto ku Górze Kwiatów i Owoców. Wybrano tam odpowiednio równe i nasłonecznione miejsce, rozbito obóz otaczając go obronną palisadą, a Tsü-ling-szen otrzymał rozkaz wyzwania nieprzyjaciela do walki.

Gdy tylko potężny duch otrzymał rozkaz, przybrał bojową postawę. Oburącz chwyciwszy wojenny topór i kręcąc nim młynka, zjawił się przed wejściem do Jaskini Wodnej Zasłony. Ujrzał tam chmarę małych diabełków, wilków, tygrysów, szakali i innych bestii, które z dzikim skowytym i wrzaskiem biegały, skakały, wymachiwały dzidami, mieczami, ćwicząc się i doskonaląc w wojennym rzemiośle.

— Hej wy tam, hołota! — krzyknął do nich Tsü-ling-szen. — Biegnijcie szybko do pimawena i donieście mu, że ja, niebiański generał, z rozkazu Nefrytowego Cesarza przybyłem tu, by go poskromić. Powiedźcie mu, żeby jak najszybciej wyszedł ze swej jaskini i poddał się. W przeciwnym razie posiekam was wszystkich na kawałki.

Z przeraźliwym piskiem dziwne stwory rzuciły się do jaskini wołając: — Nieszczęście! Wielkie nieszczęście na nas spadło!

— Cóż to znowu za nieszczęście? — zapytał król małp.

— Przed wejściem do jaskini stoi jakiś niebiański generał — odpowiedziały mu. — Mieni się wielkim mędrce i powiada, że przybył tu z rozkazu Nefrytowego Cesarza, aby cię ukorzyć. Kazał, żebyś szybko wyszedł i poddał się, gdyż w przeciwnym razie pozbawi nas wszystkie życia.

Król małp wysłuchał tego uważnie i w końcu rzekł:

— Przynieście mi moją zbroję i broń!

Następnie nałożył na głowę hełm z purpurowego złota, przywdział zbroję z złotego złota, na nogi obuł pantofle do skakania po chmurach i dzierząc w dłoni cudowną żerdź spełniającą życzenia, wyszedł przed jaskinię wraz ze swymi poddanymi, ustawionymi w szyku bojowym.

Duch rzek, potężny Tsü-ling-szen, wybałuszył na to wszystko oczy i przez chwilę nie mógł wyjść z podziwu nad wspaniałym wyglądem króla małp i jego przybocznej gwardii. W końcu krzyknął na cały głos:

— Ach, ty niegodziwa małpo! Czy mnie poznajesz?

— A ty coś za jeden, wstrętny potworze?! — pośpieszył z pytaniem Wielki Mędrzec. — Nigdy dotąd cię nie spotkałem. No, mów szybko, jak cię nazywają?

— Ty wredna małpo, jak śmiesz udawać, że mnie nie poznajesz! Jam jest niebiański generał Tsü-ling-szen. Stoję na czele szturmowych oddziałów wojsk naczelnego dowódcy armii nieba, księcia Waiśrawany. Przybywam tu z rozkazu Nefrytowego Cesarza, by cię zmusić do poddania się jego woli. Natychmiast złóż broń i ukorź się przed potęgą nieba, jeśli nie chcesz, żeby wszyscy mieszkańcy tych gór zginęli marnie. Spróbuj tylko pisnąć jedno słowo „nie”, natychmiast zmiażdżę cię na proszek!

Słowa te przywiodły króla małp do niepohamowanej wściekłości.

— Ach, ty wstrętny potworze! Skończ te przechwałki i przestań pleść głupstwa tym swoim długim jęzorem! Mógłbym cię wykończyć jednym uderzeniem tej żerdzi, ale cię oszczędzę, bo nie miałbym kogo wysłać do nieba z wiadomością o twojej marnej śmierci! Zmykaj teraz szybko do swojego Nefrytowego Cesarza i powtórz mu moje słowa. Nie potrafi on docenić ludzi szlachetnych i cnotliwych, skoro dla mnie, Sun Wu-k'unga, który posiadam tyle umiejętności, nie znalazł lepszego zajęcia niż pasanie koni! Spójrz tylko na te znaki widniejące na mojej chorągwi. Jeśli cesarz zgodzi się przyznać mi godność, jaką możesz z tych znaków wyczytać, nie wyruszę przeciwko niemu z moim wojskiem, a na ziemi i w niebie nadal będzie panował pokój. Jeśli nie zaspokoi mojego żądania, zamienię w perzynę jego pałac z Salą Boskiego Firmamentu, a cesarski tron rozbiję na drobne kawałki, tak że nie będzie miał gdzie swego boskiego tyłka usadzić.

Tsü-ling-szen, usłyszawszy te bluźniercze słowa, szybko zwrócił wzrok w kierunku wskazanym przez króla małp. Przed wejściem do jaskini sterczał wysoki drąg, na którym powiewała chorągiew z wyhaftowanymi złotem czterema znakami: „Wielki Mędrzec Równy Niebu”.

— Co za bezczelna małpa! — roześmiał się lodowato Tsü-ling-szen. — Jak

widzę, nie tylko nie potrafisz zachowywać się jak przystoi, ale jeszcze ośmielasz się na takie bezceństwa. Zachciało ci się zostać Wielkim Mędrce Równym Niebu?! Ha, cóż, poczęstuję cię moim toporem, a później zobaczymy, co powiesz! — i wypowiedziawszy te słowa machnął toporem, kierując jego ostrze prosto na głowę Sun Wu-k'unga.

Król małp nie śpieszył się jednak ustąpić pola przeciwnikowi. Chwyił cudowną żerdź ze złotymi obręczami i stanął do nieuchronnej walki. Żerdzią Spełniającą Życzenia zwano cudowną broń króla małp, topór ducha rzek nosił nazwę Obrońcy Prawdy. Dwaj godni siebie rywale starli się na środku placu. Ciosy padały płytkie i głębokie, to czubek żerdzi, to ostrze topora migąło w powietrzu. Raz z prawej, raz z lewej, przypuszczano atak za atakiem. Jeden z walczących krył jeszcze czarodziej-ską sztukę, drugi swą siłą chępił się daremnie. Żerdź króla małp wirowała w górze jak smok igrający po falach, topór Tsü-ling-szena tańczył jak feniks pośród wonnych kwiatów. Sława Tsü-ling-szena obiegła świat cały, nie mógł się on jednak równać z przebiegłością i sprytem swego przeciwnika. Wielki Mędrzec lekko jak piórkciem wymachiwał cudowną żerdzią, a każdy cios, spadający na głowę rywala, wprawiał w odrętwienie całe jego ciało.

Tsü-ling-szen w końcu zrozumiał, że nie zdoła dotrzymać pola przeciwnikowi. W chwili gdy król małp machnął nad jego głowę cudowną żerdzią, a duch rzeki zasłonił się toporem przed ciosem, nagle rozległ się suchy trzask i rękojeść topora rozłamała się na dwie części. Niebiański generał w przerażeniu rzucił się do ucieczki, ratując swe życie.

— Ach, ty tchórz! — śmiejąc się krzyknął za nim król małp. — Tym razem daruję ci życie! Pędź szybko! Biegnij! I opowiedz w niebie o wszystkim, co się tu wydarzyło!

Tsü-ling-szen wrócił do obozu i udał się prosto do księcia Waiśrawany. Z trudem chwytną oddech, rzucił się przed nim na kolana i zawołał:

— Pimawen istotnie posiadał olbrzymią siłę duchową! Nie zdołałem go pokonać! Doznałem sromotnej porażki! Wróciłem, by ponieść zasłużoną karę!

Księżę Waiśrawana wybuchnął niepohamowanym gniewem.

— Ten niegodziwiec okrył mnie hańbą — warknął złowieszczo. — Wyprowadzić go stąd i odrąbać głowę!

W tym momencie jednak zbliżył się do Waiśrawany jego syn, Nocza. Pokłonił mu się z szacunkiem i rzekł:

— Powściągnij swój gniew, ojcze, i daruj Tsü-ling-szenowi karę. Pozwól teraz mnie przystąpić do walki, a zobaczymy, kto z nas okaże się silniejszy.

Waiśrawana usłuchał rady syna i kazał duchowi rzek wrócić do obozu i tam oczekiwać na ostateczny wyrok w jego sprawie.

Tymczasem Nocza włożył hełm i zbroję, wyskoczył poza obręb obozu i w jednej chwili znalazł się przed wejściem do Jaskini Wodnej Zasłony. Sun Wu-k'ung właśnie zamierzał rozpuścić swe wojsko, gdy nagle pojawił się przed nim księżę Nocza, jak zwykle porywczy, gwałtowny, palący się do walki.

Sun Wu-k'ung podszedł do niego i zapytał:

— A ty, kto jesteś, braciszku? Tak gwałtownie tu wpadłeś, czy masz do mnie jakąś sprawę?

— Ty bezwstydna małpo! — warknął przez zęby Nocza. — Czyżbyś mnie nie poznawał? Jam jest Nocza, trzeci syn księcia Waiśrawany. Przysłał mnie tu Nefrytowy Cesarz, bym cię pochwycił i dostawił do nieba!

— No cóż, moje małe książętko — odparł śmiejąc się Sun Wu-k'ung — Młodyś jeszcze. Widzę, że ci mleczone zęby nie wypadły i włosy po wyjściu z łona matki jeszcze nie obeschły. Jakże więc ośmielasz się mówić do mnie tak z góry? Ostatecznie, daruję ci życie, nie zabiję cię. Spójrz tylko na znaki na mojej chorągwi. Widzisz je? Idź więc i pokłoń się Nefrytowemu Cesarzowi, i powiedz mu, że jeśli otrzymam od niego ten tytuł, który widnieje na mojej chorągwi, nie będzie więcej potrzebował wysyłać przeciwko mnie swego wojska, gdyż sam ukorzę się przed nim i uznam jego zwierzchnictwo. Jeśli zaś nie zechce spełnić mojej prośby, może być pewien, że na proch rozbiję jego Sałę Boskiego Firmamentu.

Nocza uniósł głowę i na chorągwi u wejścia do jaskini odczytał cztery znaki: „Wielki Mędrzec Równy Niebu”.

— Widocznie ta małpa jest przekonana, że poznała już wszystkie arkana sztuki czarnoksięskiej, skoro ośmiela się żądać dla siebie takiego wysokiego tytułu i godności — pomyślał na głos Nocza. — No, a teraz trzymaj się! — zawołał. — Zaraz dam ci pokosztować mego miecza, a wtedy zobaczymy, jakie będą twoje żądania!

— Możesz sobie ciąć mieczem, ile tylko zapragniesz — odrzyknął mu Sun Wu-k'ung. — Ja nawet się z miejsca nie ruszę.

Słowa te wprawiły Noczę w jeszcze większą wściekłość. — Zmień się! — zawołał i w mgnieniu oka przybrał postać bóstwa o trzech głowach i sześciu ramionach. Nocza był teraz przerażający. W każdym ręku trzymał jakąś broń: cudowny miecz do ścinania demonów, sztylet, szubieniczny sznur do wieszania złych duchów, buzdygan, czarodziejską kulę i ogniste koło. Z bojowym okrzykiem i chrzęstem potrząsanej broni ruszył do przodu.

Sun Wu-k'ung trochę się przestraszył widząc go w takim szale.

— Wydaje mi się, że braciszek potrafi coś niecoś z czarodziejskiej sztuki — powiedział spokojnie król małp — ale nie należy być z tego powodu zbyt zarozumiałym! Teraz ja ci pokażę moje czary!

Wielki Mędrzec zawołał: — Zmień się! — i w jednej chwili też stał się istotą o trzech głowach i sześciu ramionach. Potrząsnął żerdzią ze złotymi obręczami i natychmiast trzymał w dłoniach już trzy takie żerdzie, którymi odparował pierwsze ciosy księcia Noczy. Rozgorzała tak zaciepła walka, że ziemia zadrżała i zachwiały się góry od huku ciosów, jakie wymierzali sobie przeciwnicy. Sześcioramienny książę Nocza i zrodzona przez niebo kamienna małpa byli godnymi siebie wojownikami, jak gdyby moc ich ze wspólnego źródła płynęła. Jeden z nich przez niebo zesłany na ziemię, drugi mieszkaniec ziemi, co w niebie bunt wszczać się odważył. Ostrze miecza duchobija migotało w powietrzu, błysk sztyletu potwora przerażał, sznur szubieniczny wił się węzowymi skrętami, co chwila główica buzdygana groźnie wystrzelała, ogniste koło siało błyskawice, a kula czarodziejska toczyła się z łoskotem we wsze strony.

Wielki Mędrzec miał w dłoniach trzy żerdzie spełniające życzenia. Osłaniał się nimi z przodu, odparowywał z tyłu, sprytem i zręcznością unikał śmiertelnego niebezpieczeństwa. Kilka razy składali się przeciwnicy do boju, żaden z nich jednak szali zwycięstwa na swą stronę nie przechylił. Książę zdecydowany był prowadzić bój do końca, zwielokrotnił liczbę swych narzędzi walki i tysiącem mieczy na przeciwnika natarł. Króla małp ani przez chwilę strach nie obleciał. Śmiał się tylko i ze zdwojoną szybkością wirując żerdziami, odbijał ciosy księcia. Żerdzi przybyło zresztą. Z jednej powstały tysiące. Szczęk broni był tak potężny, że wystraszeni władcy grot pozamykali swe siedziby na cztery spusty, a górskie demony i straszdyła zniknęły w swych najtajniejszych kryjówkach. Boski gniew księcia niebios czarne chmury sprowadzał, taniec żerdzi żelaznych, złotem okutych, świst wichru rodził. Waleczne okrzyki niebiańskiego księcia strachem ludzi napawały, szum chorągwi małpiego rycerza przerażeniem wypełniał ich serca. Już wiele razy ścierali się rywale w boju zaciekłym i nikt orzec nie potrafił, który z nich silniejszy, a który słabszy.

Książę Nocza i Sun Wu-k'ung wykorzystali w walce już prawie cały arsenał czarnoksięski i wszystkie fortele, starli się w boju razy chyba ze trzydzieści. Książę broń swą rozmnożył wiele tysięcy razy. To samo uczynił Sun Wu-k'ung ze swą żerdzią cudowną. Broń ich fruwała w powietrzu rozblyskując deszczem gwiazd i nadal nie było wiadomo, który z nich zwycięży, a który dozna porażki.

Sun Wu-k'ung był bardzo zręczny i przebiegły. W ogniu najgorętszej walki wychwycił odpowiednią chwilę, wyrwał włos ze swego ciała, rzucił go w powietrze i zawołał: — Zmień się! — W jednej chwili powstał z niego drugi król małp. Z żelazną żerdzią w dłoni rzucił się z przodu na księcia niebios, okładając go gdzie popadło. Tymczasem prawdziwy Sun Wu-k'ung zaszedł Noczę od tyłu i wymierzył mu potężny cios w lewy bark. Syn Waiśrawany zamierzał właśnie wypowiedzieć jakieś nowe zaklęcie, gdy nagle usłyszał za sobą świst cudownej żerdzi. Próbował uchylić się od ciosu, lecz nie zdążył; nie mogąc ścierpieć silnego bólu, rzucił się do ucieczki. Odczarował swoją broń i uznawszy się za pokonanego wrócił do obozu.

Waiśrawana od początku obserwował z daleka walkę i już miał zamiar wysłać wojsko na pomoc swemu synowi, gdy nagle zjawił się on przed nim i trzęsąc się cały ze strachu, wykrztusił:

— Wszechpotężny ojcze, ten prostak pimawen jest zaiste istotą niezwykłą. Syn twój zastosował wszystkie sztuki tajemne, a mimo to nie zdołał go pokonać. Zranił mnie w ramię i zmusił do ustąpienia z pola walki.

— Skoro ten niegodziwiec opanował w takim stopniu sztukę czarodziejską, jakże będziemy mogli go zwyciężyć?! — zapytał pobladły z zakłopotania i wstydu potężny książę Waiśrawana.

— Przed wejściem do jego jaskini ustawiono maszt z chorągwią, na której wyhaftowano cztery znaki: „Wielki Mędrzec Równy Niebu” — wyjaśnił książę Nocza. Sam się chępną przede mną tym tytułem i oświadczył, że zaprzestanie wszelkich awantur i buntów, jeśli Nefrytowy Cesarz przyzna mu ten tytuł. Jeśli zaś jego żądanie nie będzie spełnione, groził, że w puch rozbije Sałę Boskiego Firmamentu.

— Skoro tak sprawa wygląda — orzekł niebiański książę Waiśrawana — lepiej

chyba będzie więcej się z nim nie sprzeczać, powrócić do nieba i przekazać jego żądania Najwyższemu Władcy. Później zdążymy jeszcze sprowadzić większą ilość wojska, żeby tego niegodziwca osaczyć i schwytać.

Nocza odczuwał silny ból w ramieniu i nie mógł w tym stanie wrócić na plac boju, a więc wraz z ojcem udał się do państwa niebieskiego, by o zasługach wydarzeniach zdać relację cesarzowi. Ale o tym na razie nie będziemy mówić.

Tymczasem, gdy król mały po odniesionym zwycięstwie wrócił na swoją górę, siedemdziesięciu dwóch duchów-władców grot i sześciu zaprzyjaźnionych braci przybyło z gratulacjami. Z tej okazji w jaskini poświęconej bóstwom ziemi urządzono wspaniałą ucztę. W pewnej chwili Sun Wu-k'ung zwrócił się do swych sześciu braci w te słowa:

— Ponieważ ja przyjąłem tytuł i godność Wielkiego Mędrca Równego Niebu, sądzę, że wy również powinniście nazywać się wielkimi mędrcami.

Jeden z braci, demon z głową byka, skoczył na równe nogi i zawołał:

— Słusznie mówi nasz czcigodny brat! Ja w takim razie przyjmuję tytuł Wielkiego Mędrca Uspokajającego Niebo!

— Mnie niech odtąd nazywają Wielkim Mędrce Wzburzającym Wody! — zawołał rozradowany demon-smok rzeczny.

— Ja będę Wielkim Mędrce Niepokojącym Niebo! — zaproponował demon-gryf.

— W takim razie ja będę Wielkim Mędrce Przenoszącym Góry — oznajmił demon-lew.

— A ja — ogłosił swoją decyzję demon-goryl — ja przyjmę tytuł Wielkiego Mędrca Przenikającego Wiatru.

— Ja pragnę przyjąć tytuł Wielkiego Mędrca Przepędzającego Duchy — odezwał się jako ostatni demon-mandryl.

W ten sposób każdy z siedmiu zaprzysiężonych braci miał już swój tytuł. Ucztowali jeszcze przez cały dzień, tytułując się po nowemu, i dopiero pod wieczór rozjechali się do swych siedzib.

W tym czasie książę Waiśrawana i jego syn Nocza na czele swoich zastępów powrócili do nieba, udali się prosto do Sali Boskiego Firmamentu i zasług wydarzenia opisali Nefrytowemu Cesarzowi.

— Z twojego rozkazu, miłościwy władco, wyruszyliśmy z wojskiem na ziemię, by pojmać i zmusić do uległości nieśmiertelnego Sun Wu-k'unga. Niestety, wbrew naszym oczekiwaniom, siła jego czarów okazała się tak wielka, że nie zdołaliśmy go pokonać. Dlatego pokornie błagamy waszą wysokość, by zechciał wzmocnić naszą armię dodatkowymi oddziałami, a wtedy zareczamy, że żywy nam nie ujdzie.

— Jakże to jest możliwe, żeby nędzna małpa posiadała taką moc, abyście nie mogli się z nią uporać bez dodatkowych oddziałów naszego wojska?! — zawołał ze zdziwieniem Nefrytowy Cesarz.

Na to wystąpił do przodu książę Nocza i rzekł:

— Nasz wielki władco, błagam, wybac mi to wielkie wykroczenie, że ośmielałem się powtórzyć bluźniercze żądania tego małpizona. Najpierw generał Tsü-ling-szen

zapoznał się w pojedynku z jego żelazną zerdzią i poniósł porażkę, później mnie zranił tym żelastwem w ramię, tak że musiałem ustąpić z pola. Przed wejściem do swej jaskini ustawił olbrzymią chorągiew, na której kazał wyhaftować cztery znaki „Wielki Mędrzec Równy Niebu”. Oświadczył mi, że jeśli ty, nasz miłościwy władco, przyznasz jemu ten tytuł, wycofa swe wojska i sam przybędzie ukorzyć się przed twoim majestatem. W przeciwnym razie, zagroził, rozbije w puch Sałę Boskiego Firmamentu, w której obecnie zasiadasz.

Usłyszawszy te słowa Nefrytowy Cesarz wpadł w jeszcze większy gniew.

— Jak śmie ta szalona małpa stawiać mi jakieś warunki! Rozkazuję, żeby nasi generałowie powiedli wojsko i raz na zawsze się z nią rozprawili.

Gdy cesarz skończył wydawać rozkazy, z grupy dostojników stojących u tronu znów wysunął się Duch Gwiazdy Wieczornej i rzekł:

— Na razie wszyscy tylko wiele mówimy o tej czarodziejskiej małpie, ale nikt właściwie nie zna jej prawdziwej siły. Jeśli nawet teraz, wzmocniwszy siły naszych wojsk, rozpoczniemy z nią walkę, może się okazać, że nie zdołamy jej pokonać i po długich, wyczerpujących zmaganiach przyjdzie się nam znów wycofać. Czy nie lepiej by było, gdybyś ty, nasz miłościwy władco, jeszcze raz okazał swą niespotykaną łaskawość i wydał odpowiedni edykt, przyznający jej tytuł Wielkiego Mędrca Równego Niebu? Będzie to tylko pusta godność, bez związanych z nią odpowiednich praw i apanaży.

— Jak można nadać komuś godność bez apanaży? — zapytał zdziwiony Nefrytowy Cesarz.

— Po prostu małpa otrzyma tylko tytuł Wielkiego Mędrca Równego Niebu — wyjaśnił Duch Gwiazdy Wieczornej. — Nie dostanie żadnej innej godności i związanej z nią pensji. Żyjąc między niebem i ziemią, porzuci swe niegodne żądania i nie będzie nas więcej nękać swoim szaleństwem. Na ziemi i w niebie zapanuje wieczny spokój, przestworza i oceany owładnie dobroczynna cisza!

Nefrytowy Cesarz wysłuchał tych słów i orzekł:

— Niech się stanie tak, jak radzi nasz minister!

Następnie rozkazał przygotować odpowiedni akt nominacyjny i wysłał z nim do króla małp swego doradcę.

Duch Gwiazdy Wieczornej wyszedł przez Południową Bramę Nieba i po chwili znalazł się przed Jaskinią Wodnej Zasłony na Górze Kwiatów i Owoców. Jednak od czasu jego poprzedniej wizyty wszystko się tu gruntownie zmieniło. Powietrze tchnęło grozą, wszystko dokoła gotowe było do walki na śmierć i życie. Na placu przed jaskinią roilo się od najprzeróżniejszych potworów, strzyg, wampirów, wilkołaków. Każda ze zjaw uzbrojona była w miecz i włócznię, jedno z nich doskonalili się w fechtunku, inne ćwiczyły się w walce na kije. Dokoła panowały nieopisany ruch i krzątanie. Gdy tylko dostrzegli Ducha Gwiazdy, rzucili się na niego chcąc go pojmać.

— Hej, wy! Który z was jest tu dowódcą? — zawołał Duch Gwiazdy. — Zechciej pójść do swego Wielkiego Mędrca i zawiadom go o mojej wizycie. Jestem posłem Nefrytowego Cesarza, najwyższego władcy w niebie. Przywiożem dla waszego pana zaproszenie do nieba.

Dziwne stwory tłumnie wbiegły do jaskini i stanąwszy przed Sun Wu-k'ungiem powiedziały:

— Przed wejściem stoi jakiś starzec. Mówi, że jest posłem z nieba i przywiózł dla ciebie pismo z zaproszeniem, nasz królu.

— Świetnie, że przyjechał! Bardzo się cieszę! — zawołał uszczęśliwiony Sun Wu-k'ung. — Myślę, że to przybył Duch Gwiazdy Wieczornej, ten sam, który poprzednio do mnie posłował. Chociaż gdy mnie wówczas zaprosił do nieba, nie otrzymałem odpowiedniego dla mnie stanowiska, jednak nie żałuję, że tam byłem, bo przynajmniej poznałem drogę i niebiańskie tereny. Tym razem, spodziewam się, przywozi dla mnie pomyślne wieści.

Następnie kazał swym dowódcom wywiesić chorągwie, uderzyć w bębny i ustawić się w uroczystym szyku dla powitania czcigodnego posła. W końcu Wielki Mędrzec na czele małpiego orszaku, w zbroi i z koroną na głowie, w narzuconym na ramiona pomarańczowym płaszczu, w cudownych pantoflach do wspinania po chmurach, wyszedł szybko przed bramę jaskini, skłonił się ceremonialnie witając gościa i zawołał:

— Proszę do środka, czcigodny Duchu Gwiazdy. Proszę o wybaczenie, że nie zdążyłem wyjść ci na spotkanie.

Szybkim krokiem Duch Gwiazdy Wieczornej wszedł do jaskini, stanął twarzą ku południowej stronie i przemówił:

— Mam zaszczyt oznajmić ci, Wielki Mędrze, co następuje: gdy wysocy i niscy urzędnicy zarządu niebiańskich stajen donieśli Nefrytowemu Cesarzowi, żeś uznał swe poprzednie stanowisko za zbyt niskie i porzuciłeś swą pracę, w swym wielkim majestacie rzekł on: „Wszyscy zaczynają od niskich stanowisk i godności, by z czasem sięgnąć po wyższe. Czyż godzi się pogardzać niskimi stanowiskami?” Wtedy księżę Waiśrawana wraz z synem Noczą wysłani zostali na ziemię, by stoczyć z tobą walkę. Nie zdawali sobie jednak sprawy, że twoje umiejętności, Wielki Mędrze, w sztuce czarnoksiężskiej są tak wielkie, i doznali porażki. Wróciwszy do nieba, powiedzieli: „Wielki Mędrzec wywiesił przed swą jaskinią chorągiew i pragnie zostać uznany Wielkim Mędrce Równym Niebu”. Niebiańscy zbrojni chcieli natychmiast wyruszyć, by cię ukarać, ale wtedy ja, narażając się na gniew cesarza, ze wszystkich sił nakłaniałem go, by nie wysłał przeciwko tobie niebiańskich zastępów, lecz przyznał ci upragniony tytuł. Nefrytowy Cesarz przychylił się do mojej rady i oto jestem, by cię zaprosić do nieba.

— Poprzednio trudziłeś się, by mnie zaprosić do nieba — rzekł uśmiechając się Sun Wu-k'ung — teraz znów stałem się dłużnikiem twojej łaskawości. Bardzo ci za to jestem wdzięczny. Wielokrotne dzięki! Nie wiem tylko, czy w niebie istnieje godność Wielkiego Mędrca Równego Niebu?

— Ośmieliłem się tu przybyć dopiero po upewnieniu się, że godność tę edyktem samego cesarza otrzymasz — odparł Duch Gwiazdy Wieczornej. — Gdyby nic z tego nie wyszło, całą winę gotów jestem wziąć na siebie.

Słowa niebiańskiego posła bardzo ucieszyły Sun Wu-k'unga. Chciał nawet na jego cześć wydać uroczystą ucztę, ale gość odmówił tłumacząc się pilnością powierzonych mu spraw. A więc wyruszyli, dosiadłszy wspólnie różowego obłoku, ku Południo-

wej Bramie Niebios. U wejścia napotkali pełniących straż wojowników i generałów, ale złożyli oni tylko dłonie na znak powitania i pozwolili im przejść prosto do Sali Boskiego Firmamentu.

Duch Gwiazdy Wieczornej skłonił się przed najwyższym władcą i oznajmił:

— Sługa waszej wysokości spełnił polecenie i przywiódł tu pimawena Sun Wu-k'unga.

— Sun Wu-k'ungu, zbliż się do mnie! — rzekł Nefrytowy Cesarz. — Nadaję ci godność Wielkiego Mędrca Równego Niebu. Jest to niezwykle wysoki tytuł. Mam nadzieję, że w przyszłości nie będziesz już więcej czynił rzeczy szalonych, niegodnych twego tytułu.

Król małp stanął przed tronem i na cały głos powitał cesarza, wyrażając mu jednocześnie podziękowanie za otrzymaną łaskę. Wówczas Nefrytowy Cesarz rozkazał niebiańskim rzemieślnikom, z majstrami Czangiem i Lu na czele, wznieść na prawo od Brzoskwiniowego Sadu pałac, w którym miał urzędować Wielki Mędrzec Równy Niebu. W jego ministerstwie ustanowiono dwa wydziały: jeden z nich nosił nazwę „Wydział Ciszy i Spokoju”, a drugi — „Wydział Dobrotliwych Duchów”. W każdym wydziale pracował sztab niebiańskich urzędników. Gdy wszystko zostało przygotowane, cesarz wysłał Ducha Gwiazdozbioru Wutou, aby zaprowadził Sun Wu-k'unga do nowo wybudowanego urzędu. Król małp otrzymał w prezencie dwa dzbany wina i dziesięć złotych kwiatów. Wyrażono przy tym życzenie, by raczył opanować swój temperament, powściągnąć ambicje i by więcej już nie wzniecał zamętu w niebiańskim królestwie.

Otrzymawszy nominację król małp jeszcze tego samego dnia w towarzystwie Ducha Gwiazdozbioru Wutou udał się do swego pałacu, otworzył dzbany z winem i razem ze swymi urzędnikami pił, aż w dzbanach dno się ukazało. Wtedy duch, który go odprowadzał, powrócił do cesarskiego pałacu, a Sun Wu-k'ung, osiągnąwszy szczyt swoich marzeń, żył pełen szczęścia i radości w niebieskim królestwie, nie znając, co to smutek, co kłopoty.

Jeżeli chcecie się dowiedzieć, co się później wydarzyło, posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ PIĄTY

o tym, jak Wielki Mędrzec zakłócił Brzoskwiniową Uczę i skradł pigułki nieśmiertelności, oraz o tym, jak urządził awanturę w państwie niebieskim, czym gniew wszystkich niebian na siebie ściągnął.

Prawdę mówiąc, Wielki Mędrzec Równy Niebu był w końcu tylko cudowną małpą, a więc nie znał się na hierarchii tytułów i godności ani nie troszczył się o wysokość pensji urzędniczej. Jedynym jego marzeniem było zdobycie w niebie jak największej sławy.

Niebiańscy urzędnicy i słudzy dwóch wydziałów jego ministerstwa usługiwali mu od rana do wieczora, tak że nie miał nic do roboty. Trzy razy dziennie podawano mu posiłki, noce smacznie przesyślał, nie miał żadnych trosk ani kłopotów i cieszył się całkowitą wolnością.

Cały ten wolny czas wykorzystywał na spotkania z przyjaciółmi i spacerować po niebieskim królestwie. W krótkim czasie nawiązał przyjaźń z wieloma mieszkańcami nieba. Jedynie gdy zobaczył któreś z trzech wielkich bóstw buddyjskich, zwracał się do nich „Wasza Ekscelencjo”, a do władców czterech sfer niebieskich mówił „Wasza Wysokość”. Wszyscy pozostali mieszkańcy nieba — duchy dziewięciu planet, pięciu stron świata, dwudziestu ośmiu gwiazdozbiorów, czterech niebiańscy książęta, bogowie dwunastu znaków zodiaku, zarządcy gwiazd całego nieba i tłum duchów Drogi Mlecznej — byli dla niego braćmi i traktował ich jak równych sobie. Jednego dnia wędrował na wschód, następnego wólczył się po zachodnich rubieżach, przemierzał na chmurach państwo niebieskie wszerz i wzdłuż, wszędzie, dokąd go tylko chęć poniosła.

Pewnego dnia, w czasie porannej audiencji u Nefrytowego Cesarza, z szeregu dostojników dworskich wystąpił szlachetny Sü Tsing-jang i skłoniwszy się przed władcą niebios, powiedział:

— Wielki Mędrzec Równy Niebu nie ma nic do roboty i beczynnie wałęsa się po całym naszym kraju. Zawarł przyjaźń z duchami wszystkich gwiazd nieba i wszyscy

oni, zajmując wyższe i niższe szczeble naszej hierarchii, stali się jego przyjaciółmi. Obawiam się, że z tego próżniactwa mogą się zrodzić kłopoty. Czy nie lepiej by było przydzielić mu jakieś konkretne stanowisko i obowiązki, żeby nie miał czasu znów czegoś nabroić?

Nefrytowy Cesarz wysłuchał rady swego dostojnika i kazał wezwać Sun Wu-k'unga.

Król mały przybył w radosnym nastroju do sali tronowej, skłonił się przed cesarzem i zapytał:

— Czy wasza wysokość wezwał mnie do siebie, żeby mnie awansować, czy żeby dać mi jakąś nagrodę?

— Słyszeliśmy — rzekł Nefrytowy Cesarz — że nie masz nic do roboty, więc postanowiliśmy powierzyć ci pewne obowiązki. Od dzisiaj będziesz nadzorcą Brzoskwiniowego Sadu. Mamy nadzieję, że dobrze będziesz się wywiązywał z powierzonych ci zadań.

Wielki Mędrzec był urzeczony wielką łaskawością cesarza. W obecności całego dworu podziękował mu i skłoniwszy się nisko, opuścił pałacowe podwoje.

Płonąc z niecierpliwości, Sun Wu-k'ung pośpieszył do Sadu Cudownych Brzoskwiń, żeby obejrzeć miejsce swojej nowej pracy. Gdy jednak zbliżył się do sadu, drogę zagroził mu jakiś stary duch.

— Dokądże to się Wielki Mędrzec udaje? — zapytał.

— Właśnie przysłał mnie tu Nefrytowy Cesarz, żebym pilnował Brzoskwiniowego Sadu. Przyszedłem rozejrzeć się trochę po terenie, który powierzył mojej pieczy — odparł Wielki Mędrzec.

Duch, usłyszawszy te słowa, pośpiesznie skłonił się przed nim i zaraz zwołał wszystkich pracowników, tych, którzy okopywali drzewa, nosili wodę, podwiązywali gałęzie i omiatali ziemię pod drzewami, by złożyli pokłon przed Wielkim Mędrce. Po tej ceremonii poprowadził Sun Wu-k'unga przez sad, odkrywając przed nim cały jego urok i piękno. Popatrzcie, co za wspaniały widok ukazał się oczom króla małego.

Dokoła majestatycznie połyskiwały w słońcu cudowne owoce na chylących się pod ich ciężarem gałęziach. Drzewa tonęły w kwiatach, gałęzie pod ciężarem dojrzałych brzoskwiń, chyląc się ku ziemi, tworzyły barwną, wzorzystą zasłonę, utkaną z różu kwiecica i rumieńców owoców. Kwitły i owocowały raz na kilka tysięcy lat, wiosny i jesień były dla nich mgnieniem, sekundą. Jedne z nich wcześniej dojrzały i zarumienione uśmiechały się promiennie, inne, jeszcze zielone, kołysały się na cienkich ogonkach. W przyziemnych mgłach ciągnęły się smugi błyszczącej zieleni, wyżej, w promieniach słońca, jarzyły się szkarłatne bursztyny. Pod drzewami rozelane były mchów i traw kobierce, które w ciągu czterech pór roku nie blakły, wiecznie zachowując świeżość barw. Z prawa i z lewa widać było małe pawilony, altanki, wypełniające przestrzeń dodatkową tęczą barw. Twórcą tego cudu nie był zwykły ogrodnik, lecz sama Si-wang-mu, Cesarzowa-matka, władczyni Zachodu.

Wielki Mędrzec przez długi czas podziwiał piękno cudownego sadu, a w końcu zapytał:

— Ile drzew jest w tym sadzie?

— Trzy tysiące sześćset — odpowiedział duch. — W przedniej części sadu rośnie tysiąc dwieście drzew. Kwiaty mają drobne i owoce niewielkie. Brzoskwinie na nich dojrzewają co trzy tysiące lat, a gdy ktoś skosztuje owoc z tego drzewa, stanie się nieśmiertelnym niebianinem, a ciało jego będzie jednocześnie mocne i lekkie. W środkowej części sadu też rośnie tysiąc dwieście drzew. Kwiaty na nich mają podwójną koronę, a owoce są słodkie. Dojrzewają raz na sześć tysięcy lat, a kto skosztuje brzoskwini z tych drzew, potrafi wspiąć się po tęczy i unosić się w powietrzu. Życie będzie długo, nigdy się nie starzejąc. Wreszcie w tylnej części sadu rośnie jeszcze tysiąc dwieście drzew. Owoce ich są koloru purpury, a pestki mają bladożółte. Dojrzewają co dziewięć tysięcy lat, a kto chociaż jedną z tych brzoskwiń spróbuje, osiągnie długowieczność równą niebu i ziemi, żyć będzie tak długo jak słońce i księżyc.

Radość Wielkiego Mędrca nie miała granic, gdy usłyszał te wyjaśnienia. Jeszcze tego samego dnia osobiście przeliczył wszystkie drzewa, odwiedził pawilony i altany w sadzie i dopiero wtedy wrócił do swego pałacu. Od tej pory co pięć dni, a bywało i częściej, odwiedzał Brzoskwiniowy Sad i sprawdzał, czy prace w nim przebiegają prawidłowo. Całkowicie przestał odwiedzać swoich przyjaciół oraz zrezygnował z bezcelowych wędrówek po niebieskim królestwie.

Pewnego dnia, gdy Wielki Mędrzec przechadzał się po sadzie, dostrzegł na jednym ze starych drzew prawie całkiem już dojrzałe brzoskwinie. Miał wielką ochotę zerwać i spróbować je, ale jak na złość, przez cały czas ktoś mu towarzyszył, to duch opiekuńczy sadu, to ogrodnicy lub któryś z jego niebiańskich urzędników. Nagle królowi małp przyszedł do głowy wspaniały pomysł.

— Idźcie dalej, za bramę, i tam na mnie poczekajcie — powiedział do towarzyszących mu sług — a ja tu sobie trochę posiedzę w tej altanie i odpocznę.

Słudzy spełnili jego polecenie i opuścili sad. Tymczasem król małp zdjął szybko kapelusz i ubranie, wdrapał się na największe drzewo i zaczął zrywać olbrzymie, dojrzałe brzoskwinie. Zerwał ich bardzo dużo i przycupnąwszy na gałęzi, zaczął jedną za drugą z apetytem pożerać. Gdy się najadł do syta, zeskoczył z drzewa, ubrał się z powrotem w swoje szaty i kapelusz, przywołał swe sługi i w otoczeniu świty, uroczystie, powrócił do pałacu. Kilka dni później znów wymyślił jakiś sposób, żeby ukraść i nasycić się cudownymi brzoskwiniami.

Nadszedł jednak poranek, gdy Cesarzowa-matka, władczyni Zachodu, postanowiła urządzić Brzoskwiniową Ucztę. W tym celu otworzyła wspaniałe, iskrzące się klejnotami komnaty Pałacu Jaspisowego Stawu i zarządziła poczynienie przygotowań do uczty. Wezwała wszystkie swe niebiańskie dworki, apsary, w czerwonych, niebieskich, białych, czarnych, purpurowych, żółtych i zielonych sukniach, i kazała im udać się z koszykami do Brzoskwiniowego Sadu i nazrywać owoców na przyjęcie.

Gdy siedem niebiańskich panien podeszło do wrót sadu, spotkało tam opiekuńczego ducha Sadu Brzoskwiniowego, ogrodników oraz urzędników z dwóch wydziałów ministerstwa Wielkiego Mędrca. Apsary zbliżyły się do nich i powiedziały:

— Spełniając wolę naszej pani, Cesarzowej Zachodu, przybyliśmy tutaj, by nazrywać cudownych brzoskwiń na ucztę, którą zamierza w swym pałacu urządzić.

— Zatrzymajcie się, niebiańskie dziewczęta — zwrócił się do nich opiekuńczy duch sadu. — W tym roku inaczej tu niż dawniej. Nefrytowy Cesarz mianował nadzorcą sadu Wielkiego Mędrca Równego Niebu. Musimy najpierw zawiadomić go o waszym przybyciu i dopiero po uzyskaniu jego zgody otworzymy wam wrota sadu.

— A gdzie przebywa ten Wielki Mędrzec? — zapytały apсары.

— Wielki Mędrzec poczuł się zmęczony — wyjaśnił duch opiekuńczy — i zdrzemnął się trochę w jednej z altanek w ogrodzie. Nie pozwolił sobie budzić.

— Skoro tak — poprosiły niebiańskie dziewczęta — pójdźcie po niego. Nie możemy spóźnić się z wykonaniem polecenia naszej pani.

Wszyscy, z duchem opiekuńczym na czele, weszli do sadu, dotarli do altany, ale nadzorcy nigdzie nie mogli znaleźć. Wprawdzie jego kapelusze i odzienie leżały złożone na ławce w altanie, ale ich właściciel zniknął bez śladu. Obszukali całą okolicę na próżno. A tymczasem Wielki Mędrzec, uwolniwszy się od swoich opiekunów, poharcował trochę wśród gałęzi, zjadł kilka olbrzymich brzoskwiń i w końcu, zmieniając się w maleńkiego, dwucalowego ludzika, uciął sobie drzemkę w największym gąszczu liści na samym wierzchołku wielkiego drzewa.

— Przyszłyśmy tu spełnić polecenie naszej pani — powiedziało siedem niebiańskich panien. — Jeśli nie odnajdziemy Wielkiego Mędrca, jakże odważymy się wrócić z pustymi koszykami?

— Jeśli przybyłyście tu, niebiańskie apсары, z rozkazu waszej pani — odezwał się jeden z urzędników Wydziału Dobrotliwych Duchów — to nie powinnyście zwlekać. Nasz Wielki Mędrzec ma zwyczaj wałęsać się bez celu po naszym królestwie i myślę, że teraz też opuścił sad, by odwiedzić któregoś ze swych licznych przyjaciół. Zajmijcie się więc bezzwłocznie zrywaniem cudownych brzoskwiń, a gdy wróci, przekażemy mu wasze słowa.

Niebianki posłuchały tej rady i weszły w gaj brzoskwiniowy zrywać cudowne owoce. Najpierw z drzew w przedniej części sadu zerwały dwa koszyki brzoskwiń, później owocami ze środkowych drzew napełniły trzy koszyki i z kolei zbliżyły się do drzew w tylnej części sadu. Ze zdziwieniem zauważyły, że drzewa były tu prawie zupełnie оголоcone z kwiatów i owoców i tylko tu i ówdzie widać było kilka zielonych, niedojrzałych brzoskwiń. Wszystkie pozostałe dawno już znalazły się w żołądku króla małp.

Siedem dworek Cesarzowej Zachodu przez długi czas rozglądało się na wszystkie strony w poszukiwaniu brzoskwiń, aż w końcu dostrzegły jedną, ni to czerwoną, ni to żółtą, zwieszającą się z najwyższej, na południe zwróconej gałęzi. Apsara w niebieskiej sukni przyciągnęła gałąź z jedyną brzoskwinia, a odziana w czerwień zerwała owoc. Gdy puszczona wolno gałąź odskoczyła, drzemający w jej listowiu, zamieniony w małego człowieczka Wielki Mędrzec przebudził się pod wpływem wstrząsu. Wrócił natychmiast do swej pierwotnej postaci, wyciągnął zza ucha cudowną żerdź ze złotymi obręczami, powiększył ją i machnąwszy z całej siły nad głową krzyknął:

— Ach, wy czarownice! Kto wam pozwolił tak zuchwale kraść brzoskwinie z mojego sadu?!

Siedem wystraszonych niebiańskich dziewcząt upadło na kolana przed Wielkim Mistrzem i jedna z nich powiedziała:

— Uśmierz swój gniew, panie. Nie jesteśmy wcale czarownicami, lecz siedmioma apsarami, które Wielka Cesarzowa Zachodu przysłała tu po cudowne brzoskwinie, gdyż zamierza otworzyć podwoje swego pałacu i urządzić Brzoskwinową Ucztę. Gdy tu przybyliśmy, przywitał nas przed bramą duch opiekuńczy sadu i inni niebiańscy urzędnicy. Wszyscy cię szukaliśmy, panie, ale bezskutecznie. Ponieważ bałyśmy się, że się spóźnimy z wykonaniem rozkazu Cesarzowej-matki, odważyliśmy się zerwać trochę owoców, nie czekając na twój powrót. Błagamy cię, zechciej nam wybaczyć to wykroczenie!

Wysłuchawszy ich, Wielki Mędrzec gniew poskromił i uśmiechnąwszy się życzliwie, zapytał:

— Wstańcie, uroczę niebianki, i powiedzcie mi, kogóż to Cesarzowa Zachodu zaprasza do swego pałacu na Brzoskwinową Ucztę?

— Zaproszenia na takie uroczystości wysłała się zgodnie z odwiecznymi zasadami — wyjaśniła jedna z dziewcząt. — Otrzymują je na zachodzie Budda Zachodniego Nieba, bodhisattwy, święci mnisi buddyjscy i arhatowie. Z południa na ucztę przybywa Bogini Bieguna Południowego, ze wschodu — Boski Cesarz Nieskończonej Wspaniałomyślności oraz nieśmiertelni starcy, władcy dziesięciu kontynentów i trzech cudownych wysp; z północy — cudowny Duch Bieguna Północnego, a ze środka — żółtorogi Wielki Mędrzec Wszechświata. Są to władcy i bogowie pięciu części świata. Ponadto, z górnego obszaru nieba zaproszenia otrzymują także Duch Gwiazdozbioru Wutou, władcy ośmiu niebiańskich grot i trzech niebiańskich sfer, czterech cesarzy nieba oraz bóg T'ai; ze środkowego obszaru nieba nefrytowi władcy ośmiu jaskiń, duchy gór i mórz. Dolny obszar nieba reprezentowany będzie przez władcę podziemi, duchy ośmiu piekielnych pieczar i kilku podziemnych dostojników, prowadzących rejestry życia i śmierci. Zaproszenia wysłano również wszystkim wielkim i małym duchom z różnych pałaców i zamków, znajdujących się na obszarze naszego niebieskiego państwa. Wszyscy oni na pewno przybędą, by osobiście wziąć udział w tej wspianiałej uczcie.

— A czy mnie na tę ucztę zaproszą? — zapytał uśmiechając się Wielki Mędrzec.

— Nic o tym nie słyszałyśmy — odpowiedziały niebiańskie panny.

— Jestem przecież Wielkim Mędrce Równym Niebu! Dlaczego miałbym nie zostać zaproszony na tę uroczystość? Myślę, że należałoby mi się nawet jakieś honorowe miejsce.

— Takie były zasady przy układaniu listy gości na poprzednie uczty — wyjaśniła jedna z dziewcząt — a kogo tym razem nasza pani zaprosi, nie wiemy.

— Rzeczywiście, trudno mieć o to do was żal. Zatrzymajcie się tu jednak na chwilę, a ja pójde się dowiedzieć i sprawdzić, czy mnie zaproszono na tę ucztę, czy nie.

Jakże pomysłowy okazał się Wielki Mędrzec. Posłuchajcie tylko, co on zrobił. Podniósł w górę dłonie, wypowiedział tajemne zaklęcie i zawołał do służebnych Cesarzowej Zachodu: — Stójcie! Stójcie! Nie ruszać się! — I w tym momencie siedem niebiańskich panien jakby wrosło w ziemię. Znieruchomiały pod brzoskwinio-

wymi drzewami niby posągi, białkami rozwartych oczu wpatrywały się gdzieś przed siebie. Wielki Mędrzec w tym czasie wskoczył na dobrowróźbny, różowy obłok i wypłynął na nim za mury Brzoskwiniowego Sadu, kierując się prosto do Pałacu Jaspisowego Stawu.

Wkrótce przed jego oczyma rozpostarł się cudowny widok. Całe niebo zasłane było różnobarwnymi obłokami szczęścia i pomyślności. Pływały po niebie, jeden za drugim, bez końca. Cóż chwila, szybujące w górze, śnieżnobiałe żurawie swym boskim śpiewem budziły ze snu w liściastej pościeli purpurowe kwiaty lotosów. Nagle, pośród tej bezkresnej zieleni, pojawił się duch piękny i szlachetny, który wszystkie uroki natury w sobie jednoczył. Tańcząc i podskakując po kolorowym moście tęczy od Mlecznej Drogi się zbliżał. Z daleka można go było poznać po rejestrach nieśmiertelnych, które miał zawieszane u pasa. Zwano go Bosonogim Nieśmiertelnym. A teraz właśnie w całej okazałości przybywał do nieba na Brzoskwiniową Ucztę, by swoją osobą uświetnić ten wielki zjazd nieśmiertelnych.

Gdy Wielki Mędrzec ujrzał w dali Bosonogiego Nieśmiertelnego, opuścił głowę i zaczął obmyślać podstępny plan. Zamierzał oszukać boga nieśmiertelnych i po kryjomu przedostać się na ucztę.

— Dokądże to drogi prowadzą dostojnego nieśmiertelnego? — zapytał zbliżywszy się do wędrowca.

— Otrzymałem od Cesarzowej-matki Zachodu zaproszenie i udaję się do jej pałacu, by wziąć udział w Brzoskwiniowej Uczcie — odpowiedział Bosonogi.

— Zapewne nie wiesz jeszcze, czcigodny mędrze, że Nefrytowy Cesarz wysłał mnie, ponieważ potrafię bardzo szybko mknąć po chmurach, na wszystkie pięć dróg wiodących do jego państwa, bym prosił nadchodzących ze wszech stron gości, aby zechcieli najpierw zebrać się w Pałacu Przenikającego Blasku, gdzie rozpocznie się uroczystość, a dopiero później udali się na ucztę do pałacu Cesarzowej Zachodu — zwrócił się do niego Wielki Mędrzec.

Bosonogi Nieśmiertelny był z natury prostoduszny i uczciwy, toteż niczego nie podejrzewając uznał kłamliwe słowa Sun Wu-k'unga za prawdę i rzekł:

— Zazwyczaj wstępne ceremonie, jak i uroczystości dziękczynne odbywały się w Pałacu Jaspisowego Stawu. Dlaczego tym razem rozpoczęcie uczty ma się odbyć w Pałacu Przenikającego Blasku, a dopiero później mam się udać do Pałacu Jaspisowego Stawu? — zapytał z niedowierzaniem. Mimo to jednak zawrócił swój dobrowróźbny obłok i skierował go prosto ku Pałacowi Przenikającego Blasku.

Tymczasem Wielki Mędrzec dosiadł swego obłoku, wypowiedział odpowiednie zaklęcie i w jednej chwili przybrał postać Bosonogiego Nieśmiertelnego. Popędził teraz, co obłok wyskoczy, w stronę Pałacu Jaspisowego Stawu. Nie minęło wiele czasu, gdy znalazł się u wejścia do iskrzących się drogocенnościami sal pałacu cesarzowej. Zatrzymał swój obłok i po cichu, by nikt go nie zauważył, wszedł do środka, a to, co tam ujrzał, wprawiło go w wielki zachwył.

W powietrzu unosiła się cudowna woń palonych kadzideł, których dymy kłębiły się różnobarwną tęczą. Przystrojona drogocennymi ozdobami sala tchnęła tajemną energią życia. Wzbijające się w niebo pary feniksów w wirze godowego tańca ozdabiały

jedwabne zasłony, złociste kwiaty pośród jaspisowych liści rzucały dziwne cienie na ścianach. W głębi sali rozstawiono dziesięć stołów, zdobnych w feniksy płaszące w tęczowej poświacie, i osiem mniejszych stolików, inkrustowanych lśniącymi purpurą klejnotami. Na stołach i stolikach stały tysiące półmisek z nefrytu i mala-chitu. Na każdym z nich smakowite, wymyślne potrawy: smocza wątroba i szpik feniksów, niedźwiedzie łapy i wargi pawianów; setki cudownych zapachów, tysiące smaków uderzały w nozdrza i łaskotały podniebienie.

Wszystko było już przygotowane i ustawione we właściwym porządku, tylko nieśmiertelni goście Cesarzowej-matki jeszcze się nie zbrali. Wielki Mędrzec nie mógł oczu oderwać od tych wspaniałości. Nagle nozdrza jego uderzył aromat cudownego wina. Odwrócił głowę i w niewielkiej salce przylegającej z prawej strony do głównej sali, pod galerijką, ujrzał kilku pracowników niebiańskiej kuchni zajętych przygotowywaniem tego boskiego napitku: jedni mieszały ambrozję, inni nosili wodę z cudownego źródła, mali chłopcy podkładali drwa do ognia, a inni skrobali i czyścili stągwie i dzbany na wino. Gotowe wino, napój o nefrytowozielonkawej barwie, wydzielalo cudowny, upajający zapach.

Wielkiemu Mędrcewi aż ślinka ciekła, chciał jak najszybciej dobrać się do tego wspaniałego trunku. Ale cóż z tego, skoro koło wina ciągle krzątała się służba kuchenna. Postanowił w końcu użyć jednej ze swych sztuk magicznych. Wyrwał sobie kilka włosów, włożył do ust i rozgryzł na wiele części, po czym wypluł je, wypowiedział zaklęcie i zawołał: — Zmieńcie się! — W jednej chwili kawałki jego włosów przemieniły się w owady, których ukąszenie natychmiast usypiało. Rój owadów rzucił się na służbę kuchenną, kłując i kłusząc po twarzach i nie osłoniętych miejscach. A wtedy warto było na to popatrzeć, jak ręce tym ludziom mdlały, głowy opadały ciężko na piersi, jak kleiły im się powieki, zamykały oczy, jak z rąk wypuszczali naczynia kuchenne i jak w końcu wszyscy zapadli w głęboki sen.

Wielki Mędrzec pochwyił co lepsze potrawy, cudowne jądła i schronił się pod galerijką w głównej sali. Później przechodził od jednej stągwi do drugiej, opróżnił kilka dzbanów z winem, najadł się i napił do syta.

W końcu wino zaszumiało mu w głowie, poczuł, że jest pijany. — Niedobrze! — pomyślał. — Źle ze mną! Zaraz rozpocznie się uczta, zejdą się zaproszeni goście. Chyba mnie za to wszystko nie pochwalą. A jeśli mnie pochwyca na gorącym uczynku? Co robić? Najlepiej będzie wrócić do pałacu i położyć się spać.

Co za cudowny Wielki Mędrzec! Kolysząc się i zataczając, zupełnie pijany, wydo-stał się z Pałacu Jaspisowego Stawu. Pomylił jednak drogę i zamiast do swojej siedziby, dotarł do niebiańskiego pałacu T'u-szuai. Gdy go ujrzał przed sobą, ocknął się nagle z zamroczenia i ze zdziwieniem zawołał:

— Przecież to pałac T'u-szuai, znajdujący się ponad trzydziestym trzecim niebem, siedziba boskiego mędrca T'ai-szang Lao-küna. Jakże mogłem tak pomylić drogę?! Ale niech tam, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Od dawna pragnąłem odwiedzić tego czcigodnego starca i jakoś mi się to nie udawało. Teraz, skoro same nogi mnie tu przywiodły, chyba dobrze byłoby się z nim zobaczyć.

Poprawił przeto na sobie szaty i śmiało wszedł do środka. Niestety, akurat nie

zastał czcigodnego starca, dokoła ani śladu żywej istoty. Właśnie w tym czasie wielebny T'ai-szang Lao-kün razem z Buddą Przeszłości, Dikamparą, znajdował się na trzecim piętrze Niebiańskiego Nefrytowego Tarasu i wiódł z nim dysputę o istocie Wielkiej Prawdy. Przysłuchiwali im się wszyscy niebiańscy generałowie, dostojnicy i urzędnicy.

Wielki Mędrzec w tym czasie przedostał się do komnaty, w której czcigodny starzec przygotowywał pigułki nieśmiertelności, lecz i tam go nie znalazł. Z zaciekawieniem rozglądał się dokoła i dostrzegł, że pod alchemicznym piecem płonie ogień. Po obu stronach pieca stało pięć wielkich naczyń z tykwy, a każde z nich wypełnione było po brzegi pigułkami nieśmiertelności.

— Toż to najcenniejszy skarb nieśmiertelnych! — zawołał uradowany Wielki Mędrzec. — Od czasu, gdy poznałem tajemnicę Wielkiej Prawdy, zdołałem zrozumieć prawa tożsamości świata wewnętrznego i zewnętrznego. Już wtedy zamierzałem zająć się wyrobem eliksiru nieśmiertelności, żeby przyjść ludziom z pomocą. Niestety, musiałem przedwcześnie powrócić do mojego królestwa i już nigdy potem nie znalazłem czasu, żeby się tej pracy poświęcić. Los mi dzisiaj sprzyja, że akurat tutaj przybyłem. Skorzystam z nieobecności czcigodnego starca i spróbuję trochę tych pigulek. Zobaczę, jaki mają smak.

To rzekłszy, przechylił jedną tykwę do ust i najadł się pigulek z eliksirem nieśmiertelności. W smaku przypominały prażony bób. Pod wpływem tych pigulek Sun Wu-k'ung wytrzeźwiał zupełnie i uświadomił sobie, jak wielkie przestępstwo popełnił.

— Oj, źle ze mną będzie! Bardzo źle! — powiedział do siebie. — Takiej zbrodni na pewno mi nie darują. Jeśli tylko Nefrytowy Cesarz się o tym dowie, mogę spokojnie pożegnać się z życiem. Muszę stąd wiać jak najszybciej. I to już! Bez chwili zwlekania! Chyba najlepiej będzie wrócić na ziemię i nadal być królem małp.

Migiem wyskoczył z pałacu T'u-szuai i unikając drogi, którą przyszedł, skierował się ku Zachodniej Bramie Nieba. Wymknął się przez nią nie zauważony przez nikogo jedynie dzięki temu, że wypowiedziawszy odpowiednie zaklęcie, stał się niewidzialny. Za bramą niebios dosiadł przepływającego obłoku i wkrótce wylądował na Górze Kwiatów i Owoców. Na wielkim placu przed jaskinią ujrzał mnóstwo łopoczących na wietrze chorągwi, połyskujących w blasku słońca włóczni i halabard. To jego czterej generałowie i duchy-władcy siedemdziesięciu dwóch grot przeprowadzali ćwiczenia ze swoim wojskiem.

— Dzieci moje, kochani! Znów do was wróciłem! — zawołał do nich Wielki Mędrzec.

Małpy i inne dzikie zwierzęta porzuciwszy broń padły przed nim na kolana i zawołały:

— Nasz Wielki Mędrze! Wcale o nas nie dbasz! Porzuciłeś nas na tyle długich lat i nawet przez ten czas ani razu do nas nie zajrzałeś!

— Nie tak długo! Nie tak długo znów mnie nie było! Co wy opowiadacie?! — usprawiedliwiał się Wielki Mędrzec.

Tak rozmawiając ze swymi poddanymi, wszedł do środka jaskini. Tu czterej jego generałowie już wcześniej wszystko uporządkowali i sprzątnęli, a teraz wprowadziwszy swego króla na tron, pokłonili się przed nim nisko i powiedzieli:

— Wielki Mędrze, nasz władco, przebywałeś w niebie ponad sto lat. Co tam porabiałeś tak długo i jakie piastowałeś stanowiska?

— Jeśli mnie pamięć nie myli, przebywałem w niebie nie dłużej niż pół roku — powiedział śmiejąc się Sun Wu-k'ung. — W jaki sposób naliczyliście te sto lat?

— Przecież jeden dzień w niebie to jeden rok na ziemi — wyjaśnił któryś z generałów.

— Tym razem udało mi się pozyskać łaskawość Nefrytowego Cesarza — rozpoczął swoją relację król małp — i rzeczywiście przyznał mi tytuł Wielkiego Mędrca Równego Niebu. Nawet kazał dla mnie wznieść pałac. W urzędzie, którym kierowałem, były dwa wydziały: Wydział Ciszy i Spokoju oraz Wydział Dobrotliwych Duchów. W każdym z nich pracował cały sztab urzędników, strażników i woźnych. Później, ponieważ stwierdził, że nie mam nic do roboty, powierzył mi nadzór nad Brzoskwiniowym Sadem. Ostatnio Cesarzowa-matka Zachodu postanowiła urządzić Brzoskwiniową ucztę, ale mnie na nią nie zaprosiła. Nie czekając więc na jej zaproszenie, sam poszedłem do Pałacu Jaspisowego Stawu, zjadłem co lepsze potrawy i wypilem wino przygotowane na ucztę nieśmiertelnych. Gdy opuszczałem jej pałac, czułem, jak mi się w głowie kręci i jak nogi się pode mną uginają. Musiałem się nieźle tym winem zakropić i nic dziwnego, że zabłądziłem i niechcący trafiłem do pałacu T'ai-szang Lao-küna. Znalazłem u niego pięć tykw pełnych pigułek nieśmiertelności. Oczywiście, nie pominąłem okazji i najadłem się tych cudów. Przestraszyłem się jednak, że Nefrytowy Cesarz mnie za to ukarze, wziąłem więc nogi za pas i wysliznąwszy się przez bramy niebieskie, przybyłem do was.

Wszyscy poddani króla małp cieszyli się z jego sukcesu i pomyślnego powrotu. Rozstawiono stoły z owocami i kokosowym winem; litrowymi pucharami wznoszono jego zdrowie. Gdy Wielki Mędrzec wychylił pierwszy puchar, skrzywił się strasznie i wyszczerzywszy zęby powiedział:

— Ależ tego się nie da pić! Obrzydliwe! Tfu!

— Nasz Wielki Mędrzec przebywając w niebie przywykł do niebiańskich mięsów i trunków, a więc nic dziwnego, że nasze kokosowe wino nie przypadło mu do gustu — rzekli z szacunkiem generałowie P'eng i Pa. — Nie darmo mówi dawne przysłowie: „Każda woda jest dobra, ale najlepsza z domowej studni”.

— Jest i drugie przysłowie — dodał Wielki Mędrzec. — „Wszyscy są sobie bliscy, ale najbliżsi są ziomkowie”. Gdy dzisiaj rano korzystałem z dobrodziejstw kuchni w Pałacu Jaspisowego Stawu, widziałem pod galeryjką jeszcze wiele stągwi i dzbanów pełnych perlistego, nefrytowozielonkawego wina. Na pewno jeszcze czegoś takiego nie próbowaliście! Poczekaście chwilę, a skoczę do nieba i wykradnę dla was kilka dzbanów tego cudownego napitku. Jeśli każdy z was wypije go bodaj pół czarki, żyć będzie wiecznie i nigdy się nie zestarzeje.

Małpy, usłyszawszy te słowa, nie posiadały się z radości. Wielki Mędrzec zaś wyszedł przed bramę jaskini, fiknął koziołka i stawszy się niewidzialnym, przedostał się z powrotem do pałacu, gdzie miała się odbyć Brzoskwiniowa Uczta. Został tam wszystkich winiarzy, kucharzy, wodonośców, palaczy, pogrążonych nadal w głębokim śnie. Chwytał pod pachy dwie większe stągwie z winem, w dłonie wziął dwa dzbany

i wskoczywszy na cudowny obłok, wrócił przed Jaskinię Wodnej Zasłony. Gromada małych urządziła Wielką Ucztę Wina Nieśmiertelnych. Dla każdej starczyło po kilka czarek cudownego napoju. Radość ich nie miała granic, ale o tym już nie będziemy opowiadać.

Jak mówiliśmy, Wielki Mędrzec swoimi czarami przykuł do miejsca siedem niebiańskich służebnych Cesarzowej-matki. Przez cały dzień tkwiły one nieruchomo w sady i dopiero pod wieczór udało im się wyzwolić spod władzy czararu. Pozbierały swoje koszyki i pobiegły donieść swojej pani o tym, co się stało.

— Wracamy tak późno — powiedziały — ponieważ Wielki Mędrzec Równy Niebu rzucił na nas czary i przykuł do miejsca, tak że nie mogliśmy się ruszyć.

— Ile cudownych brzoskwiń narwałyście? — zapytała Cesarzowa-matka.

— Mamy tylko dwa koszyki małych brzoskwiń — odpowiedziały apсары — i trzy koszyki średnich. Gdy weszłyśmy do tylnej części sadu, nie znalazłyśmy ani jednej wielkiej brzoskwini. Przypuszczamy, że to Wielki Mędrzec wszystkie pozjadał. Gdy szukałyśmy ich daremnie, nagle podbiegł do nas Wielki Mędrzec, nawymyślał nam i już zamierzał nas bić. Powiedziałyśmy mu więc, kim jesteśmy, a wtedy zapytał, kogo zaproszono na Brzoskwiniową Ucztę. Opowiedziałyśmy mu o tej uroczystości, a on wtedy przykuł nas do miejsca i poszedł nie wiadomo dokąd. Dopiero teraz udało nam się wyswobodzić spod jego czarów i wrócić do pałacu.

Cesarzowa-matka wysłuchawszy swych służebnic natychmiast udała się do Nefrytowego Cesarza i opisała mu całe wydarzenie. Nie skończyła jeszcze mówić, gdy do Sali Boskiego Firmamentu weszła grupa winowarów i nieśmiertelnych dostojników, którzy, skłoniwszy się przed władczą nieba, powiedzieli:

— Jakaś nieznana istota zniszczyła Wielką Brzoskwiniową Ucztę, wypila wszystkie nefrytowozielonkawę wino, zżarła wymśnienite potrawy, które przygotowaliśmy na uroczystość.

W tej chwili do sali tronowej wkroczyli czterej dowódcy niebiańskiej gwardii i oznajmili:

— Przybył Wielki Mędrzec T'ai-szang Lao-kün.

Nefrytowy Cesarz i Cesarzowa-matka Zachodu wyszli mu na spotkanie. Po dokonaniu przewidzianego etykietą dworską ceremonialnego powitania, T'ai-szang Lao-kün oświadczył:

— Od wielu lat w moim pałacu wytapiałem w alchemicznym piecu Dziewięciokrotnie Trawione Pigułki Nieśmiertelności, przygotowując je na Wielką Ucztę Nieśmiertelnych, wydawaną co kilka lat przez Waszą Wysokość. Niestety, cały zapas pigułek został przez jakiegoś złodzieja skradziony, o czym ośmielam się zawiadomić Waszą Cesarską Mość.

Wszystkie te wieści zatrwożyły Nefrytowego Cesarza nie na żarty. Po krótkiej chwili pojawili się przed nim niebiańscy urzędnicy z pałacu Wielkiego Mędrca Równego Niebu. Uderzywszy czołem przed Jego Wysokością Nefrytowym Cesarzem powiedzieli:

— Wielki Mędrzec Sun Wu-k'ung nie pełni już więcej swych obowiązków. Jak wczoraj wyszedł ze swego urzędu, to do chwili obecnej jeszcze nie powrócił. Nie wiemy też, dokąd się udał.

Wiadomość ta jeszcze bardziej pogłębiła podejrzenia Nefrytowego Cesarza, że to król małp jest sprawcą tych wszystkich przestępstw. W dodatku pojawił się jeszcze Bosonogi Nieśmiertelny, który ze złością skłoniwszy się przed cesarzem, oświadczył:

— Otrzymawszy zaproszenie Cesarzowej-matki Zachodu na uroczyste przyjęcie, wyruszyłem wczoraj w drogę. Spotkałem jednak Wielkiego Mędrca Równego Niebu, który powiedział mi, że życzeniem Waszej Wysokości jest, by wszyscy zaproszeni goście udali się najpierw do Pałacu Przenikającego Blasku dla uczestnictwa w ceremonii otwarcia i dopiero potem udali się na właściwą ucztę. Postąpiłem zgodnie z jego zaleceniem, zawróciłem z drogi i udałem się do Pałacu Przenikającego Blasku. Nie ujrzałem tam jednak powozu Waszej Wysokości, zaprzężonego w smoki i feniksy, a więc czym prędzej przybyłem tu, do waszego pałacu.

Nefrytowy Cesarz aż zakipiał z oburzenia.

— Jak śmiał ten łajdak, podszywając się pode mnie, wydawać rozkazy, oszukać moich szlachetnych dostojników. Niech inspektorzy Wydziału Śledczego natychmiast wezmą się do dzieła i zbadają sprawy tego niegodziwca.

Zaraz po otrzymaniu cesarskiego rozkazu inspektorzy Niebiańskiego Wydziału Śledczego dokładnie przeanalizowali wszystkie okoliczności wydarzeń i po paru chwilach wrócili z gotową odpowiedzią.

— Sprawcą całego zamieszania w państwie niebieskim jest rzeczywiście Wielki Mędrzec Równy Niebu — oświadczyli zgodnie i szczegółowo przedstawili godne potępienia czyny króla małp.

Nefrytowy Cesarz nie potrafił już dłużej pohamować swego gniewu. Rozkazał czterem głównym niebiańskim książętom, a także księciu nieba Waiśrawanie i jego synowi Noczy, by wzięli ze sobą władców dwudziestu ośmiu gwiazdozbiorów, duchy dziewięciu planet, dwunastu znaków zodiaku, pięciu Duchów Rozpowszechniających Nauki Buddy, czterech głównych dowódców gwardii niebiańskiej, a także duchy władców gwiazd wschodu, zachodu, południa i północy oraz bóstwa pięciu świętych gór i czterech potężnych rzek, wszystkie duchy gwiazd całego nieba, i by na czele stutysięcznego wojska niebieskiego wyprawili się przeciwko niegodziwemu przestępcy. Jednocześnie przykazał im zabrać na ziemię osiemnaście niebiańskich sieci i niewodów i szczelnie opasać nimi Górę Kwiatów i Owoców. Celem ich wyprawy miało być pochwylenie rozbójnika i należyte ukaranie go.

Niebiańscy dowódcy natychmiast po otrzymaniu cesarskiego rozkazu zebrali swe wojska i przekroczyli granice niebieskiego państwa. Maszerująca potęga niebios przedstawiała rzeczywiście widok niesamowity i budzący grozę.

Szalał potężny wicher, żółtawą szarością zaciemniając niebo. W dole skłębione brunatne mgły pokrywały ziemię zmierzchem. Cudowny król małp najwyższego władcę obraził i potężne zastępy niebieskie ukarać go na ziemski padół śpieszą. Dowodzą nimi czterej główni książęta niebiańscy i pięć Duchów Rozpowszechniających Nauki Buddy. Pierwsi, władzę zwierzchnią nad całą wyprawą dźwierzają, drudzy, zajmować się będą przemieszczaniem wojsk. Książę Waiśrawana głównymi siłami dowodzi, syn jego, Nocza, komendę nad przednimi oddziałami przejął, książę ciemno-

ści, Rahu, wywiadowców wiedzie, a księżę Ketu tyły wojsk osłania. Bóg Księżycza wygląda mężnie, wojowniczo, Bóg Słońca przed armią niebios ciemności rozprasza. Duchy pięciu żywiołów dyszą żądzą, by swe męstwo, odwagę okazać, władcy planet dziewięciu z niecierpliwością do walki się palą. Duchy znaków zodiaku w hełmach i zbrojach prezentują się okazale. Na obu skrzydłach widać potężnych władców pięciu epidemii i pięciu gór świętych. Cztery święte smoki, bogowie największych rzek, szybują ponad armią, a niebo skrzy się od zbroi na władcach dwudziestu ośmiu gwiazdozbiorów. Czterech bogów wschodnich planet mianowano dowódcami, czterech bogów planet zachodnich duchem bojowym się szczyli. Niezliczona liczba duchów, bogów, władców gwiazd i konstelacji sunie w zwartych szeregach. Nad nimi połyskują ostrza halabard, wirują miecze, demonstrując niezniszczalną potęgę niebios. W końcu zatrzymano chmury, opuszczono mgły na ziemię i armia niebieska rozbiła obóz u podnóża Góry Kwiatów i Owoców.

Gdy wojska niebieskie rozbiły się obozem, wódz naczelny, księżę Waiśrawana, wydał rozkaz otoczenia Góry Kwiatów i Owoców osiemnastoma niebiańskimi sieciami i niewodami tak ściśle i dokładnie, żeby z niej nawet woda nie uciekła. Najpierw wysłał przeciwko królowi małp straszliwe duchy dziewięciu planet. Zebrały one swe oddziały i w pełnym rynsztunku bojowym zjawily się przed wejściem do Jaskini Wodnej Zasłony. Ujrzały tam dużą gromadę wielkich i małych małp, które tańczyły, skakały i bawiły się w różne gry. Nagle jeden ze straszliwych duchów planet krzyknął do nich:

— Hej, wy, straszydła! Gdzie jest wasz Wielki Mędrzec? Jestem niebiańskim duchem zesłanym z górnych sfer. Przybyłem tu, by poskromić waszego Wielkiego Mędrca, który odważył się zbuntować przeciwko niebu. Powiedzcie mu, żeby tu szybko przyszedł i poddał się. Jeśli tylko piśnie jedno słowo „nie”, możecie od razu pożegnać się z życiem.

Małpy hurmem rzuciły się do jaskini wołając:

— Nasz Wielki Mędrce, nieszczęście na nas spadło! Okropne nieszczęście! Przed jaskinią czeka dziewięć straszliwych duchów. Mówią, że zesłane zostały z nieba, żebyś się im poddał!

Wielki Mędrzec właśnie biesiadował przy winie z duchami-władcami siedemdziesięciu dwóch grot i czterema swoimi generałami. Nie przywiązując większej wagi do tego, co mu doniesiono, powiedział:

— Dzisiaj mamy wino i dzisiaj je wypijemy. Nic nas nie obchodzi, co się tam dzieje za bramą jaskini.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy do środka wbiegła następna grupa małp.

— Te dziewięć potworów obrzuciło nas przekleństwami! Szykują się do walki!

— Nie zwracajcie na nie uwagi! — zawołał rozbawiony Wielki Mędrzec. — Dziś pora, by się cieszyć poezją i winem, a sława i zaszczyty same przyjdą.

Zaledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, gdy nowa chmara małp przybiegła z przeraźliwym krzykiem:

— Ojczulku nasz, władco! Dziewięć straszliwych duchów rozwalilo bramę, wdarło się do jaskini i idą tu, zabijając wszystkich po drodze!

— Co za wstrętne potwory! Jakie zuchwałe! — Wielki Mędrzec zawrzał gniewem nie na żarty. — Wcale ich nie zaczepiałem. Czemu więc wdarli się do mego pałacu i chcą ze mną wojować?

Wielki Mędrzec natychmiast wysłał do boju Jednorogich Demonów oraz siedemdziesięciu dwóch władców grot, a sam podążył za nimi w asyście czterech generałów. Demony pośpiesznie zebrały swe wojska i ruszyły na ich czele przeciwko nieprzyjacielowi. Przy żelaznym moście drogę im zagroziło dziewięć duchów planet. W tym momencie jednak przyszedł im w sukurs Wielki Mędrzec.

— Precz z drogi! — krzyknął i trzymając w dłoni swą cudowną żerdź, machnął nią raz i drugi, aż wydłużyła się na dwa czangi* i odpowiednio pogrubiała. Odbijając ciosy przeciwników i sam wymierzając je na prawo i lewo, król małp parł niepowstrzymanie przed siebie. Któryż z Duchów Dziewięciu Planet potrafi stawić czoła takiemu atakowi? Wycofali się na skraj placu, ustawili w szyku bojowym, a ich dowódca zawołał:

— Ach, ty podły pastuchu! Chyba zupełnie rozum straciłeś! Popelnifś tyle zbrodni, najpierw skradłś brzoskwinie ze świętego sadu, wypifś wino, zniszczyłś Brzoskwinową Ucztę Nieśmiertelnych, skradłś T'ai-szang Lao-künowi pigułki nieśmiertelności, przyniosłś boskie wino Nefrytowego Cesarza dla tej swojej hołoty i myślisz jeszcze, że cię za to ominie kara?! Czyś jeszcze nie pojął, co nabroifś?

— No i co z tego? — zapytał drwiąco Wielki Mędrzec. — Rzeczywiście, wszystko to moje dzieło. A wy, co mi możecie zrobić?!

— Otrzymaliśmy rozkaz na złocnym jedwabiu od Nefrytowego Cesarza, żeby zebrać niebieskie wojska i ukarać cię! — zawołał jeden z duchów. — Natychmiast poddaj się, a wtedy darujemy życie tym twoim poddanym. Jeżeli będziesz się opierał, zrównamy z ziemią tę górę, a twoją jaskinię zamienimy w rumowisko gruzu!

Wielki Mędrzec zapłonął straszliwym gniewem.

— Wy, wstrętne potwory! — krzyknął. — Jakim prawem ośmielacie się tu przychodzić i grozić mi?! Jeśli nie chcecie po dobroci odejść, to popróbujecie mojej cudownej żerdzi!

Wszystkie dziewięć duchów planet rzuciło się na Wspaniałego Króla Małp, ale on ani trochę się tym nie przestraszył. Kręcąc cudowną żerdzią nad głową, to odbijał ciosy, to je sam zadawał. Dziewięć duchów walczyło tak zaciekle, że w końcu zabrakło im tchu w piersiach, ręce i nogi omdlały, i jeden za drugim rzucając broń uciekali z pola walki. Przerażeni wbiegli do namiotu naczelnego wodza i skłoniwszy się przed księciem Waiśrawaną zawołali:

— Ten Wspaniały Król Małp jest strasznie silny i odważny. Toczyliśmy z nim walkę, jednak nie zdołaliśmy go pokonać i doznawszy porażki, ustąpiliśmy z placu boju.

Wówczas księżę Waiśrawana wysłał do walki czterech głównych księżąt niebiańskich i duchy dwudziestu ośmiu wielkich gwiazdozbiorów. Wielki Mędrzec jednak i tym razem się nie przestraszył. Wyprowadził przed jaskinię wszystkie swoje armie

* Czang — wysokość dorosłego mężczyzny.

pod wodzą dwóch Władców Jednorożich Demonów, duchów siedemdziesięciu dwóch grot i czterech małych generałów i ustawił je w szyku bojowym. A teraz popatrzcie, jak toczyła się ta straszliwa bitwa, mogąca przyprawić o przerażenie najdzielniejszego wojownika.

Lodowaty wicher wył żałośnie, ziemię spowiły ciemność, dziwne mgły i opary. Tu nagle chorągwie zatrzepotały głucho na wietrze, tam ostrza włócznie żywym błyskiem rozjaśniły niebo. Wzburzyło się morze hełmów, fala za falą napływały świetliste zbroje. Chrząst kolczug, odbijających słoneczne promienie, cudowną muzyką wzbijał się ku niebu, iskrzący się chłodem blask zbroi skuwał ziemię lodową powłoką. Olbrzymie miecze nurzając się w chmurach rodziły błyskawice, długie włócznie o białych drzewcach mieszały mgły i przebijały chmury. Hałabardy niebiańskich rycerzy, olbrzymie biczyska o tygrysiach ślepiach sterzczały równo jak łodygi konopne w polu; miecze wykute z brązu, lśniące topory stały gęsto jak drzewa w lesie. Napięte cięciwy kuszy wypuszczały pierzaste strzały w szeregi nieprzyjaciela, jadowymi gadami zakończone piki na wskroś raziły walczące demony. Wielki Mędrzec walczył jedną tylko Żerdzią Spełniającą Życzenia, wywijając nią na wszystkie strony, mężnie stawiał czoła niebiańskiemu duchom. Walczono wszędzie, w powietrzu, na ziemi i w wodzie, wojska było tak gęsto, że nawet ptak by nie mógł przelecieć, a górskie wilki i tygrysy ze strachu zaszyły się w swych legowiskach. Bój był tak zaciekły, że w górę wzbil się tuman pyłu, fruwały kamienie, a niebo i ziemia czernią się pokryły. W powietrzu grzmiotem rozlegał się niebiański dzwon, siejąc przerażenie wśród duchów na ziemi i w niebie.

Bitwa rozpoczęła się wczesnym rankiem i trwała, póki słońce nie skryło się za zachodnim stokiem gór. W krótkim czasie dwaj Władcy Jednorożich Demonów oraz siedemdziesięciu dwóch władców grot dostali się do niewoli i tylko czterem generałom wraz z ich małpim wojskiem udało się czmychnąć i ukryć w najdalszych zakamarkach Jaskini Wodnej Zasłony. Na polu walki pozostał tylko Wielki Mędrzec. Sam jeden, za pomocą swej cudownej żerdzi powstrzymywał napór czterech głównych książąt niebiańskich, księcia Waisrawany i jego syna, księcia Noczy. Ba, nawet przez pewien czas walczył z nimi w powietrzu.

Długo toczył bój Wielki Mędrzec przeciwko wojskom nieba, aż w końcu widząc, że zaczyna się zmierzchać, wyrwał sobie garść włosów, włożył do pyska, rozgryzł na kawałki i wypluł wołając: — Zmieńcie się! — I rzeczywiście, w jednej chwili powstało z nich sto tysięcy takich jak on wielkich mędrców. Wymachując żelaznymi żerdziami, zadając ciosy na prawo i lewo, zmusili oni do ucieczki księcia Noczę, zadali druzgocącą klęskę pięciu wielkim książętom niebiańskim.

Po odniesionym zwycięstwie Wielki Mędrzec zebrał wyrwane włosy, wetknął z powrotem na swoje miejsce i szybko zawrócił w stronę jaskini. U żelaznego mostu napotkał gromadę swych wojowników z czterema generałami na czele, którzy to jęcząc i szlochając, to znów chichocząc i śmiejąc się, bili przed nim pokłony.

— Dlaczego na mój widok na przemian się śmiejecie i płaczecie? — zapytał Wielki Mędrzec.

— Płacemy dlatego — wyjaśnili czterej generałowie — ponieważ podczas dzi-

siejszej bitwy do niewoli dostali się dwaj Władcy Jednorogich Demonów i duchy siedemdziesięciu dwóch grot. Wszyscy oni dostali się w ręce niebiańskich duchów i tylko nam się udało ująć z życiem. A śmiejemy się dlatego, że widzimy naszego Wielkiego Mędrca zdrowym i całym, w glorii zwycięstwa wracającego z pola walki.

— Zwycięstwa i porażki to ryż powszedni w życiu rycerza — rzekł Wielki Mędrzec. — Wszak jeszcze w zamierzchłych czasach mówiono: „Zabijając dziesięć tysięcy wrogów, sam postradasz co najmniej trzy tysiące wojowników”. Zresztą ci, których wzięto do niewoli, to same tygrysy, wilki, lisy, borsuki i inne stwory. Z naszego, małpiego rodu nikogo nie pochwycono, a więc nie mamy się czym przejmować. Posłuchajcie teraz uważnie. Co prawda dzięki zastosowaniu metody rozmnożenia udało mi się przepędzić na pewien czas nieprzyjaciela, ale nie uciekł on daleko i rozbił się obozem u podnóża naszej góry. Musimy się doskonale przygotować do obrony, a przede wszystkim najść do syta i dobrze wyspać, żeby nabrać świeżych sił. O świcie, zobaczycie, puszcę w ruch cały mój czarodziejski arsenał i zemszczę się na niebiańskich generałach za niewolę i śmierć naszych dzielnych sojuszników.

Zgodnie z zaleceniem Wielkiego Mędrca, czterej generałowie i ich małpi rycerze wypili po kilka czarek kokosowego wina i legli zapadając w błogi sen.

Tymczasem, gdy czterej główni książęta niebiańscy zaprzestali walki i ściągnęli do obozu swoje wojska, ze wszystkich stron zaczęły napływać meldunki: jedni pochwycili tygrysy, inni wzięli do niewoli lwy, jeszcze inni szczycili się pojmaniem wilków i lisów. Nikt jednak nie zawiadomił naczelnego wodza o pochwyconiu choćby jednej małpy. Wojska niebios uczyniły tak, jak to zapowiedział Wielki Mędrzec: rozbiły obóz, otoczyły go wysoką palisadą, nagrodzono zasłużonych w boju dowódców, kazano wojownikom rozciągnąć niebiańskie sieci i niewody i ustawić warty z alarmowymi dzwonami, ustalono też hasło i odzew. Jednym słowem, otoczono Górę Kwiatów i Owoców tak szczelnym kordonem, że nikt nie mógł się z niej wydostać. Wielka bitwa miała nazajutrz o świcie rozgorzeć od nowa. Każdy z wojowników otrzymał rozkazy, każdego skrawka ziemi czujnie strzeżono. Tak więc:

Cudowna małpa zuchwałym buntem
Gniew władcy nieba spowodowała.
Teraz jest w sieci, a dniem i nocą
Czyha na nią niebios armia cała.

Jeśli chcecie się dowiedzieć, jak ostatecznie wypadki się potoczyły nazajutrz o świcie, posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

o tym, jak bodhisattwa Kuan-in przybyła na Brzoskwiniową Ucztę i dowiedziała się o zaszłych wydarzeniach, a także o tym, jak Mały Mędrzec swą niezwykłą mocą pokonał Wielkiego Mędrca.

Na razie przestaniemy się zajmować niebiańskimi duchami i otoczonym przez nich Wielkim Mędrcom, który, odpoczywając w swej jaskini, nabierał sił do czekającej go walki. Opowiemy teraz o najlitościwszej, wszechmiłosiernej, ratującej z niebezpieczeństw, pocieszającej w niedoli bodhisattwie Kuan-in, zamieszkującej górę Budhaloka na Południowym Oceanie. Na zaproszenie Cesarzowej-matki Zachodu przybyła ona ze swym ukochanym uczniem Huei-anem na Brzoskwiniową Ucztę Nieśmiertelnych. Gdy się zjawiała w Pałacu Jaspisowego Stawu, zastała salę przyjęć w wielkim nieładzie. Wszędzie wały się porozrzucane maty do siedzenia, a kilku przybyłych na ucztę nieśmiertelnych, zamiast zająć swoje miejsca, stało grupkami i o czymś z ożywieniem rozprawiło. Bodhisattwa wymieniła z nimi powitania i dowiedziała się o wszystkim, co się w państwie niebios wydarzyło.

— No cóż, skoro uczta się nie odbędzie, skoro odwołano ceremonię obdarowania winem — rzekła — pójdę z moim uczniem złożyć wizytę Nefrytowemu Cesarzowi. Wybierzcie się z nami?

Nieśmiertelni ochoczo zgodzili się jej towarzyszyć. W Pałacu Przenikającego Błasku napotkali czterech rycerzy niebiańskiej gwardii, Bosonogiego Nieśmiertelnego oraz kilku innych niebian. Wszyscy zbliżyli się, by powitać bodhisattwę. Powiedzieli jej też, że Nefrytowy Cesarz jest w złym nastroju, ponieważ nie wróciły jeszcze jego wojska, które wysłał dla pochwylenia złośliwego monstrum.

— Bardzo bym chciała zobaczyć się z Nefrytowym Cesarzem — zwróciła się do nich bodhisattwa. — Czy mogę was prosić o doniesienie mu o moim przybyciu?

Ts'iu Hung-tsi, jeden ze strażników, wszedł do Sali Boskiego Firmamentu, zapowiedział bodhisattwę i bezzwłocznie otrzymał rozkaz poproszenia jej do środka. Ce-

sarz akurat o tej porze rozmawiał z czcigodnym starcem T'ai-szang Lao-künem, a przysłuchiwała się im Cesarzowa-matka Zachodu.

Bodhisattwa wraz ze swym uczniem weszła do sali tronowej, złożyła Nefrytowemu Cesarzowi należne pokłony, a następnie przywitała się z Lao-künem i Cesarzową-matką.

— Co się stało z naszą Brzoskwińnią Ucztą Nieśmiertelnych? — zapytała bodhisattwa usiadłszy na wskazanym jej miejscu.

— Zawsze zapraszamy nieśmiertelnych na tę ucztę, by wspólnie z nimi się radować i weselić — rzekł cesarz. — W tym roku przygotowaną już ucztę zniszczyła nam niegodziwa małpa, tak więc na próżno przyjechali zaproszeni goście.

— Skąd się wzięła ta szkaradna małpa? — zapytała Kuan-in.

— Urodziła się z kamiennego jaja na Górze Kwiatów i Owoców, która znajduje się niedaleko krainy Aolai w świecie Purwawideha — zaczął swą opowieść Nefrytowy Cesarz. — Zaraz po urodzeniu blask jej oczu był tak silny, że dotarł aż do mego pałacu. Z początku nawet nie zwracaliśmy na nią specjalnej uwagi, ale z czasem zdobyła taką czarodziejską moc, że zaczęła upokarzać smoki i poskramiać tygrysy, a nawet się ośmieliła wykreślić swoje imię z rejestrów śmierci w królestwie podziemi. Wówczas król smoków i władca podziemnego świata Jen-lo-wang przybyli do mnie ze skargą. Zamierzałem pochwyć i ukarać tę zuchwałą małpę, ale Duch Gwiazdy Wieczornej wstawił się za nią i powiedział: „Wszystkie zamieszkujące ziemię istoty, które mają w ciele dziewięć otworów, mogą przez doskonalenie swej natury osiągnąć nieśmiertelność”. Wówczas, chcąc ją wychować swoją wspaniałomyślnością, wezwałem ją do nieba i mianowałem pimawenem, powierzając jej opiekę nad niebiańskimi rumakami. Jednak to niewdzięczne monstrum wzgardziło ofiarowaną godnością i sprzeciwiając się mojej woli, opuściło granice nieba. Wysłałem wtedy księcia niebios Waiśrawanę i jego syna Noczę, żeby zmusili małpę do posłuszeństwa. Ponownie okazałem jej wspaniałomyślność i sprowadziłem do nieba, nadając temu królowi małp godność Wielkiego Mędrca Równego Niebu. Był to tylko tytuł bez odpowiednich apanaży. Ponieważ Wielki Mędrzec nie miał nic do roboty i z nudów włóczył się po całym kraju, obawiając się, żeby znów czegoś nie nabroił, powierzyłem mu nadzór nad Sadem Cudownych Brzoskwiń. Jednak on znów, nie uszanowawszy naszych praw, skradł i pożarł wszystkie brzoskwinie z najstarszych drzew. Postanowiliśmy nie zapraszać go na Brzoskwińnią Ucztę Nieśmiertelnych, ponieważ jego imię nie znajdowało się w oficjalnych wykazach naszych urzędników. Obrzcił się z tego powodu, podstępnie oszukał Bosonogiego Nieśmiertelnego i przybrawszy jego postać wypił całe wino przygotowane na ucztę. Ponadto skradł T'ai-szang Lao-künowi pigułki nieśmiertelności, zabrał nasze cesarskie wino, by napić nim swoją małpią hołotę na Górze Kwiatów i Owoców. Wszystkie te niegodne czyny tak mnie wzburzyły, że wysłałem przeciwko niemu stutysięczną armię niebios, a żeby się nie wymknął, kazałem go otoczyć niebiańskimi sieciami i niewodami. Mija już dzień cały, a ja nie mam żadnych wieści z pola walki i nie wiem, kto zwyciężył, a kto poniósł porażkę.

Bodhisattwa, wysłuchawszy cierpliwie słów cesarza, wydała polecenie swemu uczniowi, Huei-anowi:

— Idź szybko, opuść granice nieba i udaj się na Górę Kwiatów i Owoców. Wypytaj się tam dokładnie, jak przedstawia się sytuacja na polu walki. Jeśli po drodze natkniesz się na nieprzyjaciela, możesz przystąpić do walki i okazać pomoc naszym wojskom. Ale potem staraj się jak najszybciej dowiedzieć, co się tam dzieje, i wracaj, żeby nam zdać sprawę.

Huei-an poprawił na sobie szaty, chwycił mocno w dłoń żelazną pałkę, swoją broń, i dosiadłszy chmury, odleciał przez bramy niebiańskiej stolicy. Gdy się zbliżył do Góry Kwiatów i Owoców, ujrzał gęsto rozstawione niebiańskie sieci i niewody. Przy każdej bramie obozu wojsk niebiańskich wymieniano hasła i odzewy, a cała góra była tak dokładnie otoczona, że nawet woda by nie mogła się z niej przecisnąć. Huei-an zatrzymał się przed jedną z bram obozu i zawołał:

— Hej, strażnicy bramy! Dajcie znać dowództwu o moim przybyciu. Jestem Mok-sza, drugi syn niebiańskiego księcia Waiśrawany, obecnie uczeń bodhisattwy Kuan-in z Południowego Oceanu. Moje zakonne imię brzmi Huei-an. Przybyłem tu specjalnie, by się dowiedzieć o sytuacji na polu walki.

Pełniące straż u bramy duchy pięciu świętych gór przekazały wiadomość do środka obozu, a następnie duchy gwiazdozbiorów Skorpiona, Koziorożca, Wagi i Raka zanosły ją do namiotu naczelnego wodza. Niebiański książę Waiśrawana przez swoich adiutantów wysłał rozkaz uniesienia niebiańskich sieci i niewodów i wpuszczenia przybyłego gościa do obozu. We wschodniej stronie niebo pojaśniało. Huei-an wprowadzony przez adiutanta do namiotu naczelnego wodza pokłonił się z szacunkiem czterem wielkim niebiańskim księżetom i księciu niebios Waiśrawanie. Witając gościa, potężny Waiśrawana spytał:

— Synu mój, skąd tu przybywasz?

— Towarzysząc mojej pani, bodhisattwie Kuan-in, przybyłem do nieba na Brzaskwiniową Ucztę Nieśmiertelnych — odparł Huei-an. — Jednak gdy zamiast radosnej uczty bodhisattwa zastała Pałac Jaspisowego Stawu całkowicie spustoszony i pogrążony w głębokiej ciszy, udała się ze mną i w otoczeniu nieśmiertelnych dostojników do Nefrytowego Cesarza. Niebiański władca powiedział, że ty, mój ojciec, na czele niebiańskich wojowników wyruszyłeś na ziemię, aby zmusić do uległości czarodziejską małpę, że przez cały dzień nie ma od ciebie wieści i że się niepokoi o wynik walki. Wtedy moja pani, bodhisattwa Kuan-in, wysłała mnie tu, żebym się o wszystko dokładnie wypytał.

— Przybyliśmy tu wczoraj, rozbiliśmy obóz i otoczyliśmy go palisadą — objaśniał synowi sytuację książę Waiśrawana. — Od razu wysłałem duchy dziewięciu planet, by rozpoczęły wstępny bój, ale moc czarodziejska tego niegodziwca była tak wielka, że duchy musiały uznać swoją porażkę i wróciły do obozu. Wtedy sam poprowadziłem przeciwko niemu nasze wojska. Zuchwalec też wywiódł swe armie i ustawił je w szyku bojowym. Na czele stu tysięcy moich niebiańskich wojowników toczyłem z nim walkę do późnego wieczora, a wtedy on znów uciekł się do czarów, rozmnożył swoje ciało i zmusił nas do odstąpienia. Po dokonaniu przeglądu jeńców okazało się, że do niewoli dostały się tylko tygrysy, wilki, pantery i inne tego ro-

dzaju bestie, ale nie udało nam się schwytać ani jednej czarodziejskiej małpy. Dziś też staniemy do walki.

Waiśrawana jeszcze nie skończył mówić, gdy od głównej bramy obozu nadbiegł wojownik i zawołał:

— Wielki Mędrzec na czele całej hordy małpich stworów podszedł pod bramy obozu i wzywa nas do walki.

Czterej wielcy książęta niebiańscy, książę Waiśrawana i jego syn Noczą, usłyszawszy tę wiadomość, zaczęli radzić nad tym, jak najlepiej będzie poprowadzić niebiańskie zastępy do boju. Wówczas Moksza zabrał głos i w te słowa zwrócił się do naczelnego wodza:

— Potężny książę, ojciec mój! Wysyłając mnie na ziemię, bodhisattwa kazała mi zdobyć wieści o tym, co się tu dzieje. Powiedziała też, że jeśli nadarzy się okazja do walki z nieprzyjacielem, mogę do niej przystąpić i okazać pomoc naszym oddziałom. Bardzo bym chciał zmierzyć z nim swoje siły, zobaczyć, jaki to z niego Wielki Mędrzec!

— Mój synu! — rzekł na to książę Waiśrawana. — Od kilku lat pobierasz naukę u bodhisattwy Kuan-in. Myślę, że przez ten czas nauczyłeś się stosować różne czarodziejskie sztuczki. Na pewno ci się one teraz przydadzą, ale bądź ostrożny.

Co za wspaniały Huei-an! Podpasawszy mocno szeroki, haftowany kaftan, wywijając oburącz swoim żelaznym drągiem, wyskoczył przed bramę obozu i zawołał na cały głos:

— Który to jest Wielki Mędrzec Równy Niebu?

Wielki Mędrzec uniósł Spełniającą Życzenia Żerdź i odrzyknął:

— To ja, Sun Wu-k'ung! A ty ktoś taki, że się ośmielasz o mnie dopytywać?

— Jestem Moksza, drugi syn księcia niebios Waiśrawany — odpowiedział przeciwnik. — Jam uczeń bodhisattwy Kuan-in i strażnik religii. Moje zakonne imię brzmi Huei-an!

— Po co tu przybyłeś, zamiast doskonalić się w najwyższej cnocie na Południowym Oceanie? — zapytał Wielki Mędrzec.

— Przesłał mnie tu mój mistrz, bym się dowiedział o wyniki walki — odparł Moksza — ale gdy mi powiedziano, jaka z ciebie gadzina, postanowiłem osobiście się z tobą rozprawić!

— Jak śmiesz tak zuchwale do mnie się zwracać?! — krzyknął z oburzeniem Wielki Mędrzec. — Stój! Zaraz dam ci popróbować mojej cudownej żerdzi!

Moksza jednak wcale się nie przestraszył tej groźby i chwyciwszy w dłonie żelazny drąg, odważnie natarł na przeciwnika. I tak, na zboczu góry, u bram obozu rozgrywała wspaniała walka.

Drąg do żerdzi na wygląd podobny był bardzo, jednak każda broń z innego wykuta była żelaza. Chociaż więc jedna broń drugiej w sławie mogła dorównać, to szermierze byli różni. Jeden z nich to Wielki Mędrzec, zrodzony z cudownego załączka bez troski nieśmiertelny, drugi zaś to bodhisattwy Kuan-in uczeń ulubiony, który tajemnicę Prawdy zgłębił w młodym wieku. Cudowny drąg z żelaza po tysiącokrotnie kuty magiczne moce dwunastu międzygwiazdnych kowali wchłonął. Żerdź Spełniająca Życze-

nia służyła w Mlecznej Drogi ubijaniu, a tajemna jej siła wody mórz i oceanów w potop przemieniała. Dwaj rywale starli się z wściekłością, jeden nie gorszy od drugiego, niezliczone ciosy szybowały w powietrzu. Drąg Mokszy w jego wprawnych dłoniach niby tysiącem ostrych żądał otaczał przeciwnika, świst wichru wydając straszliwy. Żerdź Wielkiego Mędrca, trzymana oburącz nie stała bezczynnie. Odbijał nią ciosy i sam zadawał. Z jednej strony pola walki łopotwały wojenne chorągwie, z drugiej grzmiąły bębny bojowe. Tysiące wojsk niebiańskich zacieśniały pierścień okrążenia, chmary małych wojowników wypełniały plac przed jaskiniową twierdzą. Ziemię spowily mgły tajemnicze, nad jaskinią posępne chmury zawisły, aura śmierci i zagłady sięgała aż bram nieba. Wczorajsza walka, rzecz można, była tylko skromną potyczką, dzisiejsze zmagania dopiero bojową zaciekłość ukazały. Talentów i męstwa króla małp nie zdołał Moksza przewidzieć i w końcu pokonany salwował się z pola walki ucieczką.

Chyba już sześćdziesiąt razy starli się mężczyźni wojownicy, gdy w końcu Huei-an poczuł, jak ze zmęczenia ramiona mu mdleją i nie jest już w stanie stawiać rywalowi czoła, a więc wymachując jeszcze drągiem, odbijając ciosy, ustąpił pola i zbiegł do obozu. Wielki Mędrzec wycofał więc swoje oddziały i u wejścia do jaskini na zasłużony odpoczynek zostawił. Widział w oddali, jak przed bramą obozu wojsk niebiańskich rozstąpili się wojownicy, by pokonanego rycerza do środka przepuścić.

Zadyszany Moksza stanął przed czterema wielkimi księżętami nieba, księciem Waiśrawaną i jego synem Noczą i rzekł:

— Co za Wielki Mędrzec! Jaki wspaniały szermierz! W istocie, moc magiczną posiadał on nadzwyczajną. Syn twój, o księżę, nie dotrwał do końca walki i musiał, nie pokonawszy wroga, powrócić.

Widok syna tak przeraził księcia Waiśrawaną, że natychmiast kazał przygotować raport dla Nefrytowego Cesarza i prosić go o pomoc. Z raportem wysłani zostali księżę demonów Mahabali i Moksza. Obydwaj, nie odważywszy się na najmniejszą zwłokę, wydostali się za niebiańskie sieci okalające obóz i dosiadłszy dobrowróźbne obłoki, poszybowali w stronę nieba. Wkrótce znaleźli się przed Pałacem Przenikającego Blasku. Czterej niebiańscy strażnicy zaprowadzili ich do Pałacu Złocistych Obłoków, gdzie posłańcy przekazali raport Waiśrawany najwyższemu władcy niebios. Huei-an zaś podszedł do bodhisattwy i pokłonił się jej.

— Czego dowiedziałeś się tam w dole? — zapytała Kuan-in.

— Na twój rozkaz, pani — rzekł Huei-an — udałem się na Górę Kwiatów i Owoców. Gdy przepuszczono mnie przez linię umocnień z niebiańskich sieci, spotkałem mojego ojca i przekazałem mu twoje życzenie. Ojciec mój, wielki księżę Waiśrawana, powiedział: „Wczoraj stoczyliśmy bitwę z armią króla małp, jednak do niewoli dostały się tylko tygrysy, wilki, pantery i inne tego rodzaju bestie, nie udało nam się schwycić ani jednej czarodziejskiej małpy”. W czasie naszej rozmowy doniesiono, że król małp przybył pod mury obozu i wyzywa nas do walki. Wtedy ja, uzbrojony w żelazny drąg, stanąłem, by zmierzyć z nim swoje siły. Sześćdziesiąt razy atakowałem, ale nie zdołałem go pokonać. W końcu dałem za wygraną i powróciłem do obozu. Ojciec w związku z tym przysłał mnie i księcia demonów, Mahabalę, do nieba z prośbą o pomoc.

Wysłuchawszy tych wieści bodhisattwa opuściła głowę i głęboko się zamysliła.

Nefrytowy Cesarz otworzył dostarczone mu przez posłańców pismo i gdy wyczytał w nim prośbę o pomoc, wybuchnął śmiechem i zawołał:

— Czyżby rzeczywiście ta cudowna małpa do takiego stopnia opanowała tajemną wiedzę magiczną, że zdolna jest stawić czoła stutysięcznej armii niebios?! Księżę Waiśrawana błaga mnie o przysłanie pomocy. Jakież to wojska mogą mu posłać?

Nie skończył jeszcze mówić, gdy Kuan-in, złożywszy z czcią dłonie, zwróciła się do niego:

— Niech wasza wysokość się nie martwi! Pozwolę sobie wymienić jedno bóstwo, które z pewnością się upora z tą dokuczliwą małpą.

— A co to za bóstwo? — zapytał z zaciekawieniem Nefrytowy Cesarz.

— Kuzyn Waszej Wysokości, Prześwietny Mędrzec, szlachetny Er-lang. Siedziba jego znajduje się w Kuanczou, przy ujściu rzeki Kuan. Karmi się oparami wonności i kadzideł, jakie na jego ołtarzu palą ziemianie. Niedgdyś dokonał bohaterskiego czynu zabijając sześć straszliwych potworów. Ma też dzielnych braci, którzy rezydują na Mei-szanie, a wesprze go także tysiąc dwieście bóstw traw i ziół. Wszyscy oni sztukę czarodziejską znają na wylot. Jednak próśb Er-lang nie posłucha. Stawi się jedynie na wyraźny rozkaz. Jeśli Wasza Wysokość rozkaże mu przybyć z wojskiem na ziemię, wówczas przy jego pomocy na pewno zdołamy pochwycić cudowną małpę.

Nefrytowy Cesarz usłuchał rady bodhisattwy, kazał napisać odpowiedni rozkaz i wysłał z nim księcia demonów, olbrzyma Mahabale.

Księżę demonów zabrał cesarski edykt, wszedł na czekającą chmurę i popędził na niej prosto do ujścia rzeki Kuan, a następnie, nie tracąc ani chwili, skierował swe kroki do świątyni Prześwietnego Mędrca. Strzegące bramy świątynnej demony wbiegły do środka i oznajmiły:

— Przybył poseł niebiański z rozkazem cesarza!

Er-lang zerwał się ze swego tronu na ołtarzu i w otoczeniu swych braci wybiegł przed świątynię, by z należną czcią przyjąć edykt najwyższego władcy niebios. Zapalwszy odurzające kadzidła, rozłamał pieczęcie i odczytał wolę cesarza:

„Wielki Mędrzec Równy Niebu, czarodziejska małpa z Góry Kwiatów i Owoców, naruszył prawa niebios. W niebieskim królestwie skradł brzoskwinie, wino, pigułki nieśmiertelności, zniszczył Wielką Brzoskwinową Ucztę Nieśmiertelnych. By go pojmać, wysłaliśmy stutysięczną armię niebios, otoczyliśmy górę osiemnastoma niebiańskimi sieciami i niewodami, a mimo to nie osiągnęliśmy zwycięstwa. Niniejszym nakazujemy zacnemu kuzynowi i jego braciom, by udali się na Górę Kwiatów i Owoców i wsparli nasze wojska biorąc udział w karnej wyprawie. Po pomyślnym zakończeniu walki nie omieszkamy was stosownie do zasług wynagrodzić i podnieść wasze godności w niebiańskiej hierarchii”.

Bracia Er-langa jednogłośnie wyrazili chęć uczestnictwa w wyprawie i w jednej chwili ściągnęli swoje czarodziejskie wojska. Każdy z wojowników trzymał na ramieniu sokoła, na smyczy wiódł olbrzymiego psa, a w rękach niośł szybkostrzelną kuszę i łuk. Pochwyceni gwałtownym wichrem, w mgnieniu oka przelecieli nad Wschodnim

Oceanem i wylądowali na Górze Kwiatów i Owoców. Przed sobą ujrzeli gęsto rozstawione niebiańskie sieci. Nie mogąc się przez nie przedostać, wódz ich zawołał:

— Hej, duchy-strażnicy sieci niebiańskich! Słuchajcie! Jam jest Prześwietny Mędrzec, szlachetny Er-lang. Przybyłem tu z rozkazu Nefrytowego Cesarza, aby schwytać czarodziejską małpę. Szybko otwórzcie nam bramy obozu i wpuście do środka!

Wieść ta, przekazywana od jednego strażnika do drugiego, w jednej chwili dotarła do kwatery naczelnego dowódcy. Czterej wielcy książęta niebios i książę Waiśrawana natychmiast wybiegli przed bramy obozu, by powitać nadciągające posiłki. Po wzajemnych powitaniach przybysze zaczęli się wypytywać o sytuację na polu walki, a książę Waiśrawana szczegółowo opisał im dotychczasowe działania.

— W przeciwieństwie do króla małp ja jestem Małym Mędrcem — rzekł śmiejąc się Er-lang. — Muszę koniecznie stoczyć z nim walkę na czary. Niech dostojni kole-dzy pilnują tylko dobrze sieci, żeby się przez nie nie przedostał. O to, co się będzie działo w górze, możecie się nie kłopotać. Zaryzykuję z nim walkę. Gdybym przegrywał, możecie nie biec mi z pomocą. Mam swoich braci-sojuszników, którzy mnie wesprą w potrzebie. Jeśli zwyciężę, też nie spieszcie się z powrozami, gdyż wyręczą was w tym moi bracia-sojusznicy. Mam tylko jedną prośbę. Niech książę niebiański T'o-t'a potrzyma w powietrzu między niebem i ziemią to magiczne zwierciadło. Obawiam się, że przegrawszy pojedynek czarodziejska małpa będzie się starała czmychnąć i gdzieś ukryć. Wtedy z pewnością dojrzę ją w tym zwierciadle i ostatecznie dopadnę.

Zgodnie z życzeniem Er-langa wielcy książęta niebiańscy na czele swych wojsk ustawili się z czterech stron u rozwieszonych sieci i śledzili uważnie, by wróg się nie wymknął.

Er-lang tymczasem wraz z czterema wojewodami i dwoma generałami, tworząc wraz z nimi siedmiu gotowych dla siebie na wszystko braci, opuścił obóz i ruszył wyzwać przeciwnika na bój ostateczny. Wszystkim wojownikom surowo przykazał, by w razie czego bronili obozu i mocno trzymali psy i sokoły. Bóstwa traw i ziół również otrzymały stosowne rozkazy.

Gdy Er-lang zjawił się przed Jaskinią Wodnej Zasłony, ujrział gromadę małp ustawionych w szyku bojowym i z przejściem ćwiczących „atak cudownego smoka”. Pośród oddziałów powiewała chorągiew wojenna z czterosznakowym napisem „Wielki Mędrzec Równy Niebu”.

— Jakże to taki podły małpi stwór ośmielił się nazwać siebie Równym Niebu?! — zawołał z oburzeniem Er-lang.

— Przystań się kłócić o tytuły — doradzało mu sześciu braci z Mei-szanu. — Wyzwij go po prostu do walki! To lepsze!

Ćwiczące się w obozie małpy, ujrzawszy Er-langa, wbiegły do jaskini, by zawiadomić swego władcę. Król małp chwycił cudowną żerdź ze złotymi obręczami, nałożył zbroję z złotego złota, włożył pantofle do skakania po chmurach, na głowę przywdział purpurowo-złoty hełm i tak uzbrojony wyskoczył przed bramę swego obozu. Przed nim stał Er-lang w stroju niezwykle gustownym i okazałym.

Piękną postawą, urodziwą twarzą podziw wzbudzał. Uszy, jak u świętego, zwisały

mu do ramion, a oczy tajemnym blaskiem świeciły. Na głowie szyszak wspaniały w kształcie trzech gór świętych, zdobny w feniksy, na sobie kaftan cudowny, lekki, puchem żółtych łabędzi podbity. Na nogach złotem haftowane sandały i skarpety z wirującymi smokami u góry, a na biodrach pas z nefrytu, ośmioma cudnymi klejnotami wysadzany. U pasa zwisa kotczan z łukiem jak księżyc po nowiu wygiętym, w dłoni halabardę o trzech zębach i dwóch ostrzach dzierży mocno. Niedgdy toporem górę T'ao rozrąbał, ratując swą matkę i z kuszy nad Tsung-lo parę feniksów ustrzelił. Sławę przyniosło mu wielką zabicie ośmiu potworów. Braterskie przymierze zawarł z sześciu mędrcami z Mei-szanu. Wyniosły był i więzów rodzinnych z niebem nie uznawał, samotnie u ujścia rzeki Kuan zamieszkał. Czciją go otaczano w Szkarłatnym Grodzie, potrafił w tysiąc różnych istot się przemieniać. Taki był Er-lang, Mędrzec Prześwietny.

Ujrzawszy go Wielki Mędrzec roześmiał się na cały głos i potrząsnąwszy żerdzią ze złotymi obręczami, zawołał:

— A ty skąd przybywasz, mały generale? Skąd u ciebie ta zuchwałość, żeby tu się zjawiać i wyzywać mnie do walki?

— Ty nędzna kreaturo o ślepiach pustych bez żenic! — odkrzyknął z pogardą Er-lang. — Czyżbyś mnie nie poznał? Jestem kuzynem Nefrytowego Cesarza. Nazywam się Er-lang. Otrzymałem też wysoką godność Ling-sien-wanga. Z rozkazu najwyższego władcy niebios przybyłem tu, małpi pastuchu, pimawienie, który zbuntowałeś się przeciwko władcy niebieskiemu, aby cię schwytać. Czy nie widzisz, że nadzedeł twój marny koniec?!

— Teraz sobie trochę przypominam. Owego roku, gdy byłem w niebie, młodsza siostra Nefrytowego Cesarza zapragnęła żyć na ziemi. Pokochała tam jakiegoś Jang Tsüna, została jego żoną i powiła mu syna. Czyż to nie ty jesteś tym synem, co rozrąbał górę T'ao? Na początek powinienem ci trochę nawymyślać, ale przecież nie mam do ciebie żadnego żalu. Mógłbym cię przetrzepać moją żerdzią, ale szkoda mi twój młodego życia. No cóż, piękny młodzieniaszku, zmykaj stąd szybko i wracaj, skądżeś przybył. Przyślij tu czterech wielkich książąt niebiańskich, to się z nimi rozprawię.

Gniew wezbrał w sercu Er-langa, gdy usłyszał te słowa.

— Ach, ty ohydna małpo! — krzyknął. — Oduczę cię tego zuchwalstwa! Masz! Popróbuj mojego miecza!

Jednak w tym momencie Wielki Mędrzec zręcznie uchylił się od ciosu i zamachnąwszy się żelazną żerdzią, próbował w odpowiedzi zadać cios Er-langowi. Tak się rozpoczął ten sławetny bój między dwoma wojownikami:

Stanęli naprzeciw siebie Zsyłający Dobro Bóg Er-lang i Sun, Wielki Mędrzec Równy Niebu. Jeden z nich był pewny swego, wierzył, że mu przeciwnik cało nie ujdzie. Drugi, twarz nieznaną ujrzawszy, z właściwą ostrożnością się czaił, by zaatakować celnie. Nagle starli się dwaj przeciwnicy, obaj zwycięstwa szukający w tym boju. Nie mieli dotychczas okazji zmierzyć swych wad i zalet w walce, teraz dopiero obnażą swe braki i umiejętności. Żelazna żerdź w powietrzu wiruje szybciej od smoka, cudowne ostrze miecza skacze niby roztańczony feniks. Z lewej atak, z prawej natar-

cie, z przodu ciosów wymiana, a z tyłu ataków odparcie. Z jednej strony sześciu braci z Mei-szanu groźnie stoi i za bojem śledzi, z drugiej strony generałowie Ma i Liu małpie wojska do ataku szykują. Powiewają chorągiewkami, w bębny biją wojenne. Każdy swemu wodzowi dodaje odwagi, okrzyki, bicie w gongi, wołę zwycięstwa w nich krzeszą. Skrzyżowały się w powietrzu dwa ostrza z żelaza, cios za ciosem pada bez przestanku. Żelazna żerdź to skarb prawdziwy z dna morza, potrafi zmieniać się, w powietrzu latać i zwycięstwo zapewnić mędrcom. Jednak wystarczy krótkie zawahanie, jeden chybiony cios, by doznać porażki, by wszystko poszło na marne.

Już ponad trzysta razy ścierali się szlachetny Er-lang i Wielki Mędrzec, lecz nadal nie było wiadomo, który z nich zwycięstwo osiągnie. Nagle Er-lang do arsenału swej sztuki czarodziejskiej sięgnął, zakochał się tylko i stał się olbrzymem wysokim na dziesięć tysięcy sążni, w obu rękach ścisnął halabardę cudowną o trzech zębach i dwóch ostrzach, a zęby halabardy wielkie były jak świętej góry Hua szczyty. Twarz olbrzyma stała się sinoniebieska, włosy rudą czerwienią pokryły, wyszczerzył szabliste zęby w uśmiechu i na Wielkiego Mędrca z góry spojrzawszy, cios mu na głowę szykował. Wielki Mędrzec też w sztuce magicznej był biegły. W jednej chwili w olbrzyma jak Er-lang się zmienił, o twarzy tak samo złowrogiej i strasznej. Żerdź Spełniająca Życzenia wielka była jak góra K'un-lun, jak słup podtrzymujący niebo. Z łatwością ją unioś i odbił morderczy cios Er-langa.

Przerażeni tym widokiem małpi marszałkowie Ma i Liu zadygotali ze strachu. Nie mogąc już dłużej powiewać chorągiewkami, generałowie P'eng i Pa zdrętwieli i miecze z rąk wypuścili. W tym czasie dowódcy wojsk Er-langa, K'ang, Czang, Jao, Li, Kuo Szen i Czy Tsien, rozkaz natarcia wydali. Puścili setki bóstw traw i ziół, by szturmem Jaskinię Wodnej Zasłony wzięły. Uwolnili psy i sokoły, napięli cięciwy kusz i łuków i rzeź wśród małpiego wojska czynić zaczęli.

Biada! Biada małpim generałom, kilka tysięcy ich wojowników do niewoli pojmano. Małpy, rzucając włócznie i broje, na placu zostawiając miecze i halabardy, z wrzaskiem i piskiem puściły się do ucieczki. Jedne wdrapywały się na strome góry zbocza, inne w jaskini szukały schronienia. Jak zaspane ptactwo nocą napadnięte przez kota, rozbiegły się na wszystkie strony niczym gwiazdy na bezkresnym niebie. Jednak o tym, jak bracia Er-langa odnieśli druzgocące zwycięstwo, dalej już mówić nie będziemy.

Szlachetny Er-lang i Wielki Mędrzec przybrawszy postać olbrzymów nadal toczyli zacięty bój. Nagle Wielki Mędrzec zauważył, że w jego obozie małpy w panice się rozbiegły. Serce jego struchlało, zwinął swoje czary i z bronią w ręku rzucił się do ucieczki. Szlachetny bóg widząc, że jego przeciwnik wziął nogi za pas i ucieka z pola walki, gnał za nim wielkimi krokami, wołając:

— A ty dokąd uciekasz? Poddaj mi się od razu, a daruję ci życie!

Wielki Mędrzec ani myślał o walce i ze wszystkich sił w nogach uciekał. Gdy dobiegł do jaskini, natknął się na czterech wojewodów i dwóch generałów Er-langa. Zagroździł mu swym wojskiem drogę i zawołali:

— Ohydna małpo! Dokąd to pędzisz?

Strach sparaliżował ręce i nogi Wielkiego Mędrca. Swą żerdź cudowną zmienił

z powrotem w hafciarską igłę i skrył ją za uchem, a następnie wstrząsnął się, przemienił we wróbla i pofrunął na czubek pobliskiego drzewa. Szczęściu braci rozbiegło się, gorączkowo rozglądając się i wypatrując, ale trud ich był daremny. Wtedy chórem zaczęli wołać:

— Małpia stwora uciekła! Uciekł nam ten małpi potwór!

Gdy tak wołali, nadbiegł zdyszany pościgiem Er-lang.

— Bracia moi! Czy nie widzieliście tu tej szkaradnej małpy? — zapytał.

— Właśnie przed chwilą otoczyliśmy ją i nagle gdzieś nam zniknęła.

Er-lang powiódł dokoła swoimi okrągłymi jak u feniksa oczyma i dostrzegł Wielkiego Mędrca, który przemieniony we wróbla siedział na wierzchołku drzewa. Er-lang odłożył swą cudowną halabardę, odpaśał kołczan z łukiem i wstrząsnawszy swym ciałem, w jednej chwili przemienił się w kanię, która bijąc mocnymi skrzydłami wzbiła się w niebo, by lada chwila jak grom spaść na drobną ptaszynę. Wielki Mędrzec jednak dostrzegł ten manewr, podfrunął kawałek i w mgnieniu oka zmienił się w olbrzymiego kormorana, który poszybował daleko w niebo i zniknął. Er-lang jednak zauważył tę przemianę. Szybko złożył skrzydła, otrząsnął się lekko i w jednej chwili stał się olbrzymim morskim żurawiem, który przenikając tęczowe chmury pomknął w pogoni za swym przeciwnikiem. Wielki Mędrzec tymczasem sfrunął na fale rwącego potoku i przemieniwszy się w rybę, zanurzył się w toń wody.

Er-lang w pogoni za rywalem przyfrunął nad brzeg potoku, ale nigdzie nawet śladu po nim nie znalazł. — „Ta małpa z pewnością w głębinach wodnych się skryła — pomyślał. — Na pewno zmieniła się w rybę, kraba albo jakieś inne wodne zwierzę. Ja też się przemienię i w końcu ją pochwycę”.

Po chwili Er-lang przyjąwszy postać kormorana, muskając skrzydłami fale, unosił się nad wodami potoku. Wielki Mędrzec, przemieniony w rybę, płynął spokojnie z prądem, gdy nagle ujrzał nad sobą jakiegoś olbrzymiego ptaka. Podobny był do kani, ale upierzenie jego nie było czarne; mogła to być czapla, ale nie miała barwnego czuba; na żurawia też nie wyglądał, bo nie miał czerwonych nóg.

„Musi to chyba być przemieniony w ptaka Er-lang, który na mnie czatuje!” — pomyślał, a następnie zrobił szybki zwrot, wykonał dwa koła i odpłynął.

Er-lang też dostrzegł dziwną rybę w odmęcie. — Ryba, która przed chwilą zniknęła mi z oczu, podobna była do karpia, tylko ogon u niej nie był czerwony; mógł to ostatecznie być lin, tylko dlaczego nie było widać jego barwnych łusek; jeśli to miała być czarna ryba, to na głowie musiałaby mieć gwiazdę. Na leszcza też nie wyglądała, bo u skrzeli nie miała kołców. Dlaczego tak nagle odpłynęła, gdy mnie tylko zobaczyła? Na pewno była to czarodziejska małpa przemieniona w rybę — rzekł do siebie i z rozwartym dziobem rzucił się za nią w pogoń.

Jednak Wielki Mędrzec, przemykając przez lazurowe wody, ponownie się przemienił, tym razem w węża wodnego. Wypełzył na najbliższy brzeg i ukrył się w gęstwinie traw. Tak więc Er-langowi nie udało się zadziobać ryby. Zauważył jednak, że z wody wypełznął jakiś wąż. Rozpoznał w nim Wielkiego Mędrca. W mgnieniu oka przedzierzgnął się w popielatego żurawia z czerwonym, wzorzystym czubem. Rozwarłszy potężny jak żelazne szczypce dziób, nadleciał nad gada i już miał go pożreć,

gdy wąż nagle podskoczył raz i drugi i przemienił się w potężnego plamistego dropia, samotnie, ponuro sterczącego pośród przybrzeżnych zarośli.

Gdy Er-lang zobaczył, w jaki to podły stwór się Wielki Mędrzec przemienił — a trzeba wam wiedzieć, że drop plamisty uważany jest wśród ptaków za najbardziej podły i nieobyczajny gatunek, ponieważ jego samica zadaje się bez wyboru ze wszystkimi ptakami, z czapłą, feniksem, jastrzębiem czy krukiem — nawet się do niego nie zbliżył, lecz przybrawszy swą pierwotną postać, pobiegł po swoją kuszę, naciągnął ją i wystrzelił. Celnie trafiony Wielki Mędrzec aż nakrył się nogami.

Król małp nie dał jednak za wygraną. Wykorzystując nadarżającą się sposobność, stoczył się po stromym zboczu góry. Znalazłszy się na dole, przycupnął płasko do ziemi i znów się przemienił. Stał się teraz kapliczką bóstwa opiekuńczego. Szeroko rozwarty pysk był wejściem do kapliczki, zęby zamieniły się w odrzwia, język stał się posągami bóstwa, a oczy framugami okien. Miał tylko pewne trudności z ukryciem ogona. W końcu zadarł go z tyłu na sztorc i przemienił w maszt od chorągwi.

Gdy Er-lang zbiegł na dół przepaści, nigdzie nie mógł znaleźć plamistego ptaka. Natknął się jedynie na jakąś kapliczkę opiekuńczego bóstwa. Szlachetny bóg skierował na nią swe okrągłe, feniksowate oczy. Gdy się jej przyjrzał dokładnie, zauważył sterczący z tyłu maszt.

— Ależ to sprytna małpa! — zawołał śmiejąc się. — Znów chciała mnie wywieść w pole. Widywałem różne kaplice, ale takiej, która by miała z tyłu maszt na chorągiew, w życiu nie spotkałem. Na pewno to małpie bydlę wyprawia swoje sztuki. Gdyby udało mu się zwabić mnie do środka kapliczki, wystarczyłoby jedno zaciśnięcie jego zębów i już byłoby po mnie. Chciałby, żebym tak zrobił. Ale poczekaj troszeczkę, zaraz pięścią wybije te okna z framug, nogą wyrwę z zawiasów odrzwia, a wtedy zobaczymy, kto kogo zwiódł.

Wielki Mędrzec usłyszał te słowa i serce mu w piersiach zamarło.

„Tego już za wiele! — pomyślał. — Cóż ten okrutnik zamierza zrobić? Przecież drzwi kaplicy to moje zęby, a okna to moje oczy. Co ze mną będzie, jeśli rzeczywiście wybije mi zęby i oczy?” — I nie czekając ani chwili dłużej, skoczył jak tygrys w niebo i zniknął.

Er-lang, zdumiony nagłą ucieczką małpiego króla, biegał we wszystkie strony próbując go odnaleźć, aż w końcu natknął się na swoich czterech wojewodów i dwóch generałów.

— No i jak, starszy bracie — zapytali chórem — udało ci się schwytać Wielkiego Mędrca?

— Ta wstrętna małpa przed chwilą chciała mnie oszukać i przemieniła się w kaplicę bóstwa opiekuńczego — odparł śmiejąc się Er-lang. — Właśnie zabierałem się wybić w niej okna i rozwalić drzwi, gdy dała susa i znów gdzieś mi zniknęła bez śladu! To bardzo dziwne!

Bracia Er-langa też byli zdumieni przebiegłością małpy i zaczęli jej na wszystkie strony szukać, ale bezskutecznie. W końcu szlachetny Er-lang powiedział:

— Wiecie, co zrobimy, bracia moi? Wy uważajcie na niego tutaj, a ja pójdę poszukać go w górnych rejonach.

Z tymi słowami wskoczył na przelatującą chmurę i poszybował w niebo. Po drodze ujrzał księcia Waiśrawanę, który trzymał nad sobą czarodziejskie zwierciadło, i jego syna Nocze, który odgarniał chmury, żeby nie przesłaniały zwierciadła.

— Niebiański książę — zwrócił się do Waiśrawany Er-lang. — Czy przypadkiem nie widziałeś króla małp?

— Tędy nie przelatywał — odpowiedział książę niebios. — Przez cały czas obserwuję zwierciadło i nie widziałem go.

Er-lang wtedy opowiedział o licznych przemianach cudownej małpy, o tym, jak pokonano i wzięto do niewoli małpią armię, a na koniec rzekł:

— Ostatnio przemienił się w kapliczkę opiekuńczego bóstwa. Już miałem ją rozwalić, ale mi zwiąła.

Książę Waiśrawana usłyszawszy te słowa, znów powiódł czarodziejskim zwierciadłem na wszystkie cztery strony i nagle chichocząc zawołał:

— Szlachetny panie, podejdź tu szybko i zobacz! Małpa właśnie stała się niewidoczną, wybiegła poza otaczające górę strażę i kieruje się w twoje strony, do ujścia rzeki Kuan.

Er-lang, usłyszawszy to, chwycił swą czarodziejską włócznię i w pogoni za królem małp popędził z powrotem ku swojej siedzibie.

Gdy Wielki Mędrzec przybył nad ujście rzeki Kuan, wstrząsnął się i przybrał postać swego prześladowcy, boga Er-lang, a następnie opuściwszy się na chmurze na ziemię poszedł prosto do świątyni. Pełniące straż demony nie rozpoznały go i przekonane, że to ich władca powrócił, bijąc pokłony wybiegły go powitać. Wielki Mędrzec zasiadł na środku ołtarza, zaczął oglądać złożone mu ofiary i sprawdzać ich ilość. Li Hu złożył bóstwu trzy ofiarne zwierzęta, świnie, byka i barana, Czang Lung ofiarował drogocenny amulet, Czao Szen błagał go o syna, Ts'ien Ping szukał ratunku w ciężkiej chorobie. Gdy Wielki Mędrzec zajęty był przeglądaniem tych prośb i darów, do świątyni wszedł jeden ze strażników i oznajmił:

— Przybył jeszcze jeden nasz pan!

Demony wybiegły szybko przed świątynię i gdy ujrzały drugiego Er-lang, zdumienie ich nie miało granic.

— Czy nie zaglądał tu ktoś mieniący się Wielkim Mędrce Równym Niebu?

— Żadnego Wielkiego Mędrca tu nie widzieliśmy — odpowiedzieli mu strażnicy — ale w świątyni jest ktoś drugi taki jak ty, panie, i sprawdza złożone ofiary.

Usłyszawszy tę wiadomość Er-lang wpadł jak wichur do świątyni. Gdy Wielki Mędrzec go ujrzał, natychmiast przybrał swą pierwotną postać i zawołał:

— Szlachetny panie, przestań się po próżnicy na mnie wściekać! Ta świątynia należy teraz do boga o nazwisku Sun!

Rozwścieczony Er-lang chwycił cudowną halabardę o trzech zębach i dwóch ostrzach i ciął nią w twarz uzurpatora. Jednak król małp miał się na baćności i uskokczył przed strasliwym ciosem. Szybko uciekł się do swojej tajemnej sztuki, wyciągnął zza ucha hafciarską igłę, potrząsnął nią, zwiększył do odpowiednich rozmiarów i tak uzbrojony ruszył na przeciwnika. Obydwaj wojownicy wściekle ryknęli i natarli na siebie z niespotykaną siłą. Wkrótce walka przeniosła się na zewnątrz świątyni i dalej

okrażając się, atakując, chroniąc za chmurami, odparowując ciosy, atakując z powietrza i z ziemi rywale wkrótce znaleźli się z powrotem na Górze Kwiatów i Owoców. Strwożeni widokiem straszliwego boju czterej wielcy książęta niebiańscy kazali swym wojskom wzmocnić obronę. Z pomocą Er-langowi przybiegli wojewodowie K'ang i Czang i wspólnymi siłami osaczyli Wspaniałego Króla Małpy.

Po przekazaniu rozkazu Er-langowi i jego sześciu braciom, żeby na czele wojsk niebiańskich otoczyli i pojmali diabelską małpę, książę demonów Mahabali pośpieszył do nieba, aby donieść cesarzowi o wykonaniu zadania. Nefrytowy Cesarz właśnie rozmawiał z bodhisattwą Kuan-in, Cesarzową-matką Zachodu i swymi dostojnikami w Sali Boskiego Firmamentu.

— Szlachetny Er-lang już dość dawno przystąpił do walki — rzekł cesarz — i jakoś nie mamy o nim jeszcze żadnych wieści.

— Pragnę prosić waszą wysokość, bym mogła wraz ze świętym mistrzem T'ai-szang Lao-künem wyjść za Południową Bramę Nieba i spojrzeć, jak tam sprawy w dole wyglądają — poprosiła bodhisattwa Kuan-in złożwszy z szacunkiem dłoń.

— No cóż, całkiem rozsądna myśl — stwierdził Nefrytowy Cesarz i w otoczeniu wspaniałej świty, razem ze świętym mistrzem, bodhisattwą Kuan-in, Cesarzową-matką Zachodu i dostojnikami udał się ku Południowej Bramie Nieba. Na ich widok strażnicy bramy podbiegli im się pokłonić, a następnie otworzyli podwoje na oścież.

Bogowie spojrzeli w dół, na ziemię, i zobaczyli Górę Kwiatów i Owoców otoczoną ze wszystkich stron przez niebiańskich wojowników i cudowne sieci, księcia niebios Waiśrawanę i jego syna Noczę trzymających w przestrzeni między niebem i ziemią czarodziejskie zwierciadło oraz mężnego Er-langa, toczącego śmiertelny bój z Wielkim Mędrce.

— No jak? Czy nie miałam racji proponując, żeby poprosić o przysługę Er-langa? — bodhisattwa odezwała się do świętego mistrza T'ai-szang Lao-küna. — Er-lang potrafi walczyć posługując się czarami, tak że nawet już Wielkiego Mędrca zapędził w kozie róg. Tyle tylko, że nie potrafi go ostatecznie schwytać. Pozwól, mistrzu, że trochę mu pomogę, a wtedy już nie będzie miał żadnych trudności z pojmaniem niegodziwej małpy.

— A jakież to broni zamierza czcigodna bodhisattwa użyć? — zapytał z zaciekawieniem starzec. — W jaki sposób zamierza pomóc walecznemu Er-langowi?

— Upuszczę ten cudowny wazon z gałązkami wierzby prosto na głowę małpy — wyjaśniła Kuan-in. — Nie zabiję jej w ten sposób, a tylko powalę na ziemię, żeby Mały Mędrzec Er-lang mógł ją bez trudu pochwycić.

— Przecież ten wazon jest z porcelany — zaniepokoił się mistrz Lao-kün. — Jeśli utrafisz w głowę małpy, to wszystko w porządku, ale jeśli zamiast na jego głowę wazon spadnie, dajmy na to, na jego żelazną żerdź, czyż nie roztrzaska się na drobne kawałki? Lepiej powstrzymaj się, a ja spróbuję mu jakoś pomóc.

— A ty jakiej broni zamierzasz użyć, czcigodny mistrzu? — zapytała bodhisattwa.

— Mam, mam... o, już mam — rzekł starzec i odwinąwszy rękaw, zdjął z lewego nadgarstka metalowe kółko. — Tę broń wytopiłem ze złota i stali, do stopu dodałem trochę eliksiru nieśmiertelności, przez co wprowadziłem do niej energię duchową.

Potrafi przemieniać się na zawołanie, ogień i woda się jej nie imają, a potrafi też obejmować i zaciskać się na dowolnej rzeczy. Nosi nazwę „Diamentowy Pierścień” albo można ją też nazywać „Diamentową Bransoletą”. W czasach, gdy wyprawiałem się za przełęcz Han-ku, żeby nawracać barbarzyńców na wiarę Buddy, bardzo mi ona była pomocna. Zawsze chroniła mnie od wszelakich niebezpieczeństw. Popatrz teraz tylko, co się stanie, gdy upuszczę moją bransoletę na niegodziwą małpę.

Powiedziawszy to, wszedł na basztę bramy niebiańskiej i cisnął bransoletę w dół. Płynęła niczym struga wody prosto do obozu na Górze Kwiatów i Owoców i z hukiem spadła na głowę króla małp. Był on całkowicie pochłonięty nierówną walką z siedmioma mędrkami i nie spodziewał się, że nagle z nieba spadnie mu na głowę ta cudowna broń. Bransoleta trafiła go prosto w czoło. Wielki Mędrzec zбитy z nóg runął na ziemię jak długi, ale od razu poderwał się i zaczął uciekać. Er-lang wypuścił za nim swego psa, który kąsać zaczął uciekiniera w nogi i w końcu powalił go na ziemię.

— Ach, ty diable sobaczy! — klął psa rozciągnięty na ziemi król małp. — Zamiast pilnować swego pana, to mnie ci się gryźć zachciało?!

Nagle przewrócił się na brzuch i chciał się poderwać do dalszej ucieczki, ale siedmiu mędrków już siedziało na jego grzbiecie i przyciskało do ziemi. Mocno związały go powrozami i zakrzywionym nożem wycięli obojczyk, żeby nie mógł się już więcej przestaczać.

Czcigodny starzec T'ai-szang Lao-kün zabrał swoją „Diamentową Bransoletę” i zaprosił Nefrytowego Cesarza, bodhisattwę Kuan-in, Cesarzową-matkę Zachodu i wszystkich niebiańskich dostojników z powrotem do Sali Boskiego Firmamentu. W dole zaś czterej wielcy książęta niebiańscy i książę Waiśrawana ściągnęli swe wojska, rozebrali umocnienia i zbliżyli się do Małego Mędrca, by mu powinszować zwycięstwa.

— To zwycięstwo jest zasługą Małego Mędrca — mówili do Er-langa.

— Wszystko to stało się z woli nieba i dzięki waszej, niebiańskie duchy, potędze — odpowiedział skromnie Mały Mędrzec. — Gdzie tu jest moja zasługa?

Wówczas do rozmowy wtrącili się czterej wojewodowie, K'ang, Czang, Jao i Li:

— Niech nasz starszy brat już dłużej się nad tym nie rozwodzi. Lepiej zaprowadźmy tego niegodziwca do nieba, przed Nefrytowego Cesarza i niech on zdecyduje o jego losie.

— Szlachetni moi bracia — zwrócił się do nich Er-lang. — Nie otrzymaliście jeszcze oficjalnych stanowisk w niebie, a więc nie możecie się pokazać przed obliczem najwyższego władcy. Przekażcie jeńca wojownikom z gwardii niebiańskiej, a ja razem z książętami udam się do nieba, żeby poznać wolę Nefrytowego Cesarza. Wy przez ten czas przeszukajcie dobrze te góry, czy nie pozostały w nich jakieś małpy. Po wykonaniu tego zadania wracajcie nad ujście Kuanu. Przedstawię was do nagrody, poproszę o zaszczytne odznaczenia, a jak powrócę do was, wspólnie uczymy biesiadą to wspaniałe zwycięstwo.

Czterej wojewodowie i dwaj generałowie odeszli spełnić rozkazy. Szlachetny Er-lang zaś wraz z niebiańskimi generałami wsiadł na chmurę i śpiewając hymn zwycię-

stwa ruszył w drogę do nieba. Nie minęło wiele czasu, gdy wszyscy znaleźli się u progu Pałacu Przenikającego Blasku. Strażnik niebiański doniósł cesarzowi:

— Czterej wielcy niebiańscy książęta wraz ze swym wojskiem pojмали w końcu czarodziejską małpę, Wielkiego Mędrca Równego Niebu, i przybyli oczekując waszych rozkazów.

Nefrytowy Cesarz wydał wyrok. Kazał księciu demonów Mahabalemu i innym niebiańskim wojownikom zaprowadzić jeńca na szafot i porąbać go na małeńkie kawałki. I tak:

Za oszustwa, bunt wobec władzy
Wnet surowa kara go czeka.
Taki los bywa bohaterstwem
Służącemu ludowi czleka.

Jeśli chcecie się dowiedzieć, co się w końcu stało z królem małp, posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

o tym, jak Wielki Mędrzec zbiegł z alchemicznego pieca i jak został uwięziony pod Górą Pięciu Elementów, a także o tym, jak Budda wysłał bodhisattwę Kuan-in do Cz'ang-anu.

Tak więc niebiańscy wojownicy zawiedli Wielkiego Mędrca Równego Niebu na szafot, przywiązali go do pała i zaczęli ciąć go mieczami, rąbać toporami, dźgać halabardami, ciosać pałaszami. Żadnej jednak szkody jego ciału nie udało im się wyrządzić. Wówczas Duch Gwiazdy Bieguna Południowego wezwał duchy ognia, by otoczyły skazańca najgorętszymi płomieniami, ale i ogniem nie zdołano zniszczyć króla małp. Wreszcie wezwano duchy piorunów i kazano im naszpikować ciało jeńca gromami, ale i to nie mogło nawet w najmniejszym stopniu zaszkodzić mu, a cóż dopiero zniszczyć. Wówczas księżę demonów, Mahabali, a z nim pozostali wojownicy zwrócili się o radę do Nefrytowego Cesarza:

— Wasza wysokość, zupełnie nie potrafimy zrozumieć, jak ten Wielki Mędrzec zdobył sztukę ochrony swego ciała. Cięliśmy go mieczami, rąbaliśmy toporami, szpikowaliśmy piorunami, przypalaliśmy ogniem i nie udało się nam go nawet zranić. Cóż mamy z nim teraz począć?

— Ach, to spryciarz! Jak go okiełznać? — zawołał zatroskany swą bezsilnością Nefrytowy Cesarz.

Wówczas o głos poprosił T'ai-szang Lao-kün i rzekł:

— Ta niegodziwa małpa nazarła się cudownych brzoskwiń nieśmiertelności, piła cesarskie wino, a w dodatku skradła moje pigułki nieśmiertelności — całe pięć dzbanów, świeżo przygotowane. Wszystkie wylądowały w jej wstrętnym kałdunie. Wszystkie te środki nieśmiertelności pod wpływem potrójnego ognia płonącego w jej ciele stopiły się w jedno. Dzięki temu całe ciało małpy stało się twarde jak diament i dlatego nie można go nawet zranić. Chyba najlepiej będzie, jeśli wasza wysokość udzieli mi pozwolenia, żebym wsadził małpę do mojego alchemicznego pieca i trawił ją w ma-

gicznych ogniach. Wtedy eliksir nieśmiertelności, który przenika ciało, roztopi się, a z niej samej pozostanie kupka popiołu.

Gdy Nefrytowy Cesarz usłyszał tę propozycję, natychmiast kazał swoim sześciu gwardzistom pierwszej zmiany i sześciu gwardzistom drugiej zmiany odwiązać króla małp od pała i przekazać go Lao-künowi. Gdy starzec opuścił pałac, by ostatecznie zgładzić Wielkiego Mędrca, Nefrytowy Cesarz wezwał przed swoje oblicze Prześwieconego Mędrca Er-langa. W nagrodę za udzieloną pomoc obdarował go setką kwiatów ze złota, stoma stągwiami cesarskiego wina, a także ofiarował sto pigułek nieśmiertelności, świecące cudownym blaskiem perły, kosztowne jedwabne materie dla odzienia jego zaprzysiężonych braci. Szlachetny Er-lang podziękował najwyższemu władcy za łaski, jakimi został obsypany, i powrócił do swej świątyni przy ujściu rzeki Kuan. Jednak o tym, co się z nim dalej stało, nie będziemy już opowiadać.

Tymczasem czcigodny starzec T'ai-szang Lao-kün wrócił do swego pałacu T'u-szuai, rozwiązał spletanego Wielkiego Mędrca, wstawił mu z powrotem obojczyk i w końcu wcisnął go do alchemicznego pieca. Wtedy przywołał swe sługi obsługujące piec i niebiańskie pachołęta niecające pod nim ogień i przy ich pomocy przystąpił do wytopu.

Powinniście wszakże wiedzieć, że piec ten miał osiem przegród, odpowiadających ośmiu magicznym trigramom: k'ien, k'an, ken, czen, sün, li, k'un i tui, czyli niebu, wodzie, górze, piorunowi, wiatrowi, blaskowi, ziemi i jezioru. Wyrwywającego się ze wszystkich sił króla małp wepchnął do komory „sün”, związanej z elementem wiatru. Straszliwy wicher całkowicie wygasił w przegrodzie ogień, natomiast wzniecił wielkie ilości dymu, który zaczął tak szczypać w oczy Wielkiego Mędrca, że się stały zupełnie czerwone. Ta dolegliwość pozostała mu już na zawsze i stąd zwano go czasami „Ognistookim”.

Czas mknął szybko. Niepostrzeżenie przeleciało siedem razy po siedem dni i nadszedł dzień czterdziesty dziewiąty, kiedy to alchemiczny proces miał się ostatecznie dokonać. Gdy Lao-kün otworzył piec, by wydostać z niego eliksir nieśmiertelności, ujrzał, że Wielki Mędrzec mocno trze oburącz zaczerwienione oczy, aż mu łzy ciekły po policzkach. Gdy jednak do uszu jego dobiegł zgrzyt uchylanego wieka pieca, gwałtownie otworzył oczy. Na widok blasku światła dziennego nie wytrzymał, wyprężył się jak struna, jednym susem wyskoczył z komory, ze straszliwym łoskotem przewrócił alchemiczny piec i rzucił się do ucieczki. Strzegący pieca strażnicy, palacze, wytapiacze próbowali go zatrzymać, ale Wielki Mędrzec jak rozszały biały tygrys, jak rozwścieczony jednorogi smok poroztrzącał ich na boki. Próbował go również schwycić czcigodny Lao-kün, lecz uciekinier tak go cisnął o ziemię, że starzec aż się nakrył nogami. Szybko się jednak poderwał i uciekł ratując życie.

Wielki Mędrzec tymczasem wyciągnął zza ucha swą cudowną Żerdź Spełniającą Życzenia i wymachując nią na wietrze, powiększył do odpowiednich rozmiarów. Dzierżąc ją mocno w dłoniach, zaczął rozbijać w niebieskim królestwie, co mu się po drodze nawinęło. Rozwalał i niszczył wszystko z taką wściekłością, że duchy dziegięciu planet czym prędzej ze strachu pozamykały bramy i okna swych pałaców, a czterej wielcy książęta niebiańscy nagle zniknęli gdzieś bez śladu.

Tym razem Wspaniały Król Małp nie zastanawiał się nad godnościami i stanowiskami napotykaných bogów. Cudowną Żerdzią z żelaza walił na prawo i lewo i żaden z niebiańskich duchów nie miał odwagi go powstrzymać. Tak siejąc po drodze zniszczenie, dotarł w końcu do Pałacu Przenikającego Blasku, przed Salę Boskiego Firmamentu. Na szczęście, straż u wejścia do sali tronowej pełnił mężny rycerz, zastępca dowódcy gwardii pałacowej, Wang Ling-kuan. Ujrawszy kroczącego prosto na siebie Wielkiego Mędrca, uniósł w górę straszne złote biczysko i zagroził mu drogę.

— Gdzie leziesz, ohydna małpo? — warknął przez zęby. — Póki ja tu jestem, nie pozwolę na żadne szaleńcze wybryki!

Wielki mędrzec jednakże nie zamierzał wchodzić w dyskurs z Wang Ling-kuanem, lecz z miejsca rzucił się na niego z uniesioną żerdzią. Niebiański strażnik wymachując biczem stawiał mu mężnie czoła. Obydwaj zwarli się w zacieklých zmaganiach u bram Sali Boskiego Firmamentu. Walka trwała długo, ale żaden nie mógł swego przeciwnika ostatecznie pokonać.

Wtedy dowódca gwardii cesarskiej wysłał swego pomocnika z pismem do Głównej Kwatery Piorunów i przywołał trzydziestu sześciu generałów, gromodzierców. Otoczyli Wielkiego Mędrca zwartym pierścieniem i wymachując straszliwymi piorunowymi pikami, uderzyli na niego ze wszystkich stron. Wielkiego Mędrca nie przeraziło to ani trochę. Wywijając cudowną żerdzią, osłaniał się z prawej strony, odbijał ciosy z lewej, parował je z tyłu, a z przodu sam nacierał. W pewnej chwili, gdy zauważył, że gromowładni wojownicy ze swoimi pikami, mieczami, włóczniami, pałaszami, hałabardami, biczyskami, rohatynami, młotami, toporami, maczugami, hakami, kosami i sierpami otoczyli go zbyt ciasno, nagle wstrząsnął się cały i przemienił w trójgłową i sześcioramienną bestię. Również cudowna Żerdź Spełniająca Życzenia potroiła się za jednym machnięciem. Trzy żerdzie w sześciu dłoniach wirowały szybkim kołowrotek prząsniczki, który toczy się ze złowrogim warkotem, tańczy i fruwa, odrzucając na boki napastników. Żaden z gromowładnych wojowników nie mógł się nawet do niego zbliżyć. Wrzawa i tumult były tak wielkie, że dotarły do uszu Nefrytowego Cesarza. Gdy mu oznajmiono o zaciekłym boju, toczącym się tuż u bram jego siedziby, Nefrytowy Cesarz, wstrząśnięty tym, natychmiast wysłał dwóch swoich dworzan do Buddy Zachodniego Raju z prośbą o pomoc.

Dwaj niebiańscy starcy z poselstwem od swego władcy udali się wprost na słynną z wspaniałych widoków górę Ling, gdzie znajdowała się Świątynia Huczących Grzmotów, pałac potężnego boga. Pokłoniwszy się u wejścia czterem przerażającym duchom-strażnikom i ośmiu bodhisattwom, zwrócili się do nich z prośbą, by jak najszybciej donieśli o ich przybyciu władcy Zachodniego Raju, Buddzie. Spełniając ich prośbę pośpieszyli przed tron Cudownego Lotosu. Budda Tathagata, dowiedziawszy się o przyjeździe czcigodnych posłów, kazał natychmiast ich do siebie przyprowadzić. Dwaj zaci dostojnicy Nefrytowego Cesarza, po trzykroć pokłoniwszy się wielkiemu Buddzie, stanęli skromnie przed jego tronem czekając, aż on sam się odezwie.

— Co się wydarzyło w królestwie Nefrytowego Cesarza, że trudził was poselstwem do mnie? — zapytał litując się nad nimi Tathagata.

— Przed wielu laty na Górze Kwiatów i Owoców zrodziła się mała — rozpoczęła swą szczegółową relację posłowie — która z czasem zgłębiła tajniki sztuki czarodziejskiej, skupiła wokół siebie hordy małp i zamierzała obalić istniejący na świecie porządek. Nefrytowy Cesarz okazał jej wspaniałomyślność i mianował pımawenem w niebiańskich stajniach. Małpa pogardziła jednak tym stanowiskiem, zbuntowała się i uciekła. Żeby ją pochwyć, z wojskiem wysłani zostali na ziemię księżę niebios Waiśrawana i jego syn Nocza, ale ich wyprawa zakończyła się niepowodzeniem. Wtedy Nefrytowy Cesarz ponownie zaprosił zbuntowaną małpę do nieba i nadał jej tytuł Wielkiego Mędrca Równego Niebu. Ponieważ był to tylko pusty tytuł bez obowiązków i apanaży, nasz władca powierzył jej dodatkowo nadzór nad Sadem Cudownych Brzoskwiń. Zamiast jednak pilnować brzoskwiń nieśmiertelności, ohydna małpa pozrywała je i żezała. Później pobiegła do Pałacu Jaspisowego Stawu i tam też skradła przygotowane na ucztę nieśmiertelnych jadlo i napoje, tak że uroczystość nie mogła się odbyć. Podchmielona wyłopanym winem zabłądziła do pałacu T'u-szuai. Tam wyjadła Lao-künowi wszystkie pigułki nieśmiertelności, a potem, buntując się przeciwko najwyższemu władcy niebios, znów samowolnie porzuciła niebieskie królestwo. Nefrytowy Cesarz ponownie wysłał przeciwko niej sto tysięcy niebiańskiego wojska, ale nie dało się jej ujarzmić. Wtedy bodhisattwa Kuan-in zaproponowała, żeby wezwać szlachetnego Er-langa wraz z jego zaprzysiężonymi braćmi i raz na zawsze skończyć z tym ohydny m stworem. Er-lang dokonał wielu przeistoczeń w czasie walki i nie mógł się z małpą uporać. Na szczęście Lao-tsün powalił ją upuszczając na jej głowę „Diamentową Bransoletę” i dopiero wtedy udało się Er-langowi ją pojmać. Zaciągnięto ją przed oblicze cesarza i z jego wyroku miała zostać porąbana na kawałki. Ale cóż z tego, skoro żaden miecz, topór czy halabarda nie mogły jej nawet zranić. Próbowano przypalać ją ogniem, bić piorunami, ale to też nie odnosiło żadnego skutku. Wówczas z rozkazu naszego władcy zabrał ją do swego pałacu czcigodny Lao-kün, żeby stopić ją w swoim alchemicznym piecu. Gdy po czterdziestu dziewięciu dniach prażenia jej uchylił wieko, małpa wyskoczyła z pieca i zaczęła siać zniszczenie w naszej stolicy, odrzucając swoimi atakami naszych wojowników aż w pobliże Pałacu Przenikającego Blasku. Dopiero u wejścia do Sali Boskiego Firmamentu zagroził jej drogę i stoczył zaciekły bój zastępca dowódcy gwardii pałacowej, waleczny Wang Ling-kuan. Wezwano trzydziestu sześciu generałów-gromodzierzców, którzy otoczyli małpę zwartym pierścieniem, ale mimo to żaden z nich nie może się do niej zbliżyć. Sytuacja stała się bardzo napięta, grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Dlatego właśnie Nefrytowy Cesarz zwraca się ze szczególną prośbą do Wielkiego Buddy Tathagaty, by raczył pośpieszyć mu na ratunek.

Tathagata, wysłuchawszy opowiadania posłów, w te słowa się odezwał do otaczających go bodhisattw:

— Pozostańcie na swoich miejscach tu w świątyni i nie przerywajcie nabożnych rozmyślań. Ja tylko pójdę wyratować Nefrytowego Cesarza od tego potwora wytopionego w alchemicznym piecu i zaraz do was wracam.

Następnie Tathagata wezwał swych najukochańszych uczniów, Anandę i Kaśjapę, i w ich towarzystwie opuścił Świątynię Huczących Grzmotów, kierując się prosto do

Sali Boskiego Firmamentu. Nagle uszu jego dobiegły dzikie, przenikliwe wrzaski i krzyki. To trzydziestu sześciu generałów-gromodzierców okrążyło zwartym pierścieniem Wielkiego Mędrca i toczyło z nim bezlitosną walkę.

— Niechaj gromowładni wojownicy zaprzestaną walki i opuszczą plac boju — wydał rozkaz Wielki Budda — a Wielki Mędrzec niech tu do mnie podejdzie, gdyż pragnę się dowiedzieć, jakie to czarodziejskie umiejętności posiadasz.

Wojownicy posłusznie wycofali się z pola walki, a Wielki Mędrzec, zdjąwszy z siebie działanie czaru, wrócił do swej pierwotnej postaci. Kipiąc jeszcze gniewem, ale dumnie zadarłszy głowę, zbliżył się do Buddy i chrypliwym głosem krzyknął:

— A ty z jakich stron przybywasz dobry człowieku? Jak ośmielasz się przerywać naszą walkę i wypytywać o moje umiejętności?

— Jam jest Siakjamuni, święty władca rajy w Zachodnim Świecie, najczciodszy ze wszystkich buddów — odparł z uśmiechem na ustach Tathagata. — Ostatnio doszły mnie wieści, że wyprawiasz tu różne szalone bezeceństwa, a nawet kilkakrotnie wszczynałeś bunt w niebieskim królestwie. Skąd ty się w ogóle wzięłeś na świat? Dlaczego tak wszystkiemu stajesz okoniem, wszystko ci się nie podoba?

— Niebo i ziemia mnie zrodziły, stałem się jednym z duchów nieśmiertelnych — przedstawił się Wielki Mędrzec. — Jestem starą małpą z Góry Kwiatów i Owoców, w Jaskini Wodnej Zasłony jest mój dom. U przyjaciół i mistrzów poznałem wielką tajemnicę, posiadam nieśmiertelność i znajomość wielu czarodziejskich sztuk, potrafię się przeistaczać we wszystko, co zechcę. Ponieważ przy moich talentach rządy na ziemi wydały mi się za skromne, za małe, postanowiłem zdobyć królestwo niebieskie. Czyż w Sali Boskiego Firmamentu musi niezmiennie ten sam władca zasiadać? Wszak u ludzi królowie się zmieniają, każdy z nich tylko przez krótki czas włada. Silniejszemu należy się cześć i chwała, a więc mnie musi cesarz władzy w niebie ustąpić. Tylko bohater taki jak ja odważyć się może o tę władzę walczyć!

Wysłuchawszy go do końca Budda uśmiechnął się zimno i rzekł:

— Przecież ty, niegodziwco, jesteś tylko najzwyczajniejszą małpą! Jakże nawet śmiesz myśleć o tym, żeby zagarnąć tron najwyższego władcy niebios, Nefrytowego Cesarza? Od najmłodszych lat zajmował się on doskonaleniem swych cnót, w trudzie i znoju strawił na nauce tysiąc siedemset pięćdziesiąt kalp, a każda kalpa, jak wiadomo, trwa sto dwadzieścia dziewięć tysięcy sześćset lat. Policz tylko, ile potrzeba by ci było lat, żeby osiągnąć tak bezgraniczną mądrość, jaką posiada cesarz. Jesteś za ledwie zwierzęciem, które po raz pierwszy przyszło na świat pod postacią człowieka. Jakże śmiesz tak się przechwalać! To się nawet nie godzi synom człowieczym! To hańba! Jakże tak można! Za karę pozbawiam cię długowieczności. Co prędzej ukorź się przede mną i więcej tego rodzaju bredni nie opowiadaj! Jeśli jeszcze się kiedykolwiek dopuścisz jakiegoś haniebnego czynu, możesz od razu pożegnać się z życiem. Tym razem jeszcze się ulituję i daruję ci winy.

— A choćby nawet od najmłodszych lat zajmował się on doskonaleniem swych cnót — upierał się przy swoim Wielki Mędrzec. — Czy ma dzięki temu prawo tkwić tu na wieki? Czyż nie znasz powiedzenia: „Cesarze zmieniają się szybko, a w przyszłym roku ja zostanę cesarzem”? Przecież nic więcej od niego nie chcę, byle tylko

wyniósł się z pałacu i mnie zostawił królestwo niebieskie. A jeśli nie zechce mi ustąpić, będę dalej siał zniszczenie w jego państwie i do końca życia nie zazna spokoju.

— Jakież to jeszcze inne czarodziejskie umiejętności, poza sztuką przeistaczania się, posiadasz, że ośmielasz się mówić o zagarnięciu cesarskiego tronu? — zapytał Budda.

— O, bardzo dużo umiejętności zdobyłem w życiu — chwalił się Wielki Mędrzec. — Opanowałem siedemdziesiąt dwa sposoby przeistaczania się, znam tajemnicę wiecznej młodości, potrafię wykonywać skok w obłok i jednym susem przemierzać odległość stu ośmiu tysięcy wiorst. Dlaczego nie miałbym zasiąść na tronie niebios?

— Skoro tak jest, jak twierdzisz, to chodź, zrobimy zakład — zaproponował Budda. — Jeśli rzeczywiście posiadasz takie umiejętności, to na pewno jednym skokiem pokonasz długość mojej dłoni. Umówimy się tak, że jeśli przeskoczysz moją dłoń i wygrasz zakład, wtedy nie będziesz więcej potrzebował sięgać po broń i toczyć zaciekłych walk z duchami nieba, bo ja poproszę Nefrytowego Cesarza, żeby przeprowadził się do mnie i zamieszkał w Zachodnim Raju, a tobie oddał królestwo niebieskie. Jeśli natomiast nie zdołasz przeskoczyć mej dłoni, to wtedy dobrowolnie wrócisz na ziemię jako małpa i w ciągu kilku kalp kształcić będziesz swój charakter w zbożnym życiu. Dopiero po tym okresie będziesz mógł domagać się swych praw.

Gdy Wielki Mędrzec usłyszał tę propozycję, uśmiechnął się i pomyślał: „Ależ to zupełny głupiec ten Tathagata. Przecież jednym skokiem potrafię pokonać sto osiem tysięcy wiorst, a jego dłoni, która ma nie więcej jak kilka piędzi, miałbym nie przeskoczyć?”

— To dobrze, w takim razie zaczynamy — rzekł zniecierpliwionym głosem Wielki Mędrzec. — Ale czy na pewno dotrzymasz warunków zakładu?

— Dotrzymam! Dotrzymam! Możesz być pewny! — rzekł Budda i wyciągnął przed siebie prawą dłoń, która miała wielkość i kształt jak gdyby liścia lotosu. Wielki Mędrzec schował Żerdź Spełniającą Życzenia, wstrząsnął się całym ciałem, przybrał groźny wygląd i jednym skokiem znalazł się na środku dłoni Buddy. — Wyruszać! — zawołał i popatrzył tylko, zdało mu się, że jak struga światła mknie, nie zostawiając ni śladu, ni cienia. Dobrotliwy Budda rozumnym okiem spoglądał na niego i widział, jak jego lot podobny jest obrotom przedzalnego kołowrotka. Prąc ze wszystkich sił naprzód, powracał na to samo miejsce. Mknąc przed siebie, Wielki Mędrzec nagle dostrzegł pięć cielistoróżowych słupów, kończących się gdzieś w górze, w sienie przestrzeni. „Tu z pewnością znajduje się kraniec świata. Trzeba będzie wracać — pomyślał. — Zapamiętam ten widok. Posłuży mi jako dowód dla Tathagaty. Teraz już mogę być pewny, że wkrótce zasiądem na tronie w Sali Boskiego Firmamentu”. Zastanawiał się jeszcze przez chwilę i w końcu rzekł do siebie: — Nie, zatrzymam się tu jeszcze trochę. Lepiej będzie uwiecznić swój pobyt tu jakimś napisem, a wtedy moje opowiadanie nie będzie gołosłowne.

Wyrwał sobie włos, tchnął w niego oddechem nieśmiertelnego i zawołał: — Zmień się! — I w gnieniu oka włos przemienił się w pędzelek o dwóch końcach dobrze umaczanych w gęstym tuszu. Wielki Mędrzec wybrał środkowy słupek i wykaligrafował na nim równy rząd wielkich znaków: „Miejsce to odwiedził Wielki Mędrzec Równy Niebu”. Gdy skończył pisać, pędzel z powrotem przemienił we włos i wcisnął go na

dawne miejsce. A na samym końcu, dla psoty, podszedł do pierwszego z brzegu słupa i go obsikał. Dokonawszy tego wszystkiego, zrobił skok w obłok w przeciwnym kierunku i po chwili stał znów jak przedtem na dłoni Tathagaty.

— No już, byłem tam, gdzie trzeba, i wróciłem, a teraz rozkaż Nefrytowemu Cesarzowi, żeby mi odstąpił niebieskie królestwo!

— Ty, wstrętna, sikająca małpo! — zaklął wzburzony Tathagata. — Przecież ani na chwilę nie opuścisz mojej dłoni!

— Jak to? A więc o niczym nie wiesz? — zawołał pewny swego Wielki Mędrzec. — Doleciałem przecież do samiuteńkiego krańca nieba, tam gdzie pięć cielistoróżowych słupów ginie w sienie przestrzeni. Pozostawiłem tam nawet napis. Jeśli nie wierzysz, możesz sam się tam ze mną udać i sprawdzić.

— Szkoda chodzenia — odparł Tathagata. — Schyl tylko głowę i popatrz!

Wielki Mędrzec wytrzeszczył ogniste oczy i spuściwszy głowę spojrział na dół. Rzeczywiście, na środkowym palcu prawej dłoni Buddy widniał napis „Miejsce to odwiedził Wielki Mędrzec Równy Niebu”, a u nasady kciuka czuć jeszcze było małą pią uryną.

Wielki Mędrzec zamarł w przerażeniu.

— A więc to tak! A więc to taka historia! Ciekawy jestem, w jaki to sposób znaki, które napisałem na słupie podtrzymującym niebo, znalazły się nagle na jego palcu? Na pewno zastosował jakąś trudną do przewidzenia sztuczkę czarodziejską. Nie wierzę! Absolutnie nie wierzę, żeby to mogła być prawda. Poczekaj chwilę, jeszcze raz tam skoczę!

O, co za cudowny Wielki Mędrzec! Już się napreżył, żeby wykonać skok, gdy Budda nagle odwrócił dłoń i wyrzucił króla małp hen, hen za Zachodnią Bramę Niebios. Potem pięć swoich palców przemienił w pięć elementów: metal, drzewo, ogień, wodę i ziemię i utworzył z nich olbrzymią górę o pięciu szczytach. Nazwał ją Górą Pięciu Elementów. Lekko opuścił ją na króla małp, który od tej pory stał się jej więźniem. Obserwujący te cuda generałowie-gromodzierzcy oraz uczniowie Buddy, Ananda i Kaśjapa, pełni podziwu dla potężnego boga, klaskali w dłonie i wołali:

— O, jak wspaniale! Jak cudownie!

Poskromiwszy w ten sposób czarodziejską małpę Budda przywołał swych uczniów, Anandę i Kaśjapę, żeby razem z nimi powrócić do Zachodniego Raju. W tej chwili jednakże z Salii Boskiego Firmamentu wybiegli T'ien-ju i T'ien-p'eng, dwaj wysłańcy cesarza niebios, i rzekli:

— Niech Tathagata raczy zaczekać chwileczkę! Nasz pan i władca już tu zmierza, by go powitać!

Budda na te słowa spojrział do góry i oczom jego ukazała się wspaniała kolosa zaprzężona w osiem żurawi, przykryta baldachimem iskrzącym się od najprzeróżniejszych kosztowności. Dokoła rozbrzmiewały delikatne dźwięki sprowadzającej błogość muzyki, a powietrze wypełniło się cudownym zapachem unoszących się w nim złocistych kwiatów.

Nefrytowy Cesarz zbliżył się do Buddy i wyrażając wdzięczność za wybawienie, rzekł:

— Wielce jesteście ci zobowiązani, o miłośnicy Tathagato, za ostateczne rozprawienie się z tym złośliwym stworem. Mamy nadzieję, że zechcesz się u nas choć jeden dzień zatrzymać. Zaprosiliśmy wszystkich nieśmiertelnych naszego nieba, by wzięli udział w dziękczynnej uczcie na twoją cześć.

Tathagata nie mógł odmówić tak serdecznej prośbie, złożył więc w podzięcie dłonie i powiedział:

— Przybyłem tu na twoje wezwanie, wielki władco niebios, jakaż w tym jest moja zasługa? To było po prostu wasze szczęście i zwycięstwo wszystkich duchów nieba. Wcale nie zasłużyłem na tak gorące podziękowanie.

Nefrytowy Cesarz wysłał bóstwa piorunów w różne strony swego królestwa z zaproszeniami na uroczystą ucztę dla władców trzech niebios, czterech ministrów, pięciu członków Rady Starców, sześciu naczelników departamentów, siedmiu marszałków, ośmiu duchów stron świata, dziewięciu duchów planet, dziesięciu dostojników dworu cesarskiego oraz wielu tysięcy innych szlachetnych i nieśmiertelnych mieszkańców nieba. Następnie kazał czterem wielkim niebiańskim generałom, dziewięciu boskim apsarom szeroko otworzyć złote podwoje wszystkich pałaców i dworów w nefrytowej stolicy, nawet Pałac Wielkiej Tajemnicy i Jaspisowy Pawilon Blasków Słońca wchłonęły napływających gości. Buddę poproszono, by zasiadł na tronie Siedmiu Klejnotów, pozostałym bogom i duchom rozdzielono miejsca w zależności od ich rang i stanowisk. Na stołach ustawiono mnóstwo cudownych potraw, takich jak smoczą wątrobę, szpik feniksów, nefrytowe wino nalewano bez końca, a cudownych brzaskwiń nieśmiertelności każdy z biesiadników mógł się najeść do syta. Buddzie ofiarowano lśniące perły i wiele innych niezwykłych klejnotów, owoce długowieczności, najrzadsze kwiaty, i bijąc przy tym pokłony, mówiono:

— Dzięki waszej niepospolitej mocy zdołaliśmy w końcu ujarzmić czarodziejską małą. Korzystając z tego, że nasz niebiański władca urządził tę uroczystą ucztę, przybyliśmy tu wszyscy, aby wyrazić wam naszą wiekiustą wdzięczność. Zwracamy się z pokorną prośbą, by wielki Tathagata zechciał nadać nazwę dzisiejszej uczcie. Jak ją należy nazywać?

Tathagata, spełniając prośbę niebiańskich duchów, rzekł:

— Skoro koniecznie chcecie, aby miała nazwę, myślę, że można ją nazwać „Wielką Ucztą Zaprowadzenia Spokoju w Niebie”.

Budda podziękował za ofiarowane mu dary i kazał je zabrać swoim uczniom, Anandzie i Kaśjapie. Podziękował też Nefrytowemu Cesarzowi za tak wspaniałą ucztę. Nagle, gdy wszyscy goście mieli już dobrze w czubach, pojawił się jeden z niebiańskich strażników.

— Wielki Mędrzec wysuwa głowę spod góry! — doniósł zebranym na uczcie.

— To nic nie szkodzi! Zaraz przestanie! — uspokoił niebian Budda i z rękawa wyciągnął nefrytową tabliczkę, na której sześcioma złotymi znakami wryte było buddyjskie zaklęcie „Om mani padme hum”, co znaczyło: „O, ty, Skarbie Lotosu”. Wręczył cudowną tabliczkę Anandzie i kazał mu ją umocować na szczycie góry. Czcigodny Ananda wziął tabliczkę z rąk Buddy, wyszedł za bramę niebios na Górę Pięciu Elementów i umocował ją na kwadratowej skale na jej wierzchołku. U podnóża góry

znajdowały się dość duże szczeliny. Z chwilą gdy Ananda umocował na górze tabliczkę, szczeliny zasklepiły się i pozostał tylko mały otwór, żeby mogło przezeń wlatywać powietrze, niezbędne do oddychania. Był tak mały, że zaledwie dało się dłoń precyzyjnie, natomiast o uwolnieniu się nie mogło być nawet mowy.

— Tabliczka została umocowana! — poinformował Ananda po powrocie na salę.

Tathagata wówczas pożegnał się z Nefrytowym Cesarzem i innymi duchami i wraz ze swymi uczniami opuścił bramy niebios. W tej chwili jednak jakoś ciężko się zrobiło jego litościwemu sercu. Wypowiedział zaklęcie, wezwał miejscowe bóstwo opiekuńcze i kazał mu wspólnie ze strażnikami pięciu stron świata zamieszkać w pobliżu góry i doglądać więźnia. Gdyby poczuł głód, mieli go kulami z żelaza nakarmić, gdyby męczyło go pragnienie, do picia mieli mu wlewać roztopioną miedź. Gdy dni jego cierpień się wypełnią, przybędzie tu ktoś, kto go uwolni. I Budda wraz ze swymi uczniami powrócił do Świątyni Huczących Grzmotów.

Po wielu długich latach przebywania w Świątyni Huczących Grzmotów na świętej górze Ling pewnego dnia Tathagata zwołał wszystkich buddów, arhatów, bodhisattwy, strażników wiary, wędrownych mnichów i mniszki i tak do nich przemówił:

— Nie wiem, ile już lat i miesięcy upłynęło od tej pory, kiedy ujarzmiłem cudowną małpę i zaprowadziłem spokój w niebie, ale sądzę, że to już chyba połowa tysiąclecia, według obliczeń prowadzonych na ziemi. Mamy właśnie pierwszy dzień jesieni, a więc pełno wokół nas różnego kwiecia, drzewa uginają się od wspaniałych owoców. Co byście powiedzieli, gdybym to wszystko przeznaczył na urządzenie wspaniałej uczty za zbawienie bezdomnych dusz?

Wszyscy zebrani złożąwszy nabożnie dłonie skłonili się z uwielbieniem przed Buddą, dziękując mu za jego bezgraniczne miłosierdzie dla cierpiących dusz. W czasie uczty składali mu w ofierze poematy opiewające jego niewyczerpaną dobroć. Gdy bodhisattwy odczytały mu swoje kompozycje, Budda na prośbę zebranych uczniów objaśnił podstawy i źródła swojej nauki i skomentował trudniejsze ustępy świętych ksiąg buddyjskich.

Po wygłoszeniu kazania Tathagata zwrócił się ponownie do zebranych:

— Widziałem, jak ludzie żyją na czterech wielkich kontynentach. Okazuje się, że w każdej części świata charaktery ludzi są odmienne. We wschodnim świecie, zwanym Purawideha, ludzie oddają cześć niebu i ziemi, charaktery mają zgodne, miłują pokój. Mieszkańcy krainy północnej, Kurudwipa, lubią prowadzić wojny i zabijać, są małomówni, zamknięci w sobie, posępni i apatyczni, ale wielkiej krzywdy nie wyrządzają. Godanja to zachodni kontynent, na którym my żyjemy. Ludzie tu nie są chciwi, nie szukają zwady, kształtują w sobie energię duchową i gromadzą duchowe siły. Nikt u nas, co prawda, jeszcze nie osiągnął nieśmiertelności, ale wielu żyje przez długie lata. Dżambudwipa zwie się kontynent południowy. Rozpusta i chciwość tam panują, ludzie cieszą się z czyjegoś nieszczęścia, wiele zabójstw i przestępstw w tym świecie się rodzi. Jak to się mówi, język u nich targowiskiem kłamstwa, a serca oceanem zła. Mam u siebie święte księgi kanonu buddyjskiego w trzech koszach. Chciałbym ofiarować je ludziom, by zasiać wśród nich dobro.

Bodhisattwy w odpowiedzi na słowa Buddy złożyły nabożnie dłonie, a jedna z nich zapytała:

— Jakie to trzy kosze kanonu buddyjskiego są w posiadaniu naszego mistrza?

— Księgi pierwszego kosza, zwanego Winajapitaka, mówią o sprawach nieba — wyjaśnił Budda. — W drugim koszu znajdują się księgi określane mianem Suttapitaka i dotyczące spraw ziemskich. Wreszcie księgi trzeciego kosza, Abhidhammapitaka, poświęcone są złym duchom i demonom. Te trzy kosze ksiąg, zwane Tripitaka, zawierają trzydzieści pięć działów i piętnaście tysięcy sto czterdzieści cztery tomy. Zbiór ten pomoże ludziom odnaleźć ścieżkę prawdy, skierować ich serca ku dobru. Chciałbym posłać te księgi ludziom ze wschodniego kontynentu. Jednak mieszkańcy tych stron są dość ograniczeni i mogą zacząć naigrawać się ze świętych słów prawdy, nie rozumieją istoty mojej nauki i pogardzą wielką wiedzą Jogi. Gdyby się znalazł jakiś mądry niebianin, który zechciałby się udać na wschód i poszukać kogoś godnego zaufania, kto, narażając się na trudy wędrówki po bezdrożach pośród tysiąca przepaścistych gór i setek rwących rzek, przybyłby tu do mnie po święte księgi, tobym mu je przekazał, niech je wiezie na wschód, doskonali swój lud w umiłowaniu dobra. Podobny czyn nagrodzony zostanie wielkim błogosławieństwem, szczęście głębokie jak dno oceanów towarzyszyć mu będzie do końca żywota. Czy ktoś z was, obecnych tu, zechciałby udać się na wschód?

Do Lotosowego Tronu podeszła bez chwili wahania bodhisattwa Kuan-in i trzykrotnie pokłoniwszy się Buddzie, rzekła:

— Ja, twoja uczennica, mimo że moje umiejętności są więcej niż skromne, pragnę wyrazić chęć udania się do wschodniej krainy, by odszukać tam człowieka, który mógłby tu przybyć po święte księgi.

Tathagata spojrział na bodhisattwę i serce jego wypełniło się po brzegi radością.

— Nikt inny by się do tej misji tak dobrze nie nadał — oświadczył uroczyście. — Zaczna bodhisattwa znana jest z niezwykłych umiejętności i ogromnej siły duchowej, a więc z pewnością pomyślnie dotrze do celu.

— Może chcecie udzielić mi jakichś rad, mistrzu, które by mi się przydały w mojej wędrówce na wschód? — zapytała skromnie bodhisattwa.

— Wędrując tam, dobrze się po drodze rozglądaj — zabrzmiała pierwsza wskazówka udzielona przez Buddę. — Dlatego nie powinnaś lecieć na chmurach wysoko, pod samym niebem, a raczej szybować trochę obłokami, a trochę na mgłę, aby wzrok twój dostrzegł każdą górę i rzekę. Dokładnie zapamiętaj odległości między postojami na drodze, kiedy są one krótsze, a kiedy dłuższe. W ten sposób będziesz mogła służyć odpowiednią radą pielgrzymowi, który wyprawi się tu po święte księgi. Przypuszczam, że ciężka, pełna niebezpieczeństw droga oczekuje wypełnionego wiarą wędrowca. Weź więc ode mnie te pięć drogocennych talizmanów.

Tathagata kazał swym uczniom, Anandzie i Kaśjapie, przynieść szatę zakonną ze złotogłowiu i zdobny dziewięcioma pierścieniami mnisi kostur. Wręczając je bodhisattwie, rzekł:

— Tę szatę zakonną i ten kostur przekaz pielgrzymowi. Jeśli poweźmie niezłomną decyzję, żeby tu przybyć, niech przywdzieje tę szatę, a na zawsze uwolniony zostanie

z kołowrotu ziemskich przeistoczeń, a kostur ten w jego dłoni wybawi go od wszelkich niebezpieczeństw.

Bodhisattwa skłoniła się nisko i ze czcią przyjęła cudowne przedmioty. Wtedy Tathagata wziął do ręki trzy obręcze i podając je bodhisattwie powiedział:

— Ten cudowny skarb to „zaciskające się obręcze”. Chociaż wszystkie trzy są takie same, ale mają różne zastosowanie i dla każdej z nich trzeba wypowiedzieć inne zaklęcie. Jeśli na swej drodze natkniesz się na jakiegoś demona o nadprzyrodzonej sile czarnoksięskiej, powinnaś skierować go na drogę prawdy i uczynić go uczniem pielgrzyma, by towarzyszył mu w jego świątobliwej wędrówce. Gdyby nie zechciał posłuchać twego wezwania, nałóżysz mu jedną z tych obręczy, a ona w naturalny sposób wrośnie mu w głowę. Później wystarczy ci tylko wypowiedzieć odpowiednie zaklęcie, a oczy z bólu wyjdą mu z orbit, czaszka będzie pękać, a wtedy nie będzie już żadnych trudności z nawróceniem go na naszą wiarę.

Wysłuchawszy tych pouczeń bodhisattwa z czcią skłoniła się Buddzie i odeszła, zabierając ze sobą najukochańszego ucznia, Huei-ana. Uzbrojony w ogromny żelazny drąg, ważący chyba z tysiąc pudów, posłusznie towarzyszył bodhisattwie w jej wyprawie, jako strażnik i obrońca przed różnymi potworami. Szatę zakonną ze złotogłowiu zwinęła bodhisattwa w węzełek i dała do niesienia na plecach Huei-anowi, sama zaś schowała obręcze i wspierając się na kosturze, razem ze swym uczniem zeszła z góry Ling. U jej podnóża natknęli się na pustelnikę, w której żył wielki asceta Tsin-ting. Na widok przybyszów wyszedł im na spotkanie przed próg swej chaty i chciał zaprosić bodhisattwę na herbatę. Kuan-in nie śmiała na dłużej się zatrzymać w swej ważnej misji, a więc grzecznie odmówiła pustelnikowi.

— Idę z poleceniem od wielkiego Buddy. Mam dotrzeć do krainy leżącej na wschodzie i znaleźć męża świątobliwego, który przybędzie do nas po święte księgi.

— A kiedy ów pielgrzym się tutaj zjawi? — zapytał pustelnik.

— Trudno powiedzieć — rzekła bodhisattwa — ale chyba miną ze dwa, trzy lata, zanim zdoła tu dotrzeć.

Tak wyjaśniwszy swój pośpiech, pożegnała się bodhisattwa z mądrym starcem i szybując to po niskich chmurach, to po mgłę i oparach, dobrze zapamiętywała każdy przebyty kawałek drogi. Gdy bodhisattwa z uczniem wędrowali tak już przez pewien czas, ujrzeni nagle przed sobą Żo-szui, rzekę o trzech tysiącach odnóg. W tym akurat miejscu nosiła ona nazwę Rzeki Płynącego Piasku.

— Uczniu mój — zwróciła się bodhisattwa do Huei-ana. — Przez to miejsce będzie chyba bardzo trudno pielgrzymowi się przedostać. Przecież to zwykły człowiek z krwi i kości. Jakże on zdoła się przez tę rzekę przepawić?

Gdy bodhisattwa rozglądała się po okolicy, nagle rozległ się głośny plusk i ze wzburzonych fal rzeki wyłonił się jakiś ohydny potwór. Z czarodziejską maczugą w rękach wyskoczył na brzeg i chciał porwać bodhisattwę. Jednak w ostatniej chwili Huei-an swym żelaznym drągiem zagroził mu drogę i krzyknął: — Stój! — Przerazający stwór rzucił się teraz z uniesioną maczugą na Huei-ana i na brzegu Rzeki Płynącego Piasku rozgorzał między nimi wielki bój.

Z dziesięć razy to rzucali się na siebie, to odskakiwali, to zadawali ciosy, to je pa-

rowali, i nikt nie mógł powiedzieć, który z nich zwycięży. W pewnej chwili potwór przytrzymał żelazny drąg Huei-ana i zawołał:

— Hej, mnichu, a ty skąd jesteś, że się ośmieliłeś tu przybyć i walczyć ze mną?

— Jestem Moksza, drugi syn wielkiego księcia niebios Waiśrawany, a me zakonne imię brzmi Huei-an — przedstawił mu się Moksza. — Obecnie roztaczam opiekę nad moim mistrzem, boską bodhisattwą, która udaje się do wschodniego świata, by znaleźć człowieka, który przybędzie do nas po święte księgi. A ty, coś za diabeł czy demon, że tak zuchwale stajesz nam na drodze?

Na te słowa potwór nagle uświadomił sobie, czego się dopuścił.

— Tak, tak, pamiętam cię dobrze! — zawołał. — To ty przecież w gaju Purpurowych Bambusów doskonalifeś się w poznaniu Prawdy u bodhisattwy Kuan-in z Południowego Oceanu. Czyż nie tak? A po co tu przybyłeś?

— Czyż nie widzisz jeszcze, że tam, na brzegu, stoi mój mistrz, bodhisattwa Kuan-in? — zwrócił jego uwagę Moksza.

Obrzydliwy stwór, gdy to usłyszał, zajączał straszliwie, odrzucił na bok swoją maczugę i pozwolił się wziąć Mokszy za kark i zaprowadzić przed oblicze Kuan-in. Gdy się przed nią znalazł, rzucił się na ziemię i zaczął bić nie kończące się pokłony, jęklawie błagając:

— O, litościwa bodhisattwo! Daruj mi winę i wysłuchaj mnie cierpliwie. Nie jestem żadnym potworem. Byłem kiedyś generałem od zwijania zasłon w kolonie Nefrytowego Cesarza, gdy opuszczał on Salę Boskiego Firmamentu. Raz, w czasie Wielkiej Brzoskwińowej Uczty Nieśmiertelnych, przydarzyło mi się nieszczęście, nie chcący strąciłem i rozbiłem drogocenną kryształową czarę. Za karę Cesarz Nefrytowy kazał mi wymierzyć osiemset batów, a później wygnał mnie na świat ziemski i przemienił w tę oto, jak mnie widzisz, potworną istotę. Sprawił też, że co siedem dni pojawia się tu latający miecz i zadaje mi ponad sto ran w pierś i w boki. Takie oto ciężkie cierpienia muszę znosić. Żeby to jednak tylko to! Cierpię też nieznośny głód i chłód i dlatego co kilka dni wypływam na powierzchnię fal, a nierzadko się zdarza, że pochwycę jakiegoś wędrowca i go pożrę. I oto dzisiaj, niechcący, napadłem w swojej głupocie na was, o pani, najlitościwsza z bodhisattw.

— Zesłany zostałeś na ziemię za przestępstwo, które popełniłeś w niebieskim królestwie — tłumaczyła mu bodhisattwa — a teraz dalej masz odwagę mordować żywe istoty. W ten sposób do dawnych zbrodni dodajesz nowe. Z rozkazu najświętszego Buddy udaję się do krainy na wschodzie, żeby znaleźć pobożnego człowieka, który przybędzie do Raju Buddy po święte księgi. Dlaczego nie miałbyś przyłączyć się do nas i opierać się w swym dalszym życiu na przykładach szlachetnego, cnotliwego postępowania? Mógłbyś towarzyszyć temu pielgrzymowi jako jego uczeń i razem z nim przybyć do Raju Zachodniego Nieba po święte księgi. A ja sprawię, że latający miecz już się więcej nie pojawi, żeby cię dźgać, ciąć i kłuć. Wtedy za położone w tej misji zasługi darowane ci będą wszystkie winy. Odzyskasz swe dawne stanowisko. No, jak będzie? Zgadzasz się?

— Pragnę wejść na ścieżkę cnoty — rzekł potwór bez chwili wahania. Po krótkim namyśle zaczął mówić dalej: — Bodhisattwo, ja pożarłem tu przecież niezliczoną ilość

ludzi. Było wśród nich również kilku pielgrzymów, którzy wędrowali po święte księgi. Głowy moich ofiar wrzucałem do Rzeki Płynącego Piasku i opadały one na dno. Woda w tej rzece ma taką właściwość, że nawet puch łabędzi nie będzie się na niej unosił. A mimo to, czaszki dziewięciu pielgrzymów udających się po święte księgi, których miałem nieszczęście pożreć, pozostają na powierzchni wody i za nic nie chcą pójść na dno. Uznałem je za cudowne przedmioty, a więc nawlokłem je na sznur i z nudów zabawiałem się nimi. Sądzę, że teraz już żaden pielgrzym nie odważy się tędy przechodzić. A wtedy czyż moje nadzieje na lepszą przyszłość będą mogły się spełnić?

— Czy rzeczywiście są jakieś poważne powody, dla których marzenia twoje miałyby się nie spełnić? — spytała spokojnie bodhisattwa. — A teraz zawieś sobie ten sznur czaszek na szyi. Gdy przybędzie tu ten pielgrzym, znajdzie się dla nich zastosowanie.

— Skoro tak jest, jak mówisz — rzekł uspokojony potwór — z wielką chęcią obiecuje towarzyszyć i pomagać pobożnemu wędrowcowi.

Wówczas bodhisattwa złożyła swe dłonie na czubku głowy potwora i powiedziała, jakie ma w przyszłości spełnić zadanie. Następnie wskazując na piasek orzekła, że on właśnie będzie jego nazwiskiem. Odtąd nazywał się Sza Wu-tsing, czyli Piaskowy Mnich. Następnie ostrzyżono mu głowę i stał się prawdziwym buddyjskim ascetą. Przeprowadził bodhisattwę i jej ucznia bezpiecznie przez rzekę i zajął się oczyszczaniem swego serca i myśli z dawnych grzechów. Od tej pory nie zabił już żadnej żywej istoty i tylko cierpliwie czekał na zapowiedzianego pielgrzyma, udającego się po święte księgi.

Tymczasem bodhisattwa, pożegnawszy się z nim, razem z Moksą ruszyła w dalszą wędrowkę do wschodniej krainy. Znajdowali się w drodze już dość długo, gdy nagle ujrzeli przed sobą wysoką górę spowitą w jakieś trujące, smrodliwe opary, które uniemożliwiały wspinaczkę. Wędrowcy już mieli wsiąść na chmurę i przelecieć wysoko nad tą cuchnącą górą, gdy niespodziewanie zerwał się gwałtowny wichur i z wnętrza góry wyskoczył jakiś nowy potwór. Widok jego wywoływał obrzydzenie i napawał grozą.

Potwór dojrzał najpierw bodhisattwę i bez namysłu rzucił się na nią i chciał zadać cios swoimi grabiami. Moksza jednak w czas odparował uderzenie i krzyknął na niego:

— Ach, ty ohydna bestio! Rozrabiać ci się zachciało? Ja ci pokażę! Masz, popróbuj mego żelaznego drąga!

— A ty co, nędzny mnichu — odszczeknęła potwór — życia masz już dość czy co? A masz! Popróbuj moich grabi!

U stóp góry rozgorzała zaciekle walka. To jeden przeciwnik atakował, to drugi, a szala zwycięstwa długo to na jedną, to na drugą stronę się ważyła. I oto w momencie, gdy walka osiągnęła punkt szczytowy, Kuan-in, która przez cały czas obserwowała wszystko, co się dzieje na dole, cisnęła kwiat lotosu, który upadł akurat między skrzyżowanymi drągiem i grabiami. Potwór zdumiał się tym niezwykłym wydarzeniem.

— Skąd jesteś, nędzny mnichu? — zapytał ostro. — Jak śmiesz urządzać mi tu pod nosem jakieś sztuczki z kwiatami!

— Zaraz pokażę sztukę przed twoimi zaropiałymi ślepiami, ty bezwstydna kreaturo! — odpalił Moksza. — Jestem uczniem bodhisattwy z Południowego Oceanu. Ten kwiat lotosu upuściła własnoręcznie bodhisattwa. Nie rozumiesz tego jeszcze?

— Co ty znowu wygadujesz? — zdumiał się potwór. — Czyż bodhisattwą z Południowego Oceanu nie jest boska Kuan-in, wybawiająca od trzech klęsk żywiołowych i ośmiu rodzajów nieszczęść?

— A o kim innym mógłbym mówić? — zakrzyknął Huei-an.

— Drogi bracie! A gdzie jest teraz bodhisattwa? Błagam cię, błagam cię na wszystko, racz mnie do niej zaprowadzić.

— Czyż to nie ona tam stoi? — rzekł Moksza unosząc głowę i wskazując na szczyt góry.

W tym momencie obrzydliwa stwora zaczęła bić pokłony do samej ziemi i w końcu spoglądając w górę zawołała na całe gardło:

— O, bodhisattwo! Zlituj się nade mną! Daruj mi moje grzechy!

Bodhisattwa opuściła się na chmurze do podnóża góry i zbliżyła się do potwora.

— Czy jesteś duchem dzika, czy jakiegoś starego wieprza? — zapytała. — Skąd się tu wziąłeś? Jak śmiesz mi tu zagradzać drogę?

— Nie jestem ani dzikiem, ani wieprzem — odpowiedział jej ohydny stwór. — Jestem właściwie marszałkiem dowodzącym wojskami na Mlecznej Drodze. Ponieważ jednak kiedyś po pijanemu zabawiłem się z Cz'ang-e, boginią księżycy, Nefrytowy Cesarz kazał mi wlepić dwa tysiące batogów i zesłał na ziemski padół. Przez cały czas zachowałem jednak swój charakter. Gdy w końcu nadeszła pora przeistoczenia, musiałem się dobrze starać, żeby ponownie się urodzić. Na moje nieszczęście w tym ważnym momencie zablądziłem i przez pomyłkę wpadłem do łona jakiejś starej maciory, stąd mój obecny wygląd. Później zagryzłem tę starą maciorę, pozabijałem prosiaki i osiedliłem się tu, na tej górze, spędzając dni na pożeraniu ludzi. Ale na ciebie, cudowna bodhisattwo, nie zamierzałem napadać. Błagam cię, zlituj się, daruj mi to przewinienie!

— A jak się nazywa ta góra? — zaciekała się Kuan-in.

— Jest to Góra Szczęścia. Na górze tej znajduje się Jaskinia Przechowywania Chmur. Kiedyś żyła w niej Druga Siostra Luan. Gdy zauważyła, że niezły ze mnie wójak, przyjęła mnie do siebie, uczyniła panem tej góry i nazwała mężem. Nie minął jednak nawet rok, jak umarła i cały dobytek znajdujący się w jaskini stał się moją własnością. Żyję tu już od bardzo wielu lat. Nie znam żadnych sposobów zdobywania pożywienia, a więc porywałem przechodzących tędy wędrowców i ich pożerałem. Błagam cię, o wielka bodhisattwo, zlituj się nade mną i przebacz mi moje zbrodnie!

— Już w dawnych czasach ludzie powiadali: „Jeżeli pragniesz zbawienia, nie czyń nic, co by spełnieniu tych pragnień przeszkadzało” — orzekła bodhisattwa. — Naruzyłeś prawo w niebie, a teraz nie tylko nie starasz się poprawić swej zbrodniczej natury, ale przeciwnie, zabijasz żywe istoty i siejesz zło... Czyż sądzisz, że kara za dwa przewinienia będzie lżejsza?

— Zbawienie! Przyszłość! Czyż mogę o tym marzyć? — zaskomlał rozgoryczony potwór. — Gdybym ciebie posłuchał, musiałbym pustym wiatrem się żywić. Nie bez

kozery istnieje powiedzenie: „Jeśli postępować będziesz zgodnie z prawem króla, umrzesz pod razami kijów, jeśli przestrzegać będziesz prawa Buddy, zginiesz z głodu”. Idź już stąd. Odejdźcie co rychlej! A ja chyba dalej będę polował na samotnych podróżnych i zjadał się ich tłustymi tyłkami. Co tam dużo gadać, czy się popełni dwie zbrodnie, trzy, tysiąc czy jeszcze więcej, i tak przyjdzie za to kiedyś odcierpieć.

„Jeśli człowiek dąży do dobrego, niebo na pewno przyjdzie mu z pomocą”, głosi przysłowie — odpowiedziała na to bodhisattwa.

— Skoro tylko zapragniesz wrócić na drogę prawdy, możesz nie wątpić, że będziesz miał co jeść. Na świecie rośnie pięć rodzajów zbóż, którymi możesz zaspokoić swój głód. Po co zaraz karmić się ludzkim mięsem?

Gdy potwór usłyszał te słowa, robił wrażenie, jak gdyby nagle wyrwano go ze snu.

— Bardzo bym chciał wejść na ścieżkę prawdy — zwrócił się jeszcze bez przekonania do bodhisattwy — ale czyż nie powiada się: „Nie pomogą żadne modlitwy temu, kto zbrodnię przeciw prawom nieba popełnił”?

— Na polecenie Wielkiego Buddy udaję się na wschód w poszukiwaniu człowieka, który odbędzie pielgrzymkę po święte księgi — odrzekła bodhisattwa. — Mógłbyś, gdybyś zechciał, zostać jego uczniem, i wspólnie z nim przybyć do Raju Zachodniego Nieba. Taki czyn na pewno by wymazał twoje dotychczasowe grzechy i w ten sposób mógłbyś się uwolnić od wszelkich nieszczęść i zgryzoty.

— Pragnę tego z całego serca! — zawołał na cały głos potwór.

Bodhisattwa wówczas złożyła swe dłonie na głowie potwora i wypowiedziała zakłęcie. Od jego ohydneho ciała nadała mu nazwisko Czu, znaczące „wieprz”, nadała mu też imię zakonne. Całe jego nazwisko i imię brzmiało Czu Wu-neng, czyli wieprz, który poznał ludzkie umiejętności. Zakłęciem, wypowiedzianym przez bodhisattwę, otrzymał nakaz kroczenia drogą Prawdy, przestrzegania postu, tj. spożywania tylko pięciu gatunków roślin, a unikania trzech rodzajów istot żywych, znajdujących się w powietrzu, na ziemi i w wodzie, oraz oczekiwania na przybycie pielgrzyma, który miał niedługo wyruszyć po święte księgi.

Wtedy Kuan-in wraz z Mokszą pożegnali się z Czu Wu-nengiem i wsiadłszy na niezbyt wysokie chmury i mgły, pośpieszyli w dalszą drogę. Nagle, gdy tak pędzili, w powietrzu rozległ się ryk nefrytowego smoka. Bodhisattwa zbliżyła się do niego i zapytała:

— Skąd ty jesteś, smoku, i za jakie przewinienia tu się znalazłeś?

— Jestem synem Ao-żunga, króla smoków Zachodniego Oceanu — odpowiedział smok. — Ponieważ z mojej winy w pałacu wybuchł pożar i spłonęło wiele cennych pereł, ojciec mój w raporcie do władcy niebios oskarżył mnie o nieposłuszeństwo. Nefrytowy Cesarz kazał mnie zawiesić w powietrzu pod niebem i wymierzyć trzysta batów. Lada dzień mam zostać ścięty. Błagam cię, cudowna bodhisattwo, o ratunek. Pomóż mi, jeśli możesz!

Wysłuchawszy tych słów, Kuan-in ze swym uczniem Mokszą udała się prosto ku Południowej Bramie Niebios. U bramy natknęli się na Ts'iu i Czanga, dwóch niebiańskich strażników.

— Dokąd to zmierzacie? — zapytali.

— Chciałabym się zobaczyć z Nefrytowym Cesarzem — odpowiedziała bodhisattwa.

Dwaj strażnicy pośpieszyli, żeby donieść cesarzowi o przybyciu bodhisattwy, i cesarz wyszedł zaraz na jej spotkanie. Kuan-in podeszła do cesarza, złożyła należny mu pokłon i powiedziała:

— Z polecenia Buddy udaję się do wschodniej krainy w poszukiwaniu człowieka, który wyprawi się do Zachodniego Nieba po święte księgi. Po drodze napotkałam jakiegoś smoka-nieszczęśliwca zawieszzonego pod niebem. Przybyłam tu specjalnie z prośbą, żeby wasza wysokość zechciała darować mu życie i ofiarować mi go. Pragnę go wysłać razem ze świątobliwym pielgrzymem, aby go wspomagał siłą swych nóg.

Nefrytowy Cesarz przychylił się do prośby bodhisattwy, wydał rozkaz o darowaniu winy smokowi i wysłał niebiańskich wojowników, by uwolnili przestępcę i przekazali go bodhisattwie. Podziękowawszy cesarzowi za wyświadczoną łaskę, bodhisattwa opuściła bramy nieba. Mały smok bijąc pokłony dziękował jej za uratowanie życia i uważnie słuchał poleceń udzielanych mu przez Kuan-in. Bodhisattwa przykazała smokowi opuścić się na dno głębokiej rzeki i tam oczekiwać nadejścia pielgrzyma. Wtedy smok miał się przemienić w białego konia i służyć mu za wierzchowca w uciążliwej wędrówce do Zachodniego Raju, w ten sposób zmazując swe przewinienie. Smok z radością obiecał spełnić wszystkie jej rozkazy i w gnieniu oka zniknął w głębinach rzeki, ale na razie z nim się rozstaniemy.

Bodhisattwa w towarzystwie Mokszy przeleciała nad górą jedną i drugą i kontynuowała swą podróż na wschód. Tym razem nie lecieli zbyt długo, gdy przed nimi roz błysły tysiące złocistych promieni, a powietrze wypełniło się cudowną wonią.

— Mistrzu — odezwał się Moksza — te promienie wydobywają się z Góry Pięciu Elementów. Widać nawet cudowną tabliczkę, umocowaną na niej z rozkazu Tathagaty.

— Czy to nie pod tą górą uwięziony został ów Wielki Mędrzec Równy Niebu, który zniszczył Ucztę Brzaskwiniową i narobił tyle zamieszania w królestwie niebieskim? — zapytała bodhisattwa.

— Tak, to tu właśnie! — potwierdził Moksza.

Mistrz z uczniem wspięli się na szczyt góry i ujrzeni tam nefrytową tabliczkę z sześciorazowym napisem: „Om mani padme hum”. Bodhisattwa przyjrzała się jej z nabożeństwem, westchnęła głęboko, litując się nad losem nieszczęśliwego więźnia, i ułożyła taki oto wiersz:

Z litością wspominam małą cudowną,
Jakież to bohater był z niej i hultaj!
Doszczętnie zniszczyła Brzaskwiniową Ucztę,
Zuchwale weszła do pałacu T'u-szuai.

Wśród wojsk niebiańskich nikt jej nie dorównał,
Pod górą uwięził ją Tathagata
Za zbrodnie w dziewięciu niebiańskich sferach.
Kiedyż wolności znów nadejdą lata?

Rozmowa bodhisattwy z uczniem dobiegła do uszu Wielkiego Mędrca i zaniepokoiła go.

— Hej, kto tam na górze recytuje wiersze o moich przewinieniach!? — krzyknął na cały głos Wielki Mędrzec.

Usłyszawszy go, Kuan-in zeszła z góry i zaczęła go szukać. U podnóża wysokiej, przepaścistej ściany skalnej napotkała bóstwa opiekuńcze, górskie duchy i niebiańskich strażników pilnujących więźnia. Wszyscy podeszli do niej i złożywszy należne pokłony, zaprowadzili do miejsca, gdzie przebywała uwięziona małpa. Król małp zamknięty był jakby w kamiennej skrzyni. Mówił wprawdzie, ale nie mógł poruszać ni ręką, ni nogą, bo skrzynia była tak ciasna.

— No i jak, Sun Wu-k'ungu? Czy poznajesz mnie? — zapytała bodhisattwa.

Wielki Mędrzec szeroko rozwarł ogniste oczy, kiwnął głową i zawołał:

— Jakże mógłbym cię nie poznać?! Ty to przecież jesteś miłosierna wybawicielka z wszelakich nieszczęść, bodhisattwa Kuan-in z góry Buddhaloka na Południowym Oceanie. Bardzo ci wdzięczny jestem za odwiedziny, za łaskawą troskliwość. Każdy dzień mi się tu wydaje rokiem całym, a w dodatku nikt ze znajomych czy przyjaciół nie raczył przez ten cały czas mnie odwiedzić. A ty skąd przybywasz?

— Z rozkazu Buddy wędruję do wschodniej krainy, by tam znaleźć odpowiedniego człowieka, który wyprawi się po święte księgi — odpowiedziała bodhisattwa. — A ponieważ tędy właśnie wiodła nasza droga, specjalnie zatrzymałam się, żeby się z tobą zobaczyć.

— Tathagata oszukał mnie — skarżył się rozgoryczony Wielki Mędrzec. — Już ponad pięćset lat więzi mnie pod tą górą. Nie mogę się nawet porządnie wyprostować. Błagam cię, cudowna bodhisattwo, zrób coś i uwolnij mnie z tej przeklętej jamy.

— Popeliłeś zbyt ciężkie przestępstwa — powiedziała Kuan-in. — Obawiam się, że gdybym cię uwolniła, znów byś nabroił co niemiara i jak ja bym wtedy wyglądała?

— Nie, przysięgam, że nie! — obiecywał król małp. — Już pożałowałem swoich wybryków. Błagam cię tylko, w swoim wielkim miłosierdziu wskaż mi jakiś sposób wyzwolenia się z tego więzienia. Całym sercem pragnę teraz tylko wkroczyć na drogę prawdy.

Serce bodhisattwy zabiło radośnie, gdy usłyszała od Wielkiego Mędrca te słowa. Rzekła tedy do niego:

— W świętych księgach jest napisane: „Dobre słowa znajdują odzew o tysiąc wiorst, złe słowa spotkają sprzeciw z odległości tysiąca wiorst”. Jeśli rzeczywiście masz takie szlachetne zamiary, postaram się ci pomóc. Posłuchaj uważnie. Teraz właśnie wybieram się na wschód do państwa T'angów, żeby znaleźć człowieka, który uda się w daleką wędrowkę po święte księgi. Powiem mu, żeby cię uwolnił, gdy będzie tędy przechodził. Zostaniesz jego uczniem, przywdziejiesz mnisze szaty i zostaniesz wyznawcą Buddy. W ten sposób wstąpisz na jedyną ścieżkę Prawdy. No, cóż ty na to?

— Zrobię wszystko, jak mówisz. Całym sercem pragnę uczestniczyć w tej pielgrzymce! — zawołał Wielki Mędrzec.

— Jeśli naprawdę chcesz zostać buddyjskim mnichem, nie pozostaje mi teraz nic innego do zrobienia, jak nadać ci zakonne imię — stwierdziła Kuan-in.

— Ależ ja mam już takie imię! — zawołał z radością Wielki Mędrzec. — Nazywam się Sun Wu-k'ung.

Wiadomość ta ucieszyła bodhisattwę.

— Przed tobą nawróciłam już dwóch na prawdziwą wiarę — rzekła. — Oni też mają znak „wu” w imieniu. To świetnie się składa. Na pewno się zaprzyjaźnicie. A teraz nie będę tracić już czasu na pouczenia. Ruszam w dalszą drogę.

W ten sposób Wielki Mędrzec dowiedział, że gorąco pragnie wstąpić na drogę prawdy, wytkniętą przez Wielkiego Buddę. Bodhisattwa zaś, nie zapominając o ostatecznym celu swej wędrówki, wyruszyła na poszukiwanie świątobliwego mnicha.

Po opuszczeniu Góry Pięciu Elementów Kuan-in ze swym uczniem Mokszą skierowali się na wschód i po niecałym dniu podróży przybyli do Cz'ang-anu, stolicy wielkiego państwa T'ang. Na swej chmurze opuścili się na ziemię i przybrawszy postać wynędzniałych mnichów buddyjskich weszli w mury Cz'ang-anu, gdy się już zmierzchało. Dotarli powoli do środka miasta i przy jednej z ulic dostrzegli świątynię lokalnego bóstwa opiekuńczego. Gdy znaleźli się w środku, przerażone bóstwo poderwało się z ołtarza, a demony, stojące na straży świątyni, skierowały na nich swą broń. Zaraz jednak rozpoznali bodhisattwę i rzucili się ją witać, bijąc pokłony. Bóstwo opiekuńcze natychmiast rozesłało gońców z radosną nowiną do wszystkich świątyń, kaplic i ołtarzy w całym Cz'ang-anie i po chwili świątynia zapelniła się różnymi bóstwami, bogami i duchami, które przybywały, by się słynnej bogini pokłonić.

— Cudowna bodhisattwo! — wołały jedne przez drugie. — Wybacz, że duchy naszego miasta spóźniły się z powitaniem ciebie.

— Pod żadnym warunkiem nie wolno wam ujawnić mojej obecności w mieście — rzekła, gdy się wszyscy zebrali. — Przybywam tu z rozkazu Buddy, żeby znaleźć świątobliwego mnicha, który wyprawi się na zachód po święte księgi. Skorzystam z waszej gościnności i na kilka dni zamieszkać w jednej ze świątyń, a gdy znajdę odpowiedniego człowieka dla świętej misji, wyruszę w drogę powrotną.

Wszystkie bóstwa powróciły do swoich świątyń i ołtarzy, a bodhisattwa wraz ze swym uczniem, przyjąwszy postać zwykłych mnichów, zatrzymali się w świątyni boga miasta.

Jeśli się chcecie dowiedzieć, co się później wydarzyło, posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ ÓSMY

o tym, jak król smoków niegodnym wybiegiem sprzeciwił się woli nieba i jak minister Wei Czeng wysłał list do sędziego w królestwie ciemności.

Miasto Cz'ang-an znajdowało się w rejonie Szensi i wielu pokoleniom cesarzy i królów służyło za stolicę. Od czasów panowania dynastii Czou, Ts'in i Han kraj szybko się rozwijał i kwitł, zupełnie jak kwiaty na wzorzystym jedwabiu. Omywające miasto ze wszystkich stron rzeki dodawały uroku tej wspaniałej i godnej podziwu stolicy państwa.

W czasie gdy bodhisattwa przybyła do Cz'ang-anu, na tronie od trzynastu lat zasiadał cesarz T'ai-tsung z dynastii T'ang. Zaraz po objęciu władzy określił nazwę ery swego panowania jako Czen-kuan, czyli „Pomyślne Perspektywy”. Był rok sześćset czterdziesty. W kraju panował spokój i dobrobyt. Ze wszystkich stron napływały dary i daniny, a władcy wielu krajów wyrażali gotowość uznania się lennikami T'ai-tsunga.

W tych czasach na peryferiach Cz'ang-anu, na brzegu rzeki Tsing żyło dwóch ludzi z gminu. Jeden z nich, Czang Szao, był rybakiem, a drugi nazywał się Li Ting i był drwalem. Odznaczali się oni głęboką ludową wiedzą, potrafili pisać i czytać, a mimo to nigdy nie przystępowali do egzaminów urzędniczych.

Pewnego dnia, po tym jak jeden z nich sprzedał przyniesione na targ drzewo, a drugi koszyk złowionych karpí, obydwaj przyjaciele zajrzeli do przydrożnej winiarni, wypili po kilka czarek wina i zabrawszy jeszcze po dzbanie wina na drogę, wolnym krokiem wracali brzegiem rzeki do swych chat.

— Bracie Li — odezwał się Czang Szao. — Wydaje mi się, że ludzie, którzy się uganiają za sławą i zaszczytami, prowadzą siebie tylko do zguby, a ci, którzy za zyskiem gonią, życie na szwank narażają. Przecież przyjąć jakąś godność lub stanowisko, to tak jakby ułożyć się do snu w objęciach tygrysa, a przyjęcie jakiejś łaski czy podarunku równe jest włożeniu sobie do rękawa jadowitego węża. Jak człowiek pomyśli o tym wszystkim, to dochodzi do wniosku, że chyba nam jest najlepiej. Żyjemy pośród

szmaragdowych toni wód i niebieskawoszarych, cudownych górskich szczytów. Możemy się wspinać po górach lub powłóczyć się nad wodą, gdy nas taka chętć napadnie. Godzimy się z naszym losem, chociaż czasami nam trochę dokuczy.

— Zupełnie słusznie to zauważył mój brat Czang — odpowiedział Li Ting. — Tylko, jak by to powiedzieć, życie nad wodą to jednak nie to, co w górach.

— Urok twoich gór nie umywa się do wspaniałych krajobrazów, jakie możesz po-
dziwiać na rzece — rzekł Czang Szao.

— Mimo wszystko, daleko twoim rzeczonym krajobrazom do moich wspaniałych
widoków w górach — zaprotestował drwal.

— A jednak twoje góry ustępują pod każdym względem mojemu królestwu na
wodzie! — upierał się przy swoim rybak. — Rzeka jest w każdym bądź razie bardziej
pożyteczna.

— Jak możesz w ogóle przyrównywać użyteczność twojej rzeki do darów, jakimi
obdzielają mnie moje góry — chwalił się drwal.

— Bracie Li, chyba nie powiesz mi, że moje życie na rzece jest znacznie mniej przy-
jemne niż to twoje w górach — zaczął od nowa rybak.

— Bracie Czang, co ty opowiadasz?! Właśnie moje życie w górach jest o wiele
przyjemniejsze niż to twoje, spędzane na rzece — nie dawał się przekonać drwal.

— No, niech ci będzie! Może i w tych twoich górach nie jest tak źle, ale nie znaj-
dziesz wśród nich takiej ciszy i spokoju jak ja nad szmaragdowymi wodami mojej
rzeki — nie ustępował rybak.

— Jakże możesz porównywać spokój na rzece z ciszą pośród zieleni moich gór! —
zaperzył się drwal.

— No, dobrze, już dobrze! — uspokajał go rybak. — Do tej pory mówiliśmy o za-
letach rzeki i gór związanych z naszymi zajęciami. Jeśli zaś chodzi o warunki do od-
poczynku po pracy, to nigdzie nie znajdziesz lepszych niż nad rzeką.

— Czy mam ci koniecznie dać dowody, dlaczego lepiej można odpocząć w górach
niż nad tą twoją rzeką?! — oburzył się drwal.

— Drogi Li Tingu — rzekł w końcu Czang Szao — czy my aby nie na próżno
spieramy się ze sobą? Przecież nie można porównywać sandałowego drzewa ze złotym
pucharem.

Tak się przekomarzając dwaj przyjaciele doszli do miejsca, gdzie ich drogi się roz-
chodziły. Skłonili się sobie uprzejmie i już każdy miał pójść w swoją stronę, gdy Czang
Szao jeszcze raz na pożegnanie zwrócił się do drwała:

— Posłuchaj no, bracie Li! Uważaj na siebie po drodze. W górach szczególnie
trzeba się wystrzegać tygrysów. Gdyby ci się przydarzyło jakieś nieszczęście, jak to się
mówi, „nazajutrz bym miał jednego przyjaciela mniej”.

Li Ting wybuchnął gniewem z powodu tej uwagi.

— Ach, ty chudopachołku jeden! — zawołał. — Dobry człowiek sam by poszedł
na śmierć za przyjaciela, a ty mi tak życzysz? Jeśli ja napotkam tygrysa i on mnie
pożre, to tobie na pewno olbrzymia fala łódź wyrzuci i utoniesz.

— Nigdy w życiu nie może mnie coś takiego spotkać — pochwalił się Czang Szao.

— Już ty nie bądź taki pewny siebie! — wykrzyknął Li Ting. — Znasz przecież

powiedzenie: „Nie przewidzisz, jaki los cię czeka, tak jak nie przepowiesz, jaką niebo pogodę ześle”. Skąd możesz mieć pewność, że ci się nic nie stanie?

— Kochany bracie Li — odparł Czang Szao. — Wprawdzie gadać to ty potrafisz, ale jeszcze nie odgadłeś, skąd u mnie ta pewność. Pod tym względem przewyższam ciebie. Takie nieszczęście, o którym wspominałeś, na pewno mi się nie przydarzy.

— Przecież praca rybaka na wodzie jest bardzo ryzykowna i niebezpieczna — rzekł Li Ting. — Przy takim zajęciu nigdy nic nie wiadomo. Na czym się opiera ta twoja pewność?

— Oczywiście, że nie mogłeś tego wiedzieć — wyjaśnił mu Czang Szao. — Bo wiesz, w Cz’ang-anie, przy Zachodniej Bramie, ma swój kram wybitny wróżbita. Dzień w dzień zanoszę mu w prezencie złocistego karpia, a on w zamian za to ze swoich czarodziejskich rękawów wyciąga dla mnie właściwą przepowiednię. Jeszcze ani razu się nie zdarzyło, żeby to, co zapowiedział, się nie sprawdziło. Dzisiaj znów byłem u niego, żeby mi powróżył. Kazał mi zastawić sieci w małej zatoczce przy wschodnim brzegu rzeki Tsing, a przy zachodnim brzegu zarzucić haczyki, to wtedy na pewno wrócę do domu z pełnymi koszami ryb i krabów. Jutro wybiorę się ponownie do miasta, sprzedam złowiony towar i pójdę na wino, a wtedy, drogi bracie, znów będziemy mieli okazję popić i porozmawiać.

Tak umówiwszy się na dzień następny dwaj przyjaciele rozstali się i każdy poszedł w swoją drogę. Jednak znacie chyba powiedzenie: „Co się mówi na drodze, słyszy człowiek w trawie”. I tak się akurat złożyło, że rozmowę o trafnych przepowiedniach wróżbity usłyszał patrolujący rzekę wodny chochlik z podwodnego królestwa rzeki Tsing. Szybko zawrócił do Kryształowego Pałacu króla smoków i znalazłszy się przed jego obliczem, zawołał:

— Nieszczęście! Wielkie nieszczęście na nas spada!

— O jakim nieszczęściu wygadujesz? — zapytał król smoków.

— Właśnie nadzorowałem wody rzeki i przypłynąłem do brzegu — zaczął swoje opowiadanie chochlik — gdy posłyszałem przechwalających się między sobą rybaka i drwala. Gdy już się mieli rozchodzić, usłyszałem coś, co mnie przeraziło. Ów rybak powiedział, że w Cz’ang-anie, przy Zachodniej Bramie, ma swój kram jakiś wybitny wróżbita, który przepowiada wszystko z ogromną dokładnością. Rybak daje mu codziennie w prezencie złocistego karpia, a wróżbita wytrząsa z rękawa takie wróżby, które za każdym razem się sprawdzają. Jeśli będzie dalej tak dokładnie wróżył temu rybakowi, to niedługo nikt z mieszkańców naszej podwodnej krainy nie ocaleje. Wszyscy zostaną wyłapani. Jakże będziemy mogli spokojnie żyć i rosnąć w naszym królestwie? Jakże będziemy w stanie burzyć fale rzeki, wspierać i umacniać majestat naszego króla?

Król smoków zapłonął wielkim gniewem. Wyrwał z pochwy miecz i już zamierzał pójść do Cz’ang-anu, żeby zgładzić zuchwałego wróżbitę, gdy ze wszystkich stron podbiegli do niego jego smoczy synowie, wnukowie, kraby-dostojnicy, krewetki-urzędnicy, śledzie-generałowie, gubernatorzy-karasie i pierwszy minister karp.

— Nie gniewaj się, nasz wielki królu! — zawołał chórem. — Wszak znane ci jest powiedzenie: „Nie należy wierzyć wszystkiemu, co się obja o uszy”. Jeśli taki wzbu-

rzony wyruszysz do miasta, pociągną za tobą wszystkie chmury, towarzyszyć ci będą ulewne deszcze. Obawiamy się, że lud Cz'ang-anu się tym wystraszy i niebo cię za to ukarze. Władasz, królu, niezmierną siłą czarodziejską, potrafisz przeistaczać się w wiele różnych istot. Mógłbyś najpierw przyjąć postać młodego uczonego, pójść do Cz'ang-anu i osobiście wy badać sprawę na miejscu. Jeśli rzeczywiście tak jest, jak mówił rybak, zdążysz jeszcze ukarać niegodziwego wróżbitę. Gdyby zaś to wszystko okazało się nieprawdą, po co miałbyś krzywdzić niewinnego?

Król smoków poszedł za radą dworu, odłożył czarodziejski miecz i nie ściągając niepotrzebnie nad miasto chmur i deszczu, wyszedł na brzeg rzeki, wstrząsnął się i w jednej chwili przemienił się w młodego uczonego, odzianego w skromną białą szatę. Wyciągając długie nogi podążył prosto na ulicę przy zachodniej bramie Cz'ang-anu. Ujrzał tam tłum ludzi, którzy robili dużo hałasu i tłoczyli się wokół kogoś, kto, starając się być słyszany, z całą powagą wykrzykiwał do zebranych:

— Pomyślność sądzona jest tym, którzy pod znakiem smoka się rodzili. Ci, którzy są spod znaku tygrysa, niech się na nieszczęścia szykują. Gwiazdozbiory Bliźniąt, Lwa, Panny i Ryb, chociaż się trzymają razem, jednak Jowisza u siebie goszczą, co niczego dobrego nie wróży.

Król smoków, usłyszawszy te słowa, nie miał wątpliwości, że znajduje się przed kramem wróżbity. Przepisnął się do przodu rozsuwając ludzi i oto, co zobaczył: Na ścianach wisiały różne drogocenne przyrządy wróżbiarskie, a pomieszczenie wyłożone było wzorzystym jedwabiem, z kadzielnic cudowny zapach się unosił, w porcelanowych wazonach wodę trzymano najczystsza. Po obu stronach dwa piękne pejzaże Wang Weia, pośrodku postać Kuej Ku, starożytnego mistrza magii, widniała. Był tam też słynny kamień do rozcierania tuszu i tusz ze złota zmieszanego z sadzą, a wspaniałe pędzle jakby szron przyozdobił. Kolekcja magicznych pereł, zestaw liczb Kuo P'o leżały obok księgi snów. Tabela struktury heksagramów tuż przy wykresie ośmiu magicznych trigramów zawisła. Ten, kto zdołał poznać zasady nieba i ziemi, potrafi z pewnością rozkazy wydawać duchom złym i dobrym. Była tam też mapa gwiazd na niebie. Z ich rozstawienia, ruchów i przemieszczeń mistrz czytał przyszłość i przeszłość jak w księżycowym zwierciadle. Które rody dojdą do sławy, a które nieszczęścia pogubią, wszystko w zwierciadle wypatrzy. Dni pomyślne i złowróźbne ustali, komu życie, komu śmierć pisana określi dokładnie. Potrafi też przewidzieć wichury i deszcze ulewne, a demony uciekają przed nim przerażeniem tknięte. Na szyldzie nazwisko i imię wypisano pięknie: Mistrz Wróżb Wszelakich, Jüan Szou-cz'eng.

Kim był ten człowiek? Jak szyld powiada, nazywał się Jüan Szou-cz'eng. Był on stryjem cesarskiego cenzora Jüan T'ien-kanga, odznaczał się niezwykle subtelną powierchownością, a wielu ludzi mogło mu pozazdrościć urody. Nadto, sława jego obiegła kraj cały, bo w Cz'ang-anie nie było lepszego we wróżbiarskiej sztuce.

Król smoków wszedł do środka i pokłonił się wróżbicie. Gdy zakończono ceremonię powitania, gospodarz poprosił gościa o zajęcie miejsca i kazał usługującemu mu chłopcu, aby podał gościowi herbatę.

— O jakie sprawy chciałby się pan dowiedzieć? — zapytał w końcu wróżbita.

— Chciałbym prosić o przepowiednię na temat jutrzejszej pogody — odpowiedział bez wahania król smoków.

Wróżbita wyjął z rękawa tajemną tablicę, poczynił odpowiednie obliczenia i w końcu podał prognozę:

Chmury spowiły gór szczyty,
Mgły lasy pokryły dokładnie.
Na pewno już jutro, nie później,
Deszcz ulewny tu spadnie.

— A o jakiej porze zacznie jutro padać i ile stóp i cali tego deszczu spadnie? — zadał następne pytanie król smoków.

— Jutro w godzinie smoka chmury pokryją niebo — objaśniał wróżbita — w godzinie węża rozlegną się grzmoty, w południe zacznie deszcz padać rześisty i nie przestanie aż do godziny owcy, a z nieba spadnie wody na trzy stopy, trzy cale i czterdzieści osiem kropel.

— Z tych spraw nie można sobie żartów stroić — rzekł śmiejąc się lodowato król smoków. — Jeśli rzeczywiście spadnie jutro deszcz o tej porze i dokładnie tyle, ile przepowiedziałeś, wtedy w nagrodę przyniosę ci pięćdziesiąt sztuk złota. Jeśli zaś deszczu nie będzie albo spadnie o innej porze lub ilość się nie będzie zgadzała, to, mówię zupełnie poważnie, przyjdę tu i rozwalę ten twój cały kram, szyld roztrzaskam na drobne kawałki i wypędzę cię z Cz'ang-anu, żebyś więcej nie tumaniał prostego ludu.

— Jak pan sobie życzy, proszę bardzo. Proszę pana uprzejmie! — chętnie zgodził się wróżbita. — Spotkamy się jutro po deszczu.

Król smoków, rozstawszy się z wróżbitą, opuścił Cz'ang-an i powrócił do swego podwodnego pałacu. Przywitały go wielkie i małe duchy wodne i od razu zarzuciły pytaniami:

— No, i jak, nasz królu? Odwiedziłeś tego wróżbitę? Jak tam było?

— A jakże, byłem u niego — pośpiesznie odpowiedział król smoków. — Same brednie wygadywał, ten cały mistrz od wróżenia. Najpierw zapytałem go, kiedy spadnie deszcz, a on powiedział, że jutro. Wtedy spytałem go, o jakiej porze zacznie padać i ile tego deszczu spadnie. Przepowiedział, że w godzinie smoka chmury pokryją niebo, w godzinie węża rozlegną się grzmoty, a padać będzie od południa do godziny owcy. Deszczu na ziemię ma spaść na trzy stopy, trzy cale i czterdzieści osiem kropel. Poszedłem z nim o zakład. Jeśli się spełni wszystko, co przepowiedział, zaniosę mu w nagrodę pięćdziesiąt sztuk złota. Jeżeli zaś wystąpi bodaj najmniejsze odchylenie, rozwalę cały jego wróżbiarski kram i wypędzę go z miasta, żeby więcej nie tumaniał prostego ludu.

— Przecież ty, królu, sprawujesz kontrolę nad ośmioma rzekami — mówili śmiejąc się jego wodni poddani — ty, nie kto inny, jesteś najpotężniejszym królem smoków sprowadzających deszcze. Przecież od ciebie zależy, czy deszcz spadnie, czy będzie susza. Jakże on się ośmielił takie bzdury opowiadać? Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że wróżbita przegra zakład. Na pewno go przegra!

W czasie gdy synowie i wnuki króla smoków, jego rybi dostojnicy i krewetki-

-urzędnicy wśród salw śmiechu świętowali wygraną swego władcy, nagle z nieba dał się słyszeć potężny głos:

— Niech król smoków rzeki Tsing zechce przyjąć najwyższy rozkaz z nieba!

Wszyscy zadarli głowy i ujrzeni w górze potężnego rycerza w złotej zbroi, który, trzymając w dłoniach rozkaz od Nefrytowego Cesarza, wbiegł prosto do podwodnego królestwa. Wystraszony król smoków poprawił na sobie szaty i rozpaliwszy wonne trociczki, w pokornej postawie odebrał pismo z poleceniem od najwyższego władcy nieba. Rycerz w złotej zbroi po spełnieniu swej misji natychmiast powrócił do nieba. Król smoków wypowiedział dziękczynną formułę za zesłaną łaskę, rozłamał pieczęcie i zaczął czytać. W rozkazie Nefrytowego Cesarza napisano:

„Niniejszym nakazuje się władcy ośmiu rzek, by popędził pioruny, ustawił w szyku błyskawice, udał się jutro z nimi nad Cz'ang-an i spuścił na miasto ulewę”.

Dalej następowały polecenia dotyczące pory oraz ilości opadów, nawet w najdrobniejszych szczegółach nie różniące się od przepowiedni wróżbity. Król smoków był tak tym faktem przerażony, że nie wiedział, co z sobą zrobić. Po krótkiej chwili jednak doszedł do siebie i tak powiedział do swoich wodnych dostojników i dworzan:

— Jakże to możliwe, żeby na ziemskim padole pośród śmiertelnych znalazł się taki czarodziej, który przeniknął prawa rządzące niebem i ziemią? Cóż mogę teraz zrobić, żeby nie przegrać z nim zakładu?!

— Nie martw się, nasz królu — odezwał się generał-śledź. — Nic trudnego wygrać z nim ten zakład. Mam pewien plan, dzięki któremu od razu zatkamy gębę temu oszustowi.

Król smoków zapytał, na czym ma polegać ten plan, i generał wyjaśnił mu:

— Trzeba tylko trochę o innej porze deszcz spuścić i w nieco mniejszej ilości, a prognoza tego krętacza okaże się niedokładna i przegra. Roztrzaskasz więc jego szyld i wypędzisz go z miasta. Cóż w tym trudnego?

Król smoków postanowił wykorzystać ten plan i nawet się trochę rozchmurzył.

Nadszedł następny dzień. Król smoków zebrał władców wiatru, piorunów, ustawiaczy chmur i matkę błyskawic i stanawszy na ich czele, ruszył prosto na dziewiąte niebo rozciągające się nad Cz'ang-anem. I tak, dopiero gdy nadeszła godzina węża, pokrył chmurami niebo, w samo południe kazał zagrać grzmotom, a w godzinie owcy spuścił na ziemię deszcz. Ulewa trwała do godziny mały i przez ten czas napadało tylko trzy stopy i czterdzieści kropel. W ten sposób zmienił porę deszczu i o trzy cale i osiem kropel zmniejszył ilość opadów.

Po zakończeniu deszczowej akcji król smoków rozpuścił swoje oddziały i dowódców, a sam na chmurze spłynął na ziemię. Ponownie przybrał postać młodego uczonego, odzianego w białą szatę, i szybkim krokiem sunął ku ulicy przy zachodniej bramie miasta. Wpadł jak błyskawica do kramu Jüan Szou-cz'enga i nie pozwalając mu nawet dojść do słowa, zaczął po kolei rozbijać i niszczyć wszystko, co mu się pod rękę nawinęło, szyld, pędzle, kamień do tuszu i inne przedmioty. Wróżbita siedział spokojnie na swym krześle i nawet nie drgnął. Król smoków wyrwał w końcu framugę z drzwi i zamachnął się, chcąc nią ugodzić wróżbitę.

— Ach, ty bezwstydy magiku! — przeklinał. — Potrafisz tylko kłamliwymi sło-

wami o szczęściu i nieszczęściu zwodzić prostych ludzi, otumaniać ich serca i umysły. Twoja wróżba okazała się czystym wymysłem. Twoje słowa wierutnym kłamstwem. Ani godzina, o której zaczął dzisiaj padać deszcz, ani jego ilość nie zgodziły się z tym, co przepowiedziałeś. Jeszcze śmiesz tak dumnie tu siedzieć?! No już, zjeżdżaj stąd czym prędzej, pókiś żywy!

Jednak Jüan Szou-cz'eng jak gdyby wcale się go nie przestraszył. Siedział nieruchomo z twarzą zwróconą w niebo i po chwili z zimnym uśmiechem oznajmił:

— Ja się nie boję. Ja się nie mam czego bać. Na mnie nie czeka kara śmierci. Boję się tylko o ciebie, że ty nie unikniesz kary śmierci. Kogoś innego mógłbyś może oszukać, ale mnie w pole wyprowadzić jest bardzo trudno. Od razu cię rozpoznałem. Wcale nie jesteś młodym uczniem, lecz królem smoków z rzeki Tsing. Zmieniłeś rozkaz Nefrytowego Cesarza, zmieniłeś porę opadu, zmniejszyłeś jego ilość i w ten sposób naruszyłeś prawa niebios. Wkrótce znajdziesz się na Tarasie Ćwiartowania Smoków i chyba nie unikniesz już teraz katowskiego miecza. I jeszcze śmiesz mi wymyślać?!

Gdy król smoków usłyszał te słowa, zatrzęsł się cały ze strachu, a włosy z przerażenia stanęły mu dęba. Cisnął szybko w kąt framugę od drzwi, poprawił na sobie szaty, skłonił się i uklękawszy przed wróżbitą na obydwie kolana, zawołał:

— Nie opowiadaj mi, panie, takich strasznych rzeczy. Chyba przed chwilą żartowałeś? Skąd mogłem wiedzieć, że tak miesząc prawdę i fałsz, naruszę prawa niebios? Jak to jest? Błagam cię, panie, o ratunek! Pomóż mi! A jak nie, to nawet po śmierci nie dam ci spokoju.

— Niestety, nie mogę cię już ocalić — rzekł Jüan Szou-cz'eng. — Najwyżej mogę ci wskazać sposób, dzięki któremu może ci się uda pozostać wśród żywych, a później przerodzić się w inną istotę.

— Błagam cię, panie, powiedz, co mam zrobić, a wszystko wykonam — skomlał król smoków.

— Masz zostać stracony jutro w południe — wyjaśnił mu wróżbita. — Na miejscu straceń będzie cię oczekiwał minister Wei Czeng i on ci głowę zetnie. Jeśli chcesz życie zachować, biegnij szybko do władcy T'angów, cesarza T'ai-tsunga. Wei Czeng jest pierwszym ministrem na jego dworze. Jeśli cesarz każe mu się nad tobą zlitować, ocalejesz i nic ci się nie stanie.

Wysłuchawszy rady wróżbity, król smoków ze łzami w oczach pożegnał się i wybiegł. W tym czasie czerwona tarcza słońca już tonęła za horyzontem, a na niebieskie przestworza wtoczył się księżyc w otoczeniu gwiazd.

Król smoków rzeki Tsing nie wrócił jednak do podwodnego królestwa. Przebywał w powietrzu nad ziemią, dopóki nie wybiła godzina szczura. Wtedy doprowadził włosy i brodę do porządku i opuścił się na chmurze tuż przed bramą pałacu cesarskiego. Akurat w tym czasie cesarzowi przyśniło się, że wyszedł przed swój pałac, by pospacerować pośród kwiatów tonących w poświęcie księżycu. Nagle król smoków, przybrawszy postać ludzką, rzucił się przed cesarzem na kolana i zawołał:

— Ratuj mnie, wasza wysokość! Ratuj mnie od śmierci!

— Kim jesteś, człowieku? — zapytał T'ai-tsung. — Oczywiście, postaram ci się pomóc.

— Wasza wysokość jest prawdziwym smokiem, a ja jestem smokiem królestwa wód — rzekł król smoków. — Naruszyłem prawo niebios i mam wkrótce zostać ścięty przez zacnego dostojnika dworu waszej wysokości, ministra Wei Czenga. Dlatego właśnie do waszej wysokości zwracam się o ratunek. Błagam waszą wysokość, wybaw mnie od śmierci!

— Skoro to Wei Czeng ma dokonać tej egzekucji, będę mógł cię ocalić — obiecał T'ai-tsung. — Nie martw się, idź już, wszystko będzie dobrze.

Rozradowany król smoków uderzył czołem w podzięce cesarzowi i zniknął.

Gdy cesarz przebudził się rano, bardzo dobrze pamiętał, co mu się przyśniło. Z samego rana, o piątej straży z trzema kwadransami, jak to było w zwyczaju, udzielał audiencji swym ministrom i dostojnikom. Zebrali się już wszyscy, zarówno wojskowi jak i cywile, i ustawieni w dwóch grupach oczekiwali pojawienia się władcy. Po wstępnych powitaniach przepisanych etykietą dworską, gdy wszyscy dostojnicy wrócili na swoje miejsca w wyrównanych szeregach, feniksowe oczy władcy T'angów przebiegły po twarzach zebranych. W grupie dostojników cywilnych, w postawie wyrażającej cześć i szacunek stali: Fang Süan-ling, Tu Żu-huei, Sü Szy-tsi, Sü Tsing-tsung i Wang Kuei. Po drugiej stronie, pośród wojskowych, odznaczeni się: Ma San-pao, Tuan Czy-sien, In K'ai-szan, Cz'eng Jao-tsin, Liu Hung-tsi, Hu Tsing-te i Ts'in Szu-pao. Twarz każdego z nich była pełna skupienia, postawa wyrażała pokorę wobec majestatu władcy. Wśród zebranych nie znalazł jednak cesarz swego pierwszego ministra Wei Czenga. Przywołał więc na stopnie tronu marszałka dworu Sü Szy-tsi i tak rzekł do niego:

— Miałem dzisiaj w nocy bardzo dziwny sen. Przyśnił mi się jakiś człowiek, który pokłoniwszy się przede mną powiedział, że jest królem smoków rzeki Tsing i że z powodu naruszenia prawa niebios ma zostać wkrótce ścięty przez naszego ministra Wei Czenga. Błagał mnie, żebym ocalił mu życie, a więc obiecałem mu pomóc. I oto dzisiaj w szeregu dostojników brakuje właśnie tylko Wei Czenga. Jaka może być tego przyczyna?

— Ten sen był prawdziwy, zdarzyło się to naprawdę — odrzekł Sü Szy-tsi. — Trzeba jak najszybciej wezwać na dwór Wei Czenga. Wasza wysokość nie powinien wypuszczać go z pałacu przez cały dzień, a wtedy król smoków, którego wasza wysokość widział we śnie, ocaleje.

Władca T'angów bardzo się ucieszył, gdy to usłyszał. Natychmiast wydał odpowiedni rozkaz wzywający ministra Wei Czenga do pałacu.

Minionej nocy minister Wei Czeng w swoim pałacu obserwował i badał zjawiska niebieskie. Spowity dymami drogocennych kadzideł, nagle dosłyszał gdzieś zza dziewiętej sfery niebios krzyk żurawia. To nieśmiertelny posłaniec niebios przynosił mu złotymi znakami wypisane polecenie od Nefrytowego Cesarza. Miał on w czasie snu, w południe świtającego właśnie dnia, wykonać egzekucję nad królem smoków rzeki Tsing. Minister podziękował za zaszczyt, jakim go niebo obdarzyło, i zaczął się przygotowywać do wykonania powierzonego mu zadania. Rozpoczął obrzędowy post, dokonał oczyszczających ablucji, wypróbował swój cudowny miecz i przystąpił do koncentracji swych sił duchowych. Dlatego właśnie nie pojawił się na porannej au-

diencki u cesarza. Jednak gdy przybył posłaniec z cesarskim rozkazem, by się natychmiast stawił na dworze, przestraszył się, że nie dopełnił swych obowiązków względem władcy. Nie pozwalając sobie na najmniejszą zwłokę w wykonaniu cesarskiego życzenia, szybko nałożył dworski strój, zapiął pas i razem z posłańcem wrócił na dwór. Stanąwszy przed cesarzem, złożył pokłon i prosił o przebaczenie.

— Przebaczymy ci i nie uważamy tego za wykroczenie — oświadczył władca T'angów.

Ponieważ poranna audiencja u cesarza jeszcze się nie zakończyła i wszyscy dostojnicy znajdowali się na sali, władca kazał im zwinąć petycje i dokumenty i rozejść się do urzędów. Zatrzymał tylko Wei Czenga i zaprosił go do prywatnych komnat swego pałacu. Z początku rozmawiali o sprawach państwowych, o zaprowadzeniu trwałego pokoju w kraju, a gdy zbliżało się południe, cesarz kazał służbie pałacowej przynieść szachy.

— Chciałbym ze szlachetnym dostojnikiem zagrać partię szachów — rzekł cesarz.

Cesarskie nałożnice i damy dworu przysunęły stolik i ustawiły kamienie na szachownicy. Wei Czeng podziękował za wyświadczony zaszczyt i przystąpił do gry. Wkrótce na szachownicy rozgorzała prawdziwa walka. Jedne kamienie zmieniały swoją pozycję, inne znikaly z placu boju, co chwila zmieniały się szyki, formowały pozycje obronne, prawie zupełnie tak, jak to opisano w Traktacie o Zbutwiałej Rękojeści Topora:

„W sztuce gry szachowej najcenniejsza jest dokładność i rozważa. Za najlepsze miejsce dla rozwoju działań uchodzi środek szachownicy, najgorsze są skraje, a rogi średnią mają cenę. Te powszechne prawdy wszystkim graczom są znane. Zasady gry głoszą też, że lepiej jest stracić figurę niż inicjatywę. Gdy z lewej atakujesz, pilnie bacz na prawą stronę, gdy z tyłu nacierasz, nie trać z oczu frontu. Czasami się bowiem zdarza, iż prac do przodu, znajdujesz się w tyle lub cofając się składnie, nagle w przodzie jesteś. Jeśli dwa punkty masz połączone, nigdy ich nie rozrywaj, jeśli kamienie na szachownicy są dla przeciwnika niedostępne, nie musisz ich łączyć. Pozycja powinna być przestronna, ale nie za luźna, dobrze, gdy piony gęsto stoją, ale niezbyt ciasno. Nie żałuj kamieni i nie staraj się ich wszystkich zachować. Bywa i tak, że poświęcając je, osiągnąć możesz zwycięstwo. Zamiast bez celu przesuwając do przodu kamień za kamieniem byle dalej, lepiej zatrzymać je, umocnić, niech się nawzajem wspierają. Gdy przeciwnik jest liczny, a tobie niewiele zostało wojsków, lepiej wprzód zapewnić swoim bezpieczeństwo. Jeśli ty zaś kamieni masz w bród, śmiało rozwijaj do przodu swe pozycje bojowe. Ci, którzy zwycięstwa odnosić potrafią, nigdy się nie rwą do bezładnej bijatyki, ci, którzy w obronnej taktyce celują, do szturmów nigdy nie ruszą. Tych, którzy w polu walczyć potrafią, pokonać nikt nie zdoła, a ci, którzy wiedzą, kiedy porażka im grozi, nigdy w rozsypkę nie pójną. Każda partia szachów od rozmieszczenia sił się zaczyna, a kończy wspaniałym triumfem. Gdy przeciwnikowi nic nie zagraża, a mimo to wzmacnia swe pozycje, sygnał to bezsporny, że zaraz się rzuci i przerwie twoje szeregi. Jeśli zaś na słabe pionki uwagi nie zwraca i na łup tobie zostawia, oznaka to, że knuje coś wielkiego. Bezsilny w strategii okaże się ten, kto od niechcienia kamienie na desce stawia; porażkę ciężką poniesie ten, co bez namysłu na

ruch przeciwnika odpowiada. Z Księgi Pieśni godzi się tu przytoczyć dwa wiersze: »Bądź zawsze ostrożny i czujny, jakbyś nad przepaścią stał bezdenną«”.

Gra między cesarzem i jego ministrem toczyła się do południa, gdy nagle w pozycji, która jeszcze żadnemu z graczy nie wróżyła zwycięstwa, Wei Czeng osunął głowę na skraj stolika i lekko pochrapując zasnął.

— Mój zacny minister z pewnością bardzo się utrudził pracą nad dobrobytem i pomyślnością naszego kraju, a więc nic w tym dziwnego, że się trochę zdrzemnął — rzekł z uśmiechem T'ai-tsung. Kazał nie budzić ministra i pozwolić mu spać dalej.

Nie minęło wiele czasu, gdy Wei Czeng przebudził się i uświadomiwszy sobie, jak swoim czynem obraził cesarza, padł przed nim na twarz błagając o przebaczenie:

— O, wielki władco, zasłużyłem na śmierć! — wołał. — Powiniennem zginąć za taką zbrodnię. Sam nie wiem, jak to się stało. Poczulem się nagle strasznie zmęczony i zasnąłem. Jeszcze raz błagam waszą wysokość o wybaczenie mi tego braku szacunku.

— O jakim braku szacunku powiadasz? — rzekł rozbawiony cesarz. — Powstań! Złożymy rozpoczętą partię szachów i zaczniemy nową.

Wei Czeng podziękował za tak wspaniałomyślne przebaczenie i w chwili gdy już ustawili szachy i mieli przystąpić do gry, przed pałacem rozległy się jakieś okrzyki i do komnaty cesarskiej wkroczyli dowódcy straży, Ts'in Szu-pao i Sü Mao-kung, wnosząc ociekającą krwią głowę smoka. Złożyli ją u stóp cesarza i oświadczyli:

— Wasza wysokość, widzieliśmy w życiu wiele rzeczy, jak morza stają się mierzynami, jak wysychają rzeki, ale czegoś tak dziwnego i strasznego jeszcze nie spotkaliśmy.

Cesarz T'ai-tsung i Wei Czeng poderwali się z miejsc.

— Gdzie to znaleźliście? — zapytał cesarz.

— Głowa smoka spadła z chmur na skrzyżowanie dróg w odległości tysiąca kroków od południowej galerii pałacu — odpowiedzieli razem Ts'in Szu-pao i Sü Mao-kung. — Uznaliśmy za konieczne donieść o tym waszej wysokości.

— Co to może wszystko znaczyć? — wzburzony cesarz zwrócił się do Wei Czenga.

— To ja we śnie dokonałem nad smokiem egzekucji — rzekł Wei Czeng skłoniwszy się przed cesarzem.

Cesarz zatrwożył się jeszcze bardziej, gdy usłyszał te słowa.

— Przecież gdy tak smacznie tu spałeś, nie widać było, żebyś choć poruszył ręką albo nogą, a poza tym, nie miałeś ze sobą miecza. Jak więc zdołałeś ściąć tego smoka?

— Wasza wysokość — odpowiedział Wei Czeng. — Wprawdzie ciało moje pozostawało tu przy tobie, ale będąc we śnie nie tutaj się znajdowałem. Chociaż przez cały czas nad szachownicą się pochylałem, jednak oczy mi się zamglily i zapadłem w sen. Śniło mi się, że chmury różowej dosiadłem i uleciałem prosto ku Gwieździe Polarnej. Tam już na szafocie leżał przez niebiańskich rycerzy związany ten smok. Powiedziałem mu wtedy: „Naruszyłeś rozkazy nieba, a więc powinieneś umrzeć. Spełniam tylko wolę niebios, skracając mieczem twoje życie”. Smok, gdy to usłyszał, zapłakał gorzko, a ja zbierałem w sobie siły. Smok znów gorzko zapłakał, lecz łapy spokojnie położył, łuski na karku lekko odchylił, gotów na śmierć. Zebrałem w końcu swe siły duchowe,

odwinąłem rękaw i wzniosłszy oszroniony miecz w górę, ciąłem, no i głowa smoka potoczyła się w przepaść.

Wysłuchawszy słów ministra, cesarz z jednej strony cieszył się, z drugiej zaś żal odczuwał. Cieszył się z zaszczytu, jaki spotkał jego ministra, Wei Czenga. Mając tak mężnego człowieka na swym dworze, mógł się nie obawiać o bezpieczeństwo i spokój swego państwa. Żal odczuwał po smoku. Przecież we śnie mu przyrzekł, że go na pewno ocali, a tu co, smok został stracony. W końcu jednak przemógł swą duchową rozterkę. Kazał Ts'in Szu-pao głowę smoka wywiesić na rynku i obwieścić o tym, co zaszło, mieszkańcom Cz'ang-anu. Cesarz nagroził Wei Czenga za czyn tak wspa- niały, po czym rozkazał swym dostojnikom się rozejść.

Wieczór spędził cesarz u siebie w pałacu, a serca jego nie opuszczał żal po smoku, którego ujrzał we śnie poprzedniej nocy. Tak szlochał żałośnie, tak go błagał o uratowanie życia. Czyż mógł przewidzieć, że zdarzy się coś tak nieoczekiwanego i nie będzie go mógł wybawić z nieszczęścia? Rozmyślał o tym tak długo, aż poczuł, że stopniowo duch w nim słabnie i siły go opuszczają.

Tej nocy, w godzinie drugiej straży, usłyszał nagle przed bramą pałacu jakiś szloch i jęki. Serce cesarza ogarniał coraz większy lęk. Gdy w końcu zmorzył go sen, ujrzał przed sobą króla smoków rzeki Tsing, który trzymając w ręku swą głowę, ociekającą krwią, zawołał do niego:

— T'ai-tzungu, władco T'angów, oddaj mi moje życie! Zwróć mi życie! Wczoraj- szej nocy usta miałeś pełne obietnic, że mnie uratujesz. Dlaczego więc mimo to, gdy dzień dzisiejszy zaświtał, wysłałeś swego urzędnika, by ściął mi głowę? Wychodź! Wychodź ze swego pałacu! Zaprowadzę cię do księcia podziemnego świata, sprawied- liwego Jen-wanga, by cię osądził za niedotrzymanie obietnicy. — Chwycił przy tym za skraj szaty cesarza i szarpiąc nią wykrzykiwał oskarżenia.

Cesarz chciał krzyczeć, ale głos uwiązał mu w gardle. Szamotał się i rzucał na łożu, od stóp do głów zlany potem. I nagle, w chwili kiedy pomyślał sobie, że już z nim ko- niec i z tej opresji się nie wyrwie, w południowej stronie, owiana wonnymi mgłami i oparami, na wielobarwnej tęczy wypłynęła postać cudownej bogini. Zbliżyła się do cesarskiego łoża, machnęła trzymaną w dłoni wierzbową różdżką i bezgłowy smok, żałośnie zawodząc, uciekł i zniknął gdzieś w północno-zachodniej stronie nieba.

Była to bodhisattwa Kuan-in, która na prośbę Buddy przybyła do tej wschodniej krainy w poszukiwaniu pielgrzyma, który miał się udać na zachód po święte księgi. Zatrzymała się w świątyni opiekuńczego bóstwa Cz'ang-anu i usłyszawszy nocą płacze i nawoływania duchów, diabelskie jęki i szlochania, przybyła specjalnie, by przegnać nieszczęsnego smoka rzeki i wybawić cesarza. Smok pobiegł prosto na skargę do władcy podziemnego królestwa ciemności, ale na razie o tym opowiadać nie będziemy.

Gdy T'ai-tzung odzyskał przytomność, zaczął na cały głos wołać: — Zjawa! Co za widmo straszliwe! Precz! Precz ode mnie!

Wystraszona tym krzykiem cesarzowa, konkubiny z sześciu pawilonów, znajdu- jący się w pobliżu eunuchowie, wszyscy trzęśli się ze strachu i do rana nie mogli zmrużyć oka. Gdy nadeszła godzina piątej straży i trzy kwadranse, wszyscy wojskowi i cywilni dostojnicy zebraли się u bram pałacu w oczekiwaniu na poranną audiencję

u cesarza. Wkrótce poranny brzask rozproszył ciemności nocy, a cesarz nie pojawiał się, by przyjąć swoich urzędników. Stali więc tak zakłopotani, wystraszeni, nie wiedząc, co mają w takiej sytuacji uczynić. Dopiero gdy słońce bujało już wysoko w górze, ponad trzecią kreską czasomierza, wola władcy została im obwieszczona, a brzmiała tak: „Ponieważ jego wysokość cesarz T'angów nie czuje się zbyt dobrze, dzisiejsza audyencja została odwołana”.

Niepostrzeżenie minęło dalsze pięć czy siedem dni i niepokój o zdrowie ukochanego władcy zaczął wśród jego wiernych sług rosnać. Chcieli się nawet wdrzeć do pałacu, by osobiście życzyć mu szybkiego powrotu do zdrowia. Cesarzowa wydała odpowiednie zarządzenia, sprowadzono lekarzy, zastosowano odpowiednie środki i lekarstwa.

Przed wejściem do pałacu zebrał się tłum mieszkańców Cz'ang-anu z niepokojem wyczekujących na wieści o zdrowiu monarchy. Po chwili z pałacu wyszli cesarscy medycy. Pytano ich o dolegliwość cesarza. Jeden z nich oświadczył:

— Puls jego wysokości nie jest miarowy, raz jest bardzo słaby, to znów przyśpieszony. Ciągłe mówi o zjawach, które mu się ukazują. Po każdym dziesięciu uderzeniach tętno się zatrzymuje, w organach wewnętrznych brak energii życiowej. Chyba w takim stanie siedmiu dni nie przetrzyma.

Wielka rozpacz ogarnęła ludzi, gdy usłyszeli tę wiadomość. Twarze ich pobladyły i z żalości jak gdyby powrastali w ziemię. Nagle rozeszła się wieść, że cesarz wzywa do siebie trzech dostojników: Sü Mao-kunga Hu-kuo Kunga oraz Jü-cz'y Kunga. Spełniając życzenie swego władcy, dostojnicy szybko weszli do jednej z komnat w dalszej części pałacu, zbliżyli się do jego łoża i złożyli należne pokłony. Cesarz jak gdyby odzyskał nagle siły i mocnym, energicznym głosem rzekł:

— Zacni dostojnicy, od dziesiętnastego roku życia prowadziłem nasze wojska do walki, wyprawialiśmy się na plemiona północne i południowe, utrzymywaliśmy nasze wschodnie rubieże i zagarnialiśmy ziemie na zachodzie. W wielu ciężkich bojach wspólnie braliśmy udział, wiele stacaliśmy potyczek. Nigdy w tym czasie żaden zły duch nie odważył się mnie niepokoić i oto teraz nagle, ni stąd, ni zowąd zaczęły mnie napastować różne widma i zjawy.

— Wasza wysokość mężnie powiększał granice naszego kraju, zabił niezliczone krocie nieprzyjaciół, dlaczego, nasz władco, teraz obawiasz się jakichś duchów? — zapytał Jü-cz'y Kung.

— Nie uwierzcie mi — ciągnął cesarz — ale gdy zapadnie zmrok, za drzwiami mojej sypialni fruwią cegły, latają dachówki, upiory wyją i nawołują się wzajemnie, tak że naprawdę już dłużej znieść tego nie mogę. W dzień biały jeszcze można to jakoś wytrzymać, lecz w nocy?! Wprost nie wiem, co mam ze sobą począć.

— Wasza wysokość może być już teraz spokojny — odezwał się Ts'in Szu-pao. — Dzisiaj w nocy ja wraz z Hu Tsing-te wartę trzymać będziemy u bram pałacu i zobaczymy, jaki to duch ośmiela się waszą wysokość niepokoić.

Cesarz zgodził się na to. Sü Mao-kung i pozostali, złożywszy należne pokłony, oddalili się. Gdy noc zapadła, dwaj generałowie w pełnym bojowym uzbrojeniu, z toporami i halabardami w rękach stanęli na straży u bramy cesarskiego pałacu.

Dwaj dzielni wojownicy przez noc całą strzegli wejścia do pałacu, ale żadnej zjawy nie zauważyli. Tej nocy T'ai-tsung też spał spokojnie w swoim pałacu i nic się nie wydarzyło. O świcie wezwał dwóch ofiarnych dowódców i sownie ich wynagrodził za ich trud.

— Odkąd nawiedziła mnie ta choroba, przez kilka nocy oczu nie zmrzyłem — powiedział. — Dzisiaj dopiero odzyskałem spokój dzięki waszej potężnej opiece. Idźcie odpocząć teraz, prześpijcie się trochę, a gdy noc zapadnie, stańcie znów na straży.

Rycerze podziękowali władcy i wyszli. Jeszcze przez następne trzy noce czuwali u bram cesarskiego pałacu i wszędzie panował spokój. Mimo to jednak cesarz stracił apetyt i stan jego zdrowia z dnia na dzień się pogarszał. Nie chcąc dłużej trudzić swych generałów, wezwał ich, a także Ts'in Szu-pao, Hu Tsing-te oraz Fang Süan-linga i Tu Żu-huecia do pałacu, i zwrócił się do nich w te słowa:

— Przez ostatnie kilka dni spałem spokojnie, ale przykro mi, że działo się to kosztem całonocnego trudu i niewyspania generałów Ts'ina i Hu. Pragnę, byście znaleźli jakiegoś utalentowanego rzemieślnika, który by namalował postaci tych dwóch generałów. Malowidła przyklepicie na bramie, a nasi generałowie nie będą potrzebowali się więcej trudzić. Cóż wy na to?

Dostojnicy wykonali polecenie cesarza. Wybrali dwóch najzdolniejszych malarzy, którzy wykonali obrazy generałów Hu Tsing-te i Ts'in Szu-pao, odzianych w zbroje tak jak wtedy, gdy pełnili straż. Obydwa malowidła naklejono na pałacowe podwoje i od tej pory noce mijały bez żadnych zakłóceń.

W spokoju minęły jakieś dwa—trzy dni i znów dały się słyszeć jakieś stukania, chroboty, trzask padających dachówek u tylnej bramy pałacu. Wstawszy rano, cesarz znów zwołał swój dwór i powiedział:

— Szczęśliwie od kilku dni mamy zupełny spokój przy frontowej bramie, ale dzisiejszej nocy świeże hałasy i wrzaski dały się słyszeć u tylnego wejścia do pałacu, co znów rodzi lęk w mym sercu.

Wtedy Sü Mao-kung wystąpił z szeregu i wysunął propozycję:

— Hu Tsing-te i Ts'in Szu-pao pełnili straż, gdy było niespokojnie u przedniej bramy pałacu. Teraz straż przy tylnej bramie winien objąć minister Wei Czeng.

T'ai-tsung zgodził się z tym i wezwał Wei Czenga, by tej nocy na warcie stanął u tylnej bramy pałacu. Spełniając życzenie cesarza Wei Czeng w pełnym bojowym rynsztunku stanął przy tylnej bramie. W rękę ścisnął cudowny miecz, którym ścisnął głowę smoka. Wyglądał rzeczywiście mężnie i wojowniczo. Minęła noc, zaczynało już świtać i żadne upiory czy zjawy nie odważyły się więcej pokazać.

Mimo że spokój panował u przedniej i tylnej bramy pałacu, stan zdrowia cesarza stale się pogarszał. Pewnego dnia z polecenia cesarzowej zebrała się rada dostojników państwowych, która miała omówić sprawy związane z pogrzebem cesarza. T'ai-tsung wezwał do siebie Sü Mao-kunga i długo z nim rozmawiał o sprawach kraju. Po zakończeniu rozmowy cesarza obmyto, odziano w czyste szaty. Leżał teraz nieruchomo w oczekiwaniu śmierci.

Stojący z boku Wei Czeng podszedł do cesarza, pociągnął go za rękaw koszuli i rzekł:

— Niech wasza wysokość się nie martwi. Mam pewien pomysł, który przedłuży życie waszej wysokości na długie lata.

— Jakże to możliwe? — odparł cesarz. — Czuję przecież, że choroba przeniknęła już głęboko w moje ciało i koniec jest bliski.

— Przyniosłem dla waszej wysokości list, który wasza wysokość zabierze ze sobą do królestwa ciemności i tam odda go sędziemu dusz, Ts'ui Tsüe — rzekł Wei Czeng.

— A kto to jest ten Ts'ui Tsüe? — zapytał cesarz.

— Ts'ui Tsüe był kiedyś dostojnikiem na dworze założyciela naszej dynastii i ojca waszej wysokości — wyjaśnił Wei Czeng. — Z początku był prefektem okręgu Tsy-czou, a później podniesiono go do godności naczelnika departamentu ceremonii. Za jego życia byłem z nim w bardzo dobrych stosunkach, znaliśmy się bardzo dobrze. Teraz już nie żyje, ale po śmierci został sędzią w królestwie ciemności i powierzono mu nadzór nad rejestrami życia i śmierci. Często się z nim widuję we śnie. Jeśli wasza wysokość tam się uda i przekaże mu mój list, na pewno ze względu na pamięć o mnie wypuści waszą wysokość i pomoże wrócić z powrotem za ziemię. A gdy tylko dusza waszej wysokości znajdzie się na tym świecie, z pewnością przyjmie znów postać cesarza i wróci na tron do stolicy.

T'ai-tsung wysłuchał słów swego ministra, wziął od niego list i włożył do rękawa. Wtedy oczy mu się zamknęły i skonał. Cesarzowa, nałożnice, dworscy dostojnicy, wojskowi i cywile podnieśli lament i opłakiwali swego władcę z należną pobożnością. Trumnę ze zwłokami cesarza ustawiono w Sali Białego Tygrysa, ale o tym na razie nie będziemy mówić.

Jeśli zaś chcecie się dowiedzieć, w jaki sposób powróciła dusza T'ai-tunga na ziemię, posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

o tym, jak dusza T'ai-tsunga przebywała w królestwie ciemności i jak stamtąd wróciła na ziemię, a także o tym, jak Liu Ts'üan zaniósł dynie i owoce do podziemnej krainy i spotkał się tam ze swoją żoną.

Gdy oczy T'ai-tsunga przesłonił całun śmierci, dusza jego uleciała prosto ku Wieży Pięciu Feniksów. Ujrzał tam jednego ze swych rycerzy z gwardii przybocznej, który, trzymając za uzdę konia, jak gdyby zapraszał cesarza na polowanie. T'ai-tsung żwawo podążył za majaczącymi we mgle sylwetkami człowieka i konia. Szedł długo, aż nagle jego przewodnicy gdzieś zniknęli. Został sam jeden. Przedzierał się teraz wolno przez jakąś dziką, pokrytą gęstymi zaroślami okolicę. Już zaczął się niepokoić, że zgubił drogę, gdy nagle ktoś z boku zawołał na cały głos:

— O, potężny cesarzu T'angów, proszę tędy. Przejdź tędy.

Cesarz uniósł głowę i dostrzegł człowieka, który go wzywał. Na głowie miał kapelusz z czarnego atlasu, a u pasa wisiał mu róg nosorożca. Z kapelusza zwisały się wstążki miękkie, delikatne, a na pasie miał cudowne wzory złotem szyte. W dłoniach trzymał tabliczkę z kości słoniowej, symbol jego urzędniczej godności. Ciało owinął w muślinową szatę, przetykaną lśniącymi kamieniami. Na nogach miał cudowne, różowe pantofle, w których po chmurach mógł się wspinać i po mgłach biegać. Do piersi przyciskał wielki rejestr życia i śmierci, w którym zapisano, kto żyć ma jeszcze, a komu umrzeć pora. Kępki rzadkich włosów na skroniach targał wiatr, a strzępki wąsów i brody przyklejał mu do twarzy. Dawniej był on dostojnikiem na dworze cesarza T'angów, a teraz służył władcy królestwa ciemności, Jen-wangowi, prowadząc mu akta.

T'ai-tsung podszedł do niego. Nieznajomy klęczał na skraju drogi i ze czcią mu się kłaniał.

— Niech wasza wysokość mi wybaczy, że nie wyszedłem na spotkanie dalej — rzekł.

— A kim wy jesteście i dlaczego aż taki kawał drogi wyszliście, żeby mnie powitać? — zapytał cesarz.





— Przed pół miesiącem — odpowiedział mu nieznajomy — byłem w Pałacu Leśnych Sieci świadkiem, jak król smoków rzeki Tsing złożył skargę na waszą wysokość, że obiecałeś go ocalić, a jednak mimo to został ścięty. Pierwszy sędzia śmierci Ts'in-kuang-wang wysłał w związku z tym demony, żeby przyprowadziły tu waszą wysokość na sąd. Gdy się o tym dowiedziałem, przybiegłem tutaj i czekałem, żeby was powitać. Niestety, spóźniłem się trochę. Proszę waszą wysokość o przebaczenie. Bardzo proszę!

— Czy zechcecie mi odkryć swoje imię i nazwisko, a także jakie stanowisko tu zajmujecie?

— Za życia służyłem nieżyjącemu już poprzedniemu cesarzowi T'angów jako prefekt okręgu Tsy-czou, a później obdarowano mnie godnością naczelnika departamentu ceremonii — przedstawił się nieznajomy. — Nazywam się Ts'ui Tsüe i obecnie tutaj, w królestwie ciemności, piastuję stanowisko sędziego archiwisty. Prowadzę wszystkie rejestry życia i śmierci.

Usłyszawszy to, T'ai-tsung bardzo się ucieszył. Podeszedł do niego, cesarskimi dłońmi pomógł mu wstać i rzekł:

— Tak daleko się trudziłeś, żeby mnie przywitać. Bardzo dziękuję. U mnie na dworze jest minister, niejaki Wei Czeng. Mam od niego list dla ciebie, panie. Jak to dobrze, że się spotkaliśmy.

Sędzia podziękował cesarzowi za łaskawość i poprosił o ten list. Wówczas T'ai-tsung wyciągnął z rękawa wsunięty mu przed śmiercią przez Wei Czenga zwój i wręczył go Ts'ui Tsüe. Ten przyjął go z należytych namaszczeniem, rozłamał pieczęć i przeczytał, co następuje:

„Wasz niegodny młodszy brat Wei Czeng, składając najniższy pokłon, z szacunkiem pozdrawia czcigodnego starszego brata Ts'ui. Mając w pamięci nasze dawne spotkania jak gdybym słyszał wasz głos i widział was przed sobą. Minęło jednak już wiele lat, jak miałem od was ostatnią wiadomość. W określonych porach roku składam wam ofiary, ale nie wiem, czy do was docierają. Byliście jednak na tyle uprzejmi, że powiadomiliście mnie we śnie o wysokim stanowisku, jakie wam powierzono w królestwie ciemności. Szkoda, że jasność i ciemność to dwa różne światy i nie możemy się jak dawniej widywać. I oto teraz, kiedy przedwcześnie zmarł nasz cesarz T'ai-tsung, pomyślałem, że na pewno stanie on przed sądem księcia ciemności, a więc i ciebie, starszy bracie, napotka. Dlatego, pomny na naszą serdeczną przyjaźń na ziemi, zdecydowałem się zwrócić do ciebie z błagalną modlitwą, byś uczynił wszystko, co w twojej mocy, żeby nasz umiłowany władca wrócił do świata ziemskiego i dalej nam panował. Pozwólcie jeszcze raz wam za wszystko podziękować i na tym zakończyć ten niegodny list”.

Sędzia przeczytał list i twarz rozjaśniła mu się radością.

— Wiem już o tym — rzekł — że zacny dostojnik Wei przed kilkoma dniami we śnie dokonał egzekucji nad starym smokiem i uważam, że powinien być z tego powodu dumny! Wiem także, że odkąd mnie zabrakło na ziemskim padole, przez cały czas troskliwie się opiekuje moimi synami i wnukami. Niech wasza wysokość się nie martwi. Właśnie otrzymałem od niego list, w którym mnie prosi, żebym odesłał was z powrotem na ziemię, byście wrócili na swój cesarski tron.

T'ai-tsung serdecznie podziękował sędziemu za zajęcie się jego sprawą. W tym momencie pojawili się z ogromnymi cesarskimi parasolami dwaj chłopcy odziani całkowicie na czarno.

— Książę śmierci, Jen-wang, prosi waszą wysokość do siebie — powiedzieli. — Prosimy pójść za nami.

T'ai-tsung tedy podążył w ślad za sędzią i dwoma chłopcami w głąb krainy ciemności. Wkrótce ujrzał przed sobą wielki mur i bramę, nad którą wisiała tablica ze złotym napisem „Podziemne Królestwo Ciemności, Brama Duchów”. Ubrani na czarno chłopcy pochylili nieco parasole i wprowadzili T'ai-tsunga przez bramę na szerokie ulice podziemnego miasta. Na skraju ulicy zobaczył cesarz swego ojca i poprzednika na tronie T'angów, Li Jüana, oraz nieżyjących już dawno starszego brata Tsien-cz'enga i młodszego, Jüan-tsi. Podbiegli do niego wołając:

— Li Szy-min przybył! Patrzcie, Li Szy-min tu do nas przyszedł!

Bracia zaczęli go chwytać i szarpać za poły płaszcza błagając, by ich przywrócił do życia. T'ai-tsung próbował im się wyrwać, ale trzymali go mocno. Na szczęście, sędzia Ts'ui Tsüe przywołał czarnego jak sadza, piekielnego potwora z szablistymi kłami połyskującymi w pysku, który odpędził Tsien-cz'enga i Jüan-tsi i pozwolił T'ai-tsungowi iść dalej. Po przejściu kilku wiorst znalazł się przed wspaniałą wieżą z turkusowej cegły. T'ai-tsung rozejrzał się dokoła i zauważył liczne zwieszające się z niej wstążki z dzwoneczkami, które harmonijnie dźwięczały w podmuchach ledwie wyczuwalnego wiatru i wydawały cudowną woń. Zza wieży wyszły dwie pary duchów z pochodniami, a za nimi pojawiło się dziesięciu sędziów śmierci: Ts'in-kuang-wang, Cz'u-tsiang-wang, Sung-ti-wang, Wu-kuan-wang, Jen-lo-wang, P'ing-teng-wang, T'ai-szan-wang, Tu-szy-wang, Tsia-cz'eng-wang i Czuan-lun-wang. Wyszli z Pałacu Leśnych Sieci, siedziby księcia śmierci, i schyliwszy się w pokłonach, przywitali T'ai-tsunga. Okazywany mu szacunek sprawił cesarza w takie zakłopotanie, że się niezdecydowany zatrzymał i nie śmiał zrobić kroku.

— Wasza wysokość jest władcą królestwa na ziemi — powiedzieli — a my, demony, jesteśmy władcami królestwa ciemności. Oddaliśmy tylko należną wam cześć, a więc nie powinniście z tego powodu przejawiać zbytcej skromności i ustępować nam pierwszeństwa.

— Stoję przed wami pod zarzutem popełnienia przestępstwa — odparł T'ai-tsung. — Czy mógłbym się ośmielić rozprawiać z wami o zasadach równości między światem ziemskim i światem cieni?

Dopiero po długich przekonywaniach T'ai-tsung dał się nakłonić i pierwszy wszedł do Pałacu Leśnych Sieci. Sędziowie i cesarz jeszcze raz wymienili pokłony i zasiedli na miejscach odpowiednio przeznaczonych dla gościa i gospodarzy.

Po krótkim milczeniu, złożwszy dłonie na piersiach, pierwszy głos zabrał sędzia Ts'in-kuang-wang:

— Król smoków, władca rzeki Tsing, złożył na waszą wysokość skargę, że przyrzekliście go ocalić, a mimo to pozwoliliście na to, żeby zginął. Co wasza wysokość ma w tej sprawie do powiedzenia?

— Pewnej nocy pojawił mi się we śnie stary smok, który mnie błagał, żebym go

uratował od śmierci — zaczął T'ai-tsung. — Rzeczywiście, obiecałem, że mu się nie stanie. Nie przypuszczałem jednak, że popełnił poważne przestępstwo i musi za nie ponieść karę, a w dodatku, że to mój minister Wei Czeng ma wykonać egzekucję. Wezwałem Wei Czenga na dwór i zagrałem z nim w szachy. Wcale się nie spodziewałem, że Wei Czeng o określonej porze uśnie i w tym czasie zetnie głowę smokowi. Mój minister wykonał egzekucję opuszczając swe ciało w czasie snu, czego nie mogłem przewidzieć. Z drugiej zaś strony, król smoków popełnił takie przestępstwo, że kara śmierci tak czy owak by go nie minęła. Czyż to wszystko moja wina?

Dziesięciu sędziów wysłuchało uważnie słów cesarza, a potem skłoniwszy się orzekli:

— Jeszcze przed pojawieniem się tego smoka na świecie w Księdze Zmarłych Południowej Gwiazdy Polarnej zapisano, że ma on zginąć z ręki człowieka. Wiedzieliśmy o tym już wcześniej. Ponieważ jednak złożył skargę, musieliśmy waszą wysokość tu sprowadzić i rozpatrzyć sprawę w trzech instancjach. Obecnie przekażemy smoka do Kołowrotu Przeistoczeń i urodzi się on ponownie, lecz w innej postaci. A teraz, korzystając z tego, że wasza wysokość raczył zstąpić do naszego podziemnego królestwa, błagamy was o wybaczenie nam tych wszystkich nieprzyjemności, na które naraziliśmy waszą wysokość.

Następnie zwrócono się do sędziego Ts'ui Tsüe, który prowadził rachubę życia i śmierci, by przyniósł odpowiedni rejestr i sprawdził w nim, jak długo jeszcze sądzone jest jego wysokości żyć na ziemi.

Ts'ui Tsüe szybko wbiegł do kancelarii, gdzie przechowywano rejestry śmierci, i wyszukał te, w których zamieszczone były imiona wszystkich władców na ziemi. W części zawierającej władców południowego kontynentu znalazł zapis, który mówił, że cesarz T'ai-tsung z dynastii T'ang ma umrzeć w trzynastym roku ery Czen-kuan.

Przestraszony Ts'ui Tsüe chwycił szybko pędzel, dokładnie go umaczał w gęstym tuszu i nad jedyнкą dziesiątek dodał jeszcze dwie kreski. W ten sposób poprawiony rejestr zaniósł sędziom. Dziesięciu sędziów przejrzało go dokładnie od samego początku, aż natrafili na imię T'ai-tunga, któremu sądzone było, jak podawał rejestr, dożyć trzydziestego trzeciego roku ery Czen-kuan. Zdumiony tym faktem najstarszy spośród sędziów zapytał:

— Który rok już wasza wysokość zasiada na tronie?

— Mija obecnie trzynaście lat, gdy wstąpiłem na tron — odpowiedział zgodnie z prawdą T'ai-tsung.

— W takim razie, wasza wysokość nie ma się czego martwić — odpowiedział książe śmierci Jen-wang — gdyż waszej wysokości pozostało jeszcze dwadzieścia lat życia na ziemi. Sprawa, dla której żeśmy was tutaj wezwali, już została wyjaśniona, a więc wasza wysokość może spokojnie wracać na ziemię.

T'ai-tsung nisko się sklonił, dziękując za okazaną mu łaskę. Książe śmierci kazał sędziemu Ts'ui Tsüe i dowódcy straży piekielnych Czu T'ai-jü wyprowadzić duszę cesarza na ziemię.

Opuszczając Pałac Leśnych Sieci, T'ai-tsung uniósł rękę i zapytał Jen-wanga:

— A jak wyglądają sprawy starszych i młodszych członków mego rodu? Czy nie im nie grozi?

— Wszyscy oni mogą żyć spokojnie — odpowiedział książę śmierci. — Chyba tylko młodszej siostrze waszej wysokości nie jest sędzone zbyt długie życie.

T'ai-tsung jeszcze raz się pokłonił i wyrażając podziękowanie rzekł:

— Nie bardzo wiem, co by wam tu przysłać w darze, gdy wrócę na ziemię. Powiedźcie, czy lubicie dynie i owoce?

— Dużo otrzymujemy dyni i innych owoców ze wschodu, z zachodu, ale dyni z południa jeszcze nie mieliśmy — odpowiedział ucieszony Jen-wang.

— W takim razie przyślę je wam, jak tylko wrócę na ziemię — obiecał T'ai-tsung.

Wtedy już na dobre pożegnał się cesarz z sędziami śmierci i podążył za swoimi przewodnikami. Na czele szedł Czu T'ai-jü i niósł chorągiew ducha sprawiedliwego, a z tyłu osłaniał T'ai-tunga sędzia Ts'ui Tsüe. Gdy opuścili pałac księcia śmierci, T'ai-tsung powiódł dokoła wzrokiem i spostrzegł, że nie idą tą samą drogą, którą tu przyszli.

— Czy nie pomyliliśmy drogi? — zapytał sędziego.

— Nie, dobrze idziemy — odparł Ts'ui Tsüe. — W tej części podziemnego królestwa jest tylko wyjście, a nie ma wejścia. Teraz przeprowadzimy waszą wysokość przez Kołowrót Przeistoczeń, aby pokazać nasze podziemne królestwo, a jednocześnie przywrócić was życiu poprzez ponowne wcielenie.

T'ai-tsung posłusznie szedł, gdzie go prowadzono. Przemierzywszy kilka wiorst znaleźli się u podnóża olbrzymiej góry. Ciemne chmury spowijały ją do samego dołu, szli jak przez czarną mgłę, prawie nie widząc jeden drugiego.

— Panie Ts'ui — zapytał T'ai-tsung — co to za góra?

— Jest to Góra Cieni w królestwie ciemności — wyjaśnił sędzia.

— Jakże ja się przez nią przedostanę? — zapytał wystraszony cesarz.

— Niech wasza wysokość się nie martwi — uspokoił go sędzia — już my was przez nią przeprowadzimy.

Drżąc na całym ciele T'ai-tsung w asyście dwóch swoich przewodników wspinał się po przepaścistych, wiszących gdzieś w górze skałach. W końcu jednak, dzięki pomocy sędziego, cesarz pomyślnie przedostał się przez Górę Cieni. Po drodze mijali jeszcze wiele budzących przerażenie miejsc, gdzie do ich uszu dochodziły przenikające na wskroś serce jęki i wycia.

— A co to jest za miejsce? — zapytał T'ai-tsung, gdy znaleźli się po drugiej stronie góry.

— Jesteśmy u wejścia do Osiemnastu Kręgów Piekla, znajdujących się właśnie za Górą Cieni — wyjaśnił mu sędzia.

— A jakie są te osiemnaście kręgów piekla? — z zaciekawieniem dopytywał się T'ai-tsung.

— Niech wasza wysokość posłucha, to opowiem — zaczął swój opis Ts'ui Tsüe. — Oto one: Piekło Wypruwania Żył, Piekło Tortur w Ciemnościach, Piekło Dołów z Ogniem. Czas ciągnie się w nich powoli, w duchowej pustce i w straszliwych męczarniach. Wszyscy, co życie na ziemi tysiącem występków splamili, tutaj po śmierci

zasłużoną otrzymują karę. Piekło Feng-tu, Piekło Wyrwania Języków, Piekło Darcia Pasów Skóry; ciągły płacz i jęki z nich się rozlegają, z żalości straszliwej pękają serca. Ci, co niełojalnością wobec władcy, nieposłuszeństwem względem rodziców, niebios, naruszyli święte zasady, a także ci, co z bogiem na ustach, a z jadowitym gadem w sercu szli przez życie, tu znajdują swe potępienie. Piekło Miażdżenia Kołami Młynskimi, Piekło Rozgniatacia w Moździerz, Piekło Kruszenia Kołami Wozów — w tych kręgach piekielnych skóra na nieszczęśliwcach pęka, ciało płatami odpada, w zmiażdżonych twarzach sterczą resztki zębów. Ci, co przebiegle dla siebie dobra ziemskie zbierali nie dbając o korzyść ogółu, ci, co gładkim słowem, zręcznym wybiegiem innym krzywdę wyrządzali, tu kres swych dążeń znaleźli. Piekło Lodowatego Zimna, Piekło Obdzierania ze Skóry, Piekło Wypruwania Jelit — twarze grzeszników w tych kręgach piekielnych z bólu ohydnyimi plamami się pokryły, głowy popuchły jak dynie, a pomarszczona skóra z czoła zakrywała oczy. Ci, co na miarach i wagach prostaków oszukiwali, co korzystając z klęsk żywiołowych napychali ziarnem własne spichlerze, w tych kręgach piekielnych na zawsze zostaną. Piekło Kąpieli we Wrzącej Oliwie, Piekło Udręki w Ciemności, Piekło Skał Sztyletowych: tu drgawek z bólu skazańcy dostają, cierpienie straszne całe ich ciało przenika. Są tu ci, co sprawiedliwym gwałt zadawali, a teraz głowy skrywszy w ramionach w samotności cierpią, znikąd nie mając ratunku. Dalej mamy jeszcze Piekło Stawu Krwi, Piekło Api, z którego nie ma wybawienia, i Piekło Łomów Żelaznych; tu skóra zbrodniarzy wala się dokoła, obnażone kości sterczą smętnie, odrąbanych ramion, pozrywanych mięśni nikt zliczyć nie zdoła. W najgłębsze kręgi piekielne najokrutniejszych strącono zbrodniarzy. Tu przebywają ci, co dla zdobycia majątku zabójstwem się splamili, co żywym istotom, zwierzętom i ludziom, rzeź na ziemi zgotowali. Z tych piekieł i za lat tysiąc się nie wyzwolą, w otchłani mąk piekielnych na wieki pozostaną. Każdy z nich mocno powrozem spętany, a czerwonowłose demony o czarnych jak smoła twarzach dżgają bezlitośnie ich ciała włóczniami i sztyletami. Diabły z głowami byków, demony z końskimi pyskami bicząc ich pejcami z żelaza tak, że krew się z nich leje strumieniami. Wzywają niebo i ziemię na ratunek, lecz znikąd pomoc nie przybędzie. Zaiste, czyż sądzi ktoś, że zbrodnie popełnione na ziemi ujdą mu bezkarnie, że piekielne demony i diabły ze swych łap go wypuszczą? Zło i dobro w końcu doczeka zapłaty, wcześniej czy później każdy ją otrzyma.

Opis piekielnych męczarni przeraził T'ai-tunga, szedł jednak dalej za swymi przewodnikami. Nie uszli daleko, jak nagle obległ ich tłum diabełków z chorągwiami i parasolami. Pokłękali na skraju drogi i jeden z nich powiedział:

— Nadzorca mostów wysłał nas na spotkanie.

Sędzia wydał polecenie wyruszenia w dalszą drogę i przeprowadził T'ai-tunga przez most ze złota. Obok niego ujrzał cesarz inny most, ze srebra, po którym przeszła duża grupa duchów. Były to dusze ludzi cnotliwych i sprawiedliwych, którzy wstawili się wspaniałymi czynami dla dobra ogółu. Oni również z chorągwiami i parasolami wyszli przywitać wędrowców. Za tym mostem widać było jeszcze jeden. Lodowaty wicher świsnął w dole, a fale krwi biły wściekle o jego filary. Nie milkły tu odgłosy jęków i szlochania.

— Jak się nazywa ten most? — zapytał T'ai-tsung. — Z czego jest zbudowany?

— Wasza wysokość — wyjaśnił mu sędzia Ts'ui Tsüe — to jest most nad Rzeką Cierpienia. Gdy znajdziesz się na świecie ziemskim, koniecznie postaraj się opowiedzieć o nim swoim poddanym. Niech wasza wysokość tylko spojrzy!

Rzeka pod mostem rwie jak oszaląła, tworząc wiry straszliwe, w wąskim przejściu między skały urwiste poszarpaną wstęgą, jak gdyby na ognistej lawie unosiła cały świat. W górze mróz straszny przenika do kości, wicher nozdrza zatyka wwiercając się w serce. Fale z hukiem się przewalają i nigdzie w pobliżu nie widać łodzi przewoźnika. Bosonogie diabły z rozwichrzonym włosiem krzatają się bez przerwy czyniąc swą powinność. Most ma kilka wiorst długości, a szerokości nie więcej, niż wynosi odległość między rozwartym kciukiem a wskazującym palcem. Wysoko się wznosi na sto stóp nad wrzącą topielą, której głębokość ponoć tysiąckroć większa. U góry żadnej poręczy, by się na niej wesprzeć, w dole okrutni oprawcy już na przestępców czekają. Najpierw spętanych z ciężką kangą na szyi wiodą wąską ścieżką nad gorejącą przepaścią, by ich później w nią zepchnąć. Spójrzcie tylko na szkaradne, krwiozercze oblicza diabłów na żelaznym moście, posłuchajcie straszliwych jęków cierpiących dusz, dobywających się z nurtów rzeki. U ściany nad urwiskiem kłęczą wzywając ratunku podłe synowe, które za życia świekrom ubliżały. Szaty ich niebieskie, żółte, czerwone, fioletowe na gałęziach drzew wiszą. Miedziane węże, żelazne psiska zdobycz sobie wyrrywają. Tu, w Rzece Cierpienia, dusze potępionych na zawsze zostają. Nie ma dla nich ratunku.

W czasie gdy sędzia opowiadał o duszach potępionych, wysłańcy-nadzorczy mostów opuścili ich i wrócili do swoich zajęć. Toteż T'ai-tunga znów ogarnął strach. Kiwając z litości głową i potajemnie wzdychając nad losem cierpiących, podążał za sędzią i generałem Czu T'ai-jü, aż w końcu minęli złowieszczą Rzekę Cierpienia, sadzawkę pełną krwi.

Następnie zbliżyli się do Grodu Śmierci, gdzie przebywały dusze tych, którzy pomarli śmiercią gwałtowną i niezawinioną. Ze środka dochodziła wrzawa ludzkich głosów, a nawet można było rozróżnić okrzyki:

— Li Szy-min przyszedł! Li Szy-min tu się zjawił!

Serce T'ai-tunga zadrżało, gdy usłyszał te wołania. Nagle rzuciła się na niego jakaś chmara upiórów z odrąbanymi rękoma, nogami, a nawet jakieś duchy bez głów, na samych tylko nogach. Wszyscy krzyczeli:

— Oddaj nam nasze życie! Zwróć nam życie!

Przerażony T'ai-tsung usiłował się gdzieś przed nimi schronić i tylko wołał:

— Panie Ts'ui, niech pan mnie ratuje! Panie Ts'ui, ratunku!

— Wasza wysokość — objaśnił mu sędzia. — Wszystko to są duchy przywódców i królów plemion, których żeście pokonali i zabili w sześćdziesięciu czterech bitwach i siedemdziesięciu dwóch potyczkach. Zginęli śmiercią nagłą, niewinnie, a więc nie podlegają naszym sądom i karom. Nie mogą się też powtórnie urodzić, a poza tym nie mają pieniędzy ani nic do jedzenia. Są to naprawdę osamotnione, wygodniałe duchy, o które nikt się na ziemi nie troszczy. Dlatego gdyby wasza wysokość mógł dać im trochę pieniędzy, wtedy, myślę, że by mi się udało was wyratować.

— Ależ ja przyszedłem tu do królestwa ciemności bez niczego. Skąd mam wziąć pieniądze?

— Wasza wysokość — poradził Ts'ui Tsüe. — Na świecie ziemskim żyje pewien człowiek, który często do naszego królestwa przysyła duże sumy pieniędzy złotem i srebrem. Możecie za moim poręczeniem pożyczyć z jego skarbcza trochę pieniędzy i rozdać je tym zgłodniałym duchom, a wtedy nas przepuszczą.

— Kto jest tym człowiekiem? — zapytał T'ai-tsung.

— Mieszka w K'ai-fengu, w prowincji Honan — rzekł sędzia — a nazywa się Siang Liang. Ma tu u nas trzynaście skarbców ze złotem i srebrem. Wasza wysokość może więc od niego pożyczyć i zwrócić mu po powrocie na ziemię.

T'ai-tsung bardzo się ucieszył, z radością podpisał weksel i wręczył go sędziemu. Ts'ui Tsüe na tej podstawie wypożyczył złotych i srebrnych monet z jednego ze skarbców i wręczył je Czu T'ai-jü, żeby rozdał je wśród zagradzających im drogę duchów.

— Tylko po równo rozdawaj! — krzyknął mu Ts'ui Tsüe. — A teraz zróbcie przejście dla jego wysokości, władcy T'angów. Jeszcze długo sądzone mu jest żyć na ziemi. Mam w tej sprawie dokument od dziesięciu sędziów śmierci i właśnie wyprowadzam go w świat. Poproszę, żeby po powrocie na ziemię odprawił za was wielkie nabożeństwo, a za to wy, gdy się wam dzięki temu uda ponownie urodzić, nie rozrabiacie więcej w życiu.

Wysłuchawszy upomnień sędziego, duchy zabrały pieniądze i szepcząc coś między sobą oddaliły się. Sędzia kazał generałowi kilka razy zakołysać chorągwią i wyprowadzić T'ai-tunga z Grodu Śmierci. Wyszli teraz na prostą drogę i ruszyli przed siebie. Szli dość długo, aż w końcu znaleźli się u Kołowrotu Sześciu Przeistoczeń. Napotkali tu spacerującego po chmurach, odzianego w płaszcz z tęczy nadzorca kołowrotu. U pasa miał zawieszoną złotą rybkę, oznakę jego władzy. Mnóstwo tu było buddyjskich i taoistycznych mnichów, roilo się od wszelakiej zwierzyny i ptactwa, a także nie brakowało demonów i diabłów, którzy kręcili się wokół swoich obowiązków przy kołowrocie przeistoczeń.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał władca T'angów.

— Niech wasza wysokość uważnie mnie posłucha i dokładnie zapamięta, co powiem, żeby móc powtórzyć to ludziom na ziemi — zaczął swoje objaśnienia Ts'ui Tsüe. — Nazywa się to Kołowrotem Sześciu Przeistoczeń. I tak, ten kto za życia dobro czynił, przeistacza się w nieśmiertelnego; ten, kto bezgraniczną wierność okazał, urodzi się jako człowiek szlachetny, przez wszystkich podziwiany; ten, kto rodzicom posłusznie służył, następne życie w szczęśliwości spędzi; ten, kto za życia sprawiedliwością się kierował, znów zrodzi się człowiekiem; ten, kto cnoty wszelakie przejawiał, w bogactwie następne swe życie spędzi; a ten, kto na ziemi zło i zbrodnie rozsiewał, kołowrotem w demona zostanie zmieniony.

Cesarz uważnie wysłuchał go i tylko z westchnieniem pokiwał głową.

Ts'ui Tsüe zaprowadził króla T'angów do miejsca w Kołowrocie Sześciu Przeistoczeń, przez które wychodzą na świat ludzie szlachetni, ogólnie podziwiani.

— Wasza wysokość — zwrócił się do cesarza sędzia z głębokim ukłonem — tu jest

wyjście na ziemię. Ja już się pożegna m, a generał Czu odprowadzi cię jeszcze kawałek dalej.

— Trudziłeś się, panie, taki szmat drogi, by mnie odprowadzić — podziękował mu T'ai-tsung.

— Kiedy wasza wysokość znajdzie się już na ziemi — dodał jeszcze Ts'ui Tsüe — proszę koniecznie urządzić uroczyste nabożeństwo za dusze bez opieki, które widzieliśmy po drodze. Proszę o tym nie zapomnieć! Jeśli w królestwie ciemności nikt się nie będzie skarżył na niesprawiedliwość, to i w królestwie jasności na ziemi wszyscy cieszyć się będą spokojem i szczęściem, a wtedy nawet sto występnych czynów będzie można jeden po drugim naprawić. Każ wszystkim czynić dobro, a ród twój będzie trwać przez wiele pokoleń, a kraj, którym władasz, na wieki silnym pozostanie.

Władca T'angów przyrzekł spełnić wszystko, o co go proszono, a następnie pożegnał się z sędzią Ts'ui Tsüe i w ślad za generałem Czu T'ai-jü przeszedł przez bramę w kołowrocie. Po drugiej stronie czekał już na niego osiodłany wspaniały rumak. Czu poprosił władcę T'angów, by dosiadł konia i pomógł mu przy wsiadaniu. Koń pomknął jak strzała i wkrótce znalazł się nad brzegiem rzeki Wei. W rzece pływała para złocistych karp, które nagle zaczęły skakać i tańczyć ze sobą na falach. Rozbawiony tym widokiem, władca T'angów osadził w miejscu konia i oczu od ryb nie mógł oderwać.

— Wasza wysokość, musimy się trochę pośpieszyć — ponaglał Czu T'ai-jü — winienes jak najszybciej wjechać do miasta.

Jednak władca T'angów całkowicie był pochłonięty obserwowaniem pływających karp i ani myślał jechać dalej.

— Jeszcze nie jedziesz? Na co czekasz! — krzyknął Czu T'ai-jü i podbiegłszy tak uderzył konia po zadzie, że ten wraz z jeźdźcem wpadł do rzeki. W tym to właśnie momencie cesarz opuścił królestwo ciemności i powrócił do królestwa jasności na ziemię.

W owym czasie cała rodzina cesarza T'angów, cesarscy dostojnicy wojskowi i cywilni, Sü Mao-kung, Ts'in Szu-pao, Hu Tsing-te, Tuan Czy-sien, Ma San-pao, Cz'eng Jao-tsin, Kao Szy-lien, Li Szy-tsi, Fang Süan-ling, Tu Żu-huei, Siao Jü, Fu I, Czang Tao-jüan, Czang Szy-heng i Wang Kuei, a także zamieszkujący wschodnie skrzydło pałacu następcy tronu, cesarzowa, nałożnice, damy dworu i eunuchowie zbrali się w Sali Białego Tygrysa celem oplakania zmarłego władcy i dokonania obrzędów pogrzebowych. W czasie tego nabożeństwa zdecydowano zwrócić się do niebios, by pozwoliły na koronację następcy zmarłego cesarza.

— Czcigodni zebrani, wstrzymajcie się z tym — zwrócił się wówczas do nich Wei Czeng. — Poczekajcie! Nie należy jeszcze tego czynić. Jeśli poruszymy lud w okręgach i powiatach, mogą się wydarzyć różnego rodzaju niespodzianki. Poczekajmy jeszcze jeden dzień. Jestem przekonany, że dusza naszego władcy powróci do ciała.

Wystąpił wówczas do przodu dostojnik Sü Tsing-tsung i z oburzeniem w głosie rzekł:

— Słowa mistrza Wei Czenga nasycone są kłamstwem. Wierzyć mu nie należy. Wszak z dawien dawna powiada się: „Rozlanej wody nie zbierzesz, zmarłego nie przy-

wrócisz do życia". Na jakiej podstawie opowiadacie takie brednie i zwodzicie serca ludzi?

— Nie zamierzam cię oszukiwać, zacny panie Sü — odparł Wei Czeng — ale od najmłodszych lat paralem się czarodziejską sztuką nieśmiertelności i jestem całkowicie pewien, że jego wysokość, nasz umiłowany władca, nie umarł.

Gdy to mówił, nagle ze środka trumny rozległy się głośne krzyki:

— Utopił mnie! Wtrącił mnie do rzeki! Utopił!

Cywilnym i wojskowym dostojnikom serca zamarły ze strachu, żona cesarza, nałożnice, damy dworu dygotały z przerażenia. W jednej chwili Salę Białego Tygrysa jakby wymiotło, nikt się nie ośmielił nawet zbliżyć do trumny. Tylko najszlachetniejszy Sü Mao-kung, najsprawiedliwszy Wei Czeng, najodważniejszy Ts'in Tsiang i najbardziej porywczy Hu Tsing-te podeszli do trumny i, skłoniwszy się nisko, przemówili:

— Jeśli wasza wysokość ma jakieś zmartwienie, prosimy nam o tym powiedzieć. Nie rób tylko tych diabelskich sztuczek. Wystraszyłeś całą swoją rodzinę.

— Nie ma tu żadnych diabelskich sztuczek — wtrącił się dostojnik Wei Czeng — lecz po prostu dusza naszego władcy wróciła do ciała. Przynieście szybciej narzędzia.

Gdy otworzono trumnę, ujrzano siedzącego w niej cesarza, który jeszcze dalej wykrzykiwał:

— Utopił mnie! Wrzucił do rzeki! Kto mi przyjdzie na ratunek?

— Niech wasza wysokość się uspokoi — przemówił Sü Mao-kung podtrzymując cesarza. — Proszę się niczego nie bać i otrząsnąć z tych przywidzeń. My, urzędnicy waszej wysokości, zawsze gotowi jesteśmy cię bronić.

— Przed chwilą groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo — otworzywszy w końcu oczy przemówił władca T'angów — z trudem udało mi się ująć cało przed duchami w królestwie ciemności i w końcu o mało co nie zginąłem w nurtach rzeki!

— Niech wasza wysokość się uspokoi. Nie ma się czego już bać! — dostojnicy próbowali koić wzburzenie władcy. — Co to była za rzeka?

— Właśnie przejeżdżałem konno brzegiem rzeki Wei i zapatrzyłem się na parę złocistych karpki pluskających na falach, gdy ten hultaj Czu T'ai-jü zepchnął mnie z koniem do wody. O mało co nie utonąłem — opowiadał z przejęciem cesarz.

— Wasza wysokość widocznie jeszcze znajduje się pod działaniem nieczystych sił — zauważył Wei Czeng i szybko wezwał nadwornego medyka, który podał cesarzowi przywracającą energię duchową miksturę i kleik. Cesarz kilka razy przyjął lekarstwa i dopiero wtedy przyszedł do siebie, i zaczął poznawać otaczających go ludzi. Przecież od jego śmierci do powrotu na ziemię minęły całe trzy doby.

Gdy dzień, w którym się to wszystko wydarzyło, dobiegł końca i zapadł zmierzch, wszyscy dostojnicy złożyli cesarzowi życzenia dobrej nocy i rozeszli się do swoich domów.

Następnego dnia rano dostojnicy pochowali żałobne szaty i odziani w barwne, uroczyste stroje, wspaniałe purpurowe płaszcze ze złotymi frędzlami, czarne aksamitne kapelusze, pojawili się przed wschodnią bramą pałacu w oczekiwaniu na audiencję.

Do tego czasu cesarz kilka razy przyjął miksturę odradzającą energię, kilka razy podano mu odżywczy kleik, mocno spał przez całą noc nabierając sił i gdy o świcie wstał, czuł się znów silny i zdrow jak dawniej.

Gdy władca T'angów wszedł do sali audiencyjnej swego pałacu, wszyscy zebrani wojskowi i cywilni dostojnicy ustawili się przed nim w dwóch rzędach. Po złożeniu należnych cesarzowi pokłonów i wygłoszeniu powitalnych formuł, każdy z dostojników zajął odpowiednie do swojej godności i stanowiska miejsce. Wtedy rozbrzmiało tradycyjne, rozpoczynające wszystkie poranne audiencje u cesarza, wezwanie:

— Kto ma jakąś sprawę do jego wysokości, niech wystąpi i przedłoży. Ci, którzy nie mają żadnych spraw, mogą się oddalić.

Wówczas stojący po wschodniej stronie tronu cywilni dostojnicy, Sü Ma'o-kung, Wei Czeng, Wang Kuei, Tu Żu-huei, Fang Süan-ling, Jüan T'ien-kang, Li Cz un-feng i Sü Tsing-tsung, oraz ustawieni po zachodniej stronie dostojnicy wojskowi, In K'ai-szan, Liu Hung-tsi, Ma San-pao, Tuan Czy-sien, Cz'eng Jao-tsin, Ts'in Szu-pao, Hu Tsing-te i Sie Żen-kuei, razem zbliżyli się do białych, nefrytowych stopni tronu i skłoniwszy się nisko przed majestatem cesarza rzekli:

— Czy możemy zapytać, dlaczego wasza wysokość tak długo się nie budził? Przecież wasza wysokość spał bez przerwy przez dobre kilka dni.

— Przed kilkoma dniami, po tym, jak otrzymałem od Wei Czenga list do przekazania — rozpoczął swoje opowiadanie cesarz — nagle poczułem, jak moja dusza opuszcza pałacowe podwoje. Zobaczyłem później jednego z rycerzy mojej gwardii przybocznej, który zaprosił mnie na polowanie. Jednak kiedyśmy podeszli kawałek, koń i jeździec gdzieś mi zniknęli. Wtedy ujrzałem mego czcigodnego ojca, poprzedniego władcę na tym tronie, i moich braci, którzy coś do mnie wołali. Gdy nie mogłem się od nich uwolnić, pojawił się jakiś człowiek w czarnym kapeluszu i płaszczu, który odpędził duchy moich braci. Był to sędzia królestwa ciemności Ts'ui Tsüe. Przekazałem mu list od naszego zacnego Wei Czenga. Gdy go czytał, pojawili się dwaj ubrani na czarno chłopcy z parasolami i wprowadzili mnie do królestwa ciemności. Tam, w Pałacu Leśnych Sieci, rozmawiałem z dziesięcioma sędziami śmierci. Powiedzieli mi, że król smoków rzeki Tsing złożył na mnie skargę, twierdząc, że przyrzekłem go uratować, lecz wbrew obietnicy oddałem na śmierć. Później ja przedstawiłem całą historię. Na tym zakończono rozpatrywanie mojej sprawy. Sędziowie kazali wtedy sprawdzić w rejestrach życia i śmierci, ile lat życia mi jest pisane. Akurat sędzia Ts'ui Tsüe dostarczył potrzebną księgę. Książę śmierci, Jen-wang, zajrzał do niej i stwierdził, iż z łaski nieba sążone mi jest panować w naszym królestwie przez trzydzieści trzy lata. Ponieważ upłynęło dopiero lat trzynaście od czasu, gdy na tron wstąpiłem po śmierci ojca, a więc powinienem jeszcze żyć przez dwadzieścia lat. W związku z tym wysłał generała Czu T'ai-jü i sędziego Ts'ui Tsüe, żeby mnie wyprowadzili na ziemię. Pożegnałem się wtedy z dziesięcioma sędziami królestwa ciemności i obiecałem przesłać im w podzięcie trochę naszych dyń i owoców. Gdy opuściłem Pałac Leśnych Sieci, miałem możliwość zwiedzić królestwo ciemności. Wszyscy ci, co za życia byli nie-łjalni wobec swych zwierzchników, nie dbali o swych rodziców, ci, co przeciw obyczajności i sprawiedliwości zgrzeszyli, niszczyli ziarno, kłamstwem i oszustwem krzyw-

dzili innych, fałszowali miary i wagi, gwałcili, rzucali oszczerstwa, poddawani są tam różnego rodzaju torturom: jednych miażdżą młyńskimi żarnami, innych ogniem przypalają lub trzymają we wrzącej oliwie, jeszcze innych obdzierają ze skóry, przebijają włóczniami i poddają nie dającym się opisać męczarniom. Ilość kar jest tak wielka, że nie zdołałem ich wszystkich zobaczyć. Później znaleźliśmy się w Grodzie Śmierci, gdzie zobaczyłem niezliczone rzesze duchów ludzi, którzy zginęli gwałtownie niezawinioną śmiercią. Widziałem tam sześćdziesięciu czterech przywódców zbuntowanych plemion barbarzyńskich i dusze siedemdziesięciu dwóch wodzów powstań ludowych. Stawali mi na drodze i nie chcieli dalej przepuścić. Dopiero dzięki poręczeniu przez sędziego Ts'ui Tsüe, udało mi się pożyczyć trochę pieniędzy w złocie i srebrze ze skarbcza niejakiego Sianga, który mieszka w prowincji Honan, i przekupiłem wygłodniałe duchy, tak że przepuściły nas przez swój gród. Sędzia Ts'ui Tsüe ponadto zobowiązał mnie do odprawienia po powrocie na ziemię uroczystego nabożeństwa za te opuszczone dusze, którymi nikt się nie opiekuje. O tym zobowiązaniu przypomniał mi jeszcze przed naszym rozstaniem. Gdyśmy następnie wyszli z tej części królestwa ciemności, gdzie znajduje się Kołowrót Sześciu Przeistoczeń, generał Czu T'ai-jü poprosił mnie, żebym wsiadł na konia. Niczym wichur przycewałowaliśmy nad brzeg rzeki Wei. Nagle ujrzałem w jej wodach parkę tańczących ryb. Tak bardzo ten widok pochłonął moją uwagę, że nawet się nie spostrzegłem, jak generał podciął mi nogi i zepchnął do wody. Zresztą w tym właśnie momencie dusza moja powróciła na ziemię.

Wysłuchawszy tego pełnego przygód opowiadania, wszyscy dostojnicy jak jeden mąż podeszli do cesarza i złożyli mu gratulacje z powodu tak pomyślnego powrotu na ziemię. Wkrótce wieść o tym wydarzeniu obiegła cały kraj. Urzędnicy z różnych prefektur i powiatów przesyłali do cesarza uroczyste pisma, w których wyrażali radość z jego powrotu na tron, ale o tym na razie nie będziemy mówili.

W tym czasie T'ai-tsung wydał wielki edykt o powszechnej amnestii, a także nakazał dokonać sprawdzenia akt wszystkich skazańców, przebywających w więzieniach za szczególnie ciężkie przestępstwa. Kontrola odpowiednich dokumentów wykazała, że ponad czterystu zbrodniarzy, skazanych na śmierć przez powieszenie lub ścięcie na podstawie wyroków sądów karnych ministerstwa sprawiedliwości oczekuje na stracenie. Gdy wyniki tej kontroli przedstawiono cesarzowi, kazał on egzekucję skazańców przełożyć o rok, a ich samych wypuścić do domów, aby mogli pożegnać się z rodzinami i pozostawić zalecenia w sprawach majątkowych. Po roku mieli się zgłosić, by zgodnie z prawem ponieść karę za swe czyny.

Następnie opublikowano Edykt o Udzieleniu Pomocy Wdowom i Sierotom. Przeprowadzono również podliczenie znajdujących się w pałacu nałożnic i okazało się, że jest ich ponad trzy tysiące. Na mocy specjalnego rozporządzenia oddano je cesarskim wojownikom za żony. Od tej pory w pałacu i w całym kraju wszyscy czynili dobro.

Na terenie całego państwa rozwieszono obwieszczenia wzywające wszystkich szlachetnych ludzi, by dostarczali dynie i owoce do królestwa ciemności. Nie zapomniał też cesarz o swoim długu. Ze skarbnicy cesarskiej wyjęto olbrzymie sumy pie-

niędzy w srebrze i zlocie, a książe Ao-kuo, Hu Tsing-te, udał się z nimi do K'ai-fengu w prowincji Honan, gdzie miał odnaleźć Siang Lianga i zwrócić mu zaciągnięty przez cesarza dług.

Kilka dni po rozwieszeniu cesarskiego obwieszczenia na dwór do stolicy przybył pewien bogobojny człowiek, który się zaofiarował zanieść dynie i owoce do królestwa ciemności. Był to bardzo zamożny człowiek z Tsün-czou. Nazywał się Liu Ts'üan. Okazało się, że kiedyś, gdy jego żona Li Ts'ui-lien stała w bramie domu, drogą przechodził jakiś mnich buddyjski żebrząc o jałmużnę. Wyjęła wówczas z włosów złotą zapinkę i ofiarowała mu. Liu Ts'üan, gdy się o tym dowiedział, zwymyślał żonę, upominając ją, że naruszyła zasady obyczajności niewieściej, opuszczając komnaty dla niej przeznaczone w głębi domostwa. Pani Li, nie mogąc ścierpieć takiej hańby, w kilka dni później się powiesiła. Osierociła dwoje małych dzieci, które dniami i nocami za nią płakały. Liu Ts'üan już dłużej nie mógł znieść tego stanu, nie wiedział, co począć ze sobą. W końcu postanowił rozstać się z życiem, porzucić swój ród i dzieci. Przeczytawszy obwieszczenie, przybył do władcy T'angów, wyrażając chęć udania się z dyniami do królestwa ciemności.

Cesarz kazał go zaprowadzić do Złotego Pawilonu. Tam na głowie umieszczono mu dwie dynie, do rękawa wsunięto papierowe pieniądze ofiarne, a do ust wciśnięto truciznę. Przelknąwszy ją, Liu Ts'üan skonał, a jego dusza powędrowała z dyniami na głowie prosto do bram królestwa ciemności.

— Ktoś ty taki? — zawołały demony strzegące wejścia do podziemnej krainy. — Jak ośmieliłeś się tu przybyć bez wezwania?

— Jestem posłańcem cesarza wielkich T'angów, T'ai-tsunga — odpowiedział Liu Ts'üan. — Specjalnie mnie tu przysłał z dyniami i owocami południowymi dla dziesięciu sędziów śmierci.

Usłyszawszy te słowa demony chętnie wpuściły go do środka i zaprowadziły do Pałacu Leśnych Sieci. Ujrzał tam samego księcia śmierci Jen-wanga i, złożony przed nim przyniesione dynie i owoce, rzekł:

— Spełniając życzenie władcy T'angów, z daleka przyniosłem wam dynie i owoce, które ofiarowuję wam i dziesięciu sędziom śmierci w dowód wdzięczności za wieloduszność i miłosierdzie, jakie raczyliście mu okazać.

Książę śmierci bardzo się ucieszył z tych darów i powiedział:

— O, cesarz T'ai-tsung jest rzeczywiście człowiekiem cnotliwym i w pełni zasługuje na zaufanie.

Z szacunkiem przyjął dynie i owoce, a następnie zapytał o nazwisko, imię i miejsce pochodzenia człowieka, który zszedł do krainy ciemności specjalnie po to, by przynieść dary od cesarza.

— Jestem mieszkańcem Tsün-czou i nazywam się Liu Ts'üan — przedstawił się posłaniec cesarza. — Ponieważ moja żona z rodu Li powiesiła się, zostawiając mi dwójkę dzieci, którymi nie miał się kto opiekować, ja też postanowiłem rozstać się z życiem. Pragnąc przysłużyć się mojemu krajowi, wyraziłem chęć przyniesienia wam, wielki książę, dyni i owoców od cesarza T'angów w dowód wdzięczności za wielką łaskawość, z jaką nasz władca się spotkał w królestwie ciemności.

Dziesięciu sędziów śmierci wysłuchawszy jego opowieści kazało odszukać i sprowadzić żonę Liu Ts'üana, panią Li. Demony-posłańcy szybko odnaleźli jej duszę i przyprowadzili do Pałacu Leśnych Sieci. Nastąpiło radosne spotkanie Liu Ts'üana z żoną. Małżonkowie przedstawili dziesięciu sędziom śmierci żale i pretensje, jakie mieli do siebie, a następnie gorąco im podziękowali za umożliwienie ponownego spotkania w królestwie ciemności. Księżę śmierci zajrzał do rejestrów życia i śmierci i stwierdził, że zgodnie z przeznaczeniem małżonkowie winni dożyć sędziwego wieku i stać się nieśmiertelnymi. Natychmiast więc kazał demonom-przewodnikom odprowadzić ich z powrotem na ziemię.

— Li Ts'ui-lien przebywa w królestwie ciemności już bardzo długo — zauważył jeden z demonów — jej cielesna powłoka na pewno już nie istnieje. Gdzie w takim razie mamy zostawić jej duszę tam na ziemi?

— Dzisiaj powinna nagle umrzeć młodsza siostra cesarza, Li Jü-ing — zdecydował księżę śmierci, Jen-wang. — Możecie wykorzystać jej ciało i umieścić w nim duszę Li Ts'ui-lien po powrocie na ziemię.

Spełniając rozkaz swego władcy, demony-przewodnicy zabrali dusze Liu Ts'üana i jego żony, aby je wyprowadzić z królestwa ciemności.

Jeśli zaś chcecie się dowiedzieć, w jaki sposób duszom małżonków udało się powrócić do ziemskiego świata, posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*o tym, jak władca T'angów urządził uroczyste nabo-
żeństwo i jak w Świątyni Przeistoczenia ukazała się
bodhisattwa Kuan-in w boskim majestacie.*

Gdy piekielni przewodnicy wyprowadzili dusze Liu Ts'üana i jego żony z krainy ciemności, gwałtowny wichur zawirował wokół nich i poniósł prosto do stolicy państwa T'angów, Cz'ang-anu. Duszę Liu Ts'üana przywiał do Złotej Altany cesarza, a dusza jego żony, Ts'ui-lien znalazła się w tylnej części pałacu, zamieszkaanej przez piękną pięć cesarskiego dworu. Księżniczka Jü-ing właśnie przechadzała się wolnym krokiem po delikatnym kobiercu mchów, wśród kwitnących drzew pałacowego ogrodu. Nagle jeden z demonów podbiegł do niej i uderzeniem w piersi powalił bez przytomności na murawę. Wyrwał z niej duszę i włożywszy w jej ciało duszę Ts'ui-lien, natychmiast powrócił do królestwa ciemności, ale o nim już dalej nie będziemy mówić.

Służebne księżniczki, które widziały, jak ich pani nagle martwa upadła na ziemię, pobiegly szybko donieść o tym cesarzowej.

— Panienska, księżniczka Jü-ing nagle się przewróciła i nie żyje! — wołały.

Wstrząśnięta tym do głębi cesarzowa pośpieszyła z tą wieścią do cesarza. T'ai-tsung, gdy to usłyszał, pokiwał tylko głową i wzdychając z żalu, powiedział:

— Byłem przekonany, że niedługo to się stanie. Gdy przebywałem w krainie ciemności, zapytałem dziesięciu sędziów śmierci: „A jak wyglądają sprawy starszych i młodszych członków mego rodu?” Wtedy odpowiedzieli mi: „Wszyscy oni mogą żyć spokojnie. Chyba tylko młodszej siostrze waszej wysokości nie jest sądzone zbyt długie życie”. I tak ich słowa się spełniły.

Na miejscu wypadku zebrali się wszyscy dworzanie i wyrażali swój żal z powodu śmierci młodzieńkiej Jü-ing. Nagle ktoś zauważył, że księżniczka jak gdyby jeszcze lekko oddycha.

— Przestańcie płakać! — uspokajał wszystkich cesarz. — Nie róbcie tyle hałasu. Jeszcze ją przestraszycie.

Podszedł do siostry i, podłożywszy rękę pod jej głowę, zawołał:

— Siostró! Siostrzyczko moja, ocknij się! Nic ci się nie stało?

Księżniczka nagle się odwróciła i zaczęła na cały głos wykrzykiwać:

— Mężu, nie śpiesz się tak! Poczekaj na mnie!

— Droga siostrzyczko — uspokajał ją cesarz — to ja, my wszyscy jesteśmy przy tobie.

Wtedy księżniczka uniosła głowę i rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma powiodła po wszystkich dokoła.

— A ty, kto jesteś?! — krzyknęła na cesarza. — Jak śmiesz mnie dotykać!

— To ja, twój braciszek, cesarz — próbował ją uspokoić cesarz — a to twoja bratowa, cesarzowa.

— Nie mam żadnego brata cesarza ani bratowej cesarzowej — oświadczyła kategorycznie księżniczka. — Jestem z rodu Li, a moje panieńskie nazwisko i imię brzmi Li Ts'ui-lien. Moim mężem jest Liu Ts'üan. Obydwoje pochodzimy z okręgu Tsün-czou. Przed trzema miesiącami podarowałam złotą spinkę do włosów buddyjskiemu mnichowi, który żebrał o jałmużnę u bramy mego domu. Mąż zganił mnie za to, że opuściłam wewnętrzne komnaty domostwa, naruszając zasady niewieściej obyczajności, zwymyślał mnie. Zgryzota i wstyd wypełniły moje serce. Nie mogłam tego dłużej ścierpieć, więc powiesiłam się na białej szarfie u stropu. Pozostawiłam dwoje dzieci, które dniami i nocami za mną płakały. Mój mąż był tak zrozpaczony, że zgłosił się do władcy T'angów, by go wysłał z darem dyń i owoców do krainy ciemności. Książę śmierci Jen-wang ulitował się nad naszym losem i wypuścił męża i mnie z powrotem na ziemię. Mój mąż szedł przodem. Ja szłam trochę wolniej i nie mogłam za nim nadążyć, aż w końcu potknęłam się i upadłam. A wy trochę delikatniej się ze mną obchodźcie! Nie wiem, kim jesteście! Jak możecie mnie dotykać?

— Chyba moja siostra przy upadku uderzyła się w głowę i dlatego mówi od rzeczy — rzekł cesarz do swych dworzan, gdy usłyszał słowa księżniczki. Kazał pałacowym medykom przygotować odpowiednie lekarstwa, a Jü-ing zanieść do pałacu.

Gdy władca T'angów znów zasiadł na swym tronie, pojawił się jeden z urzędników i rzekł:

— Ośmielałam się donieść waszej wysokości, że powrócił Liu Ts'üan, który został wysłany z dyniami i owocami do królestwa ciemności. Czeka obecnie przed wejściem do pałacu i prosi o posłuchanie.

Władca T'angów nie ukrywał swego zdumienia. Natychmiast wydał odpowiednie polecenie, żeby go wpuścić do pałacu. Liu Ts'üan wszedł do sali tronowej i skłonił się nisko w oczekiwaniu na słowa cesarza.

— Opowiedz, jak się sprawiłeś z dostarczeniem naszych dyń i owoców do królestwa ciemności? — zapytał go w końcu T'ai-tsung.

— Niosąc dynie i owoce na głowie przedostałem się przez Bramę Duchów i stamtąd zaprowadzono mnie do Pałacu Leśnych Sieci. Tam ujrzałem dziesięciu sędziów śmierci i księcia Jen-wanga. Przekazałem im dynie i owoce, zaznaczając, że jest to dar naszego władcy wraz z podziękowaniem za łaskawość, z jaką się spotkał w ich królestwie. Książę Jen-wang bardzo się ucieszył i wyrażał się z wielkim uznaniem o waszej wysokości. Powiedział między innymi: „O, cesarz T'ai-tsung jest rzeczywiście człowiekiem cnotliwym i w pełni zasługuje na zaufanie”.

— Co tam widziałeś w królestwie ciemności? — zapytał cesarz.

— Nie chodziłem nigdzie daleko i prawie nic szczególnego nie widziałem — odpowiedział Liu Ts'üan. — Jen-wang wypytał mnie o imię, nazwisko i skąd pochodzę. Wyznałem mu też, jak to z powodu śmierci żony porzuciłem rodzinę, dzieci i jak się zgłosiłem do waszej wysokości, żeby mnie wysłał do krainy cieni z darem dyń i owoców. Gdy to usłyszał, zaraz wysłał swoje sługi-demony, żeby odszukali moją żonę. I tak w Pałacu Leśnych Sieci znów się spotkaliśmy. Jednocześnie książe śmierci kazał sprawdzić nasze dane w rejestrach śmierci i okazało się, że zarówno moja żona, jak i ja mamy jeszcze przed sobą wiele lat życia na ziemi, a nawet pisana jest nam nieśmiertelność. Wobec tego książe śmierci wysłał swoich demonów-przewodników, żeby nas wyprowadzili na ziemię. Ja szedłem przodem, a moja żona za mną i w ten sposób dusza moja szczęśliwie powróciła na ten świat. Nie wiem tylko, gdzie może się podziewać moja żona.

— Czy książe śmierci, Jen-wang, nie powiedział jeszcze czegoś o twojej żonie? — zapytał zdumiony jego opowiadaniem władca T'angów.

— Jen-wang nic mi nie mówił — odparł Liu Ts'üan — ale słyszałem, jak jeden z demonów, które nas odprowadzały, powiedział mu: „Li Ts'ui-lien przebywa w królestwie ciemności już bardzo długo. Jej cielesna powłoka na pewno już nie istnieje”. A wówczas książe śmierci rzekł: „Dzisiaj powinna nagle umrzeć Li Jü-ing. Możecie wykorzystać jej zwłoki i umieścić w nich duszę Li Ts'ui-lien”. Nie wiem jednak, gdzie się znajduje Li Jü-ing, gdzie mieszka, i dlatego nie zdążyłem jej jeszcze odnaleźć.

T'angowski władca wysłuchawszy opowiadania Liu Ts'üana bardzo się ucieszył, że tak dobrze się sprawił z powierzoną mu misją. Następnie zwrócił się do zebranych w sali tronowej dostojników i dworzaków:

— Żegnając się z księciem Jen-wangiem w królestwie ciemności, zapytałem go o długość życia mojej rodziny. Powiedział mi wtedy, że wszyscy, starsi i młodszy, mogą żyć spokojnie, tylko co do mojej młodszej siostry, to jest Jü-ing, miał obawy, że już długo nie pożyje. Toteż, gdy upadła martwa pośród kwiatów w ogrodzie, przybiegłem do niej i próbowałem ją podnieść. A ona, gdy tylko odzyskała przytomność, zaczęła wołać: „Mężu, nie śpiesz się tak! Poczekaj na mnie!” Z początku myślałem, że upadając uderzyła się w głowę i dlatego mówi od rzeczy. Ale z tego, co mi dalej opowiadała, okazało się, że jej słowa w zupełności się zgadzają z tym, co nam tu opowiedział Liu Ts'üan.

— Wasza siostra, najjaśniejszy panie, zaczęła to wszystko mówić zaraz po odzyskaniu przytomności — zauważył minister Wei Czeng. — Może to jedynie oznaczać, że dusza żony Liu Ts'üana wcieliła się w ciało waszej siostry. To jest zupełnie możliwe. Jeśli wasza wysokość pozwoli, poprosimy tutaj księżniczkę i posłuchamy, co nam powie.

— Właśnie przed chwilą kazałem pałacowym medykom zanieść ją do pałacu i podać odpowiednie lekarstwa. Ciekawe, jak się ona teraz czuje — rzekł cesarz i polecił damom dworu przyprowadzić swoją siostrę.

Gdy zbliżyły się do żeńskiej części pałacu, usłyszały głos księżniczki, która wykrzykiwała:



— Co to za lekarstwa mi wpychacie? Czy to mój dom?! Ja mieszkam w skromnym domu, krytym zwykłą dachówką, a nie w takim wstętnym pałacu. Od tej żółcizny aż się mdło robi, a drzwi tak upstrzone różnymi kolorami i świecidełkami, że oślepnąć można. Puśćcie mnie stąd! Puszczajcie!

Krzyczała tak jeszcze, gdy kilka dam dworu i eunuchowie wzięwszy ją pod ramiona zaprowadzili do sali tronowej.

— Czy rozpoznasz swego małżonka? — zapytał cesarz T'angów.

— Cóż za pytanie? — wybuchnęła Jü-ing. — Przecież jeszcze jako dzieci zostaliśmy połączeni węzłem małżeńskim, urodziłam mu syna i córkę. Jakże mogłabym go nie poznać?

Cesarz kazał wówczas eunuchom zaprowadzić ją do sali tronowej. Gdy u białych, nefrytowych stopni ujrzała Liu Ts'üana, podbiegła do niego i chwytając brzeg jego szaty, zawołała:

— Mężu, dokąd poszedłeś? Dlaczego na mnie nie poczekałeś? Potknęłam się, upadłam i nagle otoczyli mnie z krzykiem ci nieuprzejmi ludzie. Co to ma wszystko znaczyć?

Liu Ts'üan stał niezdecydowany. Wprawdzie głos miała jego żony, ale z wyglądu zupełnie jej nie przypominała.

— Jest to zaprawdę rzecz niebywała — zawołał w uniesieniu władca T'angów. — Chyba po raz pierwszy się zdarza, żeby dawno zmarłą osobę wcielono w kogoś żyjącego.

Jakiż mądry był ten władca! Nakazał wszystkie należące do księżniczki pudra z przyborami toaletowymi, szaty, ozdoby włosów przekazać Liu Ts'üanowi, zupełnie jakby oddawał mu swoją córkę za żonę. Oprócz tego, specjalnym dekretem zwolnił go do końca życia od wszelkich powinności i świadczeń i dopiero wtedy puścił go razem z żoną do domu. Szczęśliwi małżonkowie pokłonili się nisko przed tronem wyrażając wdzięczność za otrzymane łaski i z sercami wypełnionymi bezgraniczną radością powrócili w swe rodzinne strony.

Gdy pożegnawszy władcę przybyli do Tsün-czou, odnaleźli swój dom, w którym jak dawniej panował wzorowy porządek. Syn i córka też cieszyli się pełnym zdrowiem. Od tej pory małżonkowie zaczęli rozśławiać swoje imię dobrymi uczynkami, ale o tym już dalej mówić nie będziemy.

Opowiemy teraz o Jü-cz'y Kungu, który na rozkaz cesarza wziął skarb złota i srebra i udał się do K'aifengu w prowincji Honan, żeby odszukać Siang Lianga i spłacić zaciągnięty przez cesarza dług. Siang Liang był wozowodą i zarabiał na życie sprzedawaniem wody do picia. A poza tym, razem z żoną pochodzącą z rodu Czangów u wejścia do domu sprzedawali różne wyroby garncarskie. Wszystkie zarobione pieniądze, po odłożeniu małej części na rzeczy niezbędne dla utrzymania się przy życiu, rozdawali jako jałmużnę wędrownym mnichom buddyjskim bądź kupowali duże ilości pieniędzy ofiarnych i spalali je w ofierze duchom zmarłych. Za te wszystkie cnotliwe uczynki niebo zsyłało im wszelaką pomyślność, tak więc czuli się bardzo szczęśliwi. Na tym świecie byli jedynie parą dobro czyniących nędzarzy, za to na tamtym świecie nagromadzili wielkie ilości drogocennego nefrytu i złota.

Gdy Jü-cz'y Kung chciał im zwrócić taką olbrzymią sumę pieniędzy w złocie i srebrze, omal nie zemdleli z przerażenia, a na widok cesarskich urzędników i całego taboru wozów przed ich nędzną chatą, jakby potracili zmysły, oniemieli. Rzucili się na kolana i przez długi czas, nic nie mówiąc, bili pokłony przed cesarskim wysłańcem.

— Zechciejcie powstać, zacni starszycy — zwrócił się do nich Jü-cz'y Kung. — Przybyłem tu z rozkazu jego wysokości cesarza jedynie po to, by zwrócić wam pieniądze, które mój władca od was pożyczył.

— Nigdy nie pożyczaliśmy nikomu pieniędzy — odpowiedział Siang Liang cały trzęsąc się z wrażenia — jakże więc moglibyśmy przyjąć to bogactwo, które nam się nie należy?

— Przybyłem tu i widzę, że jesteście biednymi ludźmi — przekonywał ich Jü-cz'y Kung — ale przecież hojnie rozdawaliście jałmużnę wędrownym mnichom, a za resztę, która wam zostawała, kupowaliście ofiarne pieniądze i spalaliście je w ofierze duchom cierpiącym w królestwie ciemności. W ten sposób uzbierało się wam w podziemnym królestwie bardzo dużo pieniędzy. Ostatnio nasz władca, cesarz T'ai-tsung, przez trzy dni był nieżywy, zanim jego dusza znów wróciła do ciała. W tym czasie przebywał w królestwie ciemności i pożyczył tam od was znaczną sumę pieniędzy. Obecnie tę samą sumę chce wam zwrócić, ni mniej, ni więcej. Sprawdźcie, czy wszystko się zgadza, i przyjmijcie je, a wtedy będę mógł spokojnie wrócić do stolicy i powiedzieć cesarzowi, że spełniłem jego polecenie.

Jednak małżonkowie Siang tylko bili pokłony i w żaden sposób nie można ich było namówić, żeby przyjęli pieniądze.

— Jeśli zgodzimy się przyjąć to wielkie bogactwo — mówili — na pewno szybko pomrzemy. Prawdą jest, że składaliśmy z papierowych imitacji pieniędzy ofiary duchom, ale się tym nikomu nie chwaliiliśmy. A poza tym, jakże możemy mieć pewność, że jego wysokość, nasz ojciec, cesarz właśnie nasze pieniądze pożyczył, żeby uwolnić się od wygłodniałych duchów? Nie, w żadnym wypadku nie odważymy się przyjąć tych pieniędzy.

— Cesarz mówił, że w charakterze poręczyciela za jego wysokość wystąpił sędzia Ts'ui Tsüe. Na pewno z waszych pieniędzy je pożyczył. Lepiej już przyjmijcie je i nie będą się wam więcej naprzykrzał — przekonywał Jü-cz'y Kung.

— Nie, raczej wolimy umrzeć, niż się na coś takiego zgodzić — kategorycznie oświadczył Siang Liang.

Wobec tak zdecydowanej odmowy Jü-cz'y Kung nie widział innego wyjścia, jak wysłać kogoś do cesarza i poprosić go o dalsze instrukcje. Gdy T'ai-tsung przeczytał dostarczony mu raport, doszedł do przekonania, że Siang Liang za nic w świecie się nie zgodzi przyjąć tych pieniędzy.

— To rzeczywiście dowód bardzo wysokiej cnoty — orzekł cesarz i kazał jednemu ze swych dostojników, Hu Tsing-te, wziąć te pieniądze i wybudować za nie świątynię ku czci małżonków Siang. Po bokach świątyni miały stanąć posągi męża i żony, a mnichom zalecono odprawianie modłów za ich dusze. Cesarz uznał, że przynajmniej w ten sposób spłaci zaciągnięty u Siang Lianga dług.

W dniu, gdy nadeszło polecenie cesarza, Hu Tsing-te obrócił się twarzą w stronę

stolicy, wyraził wdzięczność za łaskawość cesarza i odczytał jego życzenie wszystkim zebranym. Następnie zakupiono mały skrawek wolnej ziemi wielkości około pięćdziesięciu *mu*, do której nie mogli rościć sobie prawa ani urzędnicy wojskowi, ani cywilni, i zbudowano na nim świątynię. Oficjalna jej nazwa brzmiała „Zbudowana z woli cesarza świątynia rodziny Siang”. Po obu jej stronach stanęły posągi Siang Lianga i jego żony oraz kamienna tablica z wyrytym napisem, gloszącym, że budowę świątyni nadzorował Jü-cz'y Kung.

Świątynia ta, zwana Ta-siang-kuo-sy, stoi w K'aifengu do dzisiejszego dnia.

Cesarz bardzo się ucieszył, gdy mu doniesiono, że zakończono budowę świątyni. Zebrał wówczas wszystkich swych dostojników i kazał im wezwać z całego kraju najwybitniejszych mnichów buddyjskich dla odprawienia uroczystego nabożeństwa za wybawienie z królestwa ciemności dusz samotnych, za które nikt się nie modli. Na terenie całego państwa T'angów rozlepiono specjalne obwieszczenia, do najodleglejszych zakątków kraju wysłano urzędników, którzy wybierali i sprowadzali do Cz'ang-anu najczcigodniejszych i najświętszych spośród tych, którzy zgłębili naukę Buddy. Upłynął mniej więcej miesiąc i wszyscy zebrali się w stolicy. Wtedy cesarz polecił głównemu astronomowi państwa, Fu I, dokonać spośród przybyłych mnichów wyboru najbardziej uczonego i świątobliwego i powierzyć mu stanowisko głównego kapłana w mającym się odprawić nabożeństwie.

Dowiedziawszy się o tym, Fu I przedstawił do tronu memoriał w sprawie wstrzymania obrzędów, twierdząc, że Budda nie istnieje. Udowadniał szkodliwość wierzeń rozpowszechnionych na zachodzie tym, że nie uznają one zależności między władcą i poddanym, ojcem i synem, opierają się na twierdzeniach o trzech stopniach kar za występne życie i o sześciu rodzajach wcielenia, przez co tylko wprowadzają zamęt w umysłach prostego ludu. Wyznawcy Buddy modłami zacierają dawne występki, obiecują szczęście w przyszłości, na ustach mają słowa sutr świętych, by myśli grzeszne odpędzić! Przecież życie i śmierć, i długowieczność od natury tylko zależą, w rękach władców ludzi spoczywają gorycz, szczęście, kary i nagrody. Dziś słychać wszędzie nieuków, którzy przypisują to wszystko Buddzie. Od tonących w pomrokach legend z czasów pięciu cesarzy i trzech królów nikt o Buddzie nie słyszał, a jednak władcy byli światli, poddani lojalni i życie w szczęściu pędzili przez długie lata. Dopiero cesarz Ming z dynastii Han sprowadził do naszego kraju to barbarzyńskie bóstwo. Teraz wszędzie, gdzie spojrzeć, kręcą się wyznawcy Buddy i krzewią jego naukę. Wierzyć wprost się nie chce, żeby Chiny się ukorzyły przed nauką dzikusów z zachodu.

Zapoznawszy się z tym memoriałem, T'ai-tsung przekazał go do rozważenia i przedyskutowania swojej radzie. Z szeregu dostojników wystąpił wtedy minister Siao Jü i złożwszy pokłon cesarzowi przemówił:

— Nauka Buddy kwitnie w naszym kraju już od wielu pokoleń. Upowszechnia ona dobro i zwalcza zło, i przez to pomnaża pomyślność naszego kraju. Uważam w związku z tym, że bardzo nierozsądnym by było odrzucenie tej nauki. Budda to święty człowiek i ten, kto przeciwko niemu bluźni, narusza prawo. Dlatego zwracam się o surowe ukaranie tych, co przeciwko jego nauce występują.

Zacięta dysputa rozgorzała między Fu I i Siao Jü. Jeden z nich twierdził, że cnotliwe życie polega na służeniu swojemu władcy i rodzinie, a nauka Buddy głosi odwrócenie się od krewnych, oderwanie się od społeczeństwa, zaprzestanie służenia mu. W ten sposób wzywa ona ludzi do oporu, sprzeciwu wobec cesarza, syna niebios, i podburza dzieci przeciwko rodzicom. Siao Jü, chociaż nie był buddystą, wyznawał jednak naukę Buddy wypowiedającą się przeciwko surowym zasadom posłuszeństwa synowskiego, według których nieposłuszne dziecko wykluczane było z rodziny. Złożył więc tylko dłonie i rzekł wskazując na Fu I:

— Piekło stworzono właśnie dla takich jak ten człowiek.

Wówczas T'ai-tsung kazał się zbliżyć dostojnikom Czang Tao-jüanowi i Czang Szy-hengowi. Zapytał ich, czy kultywując naukę Buddy można osiągnąć szczęście i jakie jest ich zdanie w tej sprawie.

Dostojnicy byli zgodnego zdania i dali taką odpowiedź:

— Nauka Buddy głosi oczyszczenie z grzechów, humanitarność i powszechną wyrozumiałość, jednak Budda to tylko puste imię. Od czasów Wu-ti z dynastii Han wszystkie trzy wierzenia, konfucjanizm, taoizm i buddyzm miały swoich wyznawców, święci buddyjscy osiągnęli nirwanę, a naród w ciągu wielu wieków ich czcił. Żadne z tych wierzeń nigdy nie zostało odrzucone, nasi przodkowie na nich wyrosli. Od najdawniejszych czasów znane jest powiedzenie: „Nie ma nic godniejszego czi od trzech religii i żadna z nich nie może pójść w niepamięć, żadnej nie można odrzucić”. Ośmielamy się prosić waszą wysokość o łaskawe przyjęcie i osądzenie naszej ograniczonej opinii swoim światłym umysłem.

Cesarzowi bardzo się ich wypowiedź spodobała.

— Słowa wasze bez wątpienia utrafiły w sedno sprawy — rzekł. — A kto przeciwko tej opinii wystąpi, zostanie ukarany.

Następnie kazał Wei Czengowi, Siao Jü oraz Czang Tao-jüanowi zwołać wszystkich przybyłych do stolicy mnichów i wybrać spośród nich najbardziej biegłego w naukach Buddy i najczcigodniejszego, który mógłby pokierować przygotowaniem nabożeństwa i pełnić rolę głównego kapłana ceremonii. Zebrani uderzyli czołem przed cesarzem w podziękę za otrzymane łaski i rozeszli się do swoich obowiązków. Od tej pory nauki Buddy szybko się rozwinęły w całym kraju, a temu, kto by się odważył napaść na mnichów lub bluźnić Buddzie, odrąbywano rękę.

Następnego dnia trzech cesarscy dostojnicy zebrali przybyłych mnichów w Świątyni Gór i Rzek. Po żmudnych badaniach i sprawdzaniach wybrali w końcu spośród nich tego, który pod względem wiedzy i cnót nie miał sobie równego. Ciekawe, czy zgadniecie, kto to był.

Otóż wybór padł na przeora Hüan-tsanga. Jemu powierzono celebrowanie całego nabożeństwa. Człowiek ten od dzieciństwa był poświęcony stanowi mniszemu i jeszcze w młodym wieku złożył śluby wstrzeźliwości i postu. Jego dziad, In K'ai-szan, był głównodowodzącym wojsk panującej w tych czasach dynastii, a jego ojciec, Cz'en Kuang-zui, zdobył najwyższe laury w egzaminach państwowych i piastował godność cesarskiego akademika. Wszystkie swe dążenia kierował Hüan-tsang nie ku sławie i zaszczytom, lecz ku poznaniu wielkiej nauki Buddy. Całym sercem szukał ci-

szy i spokoju. Jednym słowem, był to człowiek mogący się poszczycić wspaniałym pochodzeniem, świecił wielu cnotami i można było o nim powiedzieć, że wśród tysięcy świętych ksiąg kanonu buddyjskiego nie było takiej, której by nie zgłębił, każde nieśmiertelne słowo Buddy znajdowało zrozumienie w jego sercu.

Trzej dostojnicy podskakując z radości, w pokłonach wzbijając tumany pyłu, triumfalnie przywiedli Hüan-tsanga przed oblicze cesarza.

— Spełniając wolę waszej wysokości — rzekł w imieniu cesarskich dostojników minister Siao Jü — wybraliśmy tego oto czcigodnego mnicha. Niech on zajmie się organizacją nabożeństwa. Nazywa się Cz'en Hüan-tsang.

T'ai-tsung, usłyszawszy imię mnicha, zatopił się na dłuższy czas w zadumie, i w końcu zapytał:

— Hüan-tsangu, czy nie jesteś przypadkowo synem najwybitniejszego uczonego naszej akademii cesarskiej, Cz'en Kuang-żuia?

— Tak jest, wasza wysokość — odparł Hüan-tsang zginając się w pokłonie.

— W takim razie wyboru dokonano bardzo trafnie! — zawołał ucieszony cesarz. — Mnich to rzeczywiście pelen cnót i o głębokim umyśle. Nadaję ci godność przełożonego wszystkich mnichów i głowy Kościoła buddyjskiego w naszym państwie.

Hüan-tsang znów się skłonił przed cesarzem i w kornej postawie przyjął te zaszczytne tytuły. Następnie podarowano mu pięciobarwny jedwabny płaszcz mniszy haftowany złotem i buddyjską czapkę mniszą. Cesarz nakazał mu z należytą gorliwością odnieść się do powierzonego mu zadania i ustalić kolejność modlitw i obrzędów w czasie nabożeństwa. Następnie wydał specjalny dekret, którym polecał Hüan-tsangowi udać się do Świątyni Przeistoczenia i wybrać szczęśliwy dzień dla rozpoczęcia ceremonii.

Przyjąwszy polecenia od cesarza, Hüan-tsang jeszcze raz się mu pokłonił i opuścił pałac. Następnie udał się prosto do Świątyni Przeistoczenia i zebrał wszystkich mnichów. W myśl jego wskazówek wzniesli oni w świątyni długie ławy dla medytacji i odmawiania modlitw, rozwiesili święte buddyjskie obrazy i przygotowali instrumenty muzyczne. Hüan-tsang wybrał wówczas tysiąc dwustu mnichów odznaczających się szczególną świątobliwością i wiedzą religijną i podzielił ich na trzy grupy, mające odprawiać modły w trzech salach, górnej, środkowej i dolnej. Zgromadzono wszystkie niezbędne do obrzędów naczynia i przedmioty i rozmieszczono je we właściwym porządku. Wybrano też szczęśliwy dzień dla rozpoczęcia uroczystości. Był to trzeci dzień dziewiątego miesiąca według kalendarza księżycowego. Nabożeństwo za dusze zmarłych miało trwać siedemkroć siedem, to jest czterdzieści dziewięć dni. Hüan-tsang o tych wszystkich szczegółach ceremonii powiadomił natychmiast cesarza.

T'ai-tsung osobiście, a także jego wojskowi i cywilni dostojnicy oraz cała cesarska rodzina mieli się zjawić o ustalonej porze na rozpoczęcie uroczystości, zapalić wonne trociczki i z nabożeństwem wysłuchać pierwszego kazania.

Tak więc w trzynastym roku ery Czen-kuan, w trzecim dniu dziewiątego miesiąca Cz'en Hüan-tsang przewodzący obrzędowi zebrał tysiąc dwustu mnichów w Świątyni

Przeistoczenia w mieście Cz'ang-anie i rozpoczął modły i recytacje świętych ksiąg buddyjskich.

Zaraz po zakończeniu porannej audiencji cesarz zstąpił ze swego tronu, wsiadł do zdobnej w feniksy i smoki kolasy i w otoczeniu swych wojskowych i cywilnych dostojników udał się do Świątyni Przeistoczenia, aby zapalić ofiarne kadzidła.

Gdy wspaniały orszak cesarza T'angów zatrzymał się przed świątynią, muzyka i święte śpiewy umilkły. Władca wysiadł z powozu, w asyście dostojników wszedł do świątyni, trzykrotnie pokłonił się przed posągiem Buddy i zapalił wonności. T'ai-tsung i towarzyszące mu osoby niosąc w dłoniach wonne świece złożyły pokłony przed rzeźbą Buddy, a potem przed posągami jego uczniów, arhantów. Wtedy kierujący uroczystością przeor Cz'en Hüan-tsang zebrał wszystkich mnichów, by oddali cześć cesarzowi. Gdy i ta ceremonia dobiegła końca, mnisi grupami rozeszli się na swoje miejsca i rozpoczęli modlitwy. Przeor wręczył T'ai-tsungowi tekst modlitwy za zbawienie cierpiących dusz, którymi nikt na ziemi się nie opiekuje. Przeczytawszy ją T'ai-tsung poczuł się bardzo szczęśliwy i w te słowa zwrócił się do zebranych mnichów:

— Widzę, że z głęboką żarliwością, całym sercem odnieśliście się do powierzonych wam modlitw i nie zaniedbaliście niczego w świętej służbie dla Buddy. Po zakończeniu nabożeństwa sownie was za to wynagrodzę, tak że szczęśliwi wróćcie w swe rodzinne strony. Nie darmo się tyle natrudziliście.

Tysiąc dwustu mnichów wyższego stopnia jednocześnie skłoniło głowy przed cesarzem, wyrażając mu podziękowanie za łaski, jakimi ich obdarzył. Po zakończeniu modłów cesarz wsiadł do swej kolasy i powrócił do pałacu. Po upływie siedmiu dni znów odbyło się nabożeństwo zbiorowe z udziałem cesarza, którego poproszono o zapalenie ofiarnych wonności. Pod wieczór dostojnicy cesarscy rozeszli się do domów. Następnego ranka mnisi i kapłani buddyjscy ponownie przybyli do świątyni, odprawiali modły i recytowali święte księgi, ale o tym na razie mówić nie będziemy.

Wrócimy teraz do bodhisattwy Kuan-in z góry Buddhaloka na Oceanie Południowym. Jak pamiętamy, na polecenie Buddy Tathagaty przybyła ona do Cz'ang-anu w celu wyszukania odpowiednio świątobliwego człowieka, który by się udał po święte księgi do zachodniego raju. Minęło już wiele dni, a mimo to nie napotkała jeszcze nikogo, kto swoim pobożnym życiem zasługiwałby na powierzenie mu tak ważnej misji. I oto doszły do niej wieści, że T'ai-tsung odprawia uroczyste nabożeństwo dla wybawienia cierpiących dusz i przewodnictwo całej ceremonii powierzył najcnotliwszemu spośród zwołanych do stolicy mnichów. Dowiedziawszy się, że głównym kapłanem wyznaczony został nie kto inny, lecz mnich przyniesiony nurtem rzeki, syn Buddy, który zszedł z raju na ziemię i któremu już raz pomogła za pośrednictwem Ducha Gwiazdy Wieczornej, bodhisattwa bardzo się ucieszyła. Zabrała wręczone jej przez Buddę cudowne przedmioty i wraz ze swym uczniem Moksą wyruszyła na targ, by je sprzedać.

A może zapomnieliście, co to były za cudowności? Były to przede wszystkim zakonna szata ze złotogłowiu i zdobny dziewięcioma pierścieniami mnisi kostur. Miała jeszcze trzy złote zaciskające się obręcze dla poskramiania nieposłusznych, ale

ukryła je dokładnie na późniejszy użytek. Tak więc wyszła sprzedawać tylko zakonną szatę i kostur.

W tym czasie włóczył się po Cz'ang-anie jakiś prosty, nieuczony mnich z kilkoma miedziakami przy duszy. Był to jeden z tych, których nie wybrano do uczestnictwa w nabożeństwie. Ujrawszy bodhisattwę, która jako wynędzniały mnich, w podartej szacie, boso i z gołą głową ofiarowywała na sprzedaż wspaniałą, lśniąca w promieniach słońca szatę zakonną, przypomniał sobie, że zostało mu w kiesie coś niecoś. Podszedł więc do bodhisattwy i zawołał:

— Ej, ty nędzny mnichu! Za ile sprzedajesz tę szatę?

— Szata kosztuje pięć tysięcy liang, a kostur sprzedaję za dwa tysiące.

— Czyś oszalał, przeklęty mnichu? Chyba rozum postradałeś — zawołał śmiejąc się mnich — żeby żądać siedem tysięcy za te dwa paskudztwa?! Nawet gdyby miały zapewnić nieśmiertelność lub możliwość stania się Buddą, niewarte by były tyle pieniędzy. Weź sobie to świństwo i zbieraj się stąd. I tak nikt ci tego nie kupi.

Bodhisattwa wcale nie miała zamiaru się kłócić z mnichem, a więc razem z Mokszą poszła dalej. Długo szli ulicami Cz'ang-anu, aż przy bramie Tung-hua natknęli się na ministra Siao Jü, który właśnie po porannej audiencji wracał z pałacu. Biegli przed nim pacholkiwie, okrzykami torując mu przejście. Bodhisattwa jednak ani myślała ustąpić z drogi, lecz niosąc na wyciągniętych dłoniach drogocenną szatę skierowała się wprost na ministra. Siao Jü osadził przed nią konia i spojrzawszy na błyszczącą w słońcu szatę. Jednemu ze swych sług kazał podejść i zapytać o cenę cudownego odzienia.

— Szata kosztuje pięć tysięcy liang, a kostur sprzedaję za dwa tysiące — odpowiedziała bodhisattwa.

— Jakież to zalety posiadają te przedmioty, skoro tak wysoko je cenisz? — zapytał Siao Jü.

— Szata może dla jednych okazać się bardzo pożyteczna, a dla innych szkodliwa — wyjaśniła bodhisattwa. — Jednych może kosztować bardzo drogo, innych może nic nie kosztować.

— Na czym polega jej użyteczność i szkodliwość? — pytał dalej Siao Jü.

— Kto tę szatę założy, nie może utonąć ani spaść do piekła — wyjaśniła bodhisattwa — ujdzie cało przed ciosem mordercy i nie padnie ofiarą drapieżnych tygrysów i wilków. Oto jej zalety. Jeśli ją jednak odzieje jakiś głupi, chciwy i lubieżny mnich, który ni postów, ni innych zakazów nie przestrzega, lecz bluźni Buddzie, występuje przeciwko prawdom zawartym w świętych księgach, ten przeklnie dzień, w którym ujrzał tę szatę. Na tym polega jej szkodliwość.

— A dlaczego uważasz, że jednych ta szata może kosztować bardzo drogo, a innych może nic nie kosztować? — padło następne pytanie.

— Bo ten, kto nie szanuje nauk Buddy i nie uznaje trzech skarbów jego religii, a będzie koniecznie chciał nabyć tę szatę i kostur cudowny, zapłacić musi za nie siedem tysięcy liang. Będzie go to kosztować bardzo drogo — oświadczyła bodhisattwa. — Zaś temu, kto trzy klejnoty buddyizmu szanuje, kto dobro czyni, z całego serca wypełnia przykazania Buddy, jeśli tylko zechce je przyjąć, szatę cudowną i ko-

stur chętnie oddam za darmo, w dowód przyjaźni. Tak więc nic go to nie będzie kosztować.

Wysłuchawszy tych słów, Siao Jü rozpromienił się z radości, gdyż zrozumiał, że ma przed sobą człowieka cnotliwego. Natychmiast zsiadł z konia i pokłonił się bodhisattwie.

— Czcigodny mistrzu Wielkiej Nauki — zwrócił się do niej — racz wybaczyć nędznikowi Siao Jü, że od razu ci się nie pokłonił. Nasz wielki cesarz, władca z dynastii T'ang, jest człowiekiem niezwykłych cnót. Wszyscy dostojnicy wojskowi i cywilni, cały dwór otacza go ogromnym szacunkiem. Dzisiaj właśnie rozpoczynają się wielkie uroczystości nabożeństwa za dusze cierpiące w krainie ciemności. Cudowna szata przyda się akurat dla przeora Cz'en Hüan-tsanga, który jest głównym celebrantem odbywających się obrzędów. Zechciej, proszę, razem ze mną wejść do pałacu i stanąć przed obliczem naszego cesarza.

Bodhisattwa z chęcią spełniła prośbę Siao Jü i weszła z nim przez bramę Tung-hua. O przybyciu gości zawiadomiono cesarza, który kazał ich od razu wprowadzić do sali tronowej. Gdy dwaj wynędzniali mnisi w towarzystwie ministra Siao Jü stanęli u stóp tronu, władca T'angów zapytał:

— Z czym przychodzisz, ministrze Siao Jü?

Siao Jü skłonił się głęboko przed swoim władcą i rzekł:

— Po wyjściu z pałacu, zaraz za bramą Tung-hua napotkałem tych oto dwóch mnichów, którzy pragną sprzedać zakonną szatę i kostur mnisi. Pomyślałem sobie, że przeor Hüan-tsang mógłby w tej szacie odprawić nabożeństwo, a więc przywiódłem mnichów przed oblicze waszej wysokości.

T'ai-tsung bardzo się ucieszył z przybycia mnichów i zapytał ich o cenę szaty. Bodhisattwa i Moksza stali nadal nieruchomo u stóp tronu, nie złożąwszy nawet cesarzowi powitalnego pokłonu. Gdy ich jednak zapytał o cenę szaty, bodhisattwa dała odpowiedź:

— Szata kosztuje pięć tysięcy liang, a kostur sprzedają za dwa tysiące.

— Jakąż korzyść może przynieść ta szata, skoro chcesz za nią tyle pieniędzy? — zapytał T'ai-tsung.

— Szata to cudowna, niezwykła! — rzekła bodhisattwa. — Niebiańskie dziewczęta z lodu zręcznie nie jedwabną uprzedły, nieśmiertelne piękności materię zeń utkały, a boginie cudownie haftem ozdobiły. Wzorów przepięknych tu wiele, kwiat jeden nad drugim góruje, wszystko zaś mieni się i tonie w powodzi blasku drogocennych kamieni. Gdy szatę odziejesz, niby w szkarłatnych oparach się nurzasz, gdy zdejmiesz ją, jest jakby cudnie zielonych chmur nagromadzeniem. Jej blask dociera za bramy trzech sfer niebieskich, pięć świętych szczytów spowija cudotwórczym tchnieniem. To tu, to tam cudowny kwiat lotosu mignie pośród zieleni, iskrzą się na niej perły niby gwiazdy zawieszzone w niebie. W czterech rogach lśnią perły noc rozpędzające, a pośrodku największa z pereł, jakie zna świat cały. Chociaż szata nie jest dokładnie skrojona na miarę, blasku ośmiu rodzajów szlachetnych kamieni w nią utkanych niczym nie zastąpisz. Cudowna to zaiste szata! Gdy jest niepotrzebna, złożona pozostaje, gdy człek świątobliwy się zjawi, sama się rozkłada. Choćby ją w tysiąc warstw

owinąć, przeniknie je tęczowym blaskiem, na ciele świętego męża sieje przażenie wśród demonów i złych duchów. Jest na niej perła, co spełni dowolne życzenie, jest też taka perła, co najsilniejszy wicher okielzna. Są w niej też drogocenne kamienie, co jasnością światła księżycy przewyższą, a czerwienią ze słońcem pójdą w zawody. Zapach kwiatów tysiąca wydaje szata, cudowny zapach, który znają tylko nieśmiertelni. Blask jej cały świat spowija. Uciekają przed nim w popłochu tygrysy, pantery pośród gór i strumieni, w wodnych głębinach panikę sieje wśród smoków i ryb rzeszy. Na końcach szaty dwie klamry ze złota, zapinki u szyi lśnią białym nefrytem.

Wysłuchawszy wspaniałego opisu cudownej szaty, władca T'angów nie mógł wyjść z podziwu.

— A teraz, mnichu, powiedz nam, jakie właściwości posiada ten mnisi kostur z dziewięcioma pierścieniami? — poprosił cesarz.

— Jeśli chodzi o ten kostur — wyjaśniła bodhisattwa — ma on na sobie dziewięć pierścieni z miedzi i żelaza, dziewięć na nim delikatnych wzorów wrytych ręką nieśmiertelnych. Gdy weźmiesz go do ręki, staje się niewidzialny i możesz z nim z gór schodzić lekko jak po chmurze białej. Niedługo pięciu przodków Mo-ho dotarło na nim do wrót nieba, bohaterski Lo w poszukiwaniu matki zjeździł na nim cały świat. Nierad towarzyszy ludziom świeckim na ziemskim padole, chętnie wspomaga pobożnych mnichów w ich wędrówkach pośród nefrytowych gór.

Gdy bodhisattwa opisała zalety kostura, cesarz kazał rozłożyć cudowną szatę i dokładnie się jej przyjrzał. Rzeczywiście przepiękna to była rzecz.

— Czcigodny mistrzu — rzekł do bodhisattwy — nie będę przed tobą ukrywać, że dziś właśnie mam zamiar wziąć udział w uroczystym nabożeństwie za dusze w królestwie ciemności. Pragnę bodaj szczyptę szczęścia zasiać w bezkresie ich cierpień. W Świątyni Przeistoczenia zbiorą się tłumy mnichów. Będą się modlić, czytać święte księgi. Jest wśród nich jeden mnich, niezwyklej świętości i cnót, którego imię zakonne brzmi Hüan-tsang. Pragnę kupić od ciebie te dwa skarby, by ofiarować je temu mnichowi. Tak więc racz wymienić ostateczną cenę, za którą chcesz je sprzedać.

Bodhisattwa wysłuchała z uwagą słów cesarza, po czym razem z Mokszą złożyła dłonie i wezwawszy imię Buddy, z szacunkiem się skłoniła przed władcą T'angów i oświadczyła:

— Jeśli ten człowiek jest rzeczywiście taki pobożny i cnotliwy, chętnie ofiarujemy mu tę szatę i kostur i nie chcemy za nie pieniędzy.

Powiedziawszy te słowa odwróciła się i razem z Mokszą odeszła. Cesarz wysłał natychmiast za nimi ministra Siao Jü i kazał ich zawrócić. Gdy znów przed nim stanęli, cesarz nachylił się do nich ze swego tronu i zapytał:

— Z początku wspomnieliście, że chcecie za szatę pięć tysięcy liang, a za kostur dwa tysiące. Gdy powiedziałem, że mam zamiar je od was kupić, to teraz nie chcecie pieniędzy. Pomyśleliście sobie pewnie, że chciałem wykorzystać przywileje władzy tronu i siłą wam te rzeczy odebrać? Otóż możecie mi wierzyć, że wcale takich zamiarów nie miałem. Pragnę zapłacić sumę, którą wymieniliście, i proszę, abyście te pieniądze przyjęli.

— Już dawno obiecaliśmy sobie, że jeśli znajdziemy człowieka cnotliwego, który

trzy skarby buddyźmu będzie szanował i radość znajdował w dobrych uczynkach, to wolę spełniając naszego Buddy, oddamy mu te przedmioty za darmo, nie żądając zapłaty — rzekła bodhisattwa wznosząc ręce ku niebu. — Dziś naocznie przekonaliśmy się o wielkiej cnocie waszej wysokości, o łaskawej trosce, jaką otaczasz, panie, wyznawców Buddy. Usłyszeliśmy też o uczonym i pobożnym mnichu, głoszącym nauki Buddy, i że właśnie jemu zamierzasz oddać te rzeczy. Tak więc postanowiliśmy podarować ci szatę i kostur i zdecydowanie odmawiamy przyjęcia pieniędzy. Niech tedy wasza wysokość pozwoли nam pozostawić tu nasze dary i się pożegnać.

Szczerłość i serdeczność słów bodhisattwy przeniknęły do głębi serce władcy T'angów i sprawiły mu wielką radość. Polecił więc jednemu z dworzan, by na terenie świątyni Cudownej Łaski przygotowano uroczystą ucztę, aby przynajmniej w ten sposób podziękować mnichom za ich wspaniałe dary. Jednak bodhisattwa kategorycznie odmówiła przyjęcia udziału w uroczystości na jej cześć i z godnością opuściła cesarski pałac. Ukryła się z powrotem w świątyni opiekuńczego bóstwa miasta, ale o tym na razie mówić nie będziemy.

Tymczasem T'ai-tsung urządził w południe ucztę i kazał Wei Czengowi zaprosić na nią Hüan-tsanga. Hüan-tsang w tym czasie w otoczeniu mnichów odprawiał nabożeństwo przy ołtarzu w Świątyni Przeistoczenia. Mnisi odczytywali na głos święte księgi i śpiewali nabożne pieśni. Dowiedziawszy się o zaproszeniu, Hüan-tsang zszedł z ołtarza, poprawił na sobie szatę i razem z Wei Czengiem udał się do pałacu.

— Zaprosiłem was tutaj dla odprawienia modłów za dusze zmarłych — rzekł cesarz, gdy Hüan-tsang stanął przed nim. — Wiele trudu was to kosztowało, a ja nie wam jeszcze nie podarowałem w dowód wdzięczności. Niedawno mój minister Siao Jü przyprowadził do mnie dwóch mnichów. Ofiarowali mi oni cudowną, drogocenną szatę zakonną ze złotogłowiu i zdobny dziewięcioma pierścieniami mnisi kostur. Wezwałem cię dzisiaj do pałacu, czcigodny mistrzu, by przekazać ci te drogocenne dary.

Hüan-tsang złożył cesarzowi pokłon i podziękował za okazaną łaskę.

— Jeśli, czcigodny mistrzu, nie odmówisz — rzekł cesarz — chciałbym zobaczyć, jak będziesz w tej wspaniałej szacie wyglądał.

Hüan-tsang rozwinął szatę, narzucił ją na siebie i z kosturem mnisim w rękę stanął w całej okazałości przed cesarzem. Wszyscy obecni na sali oniemieli z wrażenia na jego widok. Wyglądał teraz jak prawdziwy uczeń Buddy Tathagaty. Wojskowi i cywilni dostojnicy cesarza wznosili okrzyki podziwu. Również T'ai-tsung nie ukrywał swego zadowolenia. Poza szatę i kostur przydał mnichowi jeszcze dwóch ludzi jako świtę, a także wyznaczył wielu urzędników, którzy mieli przeprowadzić Hüan-tsanga w uroczystym pochodzie za bramę pałacu, przez ulice miasta aż do świątyni.

Hüan-tsang jeszcze raz pokłonił się cesarzowi wyrażając mu wdzięczność za otrzymane łaski i uroczysta procesja ruszyła ulicami miasta. Spójrzcie tylko, co się działo w Cz'ang-anie. Przejezdni kupcy i bogaci właściciele składów w stolicy, cała arystokracja miasta, uczeni i pisarze, starzy i młodzi, mężczyźni i niewiasty, wszyscy wylegli na ulice, żeby móc podziwiać na własne oczy ten wspaniały pochód.

— Jakiż to mnich cudowny! Prawdziwy apostoł Buddy! Arhat zstąpił na zie-

mię! — dały się słyszeć pełne podziwu okrzyki. — Żywa bodhisattwa pojawiła się wśród nas!

Gdy Hüan-tsang dotarł do świątyni, wszyscy mnisi wyszli mu na spotkanie. Ujrawszy go w nowej szacie, z wspaniałym kosturem w dłoni, gotowi byli uwierzyć, że się przed nimi pojawiła bodhisattwa Kszitigarba. Ustawivszy się w szpaler z nabożnym szacunkiem chylili przed nim głowy. Wszedłszy do świątyni Hüan-tsang zapalił wonne kadzidła przed posągiem Buddy i podziękował zebranym za okazane mu dowody czci i szacunku. Gdy w końcu wszyscy mnisi zajęli swoje miejsca, by oddać się modlitwie, czerwona tarcza słońca znikła za zachodnim widnokregiem.

Czas mknął szybko i nikt się nawet nie spostrzegł, jak nadszedł ostatni dzień nabożeństwa. Hüan-tsang przygotował specjalne kazanie i wysłał zaproszenie do cesarza, by zechciał własnoręcznie zapalić kadzidło i wziąć udział w zakończeniu uroczystości. W tym czasie radosna wieść o ulżeniu cierpiącym душom obiegła cały kraj. O oznaczonej porze T'ai-tsung w otoczeniu swych wojskowych i cywilnych dostojników, cesarzowej, nałożnic, krewnych i dworzan przybył do świątyni. Również liczni mieszkańcy miasta, młodzi i starzy, bogaci i biedni, zgromadzili się, aby wysłuchać ostatniego kazania.

— Dzisiaj chyba przypada siódmy dzień siódmego tygodnia od rozpoczęcia obrzędów za dusze zmarłych — powiedziała bodhisattwa do Mokszy. — Chodź, wnieśmy się w tłum i zobaczymy, jak tego rodzaju nabożeństwa tu się odbywają. Jednocześnie będziemy mieli okazję stwierdzić, czy nasze dary przyniosły mnichowi szczęście. Mam ochotę również posłuchać jego kazania i dowiedzieć się, którą ze szkół buddyzmu on wyznaje.

Tak więc bodhisattwa ze swym uczniem Mokszą wyprawili się do świątyni. Można powiedzieć, że po przyjeździe na miejsce poczuli się jak u siebie w domu. Spotkali tam wielu znajomych. W nabożeństwie uczestniczyła niewidzialna dla śmiertelników Paramita — najwyższe bóstwo mądrości. Gdy weszli do świątyni, przed ich oczyma roztaczał się wspaniały widok, godny wielkiego państwa i potężnej, panującej w nim dynastii. Przepych uroczystości przyćmiewał nawet cudowną szatę na ramionach Hüan-tsanga, co w samej rzeczy świadczyło, iż dostała się ona we właściwe ręce. Głośno rozbrzmiewały cudowne dźwięki hymnów sławiących imię Buddy. Bodhisattwa podeszła prosto do podwyższenia, na którym stał tchnący nieskończoną mądrością Hüan-tsang.

Stanąwszy na podwyższeniu pośrodku świątyni, Hüan-tsang najpierw odczytał sutrę o zbawienie umarłych i ukojenie dusz, następnie sutrę o zapewnienie pokoju w państwie i na zakończenie wygłosił kazanie o korzyściach płynących z samodoskonalenia się w nauce Buddy. Właśnie w tym momencie bodhisattwa podeszła do niego i, uderzywszy dłonią w pulpity, przy którym głośno czytał, krzyknęła na cały głos:

— Czemuż ty, mnichu, głosisz tylko naukę Małego Wozu? Czy nie potrafisz powiedzieć o zasadach Mahajany, czyli o doktrynie Wielkiego Wozu?

Zdumiony tym pytaniem Hüan-tsang zeskoczył z podwyższenia i zbliżając się do bodhisattwy podniósł ręce w powitalnym geście.

— Czcigodny mistrzu — rzekł — wybacz, że wcześniej cię nie powitałem w naszym gronie. Tak się składa, że wszyscy obecni tu mnisi wyznają tylko naukę Hina-jany, to jest Małego Wozu, zaś o Mahajanie nie mają żadnego pojęcia. Cóż więc innego mogłem w takiej sytuacji głosić?

— W oparciu o naukę Małego Wozu nie zdołacie wybawić dusz zmarłych i stwarzacie tylko zamęt. Posiadam trzy zbiory świętych ksiąg buddyzmu Wielkiego Wozu. Nazywają się one Tripitaka, czyli Trzy Kosze. Dzięki nim można dusze zmarłych przenieść do nieba, można żywych uchronić od niebezpieczeństw, można przez te księgi osiągnąć długowieczność i uwolnić wyznawców Buddy od następnych wcieleń.

Gdy tak rozprawiali, jeden z cesarskich urzędników, któremu powierzono pilnowanie porządku w świątyni, podbiegł do cesarza i doniósł:

— Gdy wielbny mistrz Hüan-tsang głosił naukę Buddy, jacyś dwaj obdarci wędrowni mnisi podeszli do niego, ściągnęli go z podwyższenia i zaczęli mu jakieś głupstwa wygadywać.

Cesarz kazał zatrzymać wędrownych mnichów i przyprowadzić ich do siebie. Tymczasem tłum wiernych uczestniczących w nabożeństwie zdążył już wypchnąć obdartusów poza obręb świątyni. Gdy w końcu udało się przyprowadzić ich do T'ai-tunga, żaden z nich nawet ręki nie uniosł na powitanie, nawet się nie skłonił. Zuchwale unosząc twarze ku cesarzowi, zapytali:

— Czy wasza wysokość pragnie nas się jeszcze o coś zapytać?

Władca T'angów poznał ich od razu i rzekł:

— Czy to nie wy przed kilku dniami podarowaliście mi tę cudowną szatę zakonną?

— Tak, to ja — odpowiedziała krótko bodhisattwa.

— Skoro przyszlście do świątyni posłuchać kazania — rzekł im T'ai-tsung — mieliście prawo uraczyć się postnym jedzeniem na równi z innymi mnichami. Dlaczego jednak przerwaliście kazanie naszemu mistrzowi, naruszając ustanowiony porządek nabożeństwa i przeszkadzając nam w modłach do Buddy?

— Wasz kaznodzieja, najjaśniejszy panie, prawil tylko o nauce Małego Wozu — odpowiedziała bodhisattwa — a w ten sposób nie da się zbawić cierpiących dusz i przenieść ich do nieba. Tylko przez naukę Wielkiego Wozu utrwaloną w świętych księgach Tripitaki można uwolnić dusze od cierpień, można pomóc ludziom w nieszczęściu i zapewnić długowieczność.

Na tę uwagę twarz T'ai-tunga rozpromieniła się radosną nadzieją.

— A gdzie można poznać tę wspaniałą naukę Mahajany? — zapytał.

— W Zachodnim Raju, w Indii, w Świątyni Huczących Grzmotów, tam gdzie przebywa Budda Tathagata — oświadczyła Kuan-in. — Dzięki nauce Mahajany można się pozbyć wszelkich kłopotów, uchronić się od tysiąca nieszczeńć.

— A czy wy znacie tę naukę? — zapytał coraz bardziej zaciekawiony cesarz.

— Tak, znam! — odparła bodhisattwa.

— W takim razie poprosimy naszego mistrza, żeby was zaprowadził na mównicę. Chcielibyśmy posłuchać waszego kazania o tej nowej nauce — rzekł ucieszony cesarz.

W tym momencie bodhisattwa wraz ze swym uczniem Moksą wleciała na mów-

nicę, a z niej uniosła się na cudownej chmurze prosto ku dziewiątej sferze niebios. Przybrała swą pierwotną postać bogini wybawicielki z nieszczęść. W rękę trzymając cudowny wazon z gałązką wierzby ukazała się ludowi w całym swym boskim majestacie. Z lewej strony jej uczeń Moksza, Huei-an, wiernie dotrzymywał jej towarzysztwa. Urzeczoną tym widokiem władca T'angów bił pokłony, a jego wojskowi i cywilni dostojnicy padli na kolana i palili kadzidła na cześć bodhisattwy. Uczestnicy nabożeństwa — mnisi, mniszki, urzędnicy, rzemieślnicy, kupcy — również pochylili się w pełnym czci pokłonie i wznosili okrzyki:

— O, cudowna bodhisattwo! Chwała niech będzie wielkiej bodhisattwie!

Pełen zachwytu władca T'angów zapomniał w tej chwili o całym świecie, jego wojskowi i cywilni urzędnicy porzucili dworską etykietę. Wszyscy wzywali imię bodhisattwy Kuan-in.

T'ai-tsung kazał natychmiast wezwać najzdolniejszego malarza, aby farbami i tuszem utrwalił prawdziwy wygląd bodhisattwy. Polecenie cesarza zostało w mgnieniu oka spełnione. Wybrano dla tego niezwyklego zadania mistrza kolorów Wu Tao-tsy, który wślawił się już licznymi obrazami świętych i nieśmiertelnych. Był to ten sam znakomity artysta, który uwiecznił na jedwabiu postaci wybitnych ludzi epoki T'ang. Malarz nie zwlekając przystąpił do pracy. Tymczasem bodhisattwa na dobrowolnym obłoku wznosiła się coraz wyżej, aż w końcu otaczający ją blask zniknął, a z nieba, obracając się w powietrzu, opadła kartka papieru, na której widniał bardzo czytelny tekst:

„Pokłony i pozdrowienia śle wielkiemu władcy T'angów! Święte księgi Mahajany znajdziecie w Zachodnim Raju. Kto się po nie wyprawi, długą drogę osiemnastu tysięcy wiorst przebyć musi, przedzierając się przez dzikie ostępy, które zamieszkują krwiożercze demony, upiory i widma. Jeśli jednak znajdzie się człek tak odważny, by dotrzeć do rajy i z księgami wrócić, na wieczne zbawienie i pamięć u ludzi tym czynem sobie zasłuży”.

T'ai-tsung przeczytał kartkę, a następnie zwrócił się do mnichów w te słowa:

— Przerwiemy teraz na chwilę modły. Musimy bowiem wybrać człowieka, który wyprawi się na zachód po święte księgi Mahajany. W ten sposób okażemy jeszcze większą żarliwość dla nauk Buddy, dokonamy czynu, który nas do niego bardziej przybliży.

Wszyscy urzędnicy cesarscy gotowi byli natychmiast wyruszyć, spełniając wolę swego władcy. Również w świątyni zapytano: — Kto pragnie spełnić wolę naszego prześwietnego władcy i udać się do Zachodniego Raju po święte księgi?

Cesarz nie skończył jeszcze pytania, gdy z grupy mnichów wystąpił przeor Hüan-tsang i padłszy na kolana przed władcą, rzekł:

— Jestem biednym mnichem i chociaż talenty moje są mierne, dam z siebie wszystko, aby spełniając wolę waszej wysokości, sprowadzić do nas święte księgi z Zachodniego Raju. Mam nadzieję, że tym sposobem przyczynię się chociaż w nieznacznej mierze do umocnienia siły naszego państwa.

Z radością w sercu władca T'angów wysłuchał tych słów. Podeszedł do przeora i własnoręcznie podniósłszy go z klęczek rzekł:

— Jestem w pełni przekonany, czcigodny przeorze, iż wszystko gotów jesteś dla mnie zrobić. Wiem, że niestraszna ci daleka wędrówka, niebotyczne góry i rwące rzeki. Dlatego pozwól, bym cię odtąd uważał za swego brata.

Hüan-tsang nisko skłonił się przed cesarzem dziękując mu za tak wielki zaszczyt. Cesarz był człowiekiem jaśniejącym cnotami, zaprowadził tedy przeora do świątyni przed posąg Buddy i cztery razy skłoniwszy się przed Hüan-tsangiem, zwrócił się do niego: „Czcigodny mnichu, bracie mój”.

Hüan-tsang nie przestawał dziękować cesarzowi za otrzymaną łaskę i w końcu powiedział:

— Wasza wysokość, czyż godzi się mnie, biednemu mnichowi, nie wyróżniającemu się ani specjalnymi cnotami, ani umiejętnościami, przyjmować od ciebie tak wielką i niezasłużoną łaskę? W czasie pielgrzymki dołożę wszelkich sił, w jakie moje nędzne ciało jest wyposażone, by dotrzeć do Zachodniego Raju. Jeśli tam nie dojdę, jeśli nie uda mi się zdobyć świętych ksiąg, to raczej umrę i na wieki pograżę się w czeluściach piekieł, niżbym miał wrócić z pustymi rękami.

Następnie spalił przed posągiem Buddy kadzidło, by słowa jego zostały wzięte za przysięgę.

Władca T'angów z radością przyjął zapewnienie Hüan-tsanga i wydał rozkaz powrotu do pałacu, żeby tam w oczekiwaniu na szczęśliwy dzień dla rozpoczęcia wędrówki zaopatrzyć pielgrzymy w odpowiednie, niezbędne w dalekiej drodze dokumenty.

Hüan-tsang tymczasem powrócił do Klasztoru Wielkiej Szczęśliwości, gdzie był przeorem. Na spotkanie wyszli mu liczni mnisi wraz ze swymi uczniami. Doszły już do nich wieści o dalekiej pielgrzymce po święte księgi, jaka oczekiwała ich przeora.

— Czy to prawda, mistrzu, że złożyliście przysięgę, że wyprawicie się do Zachodniego Raju? — pytali go.

— Tak, przysięgłem to — odparł Hüan-tsang.

— Mistrzu — zagadnął jeden z jego uczniów — słyszałem, że ten Zachodni Raj jest bardzo daleko, a w dodatku pełno dzikich, drapieżnych bestii i zwodniczych upiórów czyha na wędrowca po drodze. Czy się nie boisz, że możesz nie wrócić z tej pielgrzymki? Ponoć łatwo można tę odwagę przypłacić życiem.

— Nie na darmo złożyłem uroczystą przysięgę, że raczej na wieki pograżę się w czeluściach piekielnych, niżbym miał bez świętych ksiąg pojawić się z powrotem w stolicy. Przyjąwszy dary i łaski, jakimi szczerze obsypał mnie nasz władca, czyż mógłbym się mu nie odwdziżyć, poświęcając nawet życie dla dobra naszego kraju? W pełni świadom jestem trudów wędrówki i niebezpieczeństw, jakie na mnie po drodze czyhają.

Po chwili Hüan-tsang zwrócił się do wszystkich mnichów w te słowa:

— Uczniowie moi, nie będzie mnie ze dwa, trzy lata, a może nawet do mojego powrotu upłynie pięć albo siedem lat. Cokolwiek by się zdarzyło, pamiętajcie: dopóki gałązki sosny rosnącej przed bramą naszego klasztoru zwrócone będą na wschód, będzie to znak, że do was wrócę. W przeciwnym razie, nigdy się już więcej nie zobaczymy.

Wszyscy mnisi bardzo dobrze zapamiętali tę przepowiednię.

Następnego dnia w czasie porannej audiencji cesarz w obecności wszystkich dostojników państwa podpisał specjalny dokument, stwierdzający, że Hüan-tsang udaje się po święte księgi, i zaopatrzył go pieczęcią cesarstwa, która pozwala swobodnie podróżować na terenie całego kraju. Wtedy wystąpił główny astronom cesarski i oświadczył:

— Dzisiaj akurat wypada dzień szczęśliwy do wyruszenia w drogę. Układ gwiazd na niebie wróży pomyślność pielgrzymom.

Wiadomość ta bardzo ucieszyła władcę T'angów. W tym momencie od bramy pałacu nadbiegł strażnik i zameldował:

— Brat cesarza, przeor Hüan-tsang, oczekuje u wejścia.

Cesarz kazał natychmiast poprosić mnicha do sali tronowej.

— Bracie mój — zwrócił się do niego — dzisiaj właśnie wypada dzień szczęśliwy do wyruszenia w drogę. Oto dokumenty uprawniające cię do przekroczenia granic naszego państwa. Chciałbym też od siebie podarować ci na drogę tę miskę jałmużniczą z fioletowego złota. Przyda ci się dla zbierania datków w czasie długiej wędrówki. Wybrałem już dwóch ludzi, którzy będą ci towarzyszyć, a także daję ci konia, aby wioził twoje rzeczy. A teraz możesz już wyruszać w drogę.

Uszczęśliwiony Hüan-tsang przyjął z wdzięcznością cenne dary i bez najmniejszej zwłoki ruszył w kierunku bram miasta. Odprowadzał go sam cesarz w otoczeniu licznych dostojników dworu. U bram miasta oczekiwali na swego przeora mnisi i uczniowie z Klasztoru Wielkiej Szczęśliwości. Ofiarowali świętemu pielgrzymowi letnią i zimową szatę. Cesarz kazał wówczas zapakować wszystkie rzeczy, przyprowadzić konia i nalać wina dla spełnienia pożegnalnego toastu.

Wznosząc czarkę z winem T'ai-tsung zwrócił się do Hüan-tsanga z pytaniem:

— Bracie mój, jak brzmi twoje czcigodne imię?

— Jestem przecież mnichem — odparł Hüan-tsang — porzuciłem dom rodzinny i nie śmiem używać innego imienia poza zakonnym.

— Pamiętam, jak bodhisattwa mówiła — ciągnął dalej cesarz — że święte księgi w Zachodnim Raju zwane są Tripitaka. Ty, mój bracie, mógłbyś tę nazwę przyjąć jako swoje imię. Będziemy cię odtąd nazywać Tripitaką. Cóż ty na to?

Hüan-tsang z wdzięcznością przyjął swoje nowe imię, jednak odbierając od cesarza czarkę z winem, powiedział:

— Wasza wysokość, wstrzeźliwość od wina jest pierwszym nakazem mnicha, i ja nie mogę tego wina wypić.

— Dzisiaj jednak jest dzień szczególny, dzień rozpoczęcia podróży w tak ważnej misji — przekonywał go T'ai-tsung — a ponadto wino jest zupełnie słabe. A więc wypijmy po czarce za pomyślność w podróży.

Tripitaka nie śmiał odmówić cesarzowi. Jednak w chwili gdy już podnosił czarkę do ust, cesarz gwałtownie się schylił, wziął między dwa palce szczyptę ziemi i wyspał mu do wina. Tripitaka nie mógł zrozumieć, co to miało znaczyć. Wtedy T'ai-tsung roześmiał się i rzekł:

— Drogą bracie, udajesz się w daleką podróż do Zachodniego Raju. Czy wiesz, kiedy wrócisz?

— Chyba za trzy lata zdołam dotrzeć tu z powrotem — odpowiedział Tripitaka.

— O, to bardzo dużo czasu — orzekł cesarz. — Czeka cię ciężka i długa droga. Wypij to wino, drogi bracie! Przecież słusznie się powiada, że garść rodzinnej ziemi droższa jest od dziesięciu tysięcy liang złota z obczyzny.

Dopiero teraz Tripitaka pojął znaczenie szczypty ziemi wrzuconej przez cesarza do jego czarki z winem. Wypił więc wino do dna, a następnie podziękowawszy cesarzowi za wszystkie łaski, jakimi go obdarzył, wyruszył w drogę. Władca T'angów zaś powrócił do swego pałacu.

Jeżeli chcecie się dowiedzieć, kogo Tripitaka spotkał na początku swej wędrówki, posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

*o tym, jak zbuntowana małpa powróciła na Drogę
Prawdy i jak się rozprawiła z sześcioma rozbójnikami.*

Jak powiedzieliśmy, trzy dni przed pełnią księżyca w dziewiątym miesiącu trzynastego roku ery Czen-kuan Tripitaka odprowadzany przez władcę T'angów i rzesze jego urzędników opuścił mury Cz'ang-anu. Po dwóch dniach nieprzerwanej wędrówki dotarł do klasztoru Fa-men, w którym został uroczyście, z należną czcią powitany. Później Tripitaka wraz ze swymi dwoma sługami zatrzymał się na trochę w mieście Kungczou i wkrótce po tym opuścił państwo T'angów przez graniczną warownię w Heczou. Od tej pory pielgrzym musiał już liczyć tylko na własne siły, a trudności i niebezpieczeństwa dopiero się zaczynały. Po przebyciu kilkudziesięciu wiorst trudno się było nawet doszukać jakiegokolwiek drogi. Nieszczęścia też nie kazały na siebie długo czekać. Tripitaka natknął się wkrótce na trzy krwiożercze olbrzymy, Księcia Demonów, Byka-Samotnika i Niedźwiedzia-Władcę Góry, którzy w tych stronach czatowali na wędrowców. Dwaj towarzysze Hüan-tsanga zginęli rozszarpani przez te potwory, a on sam ocalał dzięki Duchowi Gwiazdy Wieczornej, który, przyjmąwszy postać białowłosego starca, uwolnił go z pęt. Tripitaka podążył w dalszą wędrówkę samotnie. Szczęśliwie ocalały koń niósł na swym grzbiecie skromny dobytek mnicha.

Przez więcej niż pół dnia Tripitaka wspinał się na wysokie zbocze Szuang-cz'a-lingu, nie napotykał na swej drodze śladów ludzkiego bytowania. Droga stawała się jednak coraz trudniejsza do przebycia. Nagle w pobliżu rozległo się pochrapywanie tygrysa, a z boku wędrowiec ujrzał straszliwe sploty wijących się wśród traw jadowitych gadów. Wystraszony wierzchowiec stanął w miejscu i prychając nie chciał zrobić ani kroku naprzód. Tripitaka już zupełnie stracił nadzieję na ocalenie, gdy zza wzniesienia ukazał się jakiś człowiek z rohatyną w ręku oraz łukiem i strzałami u pasa. Był to myśliwy Liu Po-ts'in, zwany również Wielkim Strażnikiem Gór. Gady na jego widok czmychnęły w popłochu między skalne szczeliny, a tygrys po zaciekłej, wielogodzinnej walce z myśliwym zginął ugodzony rohatyną w samo serce. Liu Po-ts'in

dowiedziawszy się, komu życie ocalił, zaprosił Tripitakę do swej chaty, w której mieszkał ze zgrzybiałą staruszką, swoją matką. Oboje z wielkim szacunkiem odnieśli się do pielgrzyma, nakarmili go, dali wypocząć i następnego dnia wyprawili go w dalszą podróż. Tripitaka nie chciał przyjąć od rodziny Liu żadnych prezentów i prosił tylko, by myśliwy zechciał go odprowadzić do następnego postoju.

Około południa Tripitaka w towarzystwie myśliwego i kilku jego ludzi zbliżyli się do jakiejś bardzo wysokiej góry. Szczyty jej, rzec by można, tonęły w niebie. Na każdym kroku ziały przed nimi bezdenne przepaście, strzelały w niebo poszarpane skały. Myśliwy z zadziwiającą łatwością wspinał się na górę, jakby szedł po równej ziemi, podczas gdy Tripitaka zaledwie pokonał niewielkie wzniesienie u podnóża góry. Gdy w końcu znaleźli się obydwoj mniej więcej w połowie wspinaczki na szczyt, myśliwy zatrzymał się i zwrócił się do Tripitaki w te słowa:

— Czcigodny ojcze, teraz powinienem się z tobą pożegnać. Dalej pójdziesz już sam.

Usłyszawszy to, Tripitaka szybko zsiadł z konia i rzekł:

— Bardzo proszę, byś zechciał podprowadzić mnie jeszcze kawałek drogi.

— Z pewnością nie wiesz, czcigodny ojcze — odparł Liu Po-ts'in — że ta góra zwie się Górą Graniczną Dwoch Światów. Wszystko, co leży na wschód od niej, znajduje się we władaniu państwa wielkich T'angów, a po jej zachodniej stronie zaczynają się tereny należące do Tatarów. Tygrysy i wilki po tamtej stronie góry już mi nie podlegają. A ponadto nie mam prawa przekraczać tej granicy. Tak więc dalej przyjdzie ci wędrować w pojedynkę.

Zrozpaczony Tripitaka załamywał ręce, ledwo powstrzymując łzy cisnące się do oczu, błagalnie chwycił myśliwego za rękaw. I oto, gdy tak z bólem w sercu się żegnali, nagle gdzieś z głębi góry zagrział echem potężny głos:

— Mój mistrz przyszedł! Nareszcie! Przyszedł wreszcie mój mistrz!

Tripitaka stanął jak wryty, a dzielny Liu Po-ts'in drżał cały z przerażenia. Nie zdążyli jeszcze dojść do siebie po pierwszym wstrząsie, gdy znów do uszu ich dobiegł okrzyk: — Wspaniale! Mój mistrz nareszcie przyszedł!

— To na pewno woła ta stara małpa, zamknięta w kamiennej skrzyni u podnóża góry — zauważył któryś ze sług towarzyszących myśliwemu.

— Tak, to na pewno ona! — wykrzyknął myśliwy.

— A co to za stara małpa? — zapytał Tripitaka.

— Dawniej góra ta nazywała się Wu-sing-szan, czyli Górą Pięciu Elementów — wyjaśnił myśliwy — i dopiero władca T'angów w czasie swej wyprawy na zachód przeciwko barbarzyńcom nazwał ją Górą Graniczną Dwoch Światów. Przed laty przypadkiem spotkałem jakiegoś starca, który opowiedział mi historię tej góry. W czasach gdy za dynastii Han władzę w kraju uzurpował Wang Mang, niebo spuściło na ziemię tę górę i uwięziło pod nią jakąś cudowną małpę. Już od wieków tkwi ona pod tą górą, niewrażliwa na skwar słoneczny ni na zimno nocy, nic przez cały czas nie jedząc ani nie pijąc. Strzeże jej duch opiekuńczy góry, który ma na podorędziu żelazne kule, gdyby małpa zgłodniała, i roztopioną miedź, na wypadek, gdyby ją dręczyło pragnienie. Siedzi w zamknięciu już od tylu lat i jakoś jeszcze nie zdechła z zimna ani

z głodu. To z pewnością ta małpa tak przeraźliwie hałasuje. Ale ty, czcigodny ojczy, nie masz powodu jej się obawiać. Jeżeli chcesz, możemy zejść na dół i ją obejrzeć.

Tripitaka przystał na propozycję myśliwego i ciągnąc za sobą konia, zszedł z nim do podnóża góry. Uszli zaledwie kilka wiorst i w końcu ujrzeli zamkniętą w kamiennej skrzyni małpę. Na ich widok małpa podniosła głowę, wysunęła do przodu i gwałtownie się szamocząc zawołała:

— Mistrzu! Dlaczego tak długo nie przybywałeś? Bardzo się cieszę, że w końcu cię widzę! Jak to dobrze! Uwolnij mnie z tej skrzyni, a przysięgam, że towarzyszyć ci będę aż do Zachodniego Raju!

Tripitaka podszedł bliżej do kamiennej skrzyni i uważnie się przyjrzał więzionej małpie. Czy wiecie, jak ona wyglądała?

Pysk miała z głodu wydłużony, policzki zapadłe, w oczach błyskały złociste ogniki, czoło porosło mchem zielonkawym, a w uszach sterczało pełno traw i liści. We włosach tkwiły pęki dzikich traw, w długich wąsach pełno było piachu, broda spływała niczym strzępiaste wiechy turzycy. Między brwiami przylgnęła grudka gliny, szlamem zatkany nos nadawał małpie wygląd budzący odrazę i litość. Ręce grubo pokryte się brudem, paznokcie w nie lepszym miała stanie. Tylko sprytnie oczka połyskiwały nieklamana radością, a głos jej rozbrzmiewał dziwną potulnością. Mówiła szybko i składnie, jednak unieść się ni ruszyć nie mogła. Tak to właśnie wyglądał Sun Wu-k'ung, Wielki Mędrzec Równy Niebu, po pięciu wiekach więzienia pod Górą Pięciu Elementów. Czyż nadszedł wreszcie dzień uwolnienia go od niebiańskiej kary?

Myśliwy Liu, który słyszał z odwagi, śmiało podszedł do małpy, powyciągał jej z włosów trawę, strząsnął z wąsów piasek i zawołał:

— Co chcesz nam powiedzieć? Mów!

— Tobie nie mam nic do powiedzenia — odparła małpa — ale poproś tu tego czcigodnego mnicha. Chcę go o coś zapytać.

— O co chcesz mnie zapytać? — zainteresował się Tripitaka.

— Czy nie jesteś przypadkiem tym świątobliwym mnichem, którego władca krainy wschodu wysłał po święte księgi do Zachodniego Raju?

— Tak, to ja — odpowiedział Tripitaka. — A dlaczego o to pytasz?

— Jestem Wielki Mędrzec Równy Niebu, który przed pięciuset laty urządził awanturę w niebie — pochwalił się Sun Wu-k'ung. — Za karę, za moje wybryki, wielki Budda uwięził mnie tu, pod tą górą. Niedawno przechodziła tędy bodhisattwa Kuan-in, którą Budda wysłał do krainy wschodu, by tam znalazła człowieka godnego pielgrzymowania po święte księgi. Błagałem ją, żeby mnie wybawiła od tych katuszy, jakie tu cierpię. Obiecała mnie uwolnić, jeśli więcej już nie będę czynił zła i posłuszny przykazaniom Buddy, ze wszystkich sił, całym sercem służyć będę świątobliwemu mężowi, który uda się na zachód po święte księgi. Jedynie w ten sposób będę mógł odpokutować za swoje winy. Dlatego dniami i nocami z niecierpliwością oczekiwałem nadejścia czcigodnego mistrza, w nadziei, że mnie stąd uwolni. Zostanę twym wiernym uczniem i sługą. Będę cię chronić przed rozlicznymi niebezpieczeństwami, aż zdobędziemy święte księgi.

Tripitaka wpadł w zachwyt, gdy usłyszał słów a króla małpa.

— To wspaniale, że postawiłeś przed sobą taki zbożny cel, zdecydowałeś się skorzystać z zaleceń bodhisattwy i zostać buddyjskim mnichem — rzekł Tripitaka. — Kłopot polega tylko na tym, że nie mam przy sobie siekiery ani dłuta i nie wiem, jak cię mogę wyswobodzić.

— Do tego nie potrzeba siekiery ani dłuta — wyjaśniła małpa. — Wystarczy tylko, żebyś tego chciał, a będę wolna.

— Bardzo chcę ci pomóc — rzekł świątobliwy mnich — ale naprawdę nie wiem, w jaki sposób mogę cię stąd uwolnić.

— Na szczycie tej góry znajduje się tabliczka ze złotymi znakami wyciśniętymi przez samego Buddę — powiedziała wtedy małpa. — Wystarczy, że tam wejdiesz i oderwiesz tabliczkę od skały, a ja będę mogła stąd swobodnie wyjść.

Tripitaka postanowił spełnić prośbę małpy, toteż zwrócił się do Liu Po-ts'ina w te słowa:

— Drogi strażniku gór, zechciej, proszę, wspiać się ze mną na szczyt tej góry.

— Przecież nie wiadomo jeszcze, czy ta małpa mówi prawdę, czy kłamie — rzekł z powątpiewaniem myśliwy.

— Wszystko, co powiedziałam, to najczystsza prawda! — krzyknęła na cały głos małpa. — Jakżebym śmiała wprowadzać w błąd czcigodnego mistrza?

Wtedy Liu Po-ts'in krzyknął do jednego ze swych sług, by przytrzymał konia, a sam wzięwszy Tripitakę pod ramię zaczął się wspinać na szczyt góry. Po drodze przyszło się im przedzierać przez gęstwinę zarośli, jednak w końcu dotarli na wierzchołek góry i rzeczywiście ujrzeni tam skrzącą się tysiącem złocistych promieni kwadratową płytę kamienną, do której przyklepiona była tabliczka z sześcioma złotymi znakami: „Om mani padme hum”.

Tripitaka podszedł do kamiennej płyty i uklękawszy przed nią z oczyma utkwionymi w złotych znakach zaczął bić pokłony. Następnie, zwróciwszy twarz ku zachodowi, wypowiedział słowa modlitwy:

— O, wielki Buddo! Twój pokorny uczeń, Cz'en Hüan-tsang, z woli cesarza wyruszył na poszukiwanie świętych ksiąg. Jeśli przeznaczeniem tej małpy jest zostać moim uczniem, spraw, by złoty napis odpadł z kamiennej płyty, a wtedy opuści swe więzienie cudowna małpa i wiernie towarzyszyć mi będzie na świętą górę Buddy. Jeśli zaś nie jest jej sądzone zostać moim uczniem, jeśli jest ona podłym, niepoprawnym stworem, który by tylko mnie oszukał i zhańbił twoje imię, jeśli godzina jej szczęścia jeszcze nie wybiła, niechaj ten napis pozostanie na miejscu.

I oto, gdy tylko skończył się modlić i składając pokłony zbliżył się do kamiennej tablicy i lekko dotknął napisu, nagle powiał wonny wiaterek, odlepił napis od skały i lekko uniośł go w powietrze. Jednocześnie rozległ się z góry potężny głos:

— Jam jest strażnikiem Wielkiego Mędrca. Dzisiaj skończył się okres jego kary, a więc udaję się do Buddy Tathagaty, żeby mu odnieść tę tabliczkę.

Drżąc z wrażenia Hüan-tsang, Liu Po-ts'in i towarzyszący mu słudzy skłonili się w stronę, z której dobiegał głos, a następnie wszyscy zeszli do podnóża góry, gdzie w kamiennej skrzyni przebywała małpa.

— Napis zdjęty — powiedzieli jej. — Możesz wychodzić!

— Mistrzu — krzyknęła rozradowana małpa — odsuńcie się wszyscy trochę dalej, żebym was nie przeraziła, gdy będę wychodzić.

Usłyszawszy te słowa Liu Po-ts'in poprowadził Tripitakę i swoich ludzi w bezpieczne miejsce na wschód od jamy, w której przebywała małpa. Oddalili się na odległość około siedmiu wiorst, ale znów posłyszeli wołanie małpy: — Dalej! Jeszcze dalej odejdźcie!

Tripitaka i jego towarzysze oddalili się trochę i zupełnie zeszli z góry. W tym momencie rozległ się potężny huk, jakby ziemia się rozstępowała i góra się zapadała. Ze strachu wszyscy zamarli. Dopiero po chwili ujrzeli małpę, która zupełnie naga podeszła do konia Hüan-tsanga i upadłszy przed mnichem na kolana, zawołała:

— Mistrzu! Jestem wreszcie wolna!

Skłoniwszy się czterokrotnie przed Tripitaką, małpa szybko poderwała się i powitała również myśliwego.

— Czcigodny bracie — przemówiła do niego — serdecznie ci dziękuję, żeś wziął na swe barki trud odprowadzenia mojego mistrza. — A teraz, bądź tak dobry i powyrwij mi te przekłete zielsko, co mi wyrosło na twarzy.

Podziękowawszy za przysługę, małpa powiązała podróżne toboły mnicha i umocowała je na grzbiecie konia, który, gdy tylko ją zobaczył, stał spokojnie, posłuszny jej poleceniom, i drżał na całym ciele, nie śmiejąc bez jej rozkazu ruszyć z miejsca. A przyczyna tego była bardzo prosta. Otóż małpa swego czasu zajmowała stanowisko pimawena i doglądała koni w niebiańskich stajniach. Znała więc różne sposoby na zmuszanie koni i smoków do posłuszeństwa. Dlatego ziemski koń, gdy tylko ją ujrzął, przeląkł się nie na żarty.

Tripitaka widząc, że małpa ma dobre zamiary i że zachowuje się tak, jak przystoi prawdziwemu wyznawcy Buddy, zwrócił się do niej z pytaniem:

— Uczniu mój, powiedz mi, jak się nazywasz?

— Moje nazwisko brzmi Sun — odpowiedział król małp.

— Nadam ci w takim razie imię zakonne — zaproponował Tripitaka. — Łatwiej tak będzie mi się do ciebie zwracać.

— Nie trudź się daremnie, mistrzu — rzekł na to król małp. — Ja już mam zakonne imię. Nazywam się Sun Wu-k'ung, co znaczy „Sun, który poznał Niebyt”.

— To świetnie! — zawołał uradowany Tripitaka. — Twoje imię akurat należy do grupy imion, które noszą członkowie mojej sekty. Jednak jako że z wyglądu przypominasz mi jakiegoś odludka, który nie usiedzi na jednym miejscu, dam ci jeszcze przydomek Sing-cze, czyli Wędrowiec. Zgadzasz się?

— Świetnie! Cudownie! Wspaniale! — cieszył się Sun Wu-k'ung i od tej pory zwano go również Sun Sing-cze, czyli Sunem Wędrowcem.

Tymczasem Liu Po-ts'in widząc, jak Sun Wędrowiec starannie zapakował rzeczy mnicha do dalszej podróży, podszedł do Tripitaki, pokłonił mu się i rzekł:

— Bardzo się cieszę, czcigodny mistrzu, że szczęśliwie pozyskaliście dla siebie takiego zdolnego i zaradnego ucznia. Bardzo jestem z tego rad. Taki uczeń na pewno

ogromnie się wam przyda po drodze. A ja w takim razie mogę już ze spokojnym sercem pożegnać się z wami i powrócić do domu.

Tripitaka odklonił mu się i dziękując za pomoc rzekł:

— Nie wiem, jak zdołam ci się odwdziżyć. Taki szmat drogi ciągnąłem cię za sobą! Po powrocie do domu, proszę cię, przekaż swojej matce i żonie moje najgościsze pozdrowienia i przeprosiny, że sprawiłem im tyle kłopotu. A w drodze powrotnej niezawodnie do was wstąpię, żeby jeszcze raz wam za wszystko podziękować.

Liu Po-ts'in jeszcze raz się pokłonił świętemu mnichowi i w ten sposób na dobre się rozstali.

Sun Wędrowiec zaprosił Tripitakę, żeby wsiadł na konia, a sam, zarzuciwszy na plecy tobołki mnicha, zupełnie nagusieńki, żwawo kroczył przodem. Niedługo potem, gdy już się przeprawili przez Górę Graniczną Dwoch Światów, na ich drodze pojawił się nagle tygrys. Ryczał jak oszalały i wściekle bił na wszystkie strony ogonem. Dosiadający konia Tripitaka zamarł ze strachu, zaś stojący na skraju drogi Sun z nie ukrywaną radością w głosie powiedział:

— Nie bój się go, mój mistrzu! On po prostu chce mi dostarczyć materiału na przyodziewek. — To rzekłszy, Sun Wu-k'ung złożył na ziemi tobołki, wyciągnął zza ucha igłę i zwróciwszy się twarzą pod wiatr, machnął nią kilka razy w powietrzu. W mgnieniu oka igła przemieniła się w potężną żelazną żerdź.

— Już chyba ponad pięćset lat nie używałem tego skarbu! — zawołał śmiejąc się Sun Wu-k'ung i potrząsnął cudowną żerdzią. — Niech więc dzisiaj pomoże mi zdobyć materiał na przyodziewek, żebyśmy mieli się w co ubrać.

Spójrzcie tylko, jak król małp wyciągając nogi ruszył prosto na tygrysa!

— Ach ty, przekłete bydle! Dokąd uciekasz? — krzyknął za potężnym zwierzęciem.

Tygrys ze strachu aż przysiadł na zadnie łapy, po czym przywarł do ziemi, nie śmiejąc się nawet poruszyć. W tym momencie żerdź króla małp całym ciężarem spadła na jego głowę, rozbryzgując mózg na wszystkie strony. Ziemia dokoła zabarwiła się czerwienią posoki, a wybite zęby zwierza tkwiły w niej niczym perły w szkarłacie.

Prerażony okrucieństwem swego ucznia Cz'en Hüan-tsang zsunął się z konia, odbiegł kilka kroków na bok i, zagryzając ze strachu palce, wołał:

— O niebo! Niebo! Co się tu dzieje! Gdy myśliwy Liu przed dwoma dniami zabił przegowanego tygrysa, musiał z nim przedtem stoczyć długą i zaciętą walkę. A teraz ten Sun Wu-k'ung nawet się specjalnie nie wysiłał, podszedł do bestii i jednym uderzeniem zrobił z niej miazgę. Słusznie się powiada, że „każdy siłacz w końcu natknie się na silniejszego od siebie”.

Tymczasem Sun Wu-k'ung przyciągnął tygrysa do mnicha i rzekł:

— Usiądź na chwilę, mój mistrzu, i odpocznij sobie, a ja przez ten czas ściągnę z niego ubranie i na siebie założę. A potem już będziemy mogli wędrować dalej.

— Gdzież ten tygrys ma jakieś ubranie? — zapytał zdziwiony Tripitaka.

— Nie martw się o to, mistrzu — odpowiedział Sun Sing-cze. — Już ja wiem, co mam robić.

Cóż to był za wspaniały król małp! Wyrwał sobie z ciała jeden włos, dmuchnął

w niego czarodziejskim oddechem i wyrzekł: „Zmień się”. I rzeczywiście, w jednej chwili włosy ten przemienił się w niewielki ostry nóż. Król małp rozpruł nim tygrysowi brzuch od głowy do ogona i ściągnął z niego skórę. Następnie odciął łapy, odciął głowę i wyrównawszy brzegi w kwadrat, przymierzył ją na sobie.

— Trochę za szeroka — ocenił. — Trzeba ją będzie rozciąć na dwie części.

Wyjął tedy nóż i zrobił, jak powiedział. Później jedną część złożył i schował, a drugą owinął się w pasie, mocno obwiązał lianami wyrwanymi gdzieś przy drodze, i tak przykrywszy dolną część ciała stanął przed świętym mnichem i rzekł:

— Możemy już iść, mistrzu! Możemy już ruszać w dalszą drogę. Jak przyjdziemy między ludzi, to pożyczę igłę i zeszycie moje ubranie jak należy!

Następnie znów wypowiedział odpowiednie zaklęcie i żerdź z powrotem przemieniła się w igłę, którą skrył za uchem. Zarzucił tobołki na plecy, a mistrza poprosił, żeby zechciał dosiąść konia.

Gdy tak przewędrowali już spory kawałek drogi, świątobliwy starzec zwrócił się z pytaniem:

— Sun Wu-k'ungu, gdzie jest ta twoja żerdź, którą zabiłeś tygrysa?

— Z pewnością nie domyślasz się, mistrzu, co to za cudowna żerdź — rzekł uśmiechając się Wędrowiec. — Otrzymałem ją w pałacu Króla Smoków Wschodniego Oceanu. Dawniej żerdź ta nazywała się „Cudownym Żelazem do Ubijania Drogi Mlecznej na Niebie” albo „Spełniająca Życzenia Żerdzią ze Złotymi Obręczami”. Tą żerdzią właśnie wznicilem bunt w państwie niebieskim, urządziłem tam wielką awanturę. Noszę ją zawsze przy sobie i mogę zmieniać jej wielkość według życzenia. Gdy chcę, żeby była wielka, wielką się staje, gdy zaś potrzebuję ją ukryć, jest taka właśnie mała jak teraz. Przed chwilą przemieniłem ją w igłę do haftowania i założyłem ją za ucho. W ten sposób, gdy zachodzi potrzeba, mam ją zawsze pod ręką.

Tripitace bardzo się spodobało to, co mu jego uczeń opowiedział.

— A dlaczego ten tygrys na twój widok nagle znieruchomiał i pozwolił ci się zabić bez walki? — zapytał znów Tripitaka po chwili milczenia.

— Nie będę cię okłamywał, mój mistrzu — wyjaśnił Sun Wu-k'ung — ale czy to będzie tygrys, czy smok, żaden się nie odważy na mnie napaść. Bo wiedzą, że ja, Sun, znam wiele różnych sposobów poskramiania smoków i ujarzmiania tygrysów. Potrafię też cofać wody rzek, wywoływać burze na morzu. Spojrzawszy na jakiś przedmiot, potrafię określić jego istotę, usłyszawszy dźwięk, mogę ustalić jego źródło powstania. Potrafię pokonać wszystko na świecie, od najcieńszego włoska po cały wszechświat. Umiem się przemieniać w niezliczoną ilość rzeczy i nikt nie zdoła odgadnąć, czym w danej chwili jestem. Zobaczysz jeszcze, mistrzu, na co mnie stać, gdy znajdziemy się w prawdziwych opałach.

Wysłuchawszy tego wszystkiego Tripitaka znacznie się uspokoił, podciął lekko konia i podążył przed siebie. Tak mistrz i jego uczeń gwarząc o tym i o owym jechali dalej i nawet nie zauważyli, jak słońce zaczęło się kryć na zachodzie za horyzontem.

— Mistrzu — rzekł Wędrowiec — pośpieszmy się trochę. Robi się późno. Wydaje mi się, że w lesie, który widać tam w dali, na pewno mieszkają ludzie. Musimy się tam dostać jak najszybciej i poprosić o nocleg.

Tripitaka popędził konia i wkrótce rzeczywiście dotarli do jakiegoś zamieszkałego domostwa. Mnich zsiadł z konia, a Wędrowiec złożywszy na ziemi tobołki, podszedł do bramy i na cały głos zawołał:

— Hej! Otwórzcie nam bramę! Puśćcie nas do środka!

Po chwili z wnętrza domu wynurzył się jakiś starzec. Wspierając się na bambusowej lasce zbliżył się do bramy i otworzył ją ze straszliwym zgrzytem. Gdy wzrok jego padł na Wędrowca, owiniętego w pasie tygrysią skórą i wyglądającego jak upiorny Książę Piorunów, nogi pod staruszkiem ugięły się ze strachu, a z ust jego wyrwał się okrzyk:

— Diabeł przyszedł! Diabeł stoi przed bramą!

Tripitaka podszedł do starca i podtrzymując go pod ramię, jak mógł, uspokajał:

-- Czcigodny dobroczyńco, niczego się nie obawiaj. To nie diabeł ani upiór, lecz mój uczeń.

Staruszek uniósł głowę i ujrawszy statecznego Tripitakę, uspokoił się i pozostał.

— Z którego klasztoru pochodzisz, pobożny mnichu — zapytał — i skąd wzięłeś tę szkaradę?

— Przybywam z wielkiego państwa T'angów — wyjaśnił Tripitaka — a udaję się do Zachodniego Raju, by się pokłonić wielkiemu Buddzie i prosić go o święte księgi. Akurat droga nasza wiodła tędy, a ponieważ zaczęło się zmierzchać, postanowiliśmy się do was zwrócić z wielką prośbą, byście nam użyczili noclegu na jedną noc, a jutro raniusieńko, skoro świt, wyruszymy w dalszą drogę. Zlitujcie się nad nami i pozwólcie przenocować!

— Chociaż ty, pobożny mnichu, może i jesteś z państwa T'angów — rzekł starzec — ale ten potwór na pewno stamtąd nie pochodzi.

— Coś ty, stary, zupełnie wzrok postradał czy co? — warknął gniewnie na cały głos Sun Wu-k'ung. — To mój mistrz i nauczyciel pochodzi z państwa T'angów, a ja jestem jego uczniem. Jestem Wielkim Mędrcelem Równym Niebu! W tych stronach są ludzie, którzy mnie dobrze znają! Nawet z tobą się już kiedyś widziałem.

— Gdzież to mogłeś mnie widzieć? — zdziwił się starzec.

— Jak byłeś mały, czy ze mnie nie zbierałeś chrustu, czy nie zrywałeś z mej twarzy traw i ziół?

— Co ty wygadujesz? — rozłościł się staruszek. — Głupstwa opowiadasz! Gdzie ty mieszkalesz, a gdzie ja? Jakże mogłem z ciebie zbierać chrust albo zrywać trawy i zioła?

— To ty głupstwa opowiadasz, mój synku — rzekł do starca Sun Wu-k'ung. — Po prostu mnie nie poznałeś. Przypatrz mi się dobrze. Ja to jestem tym Wielkim Mędrcelem, który przez wiele lat był więziony w kamiennej skrzyni pod Górą Graniczną Dwóch Światów!

Starzec dopiero teraz jak gdyby przejrzał na oczy.

— A, rzeczywiście — zawołał — jest w tobie coś podobnego do tej uwięzionej małpy. Ale jak ci się udało stamtąd wydostać?

Wtedy Sun Wu-k'ung opowiedział mu dokładnie całą historię o tym, jak bodhi-sattwa wezwała go do cnotliwego życia i jak oczekiwał przybycia świątobliwego mni-

cha z państwa T'ang, który zerwał znajdującą się na szczycie góry tabliczkę z napisem i w ten sposób go uwolnił. Dopiero po tych wyjaśnieniach starzec z szacunkiem skłonił się przed Tripitaką i jego uczniem i wprowadził ich do domu. Przywołał też swoją żonę i dzieci, przedstawił ich gościom i opowiedział o tym, co się wydarzyło. Wszyscy bardzo się cieszyli z wybawienia Wędrowca spod góry. Potem podano herbatę. Gdy goście ją wypili, starzec znów zwrócił się z pytaniem do Sun Wu-k'unga:

— A ile to lat sobie liczysz, Wielki Mędrze?

— A ty w tym roku ile lat skończyłeś? — odpowiedział Sun Wu-k'ung pytaniem na pytanie.

— O, już sto trzydziesty rok mi stuknął — pochwalił się starzec.

— W takim razie mogłbyś być moim praprawnukiem — rzekł na to Sun Wu-k'ung. — Ja sam już nie pamiętam, kiedy się urodziłem, ale dobrze wiem, że pod tą górą przesiedziałem równe pięćset lat.

— Tak, prawdę mówisz — przytaknął starzec. — Pamiętam, jeszcze mój pradziad opowiadał mi, jak ta góra została spuszczone z nieba, żeby pod nią uwieźć cudowną małpę. To znaczy, że dopiero teraz się uwolniłeś? Kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, widziałem cię kilka razy. Na głowie rosły ci różne zioła i trawy, twarz umazaną miałeś gliną, a mimo to się ciebie nie bałem. A teraz, na twarzy nie masz błota, we włosach nie rośnie ci żadne zielsko, wychudłeś jakoś i zmizerniałeś, a w dodatku jeszcze ta skóra tygrysia, którą się opasałeś, wszystko to sprawiło, że z wyglądu niewiele się różniłeś od upiora.

Na te słowa wszyscy wybuchnęli śmiechem. Gospodarz był człowiekiem cnotliwym i znał dobre obyczaje, a więc kazał żonie podać na stół postną strawę. Gdy posiłek dobiegał końca, Sun Wu-k'ung z kolei zagadnął gospodarza:

— Czy mógłbyś nam powiedzieć, jakie nosisz nazwisko?

— Jestem z rodu Cz'en i tak właśnie brzmi moje nazwisko — odpowiedział starzec.

Usłyszawszy to, Tripitaka poderwał się ze swego miejsca, złożył pokłon starcowi i rzekł:

— W takim razie, czcigodny dobroczyńco, ja noszę to samo nazwisko co ty, a więc należymy do jednego rodu.

— Jakże to, mistrzu — zdziwił się Wędrowiec. — Przecież nosisz nazwisko T'ang. W jaki sposób możesz należeć do tego samego rodu, co ten starzec?

— Zanim wstąpiłem do klasztoru, nazywałem się także Cz'en — wyjaśnił mu Tripitaka. — Urodziłem się w wiosce Tsia-siang-czuang, w powiecie Hungnung okręgu Haiczou, w państwie rządzone przez dynastię T'ang. Moje zakonne nazwisko i imię brzmi więc Cz'en Hüan-tsang. Kiedy władca wielkiego państwa T'angów uczynił mnie swoim bratem, nadał mi wówczas jeszcze jedno imię, Tripitaka, i kazał mi nosić nazwisko T'ang. Oto i cała przyczyna, dla której czasami nazywają mnie t'angowskim mnichem.

Staruszkowi było bardzo przyjemnie, że jego gość nosił to samo nazwisko co i on.

— Szanowny panie Cz'en — zwrócił się do gospodarza Sun Wu-k'ung. — Skoro już tyle zamieszania narobiliśmy w twoim domu, odważę się zwrócić do ciebie z jesz-

cze jedną prośbą. Nie myłem się od ponad pięciuset lat. Czy mógłbyś zagotować dla mego mistrza i dla mnie trochę wody, żebyśmy mogli się umyć? Przy pożegnaniu podziękujemy ci za wszystko, co dla nas uczynisz.

Gospodarz natychmiast polecił zagotować wody, przynieść miednicę i zapalić lampę. Gdy w końcu mistrz i jego uczeń obmyli się z podróznego pyłu i zasiedli przy lampie, Sun Wu-k'ung zwrócił się do gospodarza z jeszcze jedną prośbą:

— Szanowny panie Cz'en, czy możecie mi jeszcze jedną rzecz użyżyc? Potrzebuję igłę i trochę nici.

— Ależ, proszę bardzo! — zawołał staruszek i kazał swojej żonie przynieść igłę z nitką.

A w ogóle Wędrowiec był bardzo spostrzegawczy. Kiedy zauważył, że mistrz zdjął do mycia białą koszulę i z powrotem już jej nie założył, czym prędzej pochwycił i sam się w nią ubrał. Wtedy dopiero ściągnął z siebie tygrysią skórę i zeszył obydwie kawałki razem. Wyszło mu coś w rodzaju fartucha z zakładkami. Złożył go, przepasał się korą palmową, którą zawiązał z przodu na kształt końskiego pyska. Tak wystrojony podszedł do Tripitaki i zapytał:

— Jak uważasz, mistrzu, czy dzisiaj nie lepiej się ubrałem niż wczoraj?

— Wspaniale! — wykrzyknął zdumiony jego wyglądem Tripitaka. — Teraz przynajmniej wyglądasz jak prawdziwy pielgrzym! — a po chwili dodał jeszcze: — Uczniu mój, jeśli nie pogardzisz nią, możesz sobie wziąć moją koszulę na zawsze!

— Stokrotne dzięki, mistrzu, za ten drogocenny dar! — zawołał w uniesieniu Sun Wu-k'ung i nisko się pokłonił swemu nauczycielowi. Wyszedł potem z domu, nazbierał trochę trawy i nakarmił konia. Gdy się w końcu uporał ze wszystkimi obowiązkami, wraz ze swym mistrzem złożyli życzenia dobrej nocy gospodarzowi i udali się na spoczynek.

Następnego dnia Sun Wu-k'ung wstał bardzo rano i zaproponował mistrzowi, by jak najszybciej wyruszyli w dalszą drogę. Tripitaka narzucił szatę i kazał Wędrowcowi zwinąć pościel i spakować rzeczy. Chcieli już się pożegnać z gospodarzami, ale staruszek przyniósł im gorącą wodę do mycia i przygotował śniadanie. Wyruszyli w dalszą drogę zaraz po śniadaniu. Tripitaka jechał na koniu, a Wędrowiec szedł przodem w charakterze przewodnika. Wędrowali tak spokojnie, co pewien czas pożywiając się i gasząc pragnienie. Na noc zatrzymywali się na nocleg i wyruszali w drogę, gdy tylko brzask rozjaśnił gwiaździste niebo na horyzoncie. I tak wędrowali dzień po dniu, aż niepostrzeżenie nadeszła zima.

Pewnego dnia, gdy tak wędrowali, nagle z gęstwiny zarośli rozległ się przeraźliwy świst i na drogę wyskoczyło sześciu rozbójników. Potrząsając w dłoniach włóczniami, mieczami, szabłami i łukami rzucili się z wraskiem i krzykiem na pielgrzymów.

— Hej, wy, mnichy przekłete! — zawołał jeden z nich. — Dokąd idziecie? Jeśli chcecie ująć z życiem, złażcie z konia, zostawcie swoje tobołki i zmiatajcie stąd co sił w nogach.

Tripitaka spadł z konia i ze strachu nie mógł wydukać ani słowa. Wędrowiec podbiegł do niego i, pomagając mu się podnieść, próbował go uspokoić:

— Niczego się nie bój, mistrzu, nic się nie stało. To drobnostka. Oni tylko przynieśli nam nowe ubrania i pieniądze na drogę.

— Sun Wu-k'ungu — ze zdziwieniem spojrzął na niego Tripitaka — ty chyba ogłuchłeś! Oni nam przecież każą zostawić konia i nasze rzeczy, a ty tu opowiadasz jakieś historie, że przynieśli nam nowe szaty i pieniądze na drogę.

— Najlepiej będzie, jak ty, mistrzu, przypilnujesz naszych szat, tobołków i konia — poprosił Wędrowiec — a ja pójdę się z nimi rozprawić. Wtedy zobaczysz, co miałem na myśli.

— Powiadają przecież, że dobra ręka nie sprostą dwóm pięściom, a te ugiąć się muszą pod czterema ramionami. Ich jest sześciu, takich wielkich drabów. Jakże więc ty, taki maleńki, możesz chociażby myśleć o stawieniu im czoła? — rzekł z powątpiewaniem Tripitaka.

Wędrowiec był bardzo odważny. Nie ma nawet potrzeby tego udowadniać. Podszedł śmiało do rozbójników, złożył ręce na piersiach i skłoniwszy się im na powitanie, rzekł:

— Szanowni panowie, dlaczego to zatrzymujecie nas, biednych mnichów, i nie pozwalacie iść dalej?

— Jesteśmy książętami rabusiów grasujących na drogach, sprawiedliwymi władcami gór. Sława nasza od dawna rozbrzmiewa po całym tym terenie. Czyżbyś o nas nie słyszał? Szybko zostawcie swoje rzeczy, to puścimy was cało, a jeśli piśnecie choć jedno „nie”, posiekamy was na kawałki, a kości zetrzemy na proch.

— Ja też jestem królem z dziada pradziada — rzekł im Wędrowiec — i przez wiele lat byłem władcą gór, ale sława szanownych panów do moich uszu nie dotarła.

— No, cóż, skoro o nas nie słyszałeś, to ci powiemy, kim jesteśmy — oświadczył jeden z rozbójników. — Jeden z nas nazywa się Oko, które widzi i raduje się, drugi to Ucho, które słyszy i w gniew wpada, trzeci to Nos, co wącha i cieszy się, czwarty to Język, co próbuje i łaknie, piąty — Rozum, co postrzega i pragnie, a szósty z nas to Ciało będące siedliskiem cierpienia.

— A, to z was po prostu drobne złodziejaszki — roześmiał się Sun Wu-k'ung. — Czy nie wiadomo wam, że my, mnisi, jesteśmy waszymi panami? I mimo to zagrażacie nam drogę? Macie natychmiast złożyć tu wszystkie skarby, które dotąd nagrabiliście. Podzielicie je na siedem równych części i jedną oddacie mnie. Wtedy się nad wami ulituję i puszcze was żywych!

Słowa te zdumiały rozbójników i każdy z nich zareagował na nie po swojemu, stosownie do swego imienia. Pierwszy radował się, drugi wpadł w gniew, trzeci się cieszył, czwarty łaknął, piąty pragnął, a szósty cierpiał. Hurmem rzucili się do przodu wydając okrzyki:

— Zuchwałość tego mnicha nie zna granic! Pożegnaj się lepiej ze swymi rzeczami, zamiast żądać, byśmy się z tobą dzielili tym, co nagrabiliśmy!

Tak wykrzykując i wywijając mieczami i włóczniami runęli na Wędrowca zasypując go gradem ciosów. Na jego głowę spadło ich z siedemdziesiąt. Sun Wu-k'ung stał jednak niewzruszony, jak gdyby niczego nawet nie zauważył.

— Ale z ciebie mnich! — zawołali rozbójnicy. — Głowę masz rzeczywiście piekielnie twardą!

— No cóż, przekonaliście się — rzekł uśmiechając się Wędrowiec. — A teraz na pewno ręce wam od bicia podreptały. Popatrzcie więc, jak ja wyciągnę swoją igłę i trochę się nią z wami zabawię.

— Ten mnich pewno pochodzi z medyków, którzy nakłuwaniem igłami i przypalaniem leczą chorych — zaczęli żarty stroić rozbójnicy. — Nam przecież nic nie dolega! Po co masz wyciągać swoją igłę?

Wędrowiec sięgnął ręką za ucho i wyciągnął długą igłę do haftowania. Machnął nią kilka razy pod wiatr i przemieniła się w grubą żelazną żerdź. Dzierżąc ją mocno w rękę, krzyknął do zbójców:

— Nie ruszajcie się z miejsca! Teraz ja na was wypróbuję moją żerdź!

Wystraszeni rozbójnicy co sił w nogach rozbiegli się na wszystkie strony, jednak Sun Wu-k'ung wielkimi susami doganiał jednego za drugim i jednym uderzeniem swojej żerdzi kładł trupem na ziemię. Zerwał z nich szaty, zabrał pieniądze, jakie mieli przy sobie, i chichocząc z zadowolenia podbiegł do Tripitaki.

— Drogi mistrzu — rzekł do niego — możemy już iść dalej. Wybiłem wszystkich zbójców co do jednego.

— Muszę ci powiedzieć, że byłeś zbyt okrutny — skarcił ucznia Tripitaka. — Prawda, że to byli zbroje grasujący na drogach, ale nie trzeba ich było zabijać. Wystarczyło przekazać ich władzom. Przy twoich umiejętnościach mogłeś ich po prostu przepędzić i na tym poprzestać. Dlaczego ich pozabijałeś? Zupełnie niepotrzebnie pozbawiłeś ich życia. Czyż taki człowiek jak ty godny jest zostania buddyjskim mnichem? O mnichach mówi się przecież, że „zamiatając podłogę, uważają, żeby nie zagnieść mrówki, litując się nad ćmami ogień lampy osłaniają jedwabnym abażurem”. Jakże mogłeś ich wszystkich tak bez zastanowienia pozabijać? Jesteś zupełnie bez serca, bez litości! A skoro tutaj w górach, gdzie jest mało ludzi, tak bezwzględnie i brutalnie się zachowujesz, to wyobrażam sobie, co by się stało w mieście. Też byś z całym okrucieństwem tłukł i zabijał tą swoją żerdzią każdego, kto by cię chociażby niechcący zaczepił. W jakim trudnym położeniu bym się wtedy znalazł!

— Mistrzu — tłumaczył się Sun Wu-k'ung — przecież gdybym ich nie zabił, oni zabiliby ciebie.

— Porzuciłem dom, by zostać mnichem — oświadczył Tripitaka — i wolę raczej umrzeć, niż dopuścić się takiej zbrodni. Gdyby mnie zabili, jak mówisz, zginąłby tylko jeden człowiek. A ty zabiłeś ich aż sześciu. Jakże to można usprawiedliwić? Wyobraź sobie, że tę zbrodnię by badano w sądzie i twój ojciec byłby twoim sędzią. Nawet on nie mógłby twego czynu usprawiedliwić.

— Będę szczery, mój mistrzu — rzekł Wędrowiec. — Przed pięciuset laty, gdy byłem królem na Górze Kwiatów i Owoców, zabiłem tylu ludzi, że nawet bym ich zliczyć nie potrafił. A gdybym się zachowywał tak, jak mi każesz, nigdy bym w życiu nie został Wielkim Mędrcom Równym Niebu!

— I właśnie za te wszystkie twoje zbrodnie i szaleńcze czyny — rzekł mnich — za to, żeś się zbuntował przeciwko niebu i siał niepokój na ziemi, dlatego że nikt tobą nie pokierował, jak należy, musiałeś przez pięćset lat cierpieć zamknięty pod cudowną górą. A jeśli w przyszłości będziesz zabijał żyjące istoty, nie udasz się ze mną do Za-

chodniego Raju i nigdy nie zostaniesz buddyjskim mnichem. To wstrętne, co uczyniłeś!

A musicie wiedzieć, że król mały od najmłodszych lat nie znoślił, jak się ktoś na niego złościł i wymyślał mu. Teraz również, widząc, jak Tripitaka trajkoce i prawi mu kazanie, w końcu nie mógł już dłużej zdusić ognia rozgoryczenia, wypełniającego coraz bardziej jego serce, i wybuchnął:

— Skoro jesteś taki i twierdzisz, że nie mogę zostać mnichem, to dobrze! Nie mam zamiaru wlec się z tobą do tego Zachodniego Raju. Po co mi te wszystkie udręki! Po co mam to wszystko od ciebie wysłuchiwać! Wracam! Idź sobie dalej sam!

Tripitaka nic na to nie odpowiedział. Sun Wu-k'unga jeszcze bardziej to rozświeciło. Wyprostował się jak struna i krzyknął na cały głos:

— Odchodzę! I więcej mnie nie zobaczysz!

Mnich uniósł głowę, ale ucznia już nie było. Dał się słyszeć tylko jakiś szum, który stopniowo zanikł gdzieś na wschodzie.

Tripitaka stał samiutki, opuszczony. Westchnął tylko nad swym losem i pokiwał głową. Smutek i żal wypełniały jego piersi.

— To niegodziwiec! — powiedział. — Tak odrzucić moje pouczenia! Przecież powiedziałem mu tylko kilka słów prawdy! Czemu tak nagle mnie opuścił i zniknął? Cóż robić? Mówi się trudno. Widocznie nie sążone mi było mieć ucznia. Teraz, chociażbym go chciał szukać, i tak go nie znajdę. Wołać go też na nic się nie zda. Przyjdzie mi samemu wędrować dalej.

Gotowy życie poświęcić dla spełnienia swej misji, Tripitaka nie bacząc na czekające go niebezpieczeństwa, zdecydował puścić się w dalszą drogę. Zebrał wszystkie tobołki, przytroczył do konia i pieszo, trzymając jedną ręką konia za uzdę, w drugiej zaś kostur mnisi, wolno i w spokoju ruszył na zachód. Uszedł tak niezbyt daleko, gdy na drodze przed sobą ujrzał jakąś starą kobietę. Niosła na rękach szatę zakonną, na której spoczywała wzorzysta czapeczka. Gdy była już blisko, mnich pośpiesznie odciągnął konia i przystanął na skraju drogi, dając staruszce przejście.

— Skąd przybywasz, czcigodny mnichu? — zapytała go. — Jak to się stało, że tak samotnie tędy wędrujesz?

— Władca krainy wschodu wysłał mnie do Zachodniego Raju, bym się pokłonił żywemu Buddzie i poprosił go o święte księgi dla mojego kraju — odpowiedział Tripitaka.

— Budda Zachodniego Raju przebywa w Indii, w Świątyni Huczących Grzmotów — rzekła stara kobieta. — To daleko stąd. Osiemnaście tysięcy wiorst. Jakże się tam dostaniesz tak samotnie, tylko z koniem, bez żadnego sługi ni ucznia?

— Miałem przed kilku dniami ucznia — powiedział Tripitaka — ale się okazał bardzo porywczy i okrutny. Zwróciłem mu uwagę na niewłaściwe postępowanie, a on się obraził i porzucił mnie.

— Ta watowana szata zakonna, którą niosę, i ta wzorzysta czapka należały kiedyś do mego syna — ciągnęła dalej staruszka. — Wstąpił do klasztoru i został mnichem. Nieszczęście jednak chciało, że w trzy dni później umarł. Właśnie wracam z klasztoru, w którym przebywał. Popłakałam tam sobie, pożegnałam się z jego nauczycielem i zabrałam jego rzeczy na pamiątkę. Gdybyś, czcigodny ojcze, miał ucznia, z chęcią bym mu to podarowała.

— Bardzo ci dziękuję, kobieto, za twoje dobre serce — rzekł Tripitaka — ale mój uczeń uciekł ode mnie i dlatego nie mogę przyjąć od ciebie tego daru.

— A w którym kierunku uciekł? — zapytała staruszka.

— Sądząc po szumie, jaki uciekając czynił, udał się z powrotem na wschód.

— Na wschód daleko nie uszedł — stwierdziła kobieta — tam akurat znajduje się mój dom. Myślę, że na pewno zjawi się u mnie. Mam tu jedno zaklęcie, które się nazywa „Prawdziwą Formułą Ustalenia Dążeń Serca” lub „Zaklęciem Zaciskającej się Obręczy”. Dobrze zapamiętaj to zaklęcie i nie zdradź go nikomu. Ja teraz pójdę odszukać twojego ucznia i przyślę go do ciebie. Gdy się zjawi, daj mu tę szatę zakonną i czapeczkę. A jeśli nie będzie chciał się ciebie słuchać, wypowiedz to zaklęcie, a nigdy już więcej się nie poważy na żadne wybryki, nigdy już się nie ośmieli cię porzucić.

Wysłuchawszy tych słów Tripitaka schylił głowę w podzięcie, a stara kobieta przemieniła się w złocisty promień i w jednej chwili zniknęła gdzieś za wschodnim horyzontem. Hüan-tsang teraz dopiero sobie uświadomił, że tajemne zaklęcie otrzymał od samej bodhisattwy Kuan-in. Natychmiast zapalił kadzidło i wrzuszony do głębi serca bił pokłony ku wschodowi, tam gdzie zniknęła bogini. Następnie pozostawione mu w darze zakonną szatę i czapeczkę związał i schował do tobołka z pościelą, a sam usiadł na skraju drogi i po cichu powtarzał „Prawdziwą Formułą Ustalenia Dążeń Serca”. Powtórzył ją tyle razy, aż nauczył się ją wypowiadać bezbłędnie i bez zająknięcia. Wkrótce znał ją całą na pamięć, ale o tym na razie nie będziemy mówili.

Wróćmy teraz do Sun Wu-k’unga. Porzuciwszy swego mistrza, wykonał cudowny skok w obłok i w mgnieniu oka znalazł się nad Wschodnim Oceanem. Na chmurze zjechał na dół i torując sobie ramionami drogę przez wodne szlaki, po chwili dotarł do kryształowego pałacu króla smoków. Wystraszony władca podwodnego królestwa wybiegł mu na spotkanie, wprowadził do pałacu i zaprosił, by usiadł. Po wymianie powitalnych pokłonów król smoków zwrócił się do przybyłego gościa:

— Niedawno słyszałem, Wielki Mędrze, że skończył się już okres twojej kary. W związku z tym przekazuję ci trochę spóźnione gratulacje. Wierzyłem, że nadejdzie pora, kiedy znów staniesz się nieśmiertelnym władcą i wrócisz do swojej Jaskini Wodnej Zasłony.

— Taki też miałem zamiar — rzekł Sun Wu-k’ung — ale najpierw zostałem mnichem buddyjskim.

— Czemuż to tak? — spytał zaintrygowany król smoków.

— Posłuchałem rady bodhisattwy z Południowego Oceanu, która poleciła mi wkroczyć na zbożną drogę i towarzyszyć mnichowi ze wschodniej krainy w jego wędrownie na zachód. W tym celu zostałem jego uczniem i musiałem przestrzegać przykazania Buddy.

— Był to czyn godny najwyższej pochwały — zauważył król smoków. — To się dopiero nazywa prawdziwym nawróceniem na słuszną drogę i odkupieniem dawnych przewinień. Gratuluję z całego serca. Jednak skoro tak jest, jak powiedziałaś, to dlaczego nie wędrujesz na zachód? Dlaczego wróciłeś tutaj, na wschód?

— Otóż okazało się, że ten t’angowski mnich zupełnie nie potrafi docenić po-

święcenia i oddania — powiedział uśmiechając się Wędrowiec. — Po drodze napadli nas rozbójnicy, a więc wybiłem ich co do jednego. A on mi za to zaczął czynić wymówki, gadał, że postąpiłem niesprawiedliwie. Postaw się tylko na moim miejscu. Czy mogłem w spokoju znieść te jego złe humory? Zostawiłem go, niech sobie w takim razie sam radzi, a ja wracam na swoją górę. Po drodze postanowiłem odwiedzić cię w nadziei, że poczęstujesz mnie herbatą.

— Już podajemy! — zawołał król smoków. — Proszę bardzo!

Po wypiciu kilku czarek herbaty Wędrowiec rozejrzał się po sali i na ścianie za sobą zauważył piękny obraz zatytułowany „Czang Liang podnosi pantofel na moście I”.

— Co ten obraz przedstawia? — zapytał gospodarza.

— Kiedy ta historia się wydarzyła, ty, Wielki Mędrce, przebywałeś uwięziony pod świętą górą, i dlatego jej nie znasz. Obraz ten nazywa się „Trzykrotne podniesienie pantofla na moście I”.

— Dlaczego trzykrotnie trzeba go było podnosić? — zaciekał się Wędrowiec.

— Ten nieśmiertelny starzec na obrazie to Huang Szy-kung — król smoków zaczął objaśniać gościowi malowidło — a ten młodzieniec to Czang Liang, który żył za panowania dynastii Han. Huang Szy-kung siedział raz pewnego na moście i nagle spadł mu z nogi pantofel. Przywołał Czang Lianga i kazał mu go przynieść. Młodzieniec szybko zszedł pod most, odnalazł pantofel i uklękawszy z szacunkiem założył go starcowi na nogę. Ale nieśmiertelny znów zrzucił pantofel z mostu. Uczynił tak trzy razy. Jednak Czang Liang ani na moment nie stracił cierpliwości, nie przybrał też wyniosłej postawy. Huang Szy-kungowi spodobały się uczynność i szacunek, jakie mu Czang Liang okazał, i pewnej cudownej nocy ofiarował mu niebiańską księgę i wysłał go, by swą wiedzę wspierał ród panujący za dynastii Han. I rzeczywiście, Czang Liang stał się później najpotężniejszym i najbardziej zasłużonym z dostojników państwa. Pracując u siebie w gabinecie, decydował o zwycięstwie w bitwach toczonych o tysiące wiorst od niego. Gdy w kraju zapanował pokój, porzucił swoje stanowisko i skrył się w górach. Później został uczniem słynnego taoisty Cz’y Sung-tsy i długo z nim wędrował, aż w końcu posiadał wielką prawdę o Tao. Wielki Mędrce, jeśli nie będziesz towarzyszył t’angowskiemu mnichowi w jego wędrowce na zachód, jeśli nie dołożysz wszystkich sił, by się poprawić i przyjąć jego pouczenia, to w końcu pozostaniesz tylko nędznym mędrce-czarodziejem i nigdy nie poznasz wielkiej prawdy!

Gdy Sun Wu-k’ung usłyszał te słowa, popadł w głęboką zadumę i przez dłuższy czas się nie odzywał.

— Powinieneś, Wielki Mędrce, nauczyć się sztuki pohamowywania swoich uczuć — dodał król smoków — i nie działać tak, jak ci się akurat spodoba. W przeciwnym razie nie masz co liczyć na jakieś osiągnięcia w przyszłości.

— No, dobrze już, nie gadaj tyle — rzekł ostatecznie przekonany Sun Wu-k’ung. — Wróć do niego i będę mu towarzyszył aż do samej Indii.

Król smoków bardzo się ucieszył z postanowienia króla małp.

— Skoro tak zdecydowałeś — rzekł — nie ośmielę się dłużej cię zatrzymywać.

Proszę cię, Wielki Mędrze, co prędzej okaż skruchę i więcej nie zachowuj się tak szorstko w stosunku do swego mistrza.

Zauważywszy, że król smoków go przynagła, Sun Wu-k'ung pożegnał się, wyciągnął jak struna i opuścił podwodne królestwo. Nad wodami dosiadł przelatującego obłoku, a gdy na nim szybował do swego mistrza, napotkał po drodze bodhisattwę Południowego Oceanu.

— A ty co tu robisz? — zwróciła się do niego bodhisattwa. — Dlaczego nie pobierasz nauk u t'angowskiego mnicha? Dlaczego nie jesteś razem z nim, żeby go bronić w razie niebezpieczeństwa?

Zmieszany Wędrowiec ze swego obłoku złożył pokłon bodhisattwie i odpowiedział:

— Zgodnie z twoją obietnicą, litościwa bodhisattwo, t'angowski mnich przybył na Górę Pięciu Elementów, zdjął na jej szczycie tabliczkę Buddy i ocalił mi życie. Ja zaś zostałem wtedy jego uczniem. Gdy mnie jednak zganił za okrucieństwo, jakiego się ponoć dopuściłem, postanowiłem go porzucić. Teraz jednak wracam do niego, żeby go strzec przed dalszymi niebezpieczeństwami.

— To pośpieszaj co tchu — pogończyła go bodhisattwa — i niech ci więcej takie niemądre pomysły nie przychodzą do głowy.

W jednej chwili Wędrowiec znalazł się na miejscu, gdzie Tripitaka siedział przy drodze, zatopiony w smutnych myślach. Podbiegł do niego i zapytał:

— Mistrzu, dlaczego nie wędrujesz dalej? Co tu jeszcze robisz?

Tripitaka uniósł głowę i też zadał mu pytanie:

— A ty gdzie byłeś? Odebrałeś mi całą ochotę do wędrowki. Nie chciało mi się dalej iść ani się nawet ruszyć z miejsca. Usiadłem tu, jak widzisz, i czekam na ciebie.

— A ja byłem napić się herbaty u króla smoków Wschodniego Oceanu — pochwalił się Wędrowiec.

— No cóż, mój uczniu — rzekł mu Tripitaka. — Zapamiętaj sobie na zawsze tylko jedno: mnichom nie wolno kłamać! Nie było cię ze mną tylko przez krótki czas i chcesz we mnie wmówić, że byłeś na herbacie u króla smoków?

— Wcale cię nie oszukuję, mistrzu — uśmiechnął się Wędrowiec — ale znam sztukę skoku w obłok. Dzięki temu potrafię jednym skokiem przebyć odległość stu ośmiu tysięcy wiorst. Dlatego właśnie udało mi się tak szybko dotrzeć do pałacu króla smoków i tu powrócić.

— A ja już myślałem — rzekł Tripitaka — że na pewno się na mnie obraziłeś za te kilka słów, które ci powiedziałem, i na zawsze ode mnie uciekłeś. Tobie to dobrze. Potrafisz dokonywać takich dalekich wędrowek, żeby się napić herbaty. Ja nie mam takich umiejętności, a więc siedzę tu głodny. Myślę, że ty sam też trochę się czujesz z tego powodu zawstydzony.

— Jeśli jesteś głodny, mistrzu, mogę się postarać o coś do zjedzenia dla ciebie.

— Nie, nie musisz nigdzie chodzić — odparł Tripitaka — w tobołku z pościelą zostało jeszcze trochę pierożków, które podarowała nam na drogę matka myśliwego Liu. Weź lepiej miskę i przynieś wody. Posilę się trochę i zaraz ruszamy w dalszą drogę.

Wędrowiec rozwinął tobołek, wyciągnął z niego pierożki i podał je Tripitace. I oto



w tym momencie zoczył w tobołku wspaniałą, lśniącą w słońcu szatę zakonną i pięknie haftowaną czapkę z metalową obręczą.

— Czy tę szatę i czapkę zabrałeś ze wschodniej krainy, mistrzu? — spytał zaciekawiony.

— Nosilem je w młodości — odpowiedział jak gdyby od niechcienia Tripitaka. — Ten, kto nakryje tą czapką głowę, potrafi bez żadnego przygotowania recytować święte księgi, a ten, kto włoży tę szatę, bez żadnych wstępnych ćwiczeń potrafi odprawiać religijne obrzędy.

— Drogi mój mistrzu — błagalnie rzekł Wędrowiec — pozwól mi choć jeden raz włożyć na siebie te rzeczy.

— Obawiam się tylko, czy rozmiar będzie dla ciebie odpowiedni. Ale jeśli okażą się dobre, to możesz je sobie ponosić — zgodził się mistrz.

Wędrowiec, jak to usłyszał, natychmiast ściągnął z pleców starą koszulinę z białego zgrzebnego płótna i nałożył nową szatę zakonną oraz cudowną haftowaną czapkę. Wszystko było jakby na zamówienie uszyte dla niego, tak świetnie szata i czapka na nim leżały. A Tripitaka, zoczywszy, że jego uczeń założył już nową czapkę, przerwał jedzenie pierożków i zaczął po cichutku recytować „Zakłęcie Zaciskającej się Obręczy”.

— Oj, moja głowa! — jęknął Wędrowiec. — Oj, jak boli!

Mistrz jednak nie przerywał recytacji zakłęcia i nawet powtórzył je kilka razy, aż w końcu Wędrowiec zaczął się z bólu tarzać po ziemi usiłując rozerwać metalową obręcz czapeczki. Obawiając się, że jego uczeń może naprawdę to zrobić, Tripitaka na chwilę przerwał mamrotanie zakłęcia. I w tym samym momencie przestała boleć Wędrowca głowa. Sięgnął ręką, obmacał ją sobie i stwierdził, że ktoś jak gdyby żelazną wstążką mocno obwiązał mu głowę. W żaden sposób nie dawało się tego zdjąć lub zerwać. Obręcz jak gdyby zapuściła w jego głowie korzenie. Wyciągnął zza ucha swą czarodziejską igłę do haftowania, wsadził pod uciskającą go obręcz i usiłował ją w ten sposób podważyć i rozerwać. Tripitaka, widząc, co się święci, i bojąc się, żeby mu się nie powiodło, znów zaczął recytować zakłęcie, a Wędrowiec poczuł w głowie tak straszliwy ból, że zaczął się wić na ziemi, skakać jak pasikonik, miotać z miejsca na miejsce. Uszy zrobiły mu się czerwone, twarz spurpurowiała, a oczy o mało co nie wyskoczyły z orbit.

Mistrz nie mógł już dłużej patrzeć na męczarnie swego ucznia i przestał wypowiadać zakłęcie. W tej samej chwili Wędrowiec przestał odczuwać ból w głowie.

— Ten nieznośny ból głowy to na pewno ty, mistrzu, powodujesz swoimi zakłęciami! — zawołał z oburzeniem do mnicha.

— Po prostu recytowałem fragmenty sutry Zaciskającej się Obręczy — rzekł niewinnie Tripitaka. — O jakich to zakłęciach mówisz?

— No to porecytuj jeszcze trochę. Zobaczymy — rzekł Sun Wu-k'ung.

Gdy Tripitaka zaczął znów wypowiadać słowa zakłęcia, głowę Wędrowca ponownie przeniknął ból tak straszny, że zaczął się drzeć wniebogłosy:

— Już nie! Dostyc! Przestań recytować! Głowa mi pęka z bólu, gdy tylko zaczynasz recytować! Co to ma wszystko znaczyć?

— Czy teraz będziesz już posłuszny wszystkim moim poleceniom? — zapytał Tripitaka.

— Tak, na pewno będę! — obiecywał Wędrowiec.

— A czy będziesz jeszcze urządzał awantury i burdy, naruszając dobre obyczaje?

— Nie, nie, nigdy się nie ośmielę! — wykrzykiwał Sun Wu-k'ung.

Jednak chociaż w słowach obiecywał mnichowi wszystko, czego zażądał, w sercu swym knuł niedobre zamiary. Wyciągnął zza ucha igłę, machnął nią w powietrzu, przemienił w potężną żerdź i rzucił się z nią na swego nauczyciela, t'angowskiego mnicha. Wystraszony Tripitaka znów kilka razy wyszeptał tajemne zaklęcie i mała runęła na ziemię, gubiąc swą żelazną żerdź i wijąc się z bólu. Bezsilna, nie mogąc nawet ręką ruszyć, wołała błagalnie:

— Mistrzu, już wszystko wiem! Błagam tylko, przestań recytować to zaklęcie! Przestań!

— To ty jesteś taki przewrotny? Chciałeś się na mnie rzucić?

— Teraz już nigdy więcej się na ciebie nie zamierzę — obiecywał Sun Wu-k'ung. — Ale powiedz mi, mistrzu, kto cię nauczył tego zaklęcia?

— Jakaś staruszka, którą przed chwilą spotkałem na drodze — powiedział Tripitaka.

— Możesz już więcej nic nie mówić — gniewnie wykrzyknął Wędrowiec. — Wszystko jest jasne! Ta stara kobieta to była właśnie bodhisattwa Kuan-in. Jakże się ośmieliła tak mnie skrzywdzić! Już ja jej przetrzępię skórę! Zaraz wyruszam na Południowy Ocean!

— Skoro bodhisattwa mnie nauczyła tego zaklęcia, na pewno sama też je zna bardzo dobrze — tłumaczył Sun Wu-k'ungowi Tripitaka. — Jeśli rzeczywiście ją odnajdziesz, może osobiście wypowiedzieć to zaklęcie, a wtedy marny twój koniec!

Wędrowiec dostrzegł słuszność rozumowania swego mistrza i zrezygnował z jakiegokolwiek odwetu. Pokornie uklęknął przed swym nauczycielem i błagalnym tonem zwrócił się do niego w te słowa:

— Mistrzu, bodhisattwa specjalnie wymyśliła ten sposób, żeby mnie przymusić do towarzyszenia ci w wędrowce na zachód. Nie będę już więcej wywoływać jej gniewu, a ty, mistrzu, nie traktuj poważnie wszystkiego, co tu nawygadywałem. Obiecuję, że odtąd będę ci wiernie towarzyszył w dalszej wędrowce i nawet mi przez myśl nie przejdzie, żeby cię opuścić!

— Skoro tak, to doskonale — powiedział Tripitaka. — W takim razie pomóż mi wsiąść na konia!

Ledwo trzymający się na nogach od doznanych cierpień Wędrowiec spokojnie już zupełnie. Spakował wszystkie tobołki, otrząsnął się i mocno przewiązał zakonną szatę. Następnie częścią rzeczy objuczył konia, resztę sam wziął na plecy i razem z mnichem puścili się w dalszą wędrowkę na zachód.

Jeśli jednak ciekawi jesteście, co się im przydarzyło w dalszej drodze, posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

o tym, jak Wielki Mędrzec pokonał potwora w wiosce rodu Kao, Kao-lao-czuang.

Siedem dni szedł Tripitaka ze swym uczniem pustynną drogą nie napotykając nikogo, gdy nagle, a miało się już pod wieczór, ujrzeli w dali niewielką wioskę.

— Sun Wu-k'ungu — zwrócił się Tripitaka do swego ucznia. — Spójrz no, tam na zboczu tej góry chyba widać jakąś wioskę. Chodźmy tam. Poprosimy o nocleg, a jutro rano ruszymy w dalszą drogę, dobrze?

— Zaczekaj chwileczkę, mistrzu — rzekł Wędrowiec. — Rozejrzę się tylko po okolicy, czy nie grozi nam jakieś niebezpieczeństwo, a wtedy postanowimy, co robić.

Mistrz ściągnął lejce i zatrzymał konia, a Sun Wu-k'ung skierował wzrok na leżącą w oddali osadę i uważnie się jej przyglądał.

— Możemy tam pójść — odezwał się po chwili. — Mieszkańcy tej wioski to dobrzy ludzie. Na pewno pozwolą nam gdzieś przenocować.

Mistrz popędził swego białego wierzchowca i przed zapadnięciem nocy znaleźli się w górskim osiedlu. Na drodze przed nimi pojawił się jakiś chłopak w długim niebieskim kaftanie i czarnej przepasce na głowie. W ręku niósł parasol, a na plecach podróżny tobołek. Zawinął poły kaftana i podkasał nogawki, żeby mu nie zawadzały. Klapiąc słomianymi łapciami, śpiesznie szedł w ich kierunku. Chłopak trzymał się bardzo wyniosłe, jednak Wędrowiec, nie zważając na to, chwycił go za rękę i zatrzymał.

— Dokąd tak pędzisz? — spytał. — Chcielibyśmy się od ciebie dowiedzieć, co to za wioska?

Chłopak zaczął się szamotać i próbował się wyrwać z rąk Wędrowca.

— Czego się czepiasz? — krzyczał. — Co to, czyżby nikogo nie było w całej wiosce, że koniecznie musisz się mnie pytać?

— Nie denerwuj się tak, dobrodzieju! Jak to się mówi: „pomagając innym, możesz pomóc sobie samemu”. Cóż ci się złego stanie, jeśli nam powiesz, jak się ta wioska nazywa? A może będę mógł cię wybawić z jakiegoś kłopotu?

Nie mając już sił walczyć więcej z Wędrowcem, ledwie dysząc i podskakując w miejscu, chłopak dał w końcu za wygraną.

— No, już dobrze, poddaję się. Nie dosyć, że od gospodarza człowiek musi się nasłuchać różnych nieprzyjemności, to jeszcze po drodze napotyka takiego łysego diabła, który mu na głowę swój gniew wylewa.

— Niech ci będzie! — rzekł Wędrowiec. — Idź sobie za swoimi sprawami. Spróbuj tylko, czy ci się uda wyrwać z moich rąk.

Chłopak wiał się na wszystkie strony i szamotał, ale na próżno, Sun Wu-k'ung trzymał go jak gdyby w stalowych kleszczach. W czasie szamotaniny upuścił parasol i tobołek i obydwoma rękoma bił Wędrowca, na którym nie wywierało to większego wrażenia, niżby padały nań krople deszczu. Sun Wu-k'ung jedną ręką trzymał swe tobołki, drugą tak przycisnął chłopaczka, że ten w końcu nawet go nie mógł rękoma dosięgnąć. Widać było, jak Wędrowiec staje się coraz bardziej zacierzwiony, jak coraz większa złość w nim wzbiera na upartego młokosa, jak lada chwila niczym piorunem zwali go ostatecznie z nóg.

— Sun Wu-k'ungu — rzekł do swego ucznia w tym momencie Tripitaka. — Spójrz no, czy tam ktoś nie idzie drogą? Może się lepiej jego zapytajmy? Po co trzymasz jeszcze tego chłopaka? Puść go, niech sobie idzie!

— Mistrzu, nie potrafisz tego zrozumieć — odparł śmiejąc się Wędrowiec. — Jeśli zapytamy kogoś innego, to już nie będzie to samo. Niech ten chłopak odpowie nam na pytanie i wszystko będzie w porządku.

Widząc, że nijak go Wędrowiec z rąk nie puści, chłopak w końcu przemówił:

— Ta wioska nazywa się Kao-lao-czuang. Tędy właśnie przebiega granica tybetańskiego państwa Wu-sy. Większość mieszkańców tej wioski nosi nazwisko Kao, stąd jej nazwa: wioska rodu Kao. No, już powiedziałem wszystko, a teraz mnie puszczaj.

— Sądząc po twoim ekwipunku nie wybierasz się w zbyt bliską podróż. Opowiedz nam, dokąd zmierzasz i czym się zajmujesz, a wtedy cię puszczę.

Chłopakowi nie pozostało nic innego do zrobienia, jak całą sprawę dokładnie przedstawić swemu prześladowcy.

— Jestem sługą czcigodnego pana Kao — zaczął swoje opowiadanie. — Nazywają mnie Kao Ts'ai. Nasz gospodarz ma córkę. Skończyła już teraz dwadzieścia lat i jeszcze nie wyszła za mąż. Przed trzema laty porwał ją jakiś potwór-odmieniec i od trzech lat uważa się za zięcia naszego pana. Pan Kao, oczywiście, jest bardzo niezadowolony z takiego zięcia. Mówi, że ma tylko same nieprzyjemności z tego powodu, że oddał potworowi córkę za żonę. Po pierwsze, jest to skaza na reputacji rodu, a po drugie, wszyscy jego krewni przestali w związku z tym przyznawać się do niego. Przez cały czas zastanawia się, jak by tu się uwolnić od tego potwora. On sam ani myśli dobrowolnie odejść z wioski. Córkę gospodarza zamknął w pomieszczeniach swego domostwa i już od pół roku jej nie wypuszcza. Nawet najbliższej rodzinie nie pozwala jej zobaczyć. Mój pan dał mi trochę pieniędzy i kazał pójść poszukać jakiegoś mnicha buddyjskiego, który mógłby pochwyć to straszidło. Ostatnimi czasy nic innego nie robię, tylko biegam to tu, to tam w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby się rozprawić

z tym potworem. Przeprowadziłem już trzech czy czterech mnichów, ale wszystko to byli albo nie niewarci buddyści, albo pryszczaci taoiści, i żaden z nich nie mógł dać sobie rady z tym potworem-czarodziejem. Właśnie przed chwilą pan mój nawymyślał mi, ile wlaźło, nagadał, że niczego nie potrafię załatwić i jeszcze raz dał mi pięć liang srebra na drogę, żebym koniecznie sprowadził jakiegoś buddyjskiego mnicha, który wreszcie przepędzi potwora z naszej wioski. I tak, jak na nieszczęście, musiałem się na was napatoczyć. Piekło was chyba przysłało, żeby mnie zatrzymywać po drodze, nie daliście mi przejść i stąd cała awantura. Wdałem się z wami w kłótnię, to prawda, ale cóż innego mogłem zrobić. Nie wiedziałem, że znasz takie sposoby zatrzymywania ludzi na drodze. Daremnie starałem ci się wyrwać, a więc nie pozostało mi nic innego do zrobienia, jak opowiedzieć wam całą prawdę. A teraz puszczaj mnie! Muszę już iść!

— Powiem ci na to — rzekł mu Wędrowiec — że akurat ja potrafię cię z tych kłopotów wybawić. Nie mogłeś lepiej trafić. Taki los szczęścia rzadko się do kogo uśmiecha. Nie potrzebujesz teraz nigdzie daleko chodzić ani wydawać pieniędzy na próżno. My nie jesteśmy, jak powiedziałeś, nic niewartymi buddystami ani pryszczatymi taoistami. Znamy takie sposoby, że pochwylenie jakiegoś tam potwora to dla nas fraszka. Spokojnie wracaj do swego pana i powiedz mu, że przybył tu mnich, brat samego cesarza z krainy wschodu, który wędruje do Zachodniego Raju, by się pokłonić Buddzie i poprosić go o święte księgi. Mnich ten potrafi poskromić każdego potwora i spętać każde straszdyło.

— Tylko mnie nie oszukajcie — podejrzliwie zauważył Kao Ts'ai — i tak mam już dość tego wszystkiego! Jeśli mnie wystrychniecie na dudka i okaże się, że nie znacie żadnych sposobów na potwory i nie potraficie pokonać tego naszego, to sprowadzicie na moją biedną głowę nową porcję wymyślań i obelg.

— Nikt nie ma zamiaru cię oszukiwać! — powiedział Wędrowiec. — Prowadź nas lepiej prosto do domu swego gospodarza.

Chłopak, nie widząc lepszego wyjścia, zarzucił na plecy tobolek, podniósł parasol i zawrócił w stronę wioski. Gdy przyprowadził mnicha i jego ucznia przed bramę domu swego pana, rzekł do nich:

— Czcigodni ojcowie, zechciejcie, proszę, na chwilę usiąść tu na tej belce do przywiązywania koni, a ja pójdę zawiadomić mego pana o waszym przybyciu.

Dopiero teraz Wędrowiec puścił rękę chłopaka, złożył na ziemi swoje tobolki i uwiązał konia. Razem z mistrzem usiedli na belce przy wejściu do domu i czekali.

Kao Ts'ai tymczasem wszedł na dziedziniec domostwa i podążył prosto do głównej sali, gdzie nagle stanął oko w oko z panem Kao. Gospodarz z miejsca przywitał sługę przekleństwami:

— Ty gruboskórny bydlaku — krzychał na niego — dlaczego nie poszedłeś szukać świętego mnicha? Po co tu wróciłeś?

— Zechciej wysłuchać, panie, tego, co ci powiem — rzekł Kao Ts'ai kładąc na podłodze swój tobolek i parasol. — Gdy tylko wyszedłem na ulicę, natknąłem się na dwóch buddyjskich mnichów. Jeden z nich jechał na koniu, a drugi szedł pieszo i niósł rzeczy. Ten właśnie zatrzymał mnie i nie chciał puścić. Koniecznie chciał wiedzieć, dokąd idę. Z początku długo nie chciałem mu nic powiedzieć, ale w końcu tak mnie

schwycił i przydusił, że wiedziałem, że mu się nie wyrwę. Nie miałem więc innego wyjścia, jak opowiedzieć mu o całej tej sprawie, która was, panie, dręczy. Bardzo się wtedy ucieszył i wyraził chęć pochwylenia tego potwora-odmieńca.

— A skąd oni przyszedli? — zapytał gospodarz.

— Powiadają, że ze wschodniej krainy — wyjaśnił Kao Ts'ai. — Jeden z nich jest krewnym samego cesarza. Właśnie cesarz wysłał ich do Zachodniego Raju, by się pokłonili Buddzie i wyprosili od niego święte księgi.

— Skoro przybywają z tak odległych stron — zauważył gospodarz — to jest rzeczą wątpliwą, czy znają odpowiednie sposoby na naszego potwora. A gdzie oni są teraz?

— Czekają przed bramą — odpowiedział Kao Ts'ai.

Gospodarz pośpiesznie się przebrał w odświętne szaty i wraz z Kao Ts'aikiem wyszedł przed bramę powitać gości.

— Czcigodni ojcowie... — zaczął pan domostwa.

Tripitaka usłyszawszy jego głos szybko się odwrócił i podszedł do niego. Gospodarz miał na głowie piękną czapkę z czarnego aksamitu, ubrany był w żółtawobiałą szatę z sycuańskiego jedwabiu, a stopy osłonięte pantoflami z miękkiej cielejącej skóry. Przepasany był wspaniałą szarfą ciemnozielonego koloru. Z uśmiechem rozpromieniającym całą twarz wybiegł gościom naprzeciw, wołając: — Czcigodni ojcowie, witam, witam z całego serca w moich skromnych progach.

Tripitaka odwzajemnił mu się uklonem, a Wędrowiec stał bez ruchu i nawet nie drgnął. Gospodarz dostrzegłszy szpetne, odrażające oblicze króla małp, nie śmiał mu się nawet pokłonić.

— Czemu mnie nie witasz? — zapytał urażony Sun Wu-k'ung.

Stary gospodarz przestraszył się nie na żarty. Przywołał do siebie Kao Ts'aia i zaczął mu wymyślać:

— Cóż ty sobie myślisz, łotrze, czy chcesz mnie zupełnie dobić? Nie dosyć że w domu już mam jednego potwora z ohydny, wstrętnym łbem, mojego zięcia, którego nie mogę się nijak pozbyć, to jeszcze mi tu sprowadzasz jakąś dziką bestię, boga piorunów, żeby mnie wykończył?

— Czcigodny panie Kao — przerwał mu Wędrowiec — chyba na próżno dożyłeś tak sędziwego wieku, skoro niczego się w życiu nie nauczyłeś. Wiadomo przecież, że najczęściej się ten myli, kto ludzi tylko na podstawie zewnętrznego wyglądu ocenia. Wprawdzie szpetny mam wygląd, ale za to wiele rzeczy potrafię dokonać. Mogę na przykład schwytać tego zięcia-potwora i zwrócić ci córkę. To wszystko bardzo by było dobrze, prawda? Czy godzi się więc obrzucać mnie obelgami tylko z powodu mojej szpetoty?

Gospodarz aż się cały zatrząsł ze strachu, gdy to wszystko usłyszał. Mimo to jednak, zebrawszy się na odwagę, wypowiedział te słowa:

— Proszę bardzo, wejdźcie do środka!

Sun Wu-k'ung kazał Kao Ts'aikowi zabrać tobołki, a sam, prowadząc konia za uzdę, razem z Tripitaką wszedł na dziedziniec domostwa. Nie licząc się z żadnymi zasadami dobrego wychowania, przywiązał konia do słupa u wejścia do sali przyjęć.

Następnie chwycił jakieś dobrze już wytarte od siedzenia krzesło i podsunął je Tripitace, a dla siebie przyciągnął drugie i usiadł obok swego mistrza.

— Ten młody mnich nie odznacza się szczególną grzecznością — zauważył pan Kao.

— Gdybym został tu u ciebie przynajmniej na pół roku, to byłbym jeszcze grzeczniejszy — odgryzł się Wędrowiec.

Gdy wszyscy w końcu zajęli miejsca, gospodarz zwrócił się do swoich gości z pytaniem:

— Mój sługa powiedział mi, że przybywacie ze wschodniej krainy. Czy to prawda?

— Zupełna prawda — potwierdził Tripitaka. — Z rozkazu naszego cesarza wędrujemy do Zachodniego Raju, by pokłonić się Buddzie i poprosić go o święte księgi. Mijaliśmy właśnie waszą wioskę i postanowiliśmy się zatrzymać gdzieś na nocleg. Jutro rano wyruszamy w dalszą drogę.

— Skoro zamierzacie się tu tylko zatrzymać na jedną noc, to po co obiecywaliście, że schwytaście naszego potwora?

— Przez jedną noc bardzo dużo można zrobić — zauważył Wędrowiec.

— W tym czasie, tak dla zabawy, możemy nawet kilka potworów schwytać. To dla nas frazka. A ile ich się gnieździ w waszym domostwie?

— O, nieba! — wykrzyknął stary Kao. — On się jeszcze pyta, ile ich jest! Jeden tylko, mój zięć, a i tak już przez niego ledwo żyję.

— Opowiedz mi wszystko o tym potworze — poprosił Wędrowiec — jak ci zalażł za skórę, jakich sposobów używał. Wszystko, wszyściutko chcę usłyszeć, od samego początku. A wtedy możesz być pewny, że ci go złapię.

— W naszej wiosce od najdawniejszych czasów, jak pamięcią sięgnąć, nigdy nie wiedziano nawet, co to są diabły, potwory, strzygi czy wilkołaki — rozpoczął swoje opowiadanie gospodarz. — Tylko mnie jednego los widać tak doświadczył i szczęście mi nie sprzyjało. Niebo nie zesało mi ani jednego syna, lecz obdarzyło za to trzema córkami. Najstarsza zwie się Siang-lan, czyli Wonna Orchidea, drugiej dałem imię Jü-lan, to jest Nefrytowa Orchidea, a trzeciej Ts'ui-lan, co znaczy Turkusowa Orchidea. Dwie starsze, gdy były jeszcze małe, wydałem za mąż za chłopców z naszej wioski. Pozostała mi tylko najmłodsza. Chciałem dla niej znaleźć męża, który by razem z nami zamieszkał, poprowadził gospodarstwo i był naszą podporą, gdy się zestarzejemy. I oto jak na nieszczęście, przed trzema laty pojawił się u nas we wsi jakiś chłopak, z wyglądu nawet niczego sobie, dość ładny. Powiedział nam, że pochodzi z gór Fuling i nosi nazwisko Czu. Oświadczył, że rodzice jego nie żyją, nie ma też żadnych braci ani krewnych i chciałby się w naszej wiosce ożenić i pozostać tu na zawsze. Widząc, że chłopak jest zupełnie wolny, z nikim go nic nie wiąże, przyjąłem go do rodziny jako zięcia, to jest męża mojej najmłodszej córki. Gdy u nas w końcu zamieszkał, okazało się, że w rzeczy samej jest bardzo pracowity. Do orki, bronowania nie potrzebował nawet żadnych narzędzi ani wołów, zbierał zboże z pola nie używając sierpa ani noża. Wychodził do pracy o zmierzchu, a wracał dopiero nad ranem następnego dnia. I w gruncie rzeczy wszystko by było dobrze, gdyby nie jedna rzecz. Chodzi o jego twarz, która z każdym dniem coraz bardziej się zmienia.

— Jak to się zmienia? — zapytał Wędrowiec.

— Z początku był z niego zwykły chłopak, jakich wielu, może trochę od innych ciemniejszy i grubszy. Dopiero później zaczął się stopniowo przemieniać w takiego głuptaka o wydłużonej gębie i wielkich uszach. Kark porósł mu szczecina, on sam stawał się coraz bardziej niezgrabny i nawet ludzie we wsi zaczęli się go bać. Głowa jego stopniowo zaczęła się przemieniać w świński ryj, a pożerał takie olbrzymie ilości jedzenia, że na raz zjadał trzy do pięciu wiader ryżu. Rano na przekąskę potrzebował co najmniej sto kukurydzianych placków. Można się jeszcze cieszyć, że nie jada mięsa. Bo gdyby je podlewał do tego winem, w ciągu pół roku pożarłby cały mój dobytek i nic by mi nie zostało.

— Widocznie musi tak dużo jeść, bo ciężko pracuje — zauważył Tripitaka.

— Zresztą to, że takie ilości jedzenia pożera, to jeszcze pół biedy — ciągnął dalej stary pan Kao — ale teraz nawet zaczął napędzać na naszą wioskę chmury i mgły, wywoływać wichurę tak potężną, że kamienie i piasek wirują w powietrzu. Nie tylko wprawia tym w przerażenie całą moją rodzinę, ale i sąsiedzi nie mogą przez to zaznać spokoju. Moją ukochaną Ts'ui-lan zamknął w pawilonie na tyle naszego domostwa i już od pół roku jej nie widzieliśmy. Nawet nie wiemy, czy jeszcze żyje. Teraz już nie mamy wątpliwości, że ten chłopak to jakiś potwór, czarodziej, odmieniec. Dlatego błagam cię na wszystko, wielobny ojcze, żebyś go stąd przepędził.

— Cóż to trudnego? — zawołał Wędrowiec. — Możesz być całkowicie o to spokojny, zacny gospodarzu. Nie będę sobą, jak go dzisiaj w nocy nie pochwycę i nie przymuszę, żeby napisał zobowiązanie, że opuści te strony na zawsze i zwróci ci córkę. No, co ty na to?

Stary pan Kao nie posiadał się ze szczęścia.

— To, że wydałem za niego swoją córkę, to ostatecznie nie jest takie ważne — rzekł. — Ale on zniesławił moje dobre imię, odstraszył wszystkich moich krewnych. Jeśli ci się uda go pochwyć, nie ma co żądać od niego jakichś zobowiązań i przyrzeczeń na piśmie. Wystarczy go zgładzić i po wszystkim.

— To wcale nie będzie trudne! — rzekł Wędrowiec. — Dam sobie radę! Niech tylko zapadnie noc, to zobaczymy, jak się do tej sprawy zabrać.

Trudno nawet opisać wielką radość starego Kao. Natychmiast też kazał rozstawić stół i krzesła i podać gościom postną strawę. Gdy się posilili, na dworze zrobiło się już ciemno.

— Jaka broń będzie potrzebna? Ilu dać ludzi? — zaczął się wypytywać gospodarz. — Najlepiej wszystko zawczasu przygotować.

— Mam własną broń — odparł Wędrowiec — nie potrzebuję innej.

— Widzę tylko ten mniśi kostur — rzekł zaniepokojony starzec. — Czyż da się nim zabić takiego potężnego potwora jak mój zięć?

Wędrowiec pomacał się za uchem i wyjął igłę do haftowania. Pokręcił nią chwilę w rękach, machnął kilka razy w powietrzu i w jednej chwili przemieniła się w wielką żelazną żerdź ze złotymi obręczami. Pokazując ją z dumą staremu Kao, zapytał:

— No i jak? Spójrz, gospodarzu, na tę żerdź. Chyba nie masz takiej broni u siebie. Czy wystarczy, żeby się rozprawić z tym twoim czarodziejem?

— Skoro macie już broń — zapytał starzec — to może się wam przyda kilku ludzi?

— Nie, nie potrzebuję nikogo — oświadczył Wędrowiec — ale przydałoby się kilku zacnych i nabożnych starców dla mojego mistrza, żeby go mogli zająć, póki ja nie wrócę. A ja tymczasem schwytam tego łotra, oddam go pod sąd mieszkańców wioski i w ten sposób położę kres waszym nieszczęściom.

Stary Kao od razu przywołał pacholka i kazał mu zaprosić do domu kilku sędziwych przyjaciół. Wkrótce wszyscy zjawili się na zaproszenie gospodarza. Gdy już się wzajemnie poznali, Sun Wu-k'ung zwrócił się do Tripitaki:

— Mistrzu, wychodzę na trochę. Zostań tu i o nic się nie martw!

To rzekłszy chwycił mocno w rękę żelazną żerdź i pociągnął za sobą starego Kao.

— A teraz zaprowadź mnie do komnaty na tyłach domu — powiedział. — Chcę zobaczyć, gdzie ten czarodziej mieszka.

Kao podprowadził go do drzwi pawilonu przy tylnym dziedzińcu.

— Dajcie mi szybko klucz! — zażądał Wędrowiec.

— Nie mam. Gdyby można było tę sprawę załatwić kluczem — powiedział starzec z urazą w głosie — w ogóle bym was nie prosił o pomoc.

— Ej, dziadku, dziadku — uśmiechnął się do niego Wędrowiec — tyle lat przeżyliście, a na żartach się nie znacie. Ja tak tylko zażartowałem, a wy zaraz pomyśleliście, że naprawdę chcę od was klucz.

Sun Wu-k'ung podszedł bliżej do drzwi, obmacał je i zauważył, że zamek został zalany roztopioną miedzią. Z wściekłością rąbnął cudowną żerdzią w drzwi i rozwalił je na oścież. Wewnątrz panowały ciemności choć oko wykol.

— Zacny panie Kao, zawołaj córkę! Zobaczymy, czy ona tam jest.

Stary Kao zebrał się na odwagę i zawołał:

— Cóрко! Córeczko moja!

Dziewczyna poznała ojca po głosie i cicho, jakby nie mając już sił, odpowiedziała mu:

— Tatusiu, jestem tutaj!

Wędrowiec zamrugał ognistymi oczami i zaczął się uważnie wpatrywać w ciemności. Chcecie wiedzieć, jak dziewczyna wyglądała? Nie czesane od dawna włosy strąkami spływały jej po twarzy, która też od wielu miesięcy wody nie widziała. Mimo to jej niezwykła uroda oparła się cierpieniom, niewygodzie, nadal wprawiając w zdumienie. W wargach niegdyś czerwonych ni kropla krwi nie pozostała, plecy pochyliły się od zbyt długiej niedoli. Brwi jak skrzydła motyla boleśnie wlatywały ku górze, wychudła straszliwie, jej słaby szept ledwo dał się słyszeć. Podeszła z wolna do ojca, chwyciła się go na chwilę, a zaraz potem objąwszy głowę rękoma zaniosła się żalonym szlochem.

— Nie płacz, nie płacz, panienko! — uspokajał ją jak mógł Wędrowiec. — Powiedz mi lepiej, dokąd poszedł ten czarodziej.

— Nie wiem, gdzie teraz jest — odpowiedziała przez łzy dziewczyna. — Ostatnio zawsze wychodzi stąd skoro świt, a wraca późno w nocy. Zawsze towarzyszą mu olbrzymie czarne chmury i mgła. Dlatego nie wiem, dokąd się udaje. Skądciś się

jednak dowiedział, że ojciec zamierza przepędzić go za pomocą specjalnych obrzędów. Widocznie się przygotowuje do ataku i dlatego nie ma go całymi dniami.

— To mi wystarczy. Możesz więcej nie mówić — przerwał jej Wędrowiec. — Pannie Kao, zabierz swoją córkę do domu, niech powoli przyjdzie do siebie, a ja zostanę tutaj. Jeśli czarodziej się nie pojawi, nie miejcie do mnie żalu, ale jeśli tu przyjdzie, to możecie być pewni, że żywy z moich rąk się nie wydostanie.

Bezgranicznie uszczęśliwiony stary Kao wyszedł ze swoją córką z pokoju, a Sun Wu-k'ung zebrał siły duchowe, wstrząsnął się cały i w gnieniu oka przybrał postać uwolnionej przed chwilą dziewczyny. Usiadł na łóżku i samotnie wyczekiwał nadejścia czarodziejskiego potwora. Nie czekał długo. Nagle zerwał się straszliwy wicher, od którego rzeczywiście wzbily się w powietrze tumany pyłu, a nawet kamienie.

Gdy w końcu wichura ucichła, dostrzegł spływającego na ziemię potwora. Był rzeczywiście wstrętny. Czarną jak sadza twarz porastała krótka szczecina, długi ryj i olbrzymie uszy dopełniały jego szpetoty. Miał na sobie ni to siny, ni to niebieski kaftan ze zgrzebnego płótna, przepasany ręcznikiem z barwnej, nakrapianej materii.

— A więc to taki z niego numer! — powiedział do siebie uśmiechając się Wędrowiec. Zresztą popatrzcie, jak się wspaniale zachował. Nie wyszedł mu na spotkanie ani się nawet słowem nie odezwał. Udawał chorego i leżał nieruchomo na łóżku, bez przerwy coś tam mamrocząc pod nosem.

Oczywiście potwór nie wiedział, czy to jego dziewczyna, czy ktoś inny. Podeszedł do łóżka, zaczął Wędrowca obejmować i brał się już do całowania. „Cóż to, u licha — roześmiał się w duchu Wędrowiec — będzie ze mną harce miłosne wyprawiał czy co?”. Nie chcąc do tego dopuścić, zastosował jedną ze swych sztuczek, chwycił potwora za ryj i zręcznie zepchnął go z łóżka. Potwór z łoskotem runął na podłogę.

— Dziewczynko moja — zapytał potwór gramoląc się z ziemi i pochylając nad łóżkiem. — Cóż ci to dzisiaj? Gniewasz się na mnie? Czyżby za to, że się trochę spóźniłem?

— Nie, nie gniewam się! Daj mi spokój! — odpowiedział Sun Wu-k'ung.

— Jeśli się nie gniewasz — pytał dalej potwór — to dlaczego zepchnęłaś mnie z łóżka?

— Bo dlaczego się tak brzydko zachowujesz? — odpowiedział mu Wędrowiec. — Nic byś nie robił, tylko mnie bez przerwy obejmował i całował. Nie czuję się dzisiaj zbyt dobrze. Wiesz przecież, że gdy mi nic nie dolega, zawsze czekam na ciebie, kiedy przyjdiesz. No już, lepiej zdejmij ubranie i kładź się spać.

Potwór nie miał pojęcia, o co tu chodzi, ale rzeczywiście zaczął się rozbierać. Wędrowiec tymczasem zeskoczył z łóżka i przysiadł na szafce w drugim końcu pokoju. Potwór wrócił do łóżka i zaczął je obmacywać w poszukiwaniu swej dziewczyny, ale nie mógł jej znaleźć.

— Dziewczynko moja — zawołał — gdzie jesteś? Szybko się rozbierz i chodź do łóżka.

— Kładź się pierwszy i śpij — odpowiedział mu Wędrowiec. — Ja muszę się jeszcze załatwić.

Potwór rozebrał się i leżał na łóżku, a wtedy Wędrowiec, głęboko westchnąwszy, powiedział:

— Cóż ja mam za podle życie!

— Co cię tam znowu gryzie? Czemu uważasz, że masz takie podle życie? — zaprotestował potwór. — Przecież odkąd przybyłem do twojego domu, ciężko pracuję, staram się, jak mogę, i darmo nie jem waszego ryżu. Zawsze dziedzińce pozamiatam, kanały przekopię, to znów naznoszę cegły i dachówek, postawię mur. Jak trzeba, to imam się też pługa i brony, sieję, sadzę, dbam, jak mogę, o dobytek rodziny. Dzięki mojej pracy możesz nosić jedwabne szaty, ozdoby ze złota, przez cały rok nie brakuje ci kwiatów ani owoców, przez osiem sezonów masz pod dostatkiem jarzyn. A ty jeszcze jesteś niezadowolona. Wzdychasz, pociągasz nosem i opowiadasz jakieś bzdury, że masz podle życie.

— Nie o to chodzi — ciągnął dalej Sun Wu-k'ung. — Mnie jest zupełnie z tobą dobrze. Ale przyszli dzisiaj moi rodzice, ciskali przez mur cegły i dachówki i okropnie mi wymyślali.

— Ale z jakiego powodu ci wymyślali? — zdziwił się potwór.

— Uważają — mówił dalej Sun Wu-k'ung — że przez to, że wzięłaś mnie za żonę i zostałeś zięciem mojego ojca, cały ród nasz stracił szacunek u ludzi. Twierdzą, że ktoś o takiej wstrętnej twarzy jak twoja nie może mieć krewnych. I w ogóle nie wiadomo, kim ty jesteś, przybywasz i odchodzisz wśród ryku wichury, w oparach chmur. Nikt nie wie, jakie nosisz nazwisko. Imienia to chyba wcale nie masz. Powiadają, że tylko przynosisz ujmę dobrej sławie naszego rodu, kalasz jego reputację. Właśnie z tego powodu przybiegli mi tu nawymyślać. I dlatego moje życie jest takie podle.

— Rzeczywiście nie jestem zbyt urodziwy — tłumaczył się czarodziej — gdybym jednak chciał, mógłbym się bez większych trudności przemienić w pięknisia. Ale przecież gdy tu przybyłem, twoi rodzice sami wyrazili chęć oddania mi ciebie za żonę. Czemu dzisiaj takie rzeczy opowiadają! Mój ród żyje w Jaskini Przechowywania Chmur na Górze Szczęścia, Fuling-szan. Nazywam się odpowiednio do mojego wyglądu. Moje nazwisko znaczy tyle co „wieprz”, a imię Kang-le to „Twarda Szczecina”. Jeśli twoi rodzice znów przyjdą do ciebie i zaczną wypytywać, możesz im to wszystko powtórzyć.

„Ten czarodziej jednak jest całkiem uczciwy — z zadowoleniem pomyślał Wędrowiec. — Nie trzeba było nawet używać siły, żeby wszystko o sobie dokładnie wyspiewał. Teraz, skoro już wiem, skąd pochodzi i jak się nazywa, nie ma mowy, żeby umknął”.

— Zamierzają poprosić jakiegoś buddyjskiego mnicha, żeby cię pochwycił — dodał Wędrowiec.

Potwór tylko się na te słowa roześmiał.

— Śpij spokojnie i nie zwracaj uwagi na to, co oni planują. Posiadłem od nieba cudowną umiejętność przemieniania się w różne rzeczy, a poza tym mam jeszcze grabie z dziewięcioma zębami. Cóż mi tam jakieś mnichy czy taoiści zrobią! Wcale się ich nie boję. Nawet gdyby twojemu ojcu, człowiekowi bardzo pobożnemu, udało się

sprowadzić do dziewiątej sfery nieba wielkiego mistrza upiorów, Tang-mo, z miłą chęcią bym się z nim poznał. On też nic mi nie będzie w stanie zrobić.

— Rodzice mówili, że zaprosili Wielkiego Mędrca Równego Niebu, o nazwisku Sun, który przed pięciuset laty urządził awanturę w królestwie niebieskim — ciągnął dalej Sun Wu-k'ung. — Podobno zwrócili się do niego z prośbą, żeby cię pochwycił.

Potwór usłyszawszy imię króla małp zatrwożył się nie na żarty.

— W takim razie muszę stąd jak najszybciej uciekać — zdecydował. — Nic z naszego wspólnego spania dzisiaj nie będzie.

— Ale dlaczego tak szybko odchodzisz? — zapytał ze zdziwieniem Wędrowiec.

— Bo ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaką siłę posiada ten dawny pastuch, pi-mawen z niebiańskich stajni. Nie mnie się z nim mierzyć. Musiałbym w krótkim czasie schylić przed nim czoła, a to sławy by mi nie przyniosło.

Potwór zeskoczył z łóżka, szybko narzucił na siebie ubranie, uchylił drzwi i już miał czmychnąć, gdy Wędrowiec mocno go chwycił za rękę, potarł się drugą dłonią po twarzy i odzyskał pierwotny wygląd.

— No, mój kochany potworze, dokąd to uciekasz ode mnie? — krzyknął na niego. — Podnieś no głowę i przypatrz się, kogo masz przed sobą.

Czarodziej zwrócił na niego wzrok i ujrzał króla małp, który z wyszczerzonymi zębami, ognistymi oczami ciskającymi błyskawice, porośniętą sierścią głową przypominał jako żywo potężnego księcia piorunów. Ręce z przerażenia mu zdrętwiały, nogi się pod nim ugięły. Nagle rozległ się trzask. Część szaty potwora została w rękach Wędrowca, a potwór przemienił się w gwałtowny wichur i umknął w siną dal bezgwiezdnego nieba.

Sun Wu-k'ung ruszył za nim w pogoń. Zamachnął się swoją cudowną żerdzią i uderzył nią po wietrze. Od tego uderzenia posypały się tysiące iskier, ale wichur pomknął dalej kierując się ku swojej górze. Wędrowiec dosiadł chmury i popędził za nim wołając:

— Dokąd to uciekasz? Chociażbyś się skrył w niebie, dopadnę cię nawet w pałacu gwiazdozbioru Południowej Niedźwiedzicy! Gdybyś się nawet skrył pod ziemią, trafię za tobą do królestwa ciemności i tam cię odnajdę!

Jeśli się chcecie dowiedzieć, dokąd tak Sun Wu-k'ung gonił potwora i który z nich zwyciężył, posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

*o tym, jak Sun Wu-k'ung pojmał potwora w Jaskini
Przechowywania Chmur i jak Hüan-tsang na Górze
Buddy poznał Sutrę Oczyszczenia Serc.*

I tak, jak mówiliśmy, czarodziej niczym promień światła pognał w dal, a Wielki Mędrzec pomknął za nim na wielobarwnej chmurze. Nagle przed nimi jakby spod ziemi wyrosła góra. Czarodziej w jednej chwili wrócił do swej pierwotnej postaci, wpadł do jaskini, chwycił tam grabie z dziewięcioma zębami i wybiegł, gotowy stawić czoła napastnikowi.

— Ach, ty plugawa bestio! — wrzasnął Wędrowiec. — Skąd się tu wziąłeś? Gdzie poznałeś moje imię? No, pokaż, co potrafisz! Tylko bez żadnych sztuczek, to ci daruję życie!

— Nawet nie masz pojęcia, na co mnie stać w czasie walki — odrzyknął potwór. — Chodź tu bliżej i stań mocno na nogach, żebyś się nie przewrócił, jak ci powiem, kim jestem i co potrafę. Od dzieciństwa jestem taki nieokrzesany i prostacki, obżarstwo i lenistwo mam już w naturze. Nigdy nie usiłowałem zmienić mych nawyków ani też doskonalić się w cnotach. W brudzie ciało i serce pławiłem przy blasku słońca i w poświęcie księżyca. Raz jednak, gdy się lenistwu oddawałem, jakiś mędrzec nieśmiertelny na mnie trafił i zaczął mnie pouczać nie bacząc na chłód czy spiekotę. Radził mi dla serca szukać pociechy i nie ulegać ziemskim rozkoszom, bo ci, co w grzesznym życiu znajdują pociechę, staczają się prosto w czeluść zła. Pewnego ranka nadejdzie śmierć nieunikniona, poznasz, co to strach. A wtedy późno będzie myśleć o trzech drogach i ośmiu krańcach życia ludzkiego. Gdy słowa mędrca sprawiły, że bagno świata porzuciłem, by się doskonalić w cnotach, by wielką prawdę poznać, z miejsca zostałem jego pilnym uczniem, a on mi ukazał bramy nieba i piekiel wrota. Poznałem od niego sztukę „dziewięciu przeistoczeń” i piłem eliksir nieśmiertelności, pracowałem nad sobą dniem i nocą ani przez chwilę nie zaznawszy spoczynku. W końcu niebiańskie opary spowiły mnie barwnym, lśniącym całunem, żyły świeżą mocą się wypełniły i wejście w zaświaty stanęło przede mną otworem. Na moją cześć tam wspaniałe

przyjęcie urządzono, krocie nieśmiertelnych zasiadły na miejscach z racji zasług i dostojństw im wyznaczonych, a ja wśród nich jak równy z równymi. Nefrytowy Cesarz nadał mi godność marszałka Drogi Mlecznej, największej z rzek na niebie. Dowodziłem zastępami strzegącymi wód rzeki. Aż razu pewnego Cesarzowa-matka, władczyni Zachodu, ucztę brzoskwińową urządziła i do Pałacu Jaspisowego Stawu wszystkich nieśmiertelnych zaprosiła. Wtedy to od nadmiaru wina rozum mi odjęło, przebudziła się we mnie pierwotna natura i wywracając wszystko na prawo i lewo, szalałem jak zwierz rozjuszony, niczego nie szczczędząc. Do Pałacu Wiecznego Zimna siłą wtargnąłem i wnet rój pięknych dziewic mnie powitał. Na widok ich urody na nic się zdały mistrza przestrogi, ziemskie namiętności wzięły górę nade mną. Nic nie zważałem na ich skromność, niewinność, niebiańską naturę, a nawet na oczach wszystkich w objęcia chwyciłem Cz'ang-o, księżycową boginię. Długo je nakłaniałem, lecz daremnie, nie uległy mojej woli, pochowały się po kątach i żądze me zostawiły nie ukójone. Namiętność ma sięgnęła szczytu, grzmiałem, jakby tysiące piorunów waliło, bramy niebios i cały pałac aż trząsł się w posadach. Wtedy to boski inspektor doniósł o moich zbrodniach Nefrytowemu Władcy. To o moim losie przesądziło. Armia niebiańska szczelnie otoczyła Pałac Wiecznego Zimna i marzyć nawet nie mogłem o umknięciu. Wino mi jeszcze zupełnie z głowy nie wywietrzało, gdy spadły na mnie tysiące niebiańskich duchów. Zaciągnęły mnie do Sali Boskiego Firmamentu przed oblicze Nefrytowego Cesarza, który zgodnie z prawem na śmierć mnie zasądził. Na szczęście litościwy Duch Złotej Gwiazdy wstawił się za mną. Wyrok zmieniono, cesarscy kaci tysiąc razy mi wymierzili żelaznym młotem, tak że skóra i ciało od kości odpadało i wyrzucili mnie potem poza bramy nieba. Spadłem akurat u podnóża Fuling-szanu i los mi tu właśnie żyć przeczynał. Za moje zbrodnie w szkaradną postać wieprza się wcieliłem, stąd znany jestem wszystkim jako Czu Kang-le, czyli Wieprz Twarda Szczecina.

— A więc okazuje się, że jesteś niebiańskim duchem, dowódcą wodnych sił nieba, zesłanym za karę na ziemię! — zawołał Wędrowiec wysłuchawszy do końca jego opowieści. — A więc nic dziwnego, że znasz moje imię.

— Widzicie go, tego zwariowanego koniucha! — krzyknął potwór. — Ileż to dobrych duchów ucierpiało tego roku, kiedy siałeś zamęt w państwie niebiańskim. A teraz znów się tu zjawileś, żeby się znęcać nad innymi! Dość już tego rozrabiania! A masz, posmakuj moich grabi!

Jakże mógł Wędrowiec znieść taką zniewagę? Uniósł swoją żerdź i ruszył do ataku na swego przeciwnika. I tak na zboczu góry zawiązała się między nimi zacięta walka.

Była właśnie druga zmiana straży w nocy, kiedy starli się w boju. Walczyli tak długo, aż niebo na wschodzie pokryło się jasnym brzaskiem. Potwór nie mógł już dłużej stawiać czoła przeciwnikowi, wycofał się z walki i jak przedtem, przemieniwszy się w gwałtowny wicher, czmychnął do swojej jaskini. Wejście do niej zaparł na glucho i więcej się nie pokazywał. Wędrowiec uważnie obejrzał bramę jaskini i obok niej zauważył stojącą na skale kamienną stelę z trzyznakowym napisem: „Jaskinia Przechowywania Chmur”. Widząc, że potwór nie zamierza opuścić swego legowiska, a zrobiło się już zupełnie widno, Wędrowiec pomyślał sobie: „Pewnie mistrz już zaczyna się

o mnie niepokoić. Lepiej chyba będzie teraz wrócić i pokazać mu się, a potem jeszcze zdążę schwytać tego potwora”. Jak pomyślał, tak zrobił. Wskoczył na przepływającą chmurę i po chwili znalazł się w Kao-lao-czuangu.

Jak już mówiliśmy, Tripitaka w tym czasie zajęty był rozmową ze starcami. Całą noc nie spał, rozprawiając z nimi o sprawach dawnych i dzisiejszych. Gdy w końcu przypomniał sobie o uczniu i zastanowił się, co mu się mogło przydarzyć, Wędrowiec jak na zawołanie spłynął z nieba i ukrywszy żerdź, poprawił na sobie ubranie i stanął przed mistrzem.

— Już jestem z powrotem, mistrzu! — zawołał wchodząc do sali.

Wystraszeni starcy poderwali się z miejsc i zaczęli mu się kłaniać, wyrażając podziękowanie za pracę, jakiej się podjął.

— Bardzo się natrudziłeś! Dziękujemy! — mówili jeden przez drugiego.

— Sun Wu-k'ungu, całą noc cię nie było, czy udało ci się schwytać tego potwora? Gdzie go masz? — zapytał Tripitaka.

— Mistrzu — odpowiedział Wędrowiec — ten potwór nie jest zwyczajnym ziemskim odmieniecem ani upiorną bestią z gór. Jest to wygnany z nieba dowódca niebiańskich sił wodnych. Przez pomyłkę począł się w łonie świni i dlatego łeb ma podobny do świńskiego ryja. Ale swoich duchowych właściwości nie utracił. Mówi, że nazwisko ma odpowiednie do wyglądu swego i nazywa się Czu Kang-le, czyli Wieprz Twarda Szczecina. Wypędziłem go z pawilonu na tyłach domu i zaatakowałem swoją żerdzią, ale on przemienił się w gwałtowny wicher i zwiął. Gdy zdzieliłem wicher żerdzią, przemienił się w złocisty promień światła i wpadł do swojej jaskini na szczycie góry. Chwytał tam swoje grabie z dziewięcioma zębami i rzucił się na mnie. Walczyliśmy przez całą noc. Dopiero gdy zaczynało świtać, czmychnął z powrotem do swojej jaskini, zapierając jej wejście na glucho. Nawet nie wystawia łba na zewnątrz. Chciałem już rozwalić bramę jaskini i zmierzyć się z nim w walce na śmierć i życie, ale sobie pomyślałem, że na pewno mnie wyczekujesz z niepokojem, więc najpierw tu przyleciałem, żeby donieść, jak się sprawy przedstawiają.

Gdy skończył opowiadanie, podszedł do niego stary Kao, upadł na kolana i zaczął błagać:

— Czcigodny ojcze, co teraz się stanie? Gdy tylko wyjedziecie, ten potwór się znów tutaj zjawi. Błagam was, doprowadźcie sprawę do końca, wyrwijcie zło z korzeniami, żeby później nie stało się jakieś nieszczęście. Wyświadczone mi tę łaskę, a już ja wam to sownie wynagrodzę. W obecności wszystkich moich krewnych sporządzą dokument, mocą którego połowę całej mojej ziemi i dobytku wam oddam. Błagam was tylko, wyrwijcie ten chwast z korzeniem, aby dom nasz mógł zażywać spokoju i cieszyć się szacunkiem u ludzi.

— Coś mi się wydaje, że trochę przesadzasz, czcigodny panie Kao — odparł śmiejąc się Wędrowiec. — Ten potwór sam mi powiedział, że chociaż apetyt ma rzeczywiście ogromny, to jednak wykonuje wiele różnych prac. W ciągu ostatnich kilku lat właśnie dzięki jego wysiłkom i wytężonej pracy znacznie pomnożyłeś swój majątek. Z tego widać, że darmo nie jadł twego ryżu. Właściwie dlaczego tak koniecznie chcesz się go pozbyć? Jak wynika z tego, co mi powiedział, jest on wygnanym na

ziemię niebiańskim duchem, wykonuje dużo pracy w twoim gospodarstwie i, jak mi się wydaje, nie wyrządził twojej córce żadnej krzywdy. Myślę, że taki zięć to bardzo cenny człowiek w domu i w żaden sposób nie plami honoru rodu, a tym bardziej go nie hańbi. Prawdę mówiąc, powinieneś go u siebie zostawić.

— Drogi ojcze — rzekł na to błagalnie stary Kao — nawet jeśli wszystko to, co ci powiedział, jest prawdą i nie narusza on naszych obyczajów, to jednak u ludzi ma złą sławę. Coraz to daje się słyszeć uwagi w rodzaju: „Stary Kao wziął sobie potwora za zięcia”. I cóż ja wtedy mogę na to odpowiedzieć?

— Sun Wu-k’ungu — wtrącił się do rozmowy Tripitaka — skoro już się podjąłeś tej sprawy, musisz ją doprowadzić do końca. Innego wyjścia nie ma.

— Ja tak tylko żartowałem — powiedział Wędrowiec. — Chciałem go wypróbować, ale potwora na pewno tu przyprowadzę. Możecie się nie martwić. A teraz, czciwogodny panie Kao — zwrócił się do gospodarza — zajmij się jeszcze dalej moim mistrzem, a ja tam znów pójdę.

Zaledwie przebrzmiały jego słowa, a już zniknął bez śladu. Jednym skokiem znalazł się na Górze Szczęścia u wejścia do jaskini i ujawszy oburącz żelazną żerdź, rąbnął nią z całej siły w bramę, rozbijając ją na drobne kawałki.

— Hej, ty! — krzyknął. — Żarłoczny brudasio! Ty plewojadzie! Wychodź no szybko ze swojej nory, niech się z tobą zmierzę!

Czarodziej w tym czasie twardo spał w swojej jaskini, pochrapując co chwila. Gdy posłyszał łomot rozwalającej się bramy i przekleństwa Wędrowca, rozwścieczony chwycił grabie i wzniciwszy w sobie bojowego ducha, wybiegł na zewnątrz, przeraźliwie wrzeszcząc:

— Ach, ty przekłety koniuchu, naprawdę chcesz ze mną zwady?! Co ja ci takiego zrobiłem, że roztrzaskałeś bramę mojej jaskini? Idź, poczytaj sobie w księdze praw, a przekonasz się, że za wtargnięcie siłą do obcego domu należy się kara śmierci!

— Ależ z ciebie zupełny głupiec — roześmiał się Wędrowiec. — Jeśli nawet rozbiliśmy ci bramę, to zrobiłem to nie bez przyczyny. Miałem po temu uzasadnione powody! Przecież to ty porwałeś dziewczynę i żyłeś z nią bez obrzędów ślubnych, swatów, ceremonii picia herbaty i wina. Za taką zbrodnię kat powinien ci już dawno ściąć głowę.

— Co tam z tobą będę gadał po próżnicy — zawołał na to czarodziej. — Zbliż się, to cię tak zdzielię grabiami, że popamiętasz!

— Ha, przecież tymi samymi grabiami pracowałeś na polu u czciwogodnego Kao — rzekł Sun Wu-k’ung, bez trudu odbijając ciosy. — Czy myślisz, że się ciebie z tego powodu przestraszę?

— Nie znasz się — zawołał do niego potwór. — Czy myślisz, że to są zwyczajne grabie, którymi się pracuje w polu? To są cudowne grabie, wykute ze specjalnego kruszcu. Sam mistrz nieśmiertelnych, Lao-kün, w alchemicznym piecu je wytapiał, a Duch Krwawej Gwiazdy podkładał do ognia. Bogowie Pięciu Planet hartowali je, gromadząc w nich siły tajemne. Nikt jeszcze nie uszedł z życiem, na kogo w boju te grabie upadły. Choćby twa głowa była z żelaza czy miedzi, od uderzenia moich grabi duch z twego ciała uleci, w jednej chwili padniesz trupem.

— Nie pleć bzdur, głupcze — rzekł na to Wędrowiec i opuścił na ziemię swoją



żelazną żerdź. — Gotów jestem nadstawić ci swoją głowę, rąbnij ją grabiami, a śmiało! Zobaczysz, czy duch z mego ciała uleci, czy w jednej chwili padnę tu trupem!

Czarodziej zamachnął się grabiami i z całej siły rąbnął nimi Sun Wu-k'unga po głowie. Rozległ się straszliwy trzask, z grabi posypały się iskry, ale na głowie Sun Wu-k'unga nie powstało nawet najmniejsze zadrażnienie. Czarodziejowi ze strachu opadły ręce i nogi się pod nim ugięły.

— Ale głowa! Jaka twarda głowa! — zawołał zdumiony.

— Oczywiście, nie mogłeś o tym wiedzieć, że gdy wzniciłem bunt w niebie — wyjaśnił mu Sun Wu-k'ung — skradłem Lao-künowi pigułki nieśmiertelności, po kryjomu objadłem się cudownych brzoskwiń przygotowanych na ucztę dla nieśmiertelnych oraz wychyliłem wiele dzbanów cudownego wina w pałacu Nefrytowego Cesarza. Gdy później mnie schwytał Mały Mędrzec Er-lang i uwięził w pałacu Ducha Gwiazdozbioru Południowej Niedźwiedzicy, duchy niebiańskie rąbały mnie toporami, siekły mieczami, przypalały ogniem, biły piorunami i mimo to nie zdołały mi zadać nawet najłżejszej rany. Ba, później nawet sam T'ai-szang Lao-kün zabrał mnie i umieścił w swym alchemicznym piecu. Cudownym ogniem mnie prażył, ale od tego tylko oczy me stały się ogniste, a głowa i ramiona twarde jak brąz czy żelazo. Nie wierzysz mi? Spróbuj jeszcze raz mnie rąbnąć! Zobaczysz, czy mnie to choć trochę zaboli.

— Ty stary małpisonie — zawołał potwór — przypominam sobie, że zanim zacząłeś się awanturować w pałacu niebios, zamieszkiwałeś Jaskinię Wodnej Zasłony na Górze Kwiatów i Owoców, w pobliżu krainy Aolai na kontynencie Purwawideha. Ale od tamtego czasu nic o tobie nie słyszałem. Jak to się stało, że cię tu przyniosło i dlaczego na mnie napadasz? Czyż to mój teść cię tutaj sprowadził?

— Twój teść wcale mnie tu nie zapraszał — odparł Wędrowiec. — Po prostu wkroczyłem na drogę Prawdy, odzegnałem się od taoizmu i zostałem buddyjskim mnichem. Mój mistrz, czcigodny przeor Tripitaka, uznany przez cesarza wschodniej krainy za brata, wędruje do Zachodniego Raju, by się pokłonić Buddzie i uzyskać od niego święte księgi, a ja mu towarzyszę w tej pielgrzymce i strzegę przed niebezpieczeństwami. Właśnie droga nasza wiodła przez wioskę rodziny Kao i zatrzymaliśmy się w niej na nocleg. Rozgadaliśmy się ze starym Kao i w końcu zwrócił się on do mnie z prośbą, żebym uwolnił jego córkę i pochwyił ciebie, ty żarłoczny plewojadzie!

Usłyszawszy te słowa, czarodziej odrzucił na bok grabie i głośno pozdrawiając Sun Wu-k'unga, zawołał:

— O, a gdzież to przebywa teraz ów pielgrzym, udający się na zachód po święte księgi? Zechciej, proszę, zaprowadzić mnie do niego. Bardzo cię o to proszę!

— A po co chcesz się z nim tak koniecznie zobaczyć? — zapytał Wędrowiec.

— Prawdę mówiąc — wyjaśnił czarodziej — za radą bodhisattwy Kuan-in wszedłem na Drogę Prawdy. Żyłem tu przestrzegając postu w oczekiwaniu na świętego mnicha, który miał się udać do Zachodniego Raju, by się pokłonić Buddzie i wybłagać święte księgi. Towarzysząc mnichowi w jego pielgrzymce miałem zmazać swoje dawne zbrodnie i osiągnąć oświecenie. Już od kilku lat tu bytuję i jeszcze nie miałem żadnych wieści o tym pielgrzymie. I oto dzisiaj spotykam w tobie ucznia tego świętego mnicha. Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś, że udajesz się po święte księgi, zamiast poka-

zywać swoją siłę, rozbijając bramę mojej jaskini, i wdawać się ze mną w bijatykę?

— Tylko nie próbuj oszukać mnie jakimiś nowymi sztuczkami i znów prysnąć — przestrzegaj Wędrowiec. — Jeśli rzeczywiście zamierzasz chronić t'angowskiego mnicha przed niebezpieczeństwami i w tym, co powiedziałeś, nie ma ani krzty kłamstwa, to przysięgnij na niebo, które będzie twoim świadkiem, a wtedy zaprowadzę cię do mojego mistrza.

Czarodziej z loskotem upadł na kolana, zwrócił oczy ku niebu i złożywszy kilka pokłonów, uroczyście przemówił:

— O, Buddo Amitabho, ciebie biorę na świadka. Jeśli to, co przed chwilą powiedziałem, nie jest najprawdziwszym odbiciem moich głębokich pragnień, niech zostaną ukarany zgodnie z prawami niebios, a moje ciało niech kaci posiekają na drobne kawałki.

— Skoro tak jest, jak przysięgałeś — rozkazał Sun Wu-k'ung — to teraz podpal tę swoją norę. Dopiero wtedy zabiorę cię do mego mistrza.

Czarodziej rzeczywiście naznosił zeszcłego drzewa, zielska i suchych gałęzi głogu, podпалиł je i po kilku chwilach cała Jaskinia Przechowywania Chmur przemieniła się w jedno wielkie pogorzelsko przypominające porzucony piec garncarski.

— No, teraz nic mnie tu już nie trzyma — oświadczył Wędrowcowi potwór. — Poprowadź mnie do swojego mistrza.

— Najpierw oddaj mi swoje grabie! — zażądał Sun Wu-k'ung.

Potwór posłusznie spełnił polecenie, a Wędrowiec wtedy wyrwał sobie kłębek sierści, dmuchnął weń i zawołał:

— Zmień się!

W jednej chwili kłębek zmienił się w potrójny, konopny powróż. Wędrowiec zbliżył się do potwora, założył mu ręce z tyłu na plecach i mocno, jak tylko potrafił, skrępował go powrozem. Gdy dokonał tych zabezpieczających prac, schwycił potwora za ucho i ciągnąc za sobą, ponagłał:

— No, szybciej idź! Ruszaj się żwawiej!

-- Nie ciągnij mnie tak mocno — błagał czarodziej. — Masz taką ciężką rękę, że mi aż ucho z bólu pęka.

— Nie można lżej! — odparł Wędrowiec. — Muszę cię dobrze trzymać, żebyś mi nie uciekł. Jak powiadają: „Nawet spokojnego wieprza lepiej jest mocno trzymać za ucho”. Jeszcze trochę pocierp, przywiode cię do mistrza, wyjaśnimy, czy twoje pragnienia są szczerze i dopiero cię puszczę.

Na chmurach i przyziemnych oparach obydwaj szybko dotarli do wioski rodu Kao. Jedną ręką trzymając grabie, a drugą ciągnąc za ucho swego jeńca, Wędrowiec rzekł do niego:

— Popatrz, widzisz tam tego mnicha, który siedzi pośrodku sali? To jest właśnie mój mistrz!

Czcigodny Kao i wszyscy jego sędziwi przyjaciele, noszący również nazwisko Kao, widząc, że Wędrowiec taszczy za ucho związanego potwora, jak jeden rzucili się wszyscy naprzeciw nich, wołając do Tripitaki:

— Czcigodny mistrzu! Drogi mistrzu! To rzeczywiście jest zięć pana Kao!

Potwór podszedł bliżej do świętego mnicha i padłszy przed nim na oba kolana, z rękoma związanymi na plecach, bił pokłony, wołając na cały głos:

— Mistrzu, twój uczeń dopiero teraz ma możliwość cię powitać! Gdybym wcześniej wiedział, że zatrzymałeś się w domu mego teścia, już dawno bym ci się pokłonił i uniknął wszelkich nieprzyjemności.

— Sun Wu-k'ungu — zwrócił się Tripitaka do swego ucznia — w jaki sposób udało ci się nie tylko go pokonać, ale jeszcze sprawić, żeby przyszedł mi się pokłonić?

Wędrowiec puścił swego jeńca i uderzywszy go trzonkiem cudownych grabi, zawołał:

— No, głupcze, opowiadaj wszystko po kolei!

Potwór wówczas dokładnie opowiedział o tym, jak bodhisattwa Kuan-in nakłoniła go do wkroczenia na drogę Prawdy. Tripitaka nie posiadał się z radości.

— Czcigodny panie Kao — zwrócił się do gospodarza domu — zechciej, proszę, przynieść stolik do palenia ofiarnych kadzideł.

Stary Kao pośpieszył spełnić prośbę swego gościa. Tripitaka obmył dłonie, zapalił wonne trociczki ofiarne i zwróciwszy się twarzą na południe, złożył głęboki pokłon i powiedział:

— O, boska bodhisattwo! Dzięki ci za twe nieskończone łaski!

Również sędziwi przyjaciele pana Kao i on sam zapalili wonne kadzidła i bijąc pokłony modlili się do bodhisattwy. Po zakończeniu tej dziękczynnej ceremonii Tripitaka zasiadł na podwyższeniu i kazał Sun Wu-k'ungowi rozwiązać czarodzieja. Wędrowiec tylko wstrząsnął swym ciałem i powróż z powrotem przemienił się w kłębek sierści, uwalniając więźnia z pęt. Czarodziej zaczął od nowa bić pokłony przed Tripitaką, wyrażając pragnienie towarzyszenia mu w pielgrzymce na zachód. Następnie pokłonił się Sun Wu-k'ungowi prosząc, by zechciał uważać go za swego brata, i oświadczył, że będzie odtąd nazywać go swym „bratem-nauczycielem”.

— No cóż — odezwał się wtedy Tripitaka — skoro postanowiłeś wkroczyć na ścieżkę Prawdy i zostać moim uczniem, muszę ci dać jakieś zakonne imię. Tak mi będzie wygodniej się do ciebie zwracać.

— Mistrzu — odparł na to nawrócony czarodziej — bodhisattwa zadając mi pokutę za dawne przewinienia obdarzyła mnie też zakonnym imieniem. Nazwała mnie Czu Wu-neng, co znaczy wieprz, który poznał ludzkie umiejętności.

— To wspaniale! — ucieszył się Tripitaka. — Akurat imię twojego starszego brata brzmi Wu-k'ung, a twoje Wu-neng. Obydwa imiona w zasadzie pasują do systemu imion przyjętego w naszej sekcie.

— Mistrzu — rzekł wtedy błagalnym głosem Czu Wu-neng — bodhisattwa nałożyła wówczas na mnie post, nakazała wstrzemięźliwość od mięsnych potraw. Przez cały czas, gdy żyłem w domu mego teścia, ani razu nie naruszyłem tego zakazu. Ale teraz, mistrzu, gdy się w końcu ciebie doczekałem, uwolnij mnie od niego.

— Nie, w żadnym wypadku nie mogę tego uczynić — sprzeciwił się Tripitaka — a ponieważ nie wolno ci spożywać żadnego mięsiwa, dam ci jeszcze drugie imię zakonne. Odtąd będę cię nazywał Pa-tsie, co oznacza osiem rodzajów wstrzemięźliwości.

— Posłusznie spełniać będę wszystkie twoje nakazy — radośnie zgodził się na wszystko. Od tej pory nazywano go po prostu Czu Pa-tsie.

Również czcigodny Kao bardzo się ucieszył, gdy się dowiedział, że jego były zięć porzucił zło i wkroczył na ścieżkę Prawdy. Wydał też odpowiednie polecenia służbie, by przygotowała uroczystą ucztę. Chciał przynajmniej w ten sposób podziękować t'angowskiemu mnichowi za to, co dla niego uczynił. Czu Pa-tsie podszedł do starego Kao, wziął go za rękę i rzekł:

— Ojczy, czy nie mógłbyś zaprosić tu mojej żony, żeby mogła się pokłonić mojemu mistrzowi i bratu?

— Drogi bracie — roześmiał się na to Wędrowiec — skoro już złożyłeś ślub i zostałeś mnichem, nie powinieneś nawet jednym słowem wspominać o swojej żonie. Wprawdzie wśród taoistów można jeszcze czasami spotkać żonatych mnichów, ale nigdy u wyznawców Buddy. A teraz zasiądźmy na właściwych miejscach i posilmy się postną strawą. Jutro z samego rana musimy wyruszyć w dalszą drogę do Zachodniego Raju.

Stoły były już nakryte do wieczery i stary Kao zaprosił Tripitakę do zajęcia honorowego miejsca. Po obu stronach Tripitaki usadził Sun Wu-k'unga i Czu Pa-tsie. Krewni i rodzina zajęli dalsze miejsca. Następnie gospodarz nałał pierwszy kielich słabego wina, ułał po trochu w ofierze duchom nieba i ziemi i dopiero wtedy wręczył go uroczyście Tripitace.

— Muszę się wam szczerze przyznać — powiedział Tripitaka — że w ciągu całego życia nigdy nie tknąłem ani wina, ani mięsa.

— Wiedząc, że żywiecie się tylko postną strawą, mistrzu — rzekł stary Kao — w dzisiejszej wieczery nie ma ani odrobiny mięsa. A to wino jest naprawdę bardzo słabe. Proszę bardzo, jeden kielich chyba możecie wychylić?

— Nie, wina też za nic w świecie bym się nie ośmielił wziąć do ust. Przecież pierwszy zakaz u mnichów buddyjskich dotyczy picia wina!

— Mistrzu — zaniepokoił się Czu Pa-tsie — ja złożyłem tylko ślub przestrzegania postu, ale wina nigdy się nie wyrzekałem.

— Chociaż mi wino szybko uderza do głowy i prosto ze stągwi już nie potrafię pić, nie znaczy to, że zupełnie się wina wyrzekałem — wypowiedział swoje zdanie Sun Wu-k'ung.

— W takim razie, możecie wypić po odrobinie tego lekkiego wina — przyzwolił uczniom Tripitaka — tylko się nie upijcie, bo jeszcze coś narozrabiacie.

Wtedy dopiero wręczono Sun Wu-k'ungowi i Czu Pa-tsie kubki z winem. Pozostali biesiadnicy usiedli za stołem odpowiednio do wieku i pozycji zajmowanych w rodzinie. Ileż tam smakowitych potraw było! Stół wprost się ugiął od ich obfitości!

Gdy uczta dobiegła końca, stary Kao przyniósł na tacy z czerwonej laki dwieście liang srebra i złożył je w darze Tripitace i jego uczniom z przeznaczeniem na wydatki w czasie wędrówki. Oprócz tego chciał im ofiarować trzy pokryte jedwabiem kubraki, by je w czasie chłodu mogli nałożyć na zakonne szaty.

— Jesteśmy wędrownymi mnichami — rzekł mu Tripitaka i żyjemy z jałmużny uproszonej po wioskach, które mijamy po drodze. Nie godzi się więc przyjmować od was pieniędzy i tych cennych podarunków.

W tym momencie zbliżył się do nich Sun Wu-k'ung. Wyciągnął swoją długą rękę, schwycił pieniądze i zawołał do służącego:

— Hej, Kao Ts'ai, wczoraj zmusiliśmy cię, żebyś przyprowadził mnie i mojego mistrza tutaj, a dzisiaj przybył nam jeszcze jeden uczeń. Nie mamy czym ci się odwdzięczyć, a więc weź sobie te pieniądze za przyprowadzenie nas tutaj. Kup sobie nowe słomiane kapcie, żebyś miał w czym chodzić! A jeśli kiedykolwiek pojawią się u was jeszcze jacyś czarodzieje, możesz śmiało się do mnie zwrócić o pomoc, a ja wtedy będę miał możliwość jeszcze lepiej ci się odwdzięczyć!

Kao Ts'ai wziął pieniądze i nisko się im pokłonił, dziękując za hojny datek.

— Jeśli nie chcecie wziąć pieniędzy — rzekł tedy stary Kao — to przyjmijcie chociaż te skromne szaty. To naprawdę jest tylko nic nie znaczący drobiazg. Niech on będzie przynajmniej dowodem mojej wielkiej dla was wdzięczności!

— Gdybyśmy my, mnisi, przyjęli w darze chociażby jedną nitkę, na zawsze zamknęłaby się dla nas droga do wiecznego zbawienia — odparł Tripitaka. — Możemy tylko zabrać na drogę tę trochę placków, które zostały po uczcie na stole.

— Czcigodny mistrzu i ty, mój starszy bracie — wtrącił się do rozmowy Czu Pa-tsie. — Nie przesadzajcie tak bardzo w swojej skromności. Ja przecież tyle lat pracowałem w domu mego teścia. Gdyby przyszło zapłacić za moją pracę samymi tylko płodami rolnymi, uzbierałoby się tego ze trzy korce. Drogi teściu, wczoraj mój brat-nauczyciel rozerwał mi kaftan. Zechciej, proszę, podarować mi nową szatę zakonną z czarnego jedwabiu i parę nowiutkich pantofli.

Stary Kao nie mógł odmówić tej prośbie. Kazał zakupić świeżą parę pantofli i razem z szatą zakonną ofiarował Czu Pa-tsie. Ten zaś szybko zrzucił z siebie stare ubranie, założył nowe i lekko kołyszącym się krokiem podszedł do teścia, podziękował za prezenty i uroczystym głosem zwrócił się do niego w te słowa:

— Racz, proszę, zawiadomić szanowną teściową, twoje nałożnice, córki i ich mężów oraz wszystkich krewnych, że dzisiaj złożyłem śluby zakonne i zostałem mnichem. Poproś ich także, by zechcieli mi wybaczyć, że nie zdążyłem się z nimi osobiście pożegnać. A ciebie, drogi teściu, proszę, żebyś dobrze się odnosił do mojej żony. Gdyby nam się nie udało zdobyć świętych ksiąg, to kto wie, może wrócę do życia świeckiego, a wtedy bym tu przyszedł, żeby po dawnemu żyć u ciebie jako twój zięć.

— Nie pleć głupstw, zakuta pało! — krzyknął na niego Wędrowiec.

— To nie są żadne głupstwa — zaoponował Czu Pa-tsie. — Chciałem tylko powiedzieć, że wszystko się jeszcze może zdarzyć. Może się przecież w końcu okazać, że niepotrzebnie zostałem mnichem i zbytecznie porzuciłem żonę. Czyż wtedy nie będę podwójnie przegrany?

— Przestańcie gadać o głupstwach — przerwał im Tripitaka. — Musimy czym prędzej ruszać w drogę.

Szybko zebrali swoje rzeczy. Czu Pa-tsie wziął nosidła z tobołkami, Tripitaka siadł na konia, a Sun Wu-k'ung ze swoją żelazną żerdzią na ramieniu maszerował przodem torując drogę. Pożegnawszy się ze starym Kao i wszystkimi jego krewnymi i przyjaciółmi, pielgrzymi ruszyli w dalszą drogę na zachód.

Wędrowali tak w trójkę już cały miesiąc bez żadnych przygód. I oto gdy przekraczali granicę tybetańskiego rejonu Wu-sy, ujrzeni przed sobą jakąś bardzo wysoką górę.

— Sun Wu-k'ungu! Sun Wu-k'ungu! — zawołał Tripitaka do swego ucznia, osa-

dzając na miejscu konia. Przed nami widać jakąś wysoką górę. Przyjrzyj jej się dokładnie, czy nie zagraża nam jakieś niebezpieczeństwo?

— Nie ma się czego obawiać — orzekł Czu Pa-tsie. — Ta góra to Fou-tu-szan, Góra Buddy. Żyje na niej pustelnik o przydomku Krucze Gniazdo. Zajmuje się on samodoskonaleniem. Kiedyś miałem nawet okazję się z nim spotkać.

— Co to za człowiek? — zapytał Tripitaka.

— Jest to człowiek wielkich cnót — odpowiedział Czu Pa-tsie. — Kiedyś nakłaniał mnie, żebym też się zajął samodoskonaleniem, ale nie poszedłem za jego radą.

Tak rozprawiając o różnych sprawach mistrz i jego uczniowie nawet nie zauważyli, jak szybko się znaleźli u podnóża góry. A była to rzeczywiście przepiękna góra. Na jej południowym stoku ciemna zieleń sosen przeplatała się z turkusem akacji, a na północnym jej skłonie zieleń wierzb skropiła czerwien dojrzałych brzoskwiń. W gałęziach drzew wrzało od ćwierkania i śpiewu górskiego ptactwa. Co chwila trzepot skrzydeł ptasiego tańca rozpywał się w poszumie lotu boskich żurawi. Zapach tysięcy kwiatów wypełniał powietrze, strumyk szemrał tocząc swe zielonkawe wody, a nad przepaścistymi skałami zawisły różowe obłoki. Całe otoczenie stwarzało nastrój przytulności, spokoju. Nigdzie w zasięgu wzroku nie widać było żywej duszy.

Tripitaka, siedząc na koniu, rozejrzał się uważnie dookoła i w końcu zauważył wśród korony wonnych akacji mały szalas z gałęzi i traw. Z jednej strony dostojnie przechadzały się jelenie podskubując kwiaty, po drugiej stronie stadko górskich małąp zносиło owoce. Na wierzchołkach drzew pstropióre feniksy wypełniały okolicę swym boskim śpiewem, a czarne żurawie i złociste pawie zbierały się na naradę.

— Toż to właśnie sam pustelnik Krucze Gniazdo! — wskazując palcem zawołał Czu Pa-tsie.

Tripitaka popędził swego wierzchowca i wkrótce wszyscy trzej znaleźli się wśród drzew przy szalasiu.

Ujrawszy zbliżających się pielgrzymów, pustelnik opuścił swe gniazdo i zeskoczył z drzewa na ziemię. Tripitaka zsiadł z konia i z szacunkiem pokłonił się ascecie. Pustelnik podtrzymując mnicha pod ramiona i pomagając mu wstać, powiedział:

— Proszę cię, święty mnichu, racz się podnieść! Wybaczcie, że wcześniej nie wyszedłem wam na spotkanie.

— Przyjmij też, czcigodny ojcze, pokłon ode mnie — skłonił się Czu Pa-tsie.

— Ależ to jest Czu Kang-le z Fu-ling-szanu! — zawołał mile zaskoczony tym spotkaniem pustelnik. — Jakiż szczęśliwy los sprawił, że wędrujesz ze świętym mnichem?

— Przed dwoma laty bodhisattwa Kuan-in nakłoniła mnie, żebym wkroczył na ścieżkę Prawdy — wyjaśnił Czu Pa-tsie — i tak zgodnie z jej życzeniem zostałem jego uczniem.

— To świetnie! Wprost wspaniale! — zawołał uradowany pustelnik. — A kto to taki? — zapytał wskazując na Wędrowca.

— Jak to jest, czcigodny ojcze, że jego poznałeś, a mnie jakoś nie możesz? — odezwał się z uśmiechem Sun Wu-k'ung.

— Widocznie mało o tobie słyzałem — odparł pustelnik.

— To jest mój starszy uczeń, Sun Wu-k'ung — przedstawił go Tripitaka.

— Wybacz mi moją niegrzeczność — z uśmiechem przeprosił pustelnik.

Tripitaka jeszcze raz mu się pokłonił i zapytał, czy daleko mają jeszcze do Świątyni Huczących Grzmotów w Zachodnim Raju.

— O, daleko, jeszcze bardzo daleko! — powiedział pustelnik. — Po drodze wiele dzikiego zwierza, tygrysów, panter. Trudno będzie się wam tam przedostać.

— A tak naprawdę, to ile jeszcze mamy wiorst do przebycia? — nie ustawał w zapytaniach Tripitaka.

— Chociaż droga daleka — odparł Krucze Gniazdo — ale na pewno nadejdzie dzień, kiedy tam dotrzecie. Trudno tylko wam będzie się ustrzec od złych duchów. Znam jednak Sutrę Oczyszczenia Serc. Składa się ona z pięćdziesięciu czterech zdań i dwustu siedemdziesięciu znaków. Jak tylko natkniecie się na jakiegoś potwora, recytujcie tę sutrę, a nie będzie mógł wam zrobić nic złego.

Tripitaka pokłonił się pustelnikowi do samej ziemi i poprosił go o wygłoszenie cudownej sutry. Pustelnik rozpoczął recytację:

— Oto Sutra o Wielkiej Mądrości i Pełnym Oczyszczeniu Serc:

O, Kuan-in, miłosierna Bodhisattwo! Czynamy swymi zgłębiłaś najwyższą mądrość. Ciebie zawsze otacza światłość wieczna. Ty dobrze wiesz, że kształt, uczucie, świadomość, działanie i wiedza to tylko pustka bezkresna. Ty oddalasz wszelkie nieszczęścia i niedole od ludzi. O, niestłałe szczątki Buddy! Kształt nie różni się od pustki, a pustka jest tym samym co kształt! Jednak wszystko powtarza się w koło! O, niestłałe szczątki Buddy! One są wszystkich budd złudnym wcieleniem! One nie rodzą się i nie umierają, nie kalają się brudem i nie oczyszczają, nie powiększają ani nie zmniejszają. I dlatego na świecie nie ma ani kształtów, ani uczucia, nie ma świadomości ani działania. Nie ma też pięciu źródeł zła — oczu, uszu, nosa, języka i ciała, nie ma sposobów na określenie kształtów, dźwięków, zapachów, smaków i właściwości odczuwanych dotykiem. Świat niedostrzegalnie zbliża się do świata, w którym nie ma zmysłowych pragnień i doznań. Nie ma jasności, ale też nie ma pełnej ciemności. Starość i śmierć nie istnieją, ale nie można też powiedzieć, aby były zupełnie nieobecne. Wybawienie od cierpień i przejście w nirwanę jest niepojęte i nieosiągalne, gdyż przejść trzeba dziesięć stopni drogi bodhisattw, opierając się na Sutrze Wielkiego Oświecenia. Tylko wtedy duch nie napotka przeszkód. A gdy przeszkody są zdjęte, nie ma miejsca dla obaw. Gdy porzucisz złudzenia, przybliżysz się tym samym do stanu nirwany, do trzech pokoleń budd. Dlatego znając Sutrę Wielkiego Oświecenia poznasz zakłęcie wielkiego ducha!

Jest to najjaśniejsze zakłęcie, najwyższe, niezrównane zakłęcie, które oddala wszelkie cierpienia, zakłęcie prawdziwe i pozbawione fałszu. Dlatego czytanie Sutry Wielkiego Oświecenia równoznaczne jest z powtarzaniem zakłęcia: „O gata, gata! O najwyższa mądrości! O wielkie oświecenie!”

Zakończywszy recytację sutry, pustelnik wsiadł na promienistą chmurę i zamierzał poszybować do swego kruczego gniazda. Tripitaka jednak zatrzymał go i jeszcze raz poprosił, by im opowiedział o drodze, którą im przyjdzie przemierzyć w wędrówce na zachód. Asceta roześmiał się i rzekł:

— Jeśli posłuchacie moich wskazówek, to zdołacie pokonać wszystkie trudności,

jakie napotkacie na swej drodze. Przed wami wiele wysokich gór i tysiące głębokich rzek. Mijając będziecie wiele groźących zgubą miejsc, napotkacie mnóstwo duchów i odmieńców. Jeśli zdarzy się wam dojść na skraj świata, zachowajcie spokój i nie poddawajcie się strachowi. Bądźcie szczególnie ostrożni, gdy dojdziecie do przepaści Mo-er-jen. Wystrzegajcie się lasu czarnych sosen. Tam zagrodzą wam drogę upiory, lisy i inne straszidła. Czarodziejskimi istotami wypełnione są miasta w tym lesie, a demony sprawują władzę w górach. Lasem czarnych sosen rządzi tygrys, wilk jest tam głównym rachmistrzem. Lwy i słonie noszą książęce tytuły, tygrysy i borsuki są ich doradcami, a dzikie świny — tragarzami. Wyjdą wam też na spotkanie wszelkie wodne potwory, aż w końcu ujrzycie starą, kamienną małpę, w której drzemią gniew i złość. Zapytajcie ich o drogę na zachód. One ją bardzo dobrze znają.

Wysłuchawszy tych słów, Sun Wu-k'ung chłodno się uśmiechnął i rzekł:

— Chodźmy dalej! Nie ma co go dłużej wypytywać. Wystarczy, że mnie zapytacie, a ja wam wszystko powiem.

Tripitaka w pierwszej chwili nie zrozumiał, co Sun Wu-k'ung miał na myśli. Pustelnik tymczasem przemienił się w ognisty promień i zniknął w swoim gnieździe. Tripitaka skłonił się w jego stronę na znak podziękowania.

Sun Wu-k'ung był w głębi serca bardzo wzburzony słowami pustelnika. Chwycił swą żerdź i zaczął nią wściekle tłuc w powietrzu. Po chwili ziemia pokryła się tysiącami lotosów, a z nieba opadła tęczowa mgła spowijając wszystko dokoła. Nawet Sun Wu-k'ung, posiadający czarodziejską moc cofania biegu rzek i wzburzania mórz, nie mógł liczyć teraz na to, że mu się uda uszkodzić bodaj jedną gałązkę z gniazda pustelnika.

Tripitaka widząc, co się dzieje, chwycił Wędrowca za rękę i rzekł:

— Sun Wu-k'ungu, przecież to był sam bodhisattwa. Dlaczego chcesz rozbić jego gniazdo?

— Bo nawymyślał mnie i mojemu bratu! — odparł urażony Wędrowiec.

— Skąd ci to do głowy przyszło? — zdziwił się Tripitaka. — On przecież tylko opisywał nam drogę do Zachodniego Raju. Jakże mógł wam przez to naubliżyć?

— Czyżbyś tego nie zauważył, mistrzu? — zapytał Wędrowiec. — Gdy powiedział, że „dzikie świny będą tam tragarzami”, ubliżył w ten sposób mojemu bratu Czu Pa-tsie, a gdy powiedział, że „ujrzycie tam starą, kamienną małpę”, to czyż nie chciał tym mnie obrazić? Czyż jeszcze nie zdołałeś pojąć ukrytego znaczenia jego słów?

— Nie gniewaj się, starszy bracie — wtrącił się Czu Pa-tsie. — Ten pustelnik wie wszystko o tym, co minęło i co przyszłość przyniesie. Lepiej zwróć uwagę na przepowiednię „wyjdą wam na spotkanie wszelkie wodne potwory”. Ciekawe, czy to jego proroctwo się spełni. A teraz daj mu już spokój!

Wędrowiec popatrzył przez chwilę na kwiaty lotosów i tęczową mgłę spowijające siedzibę pustelnika. W końcu jednak poprosił mistrza, żeby wsiadł na konia i wszyscy trzech zeszli z góry, kierując się w dalszą drogę na zachód.

Jeśli się chcecie dowiedzieć, co spotkało pielgrzymów w dalszej wędrówce, posłuchajcie następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

*o tym, jak Czu Pa-tsie stoczył zacieklą walkę w mur-
tach Rzeki Płynącego Piasku, i o tym, jak Moksza
na rozkaz bodhisattwy uspokoił złośliwego potwora,
Wu-tsinga.*

Mówiliśmy właśnie o tym, jak t'angowski mnich wraz ze swymi dwoma uczniami skierował się w dalszą drogę za zachód. Minęło wiele dni i gdy wędrowcy pokonali Górę Żółtego Wiatru, przed nimi rozpostarła się płaska jak stół równina. Czas biegł szybko i wkrótce ciepłe lato ustąpiło miejsca jesieni. Wśród powiędłych wierzb żalonne cykady zawodziły, a gwiazdozbiór Ta-huo przesunął się już daleko ku zachodniej stronie nieba. I oto pewnego dnia ujrzeli przed sobą ogromną rzekę, wściekle przelewającą swe wody i toczącą fale w nieznaną dal.

— Uczniowie moi! — zawołał z konia Tripitaka. — Spójrzcie, jaka szeroka jest ta rzeka, i w dodatku nigdzie nie widać łodzi przewoźnika. Jak się dostaniemy na drugi brzeg?

— Rzeczywiście rwie jak oszaląła — potwierdził Czu Pa-tsie. — Bez łodzi nie ma mowy, żebyśmy się przez nią przedostali.

Wędrowiec podskoczył w górę, zawisł w powietrzu i rozejrzał się po okolicy, przysłaniając oczy dłonią od blasku słońca.

— Masz rację, mistrzu! — zawołał z góry, na dobre zaniepokojony. — To prawdziwy kłopot! Sam nie wiem, co powinniśmy zrobić. Jeśli chodzi o mnie samego, to mógłbym ją z łatwością przeskoczyć. Wystarczy, że się nieco pochylę, i już jestem na drugim brzegu. A jeśli chodzi o ciebie, mistrzu, to bardzo trudno będzie ci się przeprawić przez tę rzekę.

— Nie mogę stąd nawet dojrzeć jej przeciwległego brzegu — rzekł Tripitaka. — Jak ostatecznie szeroka jest ta rzeka?

— Z jednego brzegu na drugi będzie chyba z osiemset wiorst — powiedział Wędrowiec.

— Starszy bracie, w jaki sposób udało ci się ustalić jej szerokość? — zdziwił się Czu Pa-tsie.

— Powiem ci szczerze, drogi bracie, że moimi oczyma potrafię za dnia dostrzec wszystko na odległość tysiąca wiorst. Mogę też dokładnie określić, co nas oczekuje w przyszłości: pomyślność czy niebezpieczeństwo. Właśnie przed chwilą znajdując się w górze, w powietrzu, chociaż nie mogłem ustalić długości rzeki, dokładnie określiłem jej szerokość. Wynosi ona co najmniej osiemset wiorst.

Słowa jego wprawiły Tripitakę w czarną rozpacz. Zawrócił szybko konia i nagle na brzegu rzeki dojrzał kamienną tablicę. Wszyscy trzej pobiegli, żeby ją przeczytać. Widniały na niej trzy znaki wyryte w formie pisma pieczęciowego: „Rzeka Płynącego Piasku”. Na drugiej stronie tablicy zamieszczono krótki wiersz:

Osiemset wiorst ma wszecz Rzeka Płynącego Piasku,
Trzy tysiące strumieni powiększa jej głębiny.
Pióro ptaka się nie utrzyma na jej powierzchni,
Na samo dno opadają pyłki kwiatów trzciny.

Akurat w chwili, kiedy mistrz ze swoimi uczniami czytał ten wiersz, rzeka nagle wzburzyła się i spiętrzyła w ogromne jak góry fale. Niemal jednocześnie z jej głębin wyskoczył potwór. Wygląd jego budził odrazę i przerażenie.

Potwór wyskoczył na brzeg i ruszył prosto na Tripitakę. Jednak Sun Wu-k'ung oburącz objął swojego mistrza i w jednej chwili znalazł się z nim na wysokim brzegu, ratując go od niebezpieczeństwa. Czu Pa-tsie rzucił na ziemię swój bagaż i wymachując grabiami, chciał zadać potworowi cios, ale ten odbił go swoją pałką. I tak na brzegu Rzeki Płynącego Piasku rozgorzała walka na śmierć i życie. Przeciwnicy rywalizowali i prześcigali się w męstwie i waleczności. Dziewięćdzobne grabie zderzyły się w powietrzu z czarodziejską pałką, gdy przeciwnicy starli się na brzegu rzeki. Jeden z nich niegdyś dowodził armiami wojsk niebiańskich, drugi — to wygnany z rajy strażnik zasłon niebiańskiego pałacu. Dawnymi laty spotykali się często w Sali Boskiego Firmamentu, dzisiaj zwarli się w walce jak rozjuszony bestie. Zęby grabi podobne są straszliwym szponom smoka, trzon pałki bieli się na kształt olbrzymiego kła słoniowego. Odskoczyli od siebie na wielkiej przybrzeżnej równinie, aby za chwilę jak huragan zderzyć się z jeszcze większą siłą. Jeden z nich z wściekłością nacierał nie zważając na nic, drugi, z całym spokojem przeciwnika uchwycił nie mając zamiaru go puścić. Jeden to potwór, Rzeki Płynącego Piasku władca, który pielgrzymów na szlaku pożerał. Drugi to sługa świętego mnicha, co życie doskonaleniu w nauce Buddy poświęcił. Już ponad dwadzieścia razy starli się w walce przeciwnicy, jednak nadal nie było wiadomo, na którą stronę szala zwycięstwa się przechyli.

Tymczasem Wielki Mędrzec strzegący t'angowskiego mnicha odciągnął na bok konia, złożył na jedno miejsce wszystkie bagaże i obserwując walkę Czu Pa-tsie z potworem, to zgrzytał z wściekłości zębami, to pocierał pięść o dłoń, nie mogąc wysiedzieć w spokoju. W końcu wyciągnął swą żerdź zza ucha i rzekł:

— Mistrzu! Posiedź tu chwileczkę! Niczego się nie bój! A ja pobiegnę trochę się z tym potworem zabawić!

Daremnie przekonywał go mistrz, żeby nigdzie nie odchodził. Wydawszy ostry świst, jednym susem znalazł się na brzegu rzeki. Czu Pa-tsie i potwór tak się szepili w wirze walki, że nie sposób ich było od siebie oderwać. Wędrowiec kilkakrotnie machnął żelazną żerdzią w powietrzu i z całej siły upuścił ją na głowę potwora. Dzika bestia nagle się odwróciła i w te pędy czmychnęła, kryjąc się w bezdennych nurtach Rzeki Płynącego Piasku. Zawiedziony Czu Pa-tsie aż podskoczył ze złości.

— Starszy bracie! — krzyknął na Wędrowca. — Kto ci kazał tu przychodzić? Potwór już coraz bardziej słabł, nie mógł odbijać ciosów, które mu zadawałem cudownymi grabiami! Jeszcze kilka starć i miałbym go w rękach! Ale gdy zobaczył twą straszliwą mordę, rzucił się do ucieczki i zniknął! Co teraz zrobimy?

— Braciszku drogi — roześmiał się Wędrowiec — prawdę mówiąc, to już od miesiąca nie miałem okazji poigrać moją żerdzią. Gdy zobaczyłem, jak wspaniale sobie poczynasz w walce z nim, nie mogłem ustać w miejscu i skoczyłem, żeby też się z nim zabawić! Czyż mogłem przewidzieć, że ten potwór nie pozna się na żartach i ucieknie?

Dwaj bracia, w końcu wzięwszy się za ręce, żartując i śmiejąc się, powrócili do swego mistrza.

— No i jak? Schwytaliście tego potwora? — spytał zaciekawiony Tripitaka.

— Ten czarodziejski stwór nie bardzo się lubi bić — odpowiedział Wędrowiec. — Porzucił pole walki i skrył się z powrotem w nurtach rzeki.

— Uczniowie moi — zwrócił się do nich Tripitaka. — Ten potwór z pewnością zamieszkuje te wody od dawna i dobrze zna głębiny i pływizny tej rzeki. Ponieważ nad tym bezkresnym wodnym żywiołem nie widać żadnej łodzi przewoźnika, musimy koniecznie wykorzystać tę bestię, żeby nas bezpiecznie przeprowadziła na drugi brzeg. Inaczej możemy tu pozostać na wieki.

— Właśnie to samo chciałem zaproponować — przytaknęła Wędrowiec. — Powiadają przecież, że „to, co leży obok cynobru, jest czerwone, a to, co koło tuszu — czarne”. Jeśli potwór przebywa w tej rzece od dawna, na pewno zna ją bardzo dobrze. Powinniśmy go jak najszybciej pochwycić i przy tym uważać, żeby go nie zabić. A wtedy już go zmusimy, żeby przeprowadził naszego mistrza na drugi brzeg rzeki. Później zobaczymy, co z nim dalej zrobić!

— Starszy bracie — odezwał się Czu Pa-tsie — nie traćmy na próżno czasu. Zaszczycił pochwycenia tego dzikiego stwora ustępuję teraz tobie, a sam pozostanę na straży przy naszym mistrzu.

— No cóż, zacny braciszku — odparł śmiejąc się Sun Wu-k'ung. — W tego rodzaju sprawach nie zamierzam się przed tobą przechwalać. Otwarcie powiem, że niezbyt pewnie się czuję w wodnym żywiole. Gdybym się chciał przedostać w podwodne głębiny, musiałbym wypowiedzieć jedno zaklęcie, a później jeszcze drugie, oślaniające mnie przed wodnym żywiołem. Dopiero wtedy, i to z pewnymi trudnościami, mógłbym przepłynąć tę rzekę. Oczywiście, poza tym mógłbym się jeszcze przemienić w rybę, kraba, krewetkę lub jakiegoś mięczaka, ale nie na wiele by się to zdało, gdybym chciał pojmać tego potwora. Jeśli chodzi o sztuki czarodziejskie, to znajdując się

czy to w górach, czy w chmurach, potrafię wyczyniać różne skoki i wywoływać niezwykle zjawiska. Ale w wodzie znacznie gorzej sobie radzę.

— Kiedyś rzeczywiście byłem dowódcą sił podwodnych na Mlecznej Drodze, najpotężniejszej z niebiańskich rzek — oświadczył Czu Pa-tsie. — Pod moimi rozkazami walczyła osiemdziesiąt tysięcy armia wodnych żołnierzy niebios. Tak więc na wodnym żywiole co nieco się znam. Szkoda tylko, że nie mam dostatecznego rozoznania co do mieszkańców tutejszych wód i nawet nie wiem, ile się ich tu ukrywa. Gdyby nagle wszyscy oni na mnie się rzucili, nie dałbym sobie z nimi rady! Mogliby mnie nawet wziąć do niewoli. A wtedy co byśmy zrobili?

— Gdy wskoczysz do rzeki i nawiążesz z nim walkę — doradził Wędrowiec — nie daj się zbyt łatwo ponieść zapałowi. Niech się przez chwilę zwycięstwo chyli to na jedną, to na drugą stronę, a później zmykaj udając, żeś poniósł porażkę, i wywab go na brzeg, a wtedy już ja ci pomogę go schwycić!

— Masz rację — zgodził się Czu Pa-tsie. — Zrobimy tak, jak powiedziałeś. No, to ja już idę!

To rzekłszy, ściągnął z siebie szatę z czarnego jedwabiu, zrzucił sandały i wymachując oburącz grabiami, zaczął się przedzierać przez wodne głębiny. Uciekał się do znanych sobie sposobów, wzbijał olbrzymie fale, płynął przed siebie kierując się prosto na samo dno rzeki.

Potwór, który dopiero co doznał porażki, z ledwością doszedł trochę do siebie, ciężko jeszcze dysząc, gdy nagle do uszu jego dobiegły odgłosy, że ktoś przedziera się przez fale rzeki. Gdy lekko się unioś w swym legowisku, ujrzał w dali Czu Pa-tsie z grabiami w dłoniach, który bez większego trudu przemykał poprzez wody rzeki. Schwyciwszy swą pałkę, potwór rzucił się naprzeciw Czu Pa-tsie, zastępując mu drogę.

— Hej, ty mnichu przeklęty! — krzyknął. — Dokąd tak pędzisz? Uważaj, jak zaraz ode mnie oberwiesz.

— A z ciebie co za straszycie? — zawołał Czu Pa-tsie odbijając grabiami cios potwora. — Jak śmiesz zagrażać mi drodze?

— Widzę, że nie znasz mnie jeszcze — odparł czarodziej. — Nie jestem jakimś tam zwykłym upiorem czy diabłem. Imię moje znane jest wszędzie.

— Skoro nie jesteś ani odmieńcem, ani diabłem — zapytał Czu Pa-tsie — to czemu napadasz na niewinnych ludzi? Powiedz szczerze, kim jesteś, a wtedy, być może, daruję ci życie.

— Od lat najmłodszych siły mego ducha były niewyczerpane — zaczął potwór opowieść. — Przemierzyłem bezkresne szlaki nieba i ziemi. Męstwem wstawiłem swe imię na świecie, waleczność ma stała się dla ludzi niedościgłym wzorem. Do tysięcy księstw i dziewięciu prowincji zaszedłem w mych wędrowkach, wokół jezior pięciu i czterech mórz wiodły moje drogi. By poznać wielką Prawdę, na krańce niebios się wspinałem, w poszukiwaniu uczonego mistrza ziemię zjeździłem wszcz i wzdłuż! Żyłem wtedy z datków, co w miskę jałmużną mi dano i dzień w dzień myśli me ku doskonałości kierowałem. Na chmurach dziesiątki tysięcy wiorst przemierzyłem, setki razy się włóczyłem zaglądając do najmniejszych zakamarków. W ten sposób zdołałem w końcu spotkać człowieka prawdziwie świętego, który wprowadził mnie

na drogę spowitą złocistymi blaskami cnoty. Moje osiągnięcia rozgłos mi dały tak wielki, że aż niebo do grona nieśmiertelnych mnie wliczyło. Osobiście od Nefrytowego Cesarza tytuł otrzymałem godny, strażnika zasłon niebiańskiego pałacu. Czczonym był u Południowych Bram Nieba, kłaniano się przede mną w Sali Boskiego Firmamentu. U pasa nosiłem wielką pieczęć cesarską z tygrysim łbem, w dłoniach trzymałem cudowną tabliczkę zdolną poskromić najstraszliwsze potwory. Głowę miałem zdobił kask złocisty blaskiem słońca lśniący, ciało pokrywała zbroja z tęczowej stali, światłość wielką wokół mnie czyniąc. Strzegłem cesarza w jego wędrówkach po niebie, miałem wstęp do pałacu niebios o każdej godzinie. Niestety mi się przydarzyło, gdy Cesarzowa-matka, władczyni Zachodu, urządziła ucztę brzoskwińową w Pałacu Jaspisowego Stawu i wszystkich niebiańskich generałów na nią zaprosiła. Wtedy to z ręki mi wypadł i rozbił się cudowny puchar z nefrytu, wprawiając w popłoch wszystkie duchy nieba. Nefrytowy Cesarz, gdy o tym usłyszał, ryknął z wściekłością i zakłaskał w dłonie, wszystkich swych dostojników na audiencję wzywając. Zerwano mi z głowy kask złocisty, zdjęto zbroję, zabrano insygnia mej władzy i na szafot poprowadzono, by ściąć mi głowę bezlitośnie. Wtedy ujął się za mną Bosonogi Nieśmiertelny i uprosił, by życie mi darowano i tylko wypędzono za granice nieba. Usłuchał cesarz prośby nieśmiertelnego mistrza, oszczędził me życie, lecz za karę tutaj mnie wygnał, do Rzeki Płynącego Piasku. Gdy byłem syty, spokojnie leżałem na dnio tej rzeki, lecz gdy głód mi doskwierał, burzyłem wody udając się na łów. Ryby stare i młode życie w mej paszczy kończyły, a gdy się jakiś drwał napatoczył, nie uszedł mi żywy. W ciągu tych lat wielu ludzi pożarłem, wpadałem w szal, gdy żywa istota przed oczami mi się ukazała. Jakże więc ty się ośmieliłeś wkroczyć do mego królestwa? Zedrę z ciebie skórę i pożrę bez trudu. Szkoda, żeś taki twardy i stary! Nadajesz się tylko, by z ciebie zrobić przyprawę.

— Ach, ty wstrętne bestio! — obrzucił potwora przekleństwami Czu Pa-tsie. — Czyś zupełnie ślepiej postradał, ty łotrze? Zetrę cię na drobny pył. Jak śmiesz mówić o mnie, że jestem twardy i stary, i jeszcze mi grozisz, że zrobisz ze mnie przyprawę? Popatrz tylko. Jesteś taki bezczelny, że chciałeś ze mnie zrobić przyprawę. Odechce ci się tego, jak cię zapoznam z moimi grabiami.

Ujrzawszy nad sobą cudowne grabie, potwór szybkim ruchem uskokzył przed ciosem. Walka zaczęła się pod wodą, ale wkrótce obaj przeciwnicy wynurzyli się z rzeki i tocząc zaciekły bój przeskakiwali z fali na falę. Była to już inna walka niż poprzednio. Bardziej bezwzględna, bardziej nieprzejednana.

Czas płynął szybko, minęły dwie zmiany straży, a walka nadal była nie rozstrzygnięta. Śmiało można było powiedzieć o walczących, że trafiła kosa na kamień.

Tymczasem Wielki Mędrzec strzegąc t'angowskiego mnicha stał na uboczu i mógł tylko wybałuszonymi oczyma śledzić nieustępliwe zmagania na powierzchni wody. Możecie sobie wyobrazić, jaki był on biedny z powodu swojej bezczynności.

Nagle dostrzegł, jak Czu Pa-tsie wymachując w powietrzu grabiami i udając, że doznał porażki, zawrócił i popędził ku wschodniemu brzegowi rzeki. Potwór podążył za nim usiłując go pochwycić. Gdy już znaleźli się w pobliżu brzegu, Wędrowiec nie zdzierzył dłużej, opuścił mistrza, chwycił swą żelazną żerdź i wyskoczywszy na brzeg

rzeki, zaczął walić potwora po głowie. Straszliwa bestia nawet się nie ośmieliła przeciwko niemu wystąpić do walki, lecz ze świstem wichru wśliznęła się z powrotem w nurty rzeki.

— Ach, ty przeklęty pastuchu! — wrzasnął rozgoryczony Czu Pa-tsie. — Co za niecierpliwa z ciebie mała! Czy nie mogłeś jeszcze chwileczkę poczekać, aż bym go zwabił gdzieś wyżej na brzeg? Wtedy byś mu odciął drogę do rzeki tak, że nie mógłby do niej wrócić. Mielibyśmy go już w swoich rękach. A teraz znów nam zniknął. Kto wie, kiedy znów zechce wyjść na brzeg?

— Ach, ty głuptasie! — krzyknął na niego Wędrowiec. — Przystań się tak wydzierać! Wróćmy lepiej do naszego mistrza i zobaczymy, jak on się miewa.

Obydwa wspięli się na stromy brzeg i podeszli do Tripitaki.

— No i jak, namęczyliście się tego, co? — zapytał pochylając się ku nim mistrz.

— Nie chodzi już o trud, ale o to, by go tylko złapać, żeby przeprowadził cię, mistrzu, przez rzekę — odparł Czu Pa-tsie. — I to byłoby ukoronowaniem naszych wszystkich starań.

— A jak się zakończyła wasza walka z tym straszliwym potworem? — zapytał Tripitaka.

— To był rzeczywiście godny mnie przeciwnik — rzekł Czu Pa-tsie. — W czasie walki udało mi się, że mam dość wszystkiego, i zacząłem uciekać. Pogonił za mną aż na brzeg, ale gdy ujrzał mego brata-nauczyciela z uniesioną w górze żerdzią, znów nam zwiął.

— W takim razie, co teraz pocniemy? — zapytał stroskany mistrz.

— Nie martw się, mistrzu — pocieszał go Wędrowiec. — Niech cię o to głowa nie boli. Już my coś poradzimy. Zrobiło się dość późno. Usiądźcie sobie wygodnie na skalistym brzegu rzeki, a ja pójdę użebrac dla was trochę postnej strawy. Jak sobie podjecie i prześpicie się, to jutro znów coś wymyślimy.

— Masz rację bracie — zgodził się Czu Pa-tsie. — Tylko zaraz idź i szybko wracaj.

Wędrowiec jednym skokiem znalazł się na chmurze i poszybował na niej prosto na północ. Tam, opuściwszy się na ziemię, wyżebrał miskę postnej strawy i szybko powrócił, by nakarmić swego mistrza. Tripitaka widząc, jak szybko jego uczeń znalazł się z powrotem z miską pełną jedzenia, zapytał pełen ciekawości:

— Sun Wu-k'ungu, a gdybyśmy tak zapytali ludzi, którzy ci dali jałmużnę, o sposób przekroczenia tej rzeki? Czy nie byłoby to lepsze, niż drażnić się z tym potworem?

— Ludzie mieszkają bardzo daleko — odparł śmiejąc się Wędrowiec. — Myślę, że będzie stąd jakieś pięć do siedmiu tysięcy wiorst. Skądże by mogli znać tę rzekę? Czyż jest więc sens pytać ich o to?

— Mój starszy brat znów próbuje nas okłamać — przerwał mu Czu Pa-tsie. — Przecież jak zdołałbyś tak szybko pokonać odległość kilku tysięcy wiorst i wrócić tu z powrotem?

— A, prawda, skądże niby miałbyś o tym wiedzieć — odparł mu Wędrowiec. — Otóż dowiedz się, że dzięki umiejętności wykonywania skoku w obłok potrafisz jednym susem przemierzyć odległość stu ośmiu tysięcy wiorst. A cóż to dla mnie pięć czy siedem tysięcy. Żeby przebyć taką krótką odległość, wystarczy mi kiwnąć dwa razy głową albo lekko się zgiąć w pasie. Nic w tym trudnego!

— Bracie — zaproponował Czu Pa-tsie — skoro to takie łatwe, to weź naszego mistrza na plecy, pokiwaj kilka razy głową albo zegnij się nieco głębiej w pasie i przeskocz tę rzekę. Nie będziemy wtedy potrzebowali się męczyć w walce z tym potworem-czarodziejem.

— A ty co? Czyż nie potrafisz szybować na chmurach? — odpalił Wędrowiec. — Dlaczego więc nie przeniesiesz naszego mistrza na drugi brzeg rzeki?

— Mistrz nasz ma ziemskie ciało i kości, a cięższe są one niż święta góra T'ai. Jakże mógłbym go unieść i poszybować z nim na chmurach? — rzekł Czu Pa-tsie. — Sądzę, że raczej twoja metoda skoku w obłok bardziej by się nadawała.

— Ależ mój skok w obłok opiera się na podobnej zasadzie, co twoje szybowanie na chmurach — rzekł Wędrowiec. — Różnica polega tylko na pokonywanej odległości. Skoro ty go nie potrafisz unieść, to jak ja mógłbym to uczynić? Z dawien dawna się powiada: „Górę T'ai równie łatwo jest przenieść jak ziarnko gorczycy, ale niesłuchanie trudno jest wybawić zwykłego śmiertelnika od trosk świata doczesnego”. Weźmy dla przykładu te różne potwory, straszydła, czarodziejów, których napotyamy po drodze. Chociaż się bardzo starali, wywoływali straszliwe wichury, to zdołali nas zatrzymać zaledwie na trochę, bardzo szybko się od nich uwolniliśmy i szliśmy dalej. Szkoda tylko, że przez cały czas wędrujemy po ziemi i ani razu nie udało się unieść naszego mistrza w powietrze. Ale znam za to wiele czarodziejskich sztuczek. Potrafię stawać się niewidocznym, przemierzać olbrzymie odległości i wiele innych. Mistrzowi naszemu jednak sądzone jest odbyć tę pielgrzymkę do końca po ziemi i przejść przez obce krainy znosząc różne próby losu i cierpienia. Dlatego krok za krokiem, pokonując niezliczone trudności, wędruje na zachód pieszo. My dwaj służymy mu tylko za osłonę, mamy dbać, by życie za wcześnie nie uszło z jego ciała. W żaden sposób nie jesteśmy w stanie uwolnić go od gorzkich prób, na jakie jest wystawiany w podróży, tak samo jak nie jesteśmy w stanie sami uzyskać świętych ksiąg. Nawet gdybyśmy mieli możliwość szybciej dotrzeć do wielkiego Buddy i mu się pokłonić, Budda i tak by nie zechciał przekazać tego źródła odwiecznej mądrości mnie lub tobie. Zupełnie jak w známym ci z pewnością przysłowiu: „Z im większą łatwością księgę zdobędziesz, z tym mniejszą uwagą ją przeczytasz”.

Czu Pa-tsie słuchał słów Sun Wu-k'unga i słuchał, i tylko coś z przekąsem mruzczał pod nosem. Później wszyscy zjedli krótki postny posiłek i ułożyli się na spoczynek na wysokiej skale na wschodnim brzegu Rzeki Płynącego Piasku.

— Sun Wu-k'ungu — spytał Tripitaka nazajutrz rano. — Do jakich sposobów uciekamy się dzisiaj?

— Nie ma żadnych innych możliwości — odpowiedział Wędrowiec — lecz po prostu Czu Pa-tsie będzie musiał zejść pod wodę.

— Jak to, starszy bracie? — zaprotestował Czu Pa-tsie. — Chcesz przez cały czas być czysty i tylko mnie stale każesz opuszczać się na dno rzeki?

— Najdroższy braciszku — obiecywał błagalnym tonem Wędrowiec — teraz już nie będę taki w gorącej wodzie kąpany. Pozwolę ci go wywabić daleko od brzegu rzeki, a wtedy zamknę mu odwrót i w ten sposób musimy go w końcu schwytać.

Wspaniały był ten Czu Pa-tsie. Potarł się po ryju, zebrał siły duchowe i oburącz

ściskając cudowne grabie wybiegł na brzeg rzeki. Jak poprzednim razem, torując sobie drogę pośród wodnych toni, dotarł w końcu do legowiska nieuchwytnej bestii. Potwór właśnie dopiero co się przebudził, gdy nagle usłyszał plusk wody. Odwrócił głowę i wyteżając wzrok spojrział w wodną dal. Gdy dostrzegł Czu Pa-tsie, który z grabiami w rękach szybko się do niego zbliżał, wyskoczył ze swej nory i zagroził mu drogę.

— Wolnego! Wolnego! — wrzasnął. — Masz! Popróbuj mojej pałki!

Czu Pa-tsie uniósł w górę grabie i zręcznie odparował cios.

— Cóż to za pałka — krzyknął — że ciągle mi nią wygrażasz?

— Widać, że nie zdajesz sobie sprawy, co to za pałka, nieokrzesany łotrze! — wybuchnął potwór. — To słuchaj dobrze! Sława tej cudownej pałki rozbrzmiewa po całym świecie. Gałąź dla niej Wu Kang ściął na księżycu, a Lu Pan wygładził ją doskonale. W środku jej tkwi rdzeń ze złota, a na powierzchni są cudnych pereł rzędy. Zwą ją Pałką Cudowną do Uśmierzania Duchów. Zawsze się znajdowała w Sali Boskiego Firmamentu dla wymierzania kary winnym. Wraz z nadaniem godności marszałka, Nefrytowy Cesarz dał mi ją na własność, bym ze sobą zawsze nosił. Mogę ją zwiększać lub zmniejszać wedle woli, na moje rozkazy staje się cieńsza lub grubsza. Brałem ją, gdy straż mi przyszło trzymać u boku cesarza w czas uczty brzoskwiniowej, a także gdy w górne wędrowałem sfery. Okazywali jej szacunek mędrcy, gdy pełniłem wartę w pokojach cesarza, kłaniali się nieśmiertelni, gdy zaślony w pałacu podnosiłem. Z latami taką moc cudowną ta pałka posiadała, że niczym są przy niej wszystkie ziemskie narzędzia walki. Od czasu gdy mnie za bramy niebios wygoniono, swobodnie, bez strachu hasam z nią po wodach. Nie będzie z mojej strony żadną przechwałką, jeśli powiem, że nie ma na świecie potężniejszej broni od tej pałki. Popatrz tylko na te swoje nędzne grabie. Nadają się chyba tylko do tego, by nimi pole kopać lub okopywać jarzyny.

— Ach, ty nędzna kreaturo! — zawołał z drwiącym chichotem Czu Pa-tsie. — Widocznie ci za mało dołożyłem. Nie uważaj, że tymi grabiami można tylko spulchniać ziemię w ogrodzie. Lepiej zapamiętaj sobie, że jak cię raz nimi stuknę, zrobię z ciebie lepką maź czy papkę i krew tryśnie z dziewięciu otworów twego ciała. A nawet jeśli od razu nie skiśniesz, to tknie cię wiekuisty paraliż.

Nie mogąc dłużej wytrzymać, potwór rzucił się do walki. Z początku walczyli na dnie rzeki. Później Czu Pa-tsie stopniowo wywabiał przeciwnika na powierzchnię. Ta walka też zupełnie różniła się od tej, którą stoczyli na samym początku. Tak też, to atakując, to odstupując, przeciwnicy starli się ze sobą już ponad trzydzieści razy, ale nadal trudno było osądzić, który z nich słabszy, a który silniejszy. Wtedy Czu Pa-tsie znów uciekł się do podstępu i udając pokonanego, rzucił się do ucieczki, wlokąc za sobą grabie. Potwór wzbijając w górę potężne fale puścił się za nim w pogoń i wyskoczył na brzeg.

— Ja ci pokażę, ty wstrętny potworze! — odgrażał się mu Czu Pa-tsie. — Chodź tutaj na górę. Jest tu na czym nogi oprzeć i będzie można walczyć jak należy.

— Już ja dobrze wiem, łotrze, o co ci chodzi. Chcesz mnie koniecznie wywabić na

górze, żeby twój pomocnik mi drogę odciął — roześmiał się potwór. — Nie, mój drogi, lepiej ty zejdz na dół i będziemy toczyć dalszą walkę w wodzie.

Potwór okazał się niespodziewanie przebiegły. Za nic w świecie nie dał się wywabić na wysoką skałę. Biegł tylko nad swym brzegiem i obrzucał wyzwiskami Czu Pa-tsie.

Wędrowiec widząc, że potwór nawet nie myśli wyjść na brzeg, znów nie mógł powściągnąć swej niecierpliwości i wściekał się, że do tej pory jeszcze go nie ma w swych rękach.

— Mistrzu — zwrócił się do Tripitaki. — Posiedź tu chwileczkę, a ja polecę go schwytać „jak zgłodniały orzeł swą ofiarę”.

Wypowiedziawszy te słowa, wykonał skok w obłok i w jednej chwili znalazł się w powietrzu, po czym spadł jak kamień prosto na potwora, myśląc, że teraz już mu nie ujdzie. Potwór jednak, mimo olbrzymiego hałasu, jaki towarzyszył jego wymianie zdań z Czu Pa-tsie, nagle dosłyszał gwałtowny świst wiatru. Podniósł głowę i ujrzał spadającego nań z przelatującej chmury Wędrowca. Szybko schował swą cudowną pałkę i dał nurka w wezbrane wody rzeki, ginąc w nich bez śladu. Sun Wu-k'ung długo stał na brzegu wpatrując się w wodę. W końcu rzekł do Czu Pa-tsie:

— No cóż, bracie. Potwór znów nas wykiwał. Już więcej się nie ośmieli wyjść na brzeg. Co teraz zrobimy?

— Rzeczywiście, bardzo trudno będzie cokolwiek zdziałać — zgodził się Czu Pa-tsie. — Nie zdołamy go pokonać. Ja zresztą już zużyłem wszystkie siły, nawet te, jakie wysąłem z mlekiem matki. Teraz jesteśmy mu równi i nic mu nie zrobimy.

— Chodźmy lepiej do naszego mistrza — zaproponował Wędrowiec.

Obydwa uczniowie znów wspięli się na wysoki brzeg i stanawszy przed mistrzem opowiedzieli mu o trudnościach, które im uniemożliwiły schwywanie potwora. Z oczu mnicha rześnięcie polały się łzy.

— Przy takich trudnościach, w jaki sposób zdołamy się przepawić przez rzekę?

— Nie martw się, mistrzu — pocieszał go Wędrowiec. — Czarodziejski potwór rzeczywiście ukrył się głęboko pod wodą i trudno nam się będzie do niego dostać. Wiecie, co zrobimy? Czu Pa-tsie, ty pilnuj tutaj naszego mistrza i więcej nie przystępuj do walki z potworem, a ja przez ten czas polecę nad Południowy Ocean i zaraz do was wrócę.

— Bracie, a po co chcesz lecieć nad Południowy Ocean? — zapytał zaciekawiony Czu Pa-tsie.

— Pieczę nad naszą pielgrzymką po święte księgi sprawuje bodhisattwa Kuan-in — wyjaśnił Sun Wu-k'ung. — Już nas wyplątywała z różnych kłopotów. Teraz drogę przegrodziła nam Rzeka Płynącego Piasku i nie możemy iść dalej. Jeśli ona nam nie pomoże, jak damy sobie radę? Czy wolisz poczekać na mnie, a ja pójde poprosić bodhisattwę o pomoc, czy chcesz dalej walczyć z tym nieustępliwym potworem?

— Dobrze już, dobrze, bracie-nauczycielu! — zawołał Czu Pa-tsie. — Gdy już się znajdziesz na miejscu, zlituj się nade mną i przemów za mną słówko. Kiedyś otrzymałem od niej wiele łask i pouczeń.

— Sun Wu-k'ungu! — zawołał do niego na pożegnanie Tripitaka. — Idź i zwróć się do bodhisattwy Kuan-in o pomoc dla nas, tylko nie zatrzymuj się tam długo. Wracaj do nas jak najszybciej.

Wędrowiec wykonał skok w obłok i skierował się prosto ku Południowemu Oceanowi. Zaledwie pół godziny później znalazł się już nad górą Buddhaloka. W jednej chwili wykonał skok i spadł prosto do Gaju Purpurowych Bambusów, gdzie otoczyły go dwadzieścia cztery duchy niebiańskich dróg. Ich przywódca podszedł do Wędrowca i spytał:

— W jakiej sprawie tu przybyłeś, Wielki Mędrce?

— Mój mistrz znalazł się w kłopotach — rzekł Wędrowiec — i przybyłem tutaj, by w tej sprawie zobaczyć się z bodhisattwą.

— Proszę, usiądź tutaj na chwilę — rzekł dowódca duchów — a my pójdziemy donieść bodhisattwie o twoim przybyciu.

Duch podobny do tarczy słońca wśliznął się do jaskini bodhisattwy i zameldował:

— Przybył Sun Wu-k'ung w pilnej sprawie i prosi o posłuchanie.

W tym czasie bodhisattwa razem z córką smoka, władcy cudownej perły, oparłszy się łokciami o balustradę stały nad Lotosowym Jeziorem i zachwycaly się kwiatami. Wysłuchawszy doniesienia, bodhisattwa podeszła do dziury w chmurze, otworzyła bramę i zaprosiła przybysza do środka. Sun Wu-k'ung obciągnął na sobie szaty i wszedł do środka jaskini.

— Dlaczego opuściłeś t'angowskiego mnicha i nie otaczasz go opieką? — zapytała bodhisattwa. — Po co znów tu do mnie przyszedłeś?

— Pragnę ci donieść, miłościwa bodhisattwo — zaczął z szacunkiem Sun Wu-k'ung — że mistrz mój, przebywając w wiosce rodziny Kao, przyjął do siebie jeszcze jednego ucznia, który się nazywa Czu Pa-tsie. Niegdyś twoja wielka łaskawość, o bodhisattwo, nadała mu jeszcze inne imię zakonne, Wu-neng. Tak więc przekroczywszy łańcuch Gór Żółtego Wiatru, dotarliśmy do Rzeki Płynącego Piasku, zwanej również Czarną Rzeką. Szerokość jej wynosi ponad osiemset wiorst. Jest to bardzo głęboka rzeka i mistrz w żaden sposób nie może się przez nią przeprawić. Ponadto rzekę tę zamieszkuje jakiś straszliwy potwór, któremu nie jest obca sztuka prowadzenia walki. Czu Pa-tsie trzy razy potykał się z nim pod wodą i na lądzie i w żaden sposób nie mógł go pokonać. Dopóki potwór będzie zagradzał drogę, mistrz nasz nie zdoła się przeprawić na drugą stronę rzeki. Dlatego przybyłem tu ze specjalną prośbą do ciebie, o bodhisattwo. Okaż nam swą łaskę i pomóż naszemu mistrzowi przeprawić się przez rzekę.

— Chcieliśmy schwytać tego potwora — ciągnął Sun Wu-k'ung — i kazać mu przeprowadzić naszego mistrza na drugą stronę rzeki. Jeśli chodzi o wodny żywioł, to ja za bardzo dobrze się na nim nie znam i dlatego Wu-neng, to jest Czu Pa-tsie, przedarł się do jego legowiska i zaczął z nim walczyć. Chyba zapomniał powiedzieć potworowi, że udajemy się w pielgrzymkę po święte księgi.

— Ten potwór-czarodziej z Rzeki Płynącego Piasku był niegdyś mistrzem ceremonii w niebiańskim pałacu — rzekła bodhisattwa — lecz za jakieś przewinienie wygnano go na ziemię. Ja nakłoniłam go do wkroczenia na ścieżkę Prawdy i kazałam mu udzie-

łać pomocy pielgrzymom udającym się po święte księgi. Gdybyście mu choć słówkiem pisnęli, że idziecie ze wschodniej krainy po święte księgi, nie tylko by was wcale nie zaczepił, ale wprost przeciwnie, okazałby wam całkowite posłuszeństwo i chęć niesienia pomocy.

— Unikając dalszej walki, potwór ukrył się gdzieś głęboko pod wodą i wcale nie zamierza wyjść na brzeg — wyjaśnił Sun Wu-k'ung. — Jakże możemy go skłonić do uległości? Jak inaczej może nasz mistrz przepłynąć przez tę głęboką rzekę?

Bodhisattwa przywołała wówczas swego ucznia, Huei-ana, wyjęła z rękawa czerwona tykwę i wręczając mu ją, rzekła:

— Weź tę tykwę i wraz z Sun Wu-k'ungiem idź nad Rzekę Płynącego Piasku. Stań na brzegu i zawołaj: „Wu-tsing! Wu-tsing!”, a wtedy wyjdzie on z wody. Każ mu najpierw ukorzyć się przed t'angowskim mnichem, a potem zdejmij dziewięć czaszek, które wieńczą jego szyję, zwiąż je razem i rozstaw na podobieństwo pałaców w królestwie niebieskim. Pośrodku umieścisz tę oto tykwę, a wtedy wszystko to się przemieni w łódź magiczną, która przewiezie t'angowskiego mnicha na drugą stronę Rzeki Płynącego Piasku.

Huei-an z szacunkiem wysłuchał poleceń bodhisattwy i zabrawszy tykwę, razem z Wielkim Mędrcelem opuścili jaskinię bodhisattwy w Gaju Purpurowych Bambusów.

Wkrótce obydwaj nasi wędrowcy spłynęli na chmurze ku brzegom Rzeki Płynącego Piasku. Czu Pa-tsie rozpoznał z daleka ucznia bodhisattwy, Moksę, i Sun Wu-k'unga i zaprowadził ich prosto do mistrza. Wymieniwszy powitalne pokłony z Tripitaką, Moksza nie zapomniał przywitać się także z jego uczniem, Czu Pa-tsie.

— Dzięki waszym pouczeniom — zwrócił się uprzejmie do przybysza Czu Pa-tsie — miałem możność ujrzeć bodhisattwę i stałem się żarliwym wyznawcą prawd Buddy. Cieszę się niezmiernie, że dane mi jest pokłonić się jej najulubieńszemu uczniowi. Przez całą drogę mieliśmy ciągle jakieś kłopoty, a więc wybaczenie, że wcześniej nie wyraziłem wam swojej wdzięczności.

— Nie warto się nad tym tyle rozwódzić — przerwał mu Wędrowiec. — Chodźmy lepiej wywołać tego łotra z wody.

— O kim tak mówisz? — zapytał Tripitaka.

— Byłem u bodhisattwy i opowiedziałem jej wszystko, co się nam tu przydarzyło — odparł Wędrowiec. — Bodhisattwa powiedziała, że czarodziej, który zamieszkuje Rzekę Płynącego Piasku, był kiedyś wielkim mistrzem ceremonii na niebiańskim dworze i został za karę wygnany na ziemię. Spuszczono go właśnie do tej rzeki i przemieniono w potwora. Ale bodhisattwa Kuan-in nakłoniła go, by został twoim uczniem, mistrzu, i razem z nami udał się do Zachodniego Raju. Wszystkie kłopoty i walki, jakie z nim toczyliśmy, wynikły po prostu z tego, że zapomnieliśmy mu na samym początku powiedzieć o celu naszej wyprawy, o świętych księgach. Bodhisattwa przysłała teraz swego ucznia Moksę z cudowną tykwą. Jak wszystko pójdzie dobrze, to przemieni ją w magiczną łódź, która cię, mistrzu, przewiezie na drugi brzeg rzeki.

Tripitaka wysłuchawszy go złożył niezliczoną ilość dziękczynnych pokłonów bodhisattwie, a w końcu skłoniwszy się przed Moksą, rzekł:

— W takim razie do dzieła, czcigodny młodzieńcze!

Wówczas Moksza, trzymając mocno w dłoniach tykwę, wznosił się na chmurze ponad wody Rzeki Płynącego Piasku i krzyknął, ile miał tylko sił w gardle:

— Wu-tsing! Wu-tsing! Wychodź! Od dawna są tu pielgrzymi, którzy się udają po święte księgi! Dlaczegoś się im do tej pory nie pokłonił i nie okazał swego posłuszeństwa?

Potwór tak się przestraszył króla małp, że pośpiesznie wrócił do siebie na dno rzeki i właśnie odpoczywał w swym legowisku. Gdy tylko usłyszał swoje zakonne imię, nie miał wątpliwości, że musi to być ktoś od bodhisattwy Kuan-in. A gdy jeszcze wspomniał o pielgrzymach udających się po święte księgi, strach potwora nagle gdzieś prysnął. Wzburzając fale na powierzchni rzeki, wystawił głowę i od razu rozpoznał Moksze, ucznia bodhisattwy. Na jego widok paszcza potwora rozchyliła się w promiennym uśmiechu. Podbiegł do wysłannika bodhisattwy i z czcią się przed nim pokłoniwszy zapytał:

— Wybacz mi, czcigodny panie, że nie wyszedłem ci na spotkanie. A gdzie obecnie przebywa cudowna bodhisattwa?

— Bodhisattwa Kuan-in nie przybyła tutaj — odpowiedział Moksza — lecz przyszła mnie i kazała ci powiedzieć, żebyś jak najszybciej został uczniem t'angowskiego mnicha. Z tej oto tykwy i z czaszek, które wiszą na twojej szyi, mam stworzyć magiczną łódź, tak żeby świątobliwy mnich mógł się na niej przepawić na drugi brzeg rzeki.

— A gdzie się znajduje ów świątobliwy mnich, który idzie po święte księgi? — zapytał Wu-tsing.

— Siedzi tam, na wschodnim brzegu rzeki — powiedział Moksza, wskazując palcem na mnicha. — Widzisz go?

— A skąd się wzięło to ścierwo? — zapytał Wu-tsing wskazując wzrokiem na Czu Pa-tsie. — Już od dwóch dni ze mną wojuje i żeby to chociaż słówko pisał, że wędruje po święte księgi! Ale nic podobnego! A ten znowu, co za jeden? — spytał dostrzegłszy Wędrowca. — To jego pomocnik. Straszliwa bestia! Nie, ja w ich towarzystwie nigdzie nie pójde!

— Jeden to Czu Pa-tsie, a ten drugi to Sun Wu-k'ung — przedstawił Moksza. — Obydwaj są już uczniami t'angowskiego mnicha i sama bodhisattwa Kuan-in nakłoniła ich, żeby wkroczyli na drogę Prawdy. Nie masz się ich czego obawiać! A teraz chodź, zaprowadzę cię do t'angowskiego mnicha.

Wu-tsing schował swą cudowną pałkę i poprawiwszy na sobie jedwabną szatę, wyskoczył na brzeg. Upadł przed t'angowskim mnichem na oba kolana i zawołał na cały głos:

— Mistrzu, chyba źrenice wypadły z mych oczu, że od razu cię nie poznałem! Błagam, wybacz mi moją ślepotę i to, że się ośmieliłem na ciebie napaść.

— Ty wrzodzie ropiejący! — krzyknął na niego Czu Pa-tsie. — Dlaczego wcześniej nie okazałeś swej uległości? Po co się ze mną biłeś? Co masz na swoje wytłumaczenie?

— Bracie — rzekł śmiejąc się Wędrowiec. — Nie gniewaj się na niego. Przecież wcale mu nie powiedzieliśmy, że się wybieramy po święte księgi, ani też mu się nie przedstawiliśmy.

— A teraz powiedz nam szczerze — zwrócił się do potwora Tripitaka. — Czy pragniesz przyjąć naszą wiarę?

— Czyż ośmieliłbym się nie przystać do was jako uczeń — odpowiedział Wu-tsing. — Przecież sama bodhisattwa Kuan-in mnie nawróciła i nadała mi imię zakonne Wu-tsing i nazwisko Sza, co znaczy Piasek, na pamiątkę Rzeki Płynącego Piasku, w której na was czekałem.

— Skoro tak, to Sun Wu-k'ungu — zwrócił się do swego ucznia Tripitaka — weź święty nóż i ogol mu głowę.

Wielki Mędrzec natychmiast wykonał polecenie mistrza. Po tym zabiegu Wu-tsing pokłonił się najpierw Tripitace, a następnie Sun Wu-k'ungowi i Czu Pa-tsie. Przekonawszy się, że Wu-tsing zachowuje się pod każdym względem, jak przystoi mnichowi, Tripitaka nadał mu nowe zakonne imię, Sza-seng, czyli Piaskowy Mnich.

— A teraz, skoro już go wyświęciliście na mnicha — odezwał się Moksza — nie traćmy więcej czasu i zabierzmy się do budowy magicznej łodzi.

Nie zwlekając ani chwili, Wu-tsing zdjął naszyjnik z czaszek, ułożył je w magiczny krąg i pośrodku umieścił tykwę bodhisattwy. Wtedy zaprosił Tripitakę, by zechciał zejść na brzeg rzeki. Świątobliwy mnich wszedł na powstałą w ten sposób łódź i usiadł w niej. Miał wrażenie, jakby siedział w prawdziwej lekkiej łódce. Czu Pa-tsie i Wu-tsing zajęli miejsca po jego bokach i przytrzymywali mistrza. Sun Wu-k'ung podążył za nimi na chmurze, ciągnąc za uzdę wierzchowca, a od przodu osłaniał ich sam Moksza. W końcu, unoszona na falach i popychana sprzyjającymi wiatrami magiczna łódź przewiozła pielgrzymów przez Rzekę Płynącego Piasku. Pomyślnie wydostali się na drugi brzeg nie zamoczywszy nawet stóp ani nie zabrudziwszy szat.

Gdy mistrz i jego uczniowie stanęli w końcu na twardej ziemi po drugiej stronie rzeki, Moksza zabrał cudowną tykwę i dosiadłszy chmury wkrótce zniknął im z oczu. Również dziewięć czaszek w jednej chwili przemieniło się w dziewięć prądów powietrznych i rozwiało się bez śladu.

Tripitaka ze słowami podziękowania na ustach skłonił się w stronę, gdzie zniknął Moksza, a następnie licznymi pokłonami wyrażał wdzięczność litościwej bodhisattwie Kuan-in.

Na tym kończy się pierwsza część wędrówki na zachód po święte księgi. Świątobliwego mnicha Tripitakę oraz jego trzech uczniów, Sun Wu-k'unga, Czu Pa-tsie i Sza-senga, spotkało po drodze jeszcze wiele niezwykłych przygód, ale o tym już tutaj nie będziemy mówili.

SPIS ROZDZIAŁÓW

WSTĘP

ROZDZIAŁ PIERWSZY

o tym, jak z cudownego zalążka powstała tajemna istota, która dzięki wytrwałości w doskonaleniu swej natury poznała Wielką Naukę 9

ROZDZIAŁ DRUGI

o tym, jak Sun Wu-k'ung przeniknął tajniki cudownej nauki mistrza nieśmiertelności, pokonał potężnego Demona i przywrócił spokój w malpim królestwie 21

ROZDZIAŁ TRZECI

o tym, jak cztery morza i tysiąc gór ukorzyły się przed królem malp i w jaki sposób wykreślono imiona z dziesięciu rejestrów w Krainie Podziemi 36

ROZDZIAŁ CZWARTY

o tym, jak nadanie godności niebiańskiego koniucha nie zadowolilo króla malp i jak nawet przyznanie mu tytułu Wielkiego Mędrca Równego Niebu nie zaspokoilo jego ambicji 52

ROZDZIAŁ PIĄTY

o tym, jak Wielki Mędrzec zakłócił Brzoskwiniową Ucztę i skradł pigulki nieśmiertelności, oraz o tym, jak urządził awanturę w państwie niebieskim, czym gniew wszystkich niebian na siebie ściągnął 66

ROZDZIAŁ SZÓSTY

o tym, jak bodhisattwa Kuan-in przybyła na Brzoskwiniową Ucztę i dowiedziała się o zaszłych wydarzeniach, a także o tym, jak Mały Mędrzec swą niezwykłą mocą pokonał Wielkiego Mędrca 81

ROZDZIAŁ SIÓDMY

o tym, jak Wielki Mędrzec zbiegl z alchemicznego pieca i jak został uwięziony pod Górą Pięciu Elementów, a także o tym, jak Budda wysłał bodhisattwę Kuan-in do Cz'ang-anu 96

ROZDZIAŁ ÓSMY

o tym, jak król smoków niegodnym wybiegiem sprzeciwił się woli nieba i jak minister Wei Czeng wysłał list do sędziego w królestwie ciemności 114

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

o tym, jak dusza T'ai-tsunga przebywała w królestwie ciemności i jak stamtąd wróciła na ziemię, a także o tym, jak Liu Ts'üan zaniósł dynie do podziemnej krainy i spotkał się tam ze swoją żoną 128

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

o tym, jak władca T'angów urządził uroczyste nabożeństwo i jak w Świątyni Przeistoczenia ukazała się bodhisattwa Kuan-in w boskim majestacie 142

ROZDZIAŁ JEDENASTY

o tym, jak zbuntowana malpa powróciła na Drogę Prawdy i jak się rozprawiła z sześcioma rozbójnikami 161

ROZDZIAŁ DWUNASTY

o tym, jak Wielki Mędrzec pokonał potwora w wiosce rodu Kao, Kao-lao-czuang 179

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

o tym, jak Sun Wu-k'ung pojmał potwora w Jaskini Przechowywania Chmur i jak Hüan-tsang na Górze Buddy poznał Sutrę Oczyszczenia Serc 189

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

o tym, jak Czu Pa-tsie stoczył zacieklą walkę w nurtach Rzeki Płynącego Piasku, i o tym, jak Moksza na rozkaz bodhisattwy uspokoił złośliwego potwora, Wu-tsinga 201

